



NA PSA UROK

KRONIKI
ŻELAZNEGO
DRUIDA

KEVIN HEARNE



KEVIN HEARNE

NA PSA UROK

KRONIKI ŻELAZNEGO DRUIDA

Przełożyła Maria Smulewska



REBIS

DOM WYDAWNICZY REBIS

*Mamo, zobacz, co zrobilem!
Mogę zawiesić na lodówce?*



Wskazówki dotyczące irlandzkiej wymowy

Chciałbym od razu wyjaśnić, że Czytelnicy mogą sobie wymawiać imiona pojawiające się w tej książce, jak im się żywnie podoba. Nie chcę nikomu psuć zabawy, wrzeszcząc co chwilę: „Źle to wymawiasz!” Tym jednak, którzy mają upodobanie do ścisłości fonetycznej, podaję nieoficjalne wskazówki na temat wymowy niektórych nazw i słów, nieco trudnych do wymówienia, gdyby się je czytało z angielska, jako że fonetyka irlandzka trochę się jednak od angielskiej różni. Warto też pamiętać, że znaki diakrytyczne nad samogłoskami nie oznaczają akcentu, lecz raczej odmienną samogłoskę*.

Imiona i nazwiska

Aenghus Óg = Engys Ołg

Airmid = Ermyt

Bres = Bresz

Brighid = Brijit w staroirlandzkim. Współcześnie raczej Brit, zapisywane Brid bez grupy gh, którą Anglicy uparcie czytali jako dz. To irlandzkie imię ma także swoją zanglicyzowaną wersję – Bridget.

Cairbre = Karbre

Conaire = Konara

Cúchulainn = Kuholan

Dian Cecht = Dijen Kieht

Fianna = Fiana

Finn Mac Cumhaill = Fin Mak Kułyl

Flidais = Flidisz

Granuaile = Gronjałejl

Fragarach = Fragarah

Lugh Lámfhada = Lu Lołwoda

Manannan Mac Lir = Mananon Mak Lir

Miach = Mijah

Mogh Nuadhat = Moł Nuat

Moralltach = Moreltoh

Ó Suileabháin = Oł Sulałn (zangielszczona wersja tego nazwiska to O'Sullivan)

Siodhachan = Sziahon

Tuatha Dé Danann = Tuha Dej Donen

Miejsca

Mag Mell = Mag Mel

Magh Léna = Maj Lena

Gabhra = Gołra

Tír na nÓg = Tir na nołg

Czasowniki

Coinnigh = kynik (trzymać)

Dóigh = doj (palić)

Dún = dun (zamykać)
Oscail = oskyl (otwierać)
Drzewa

Fearn = faern
Idho = ijo
Ngetal = nietyl
Tinne = tiena
Ura = ura

* Tłumaczka serdecznie dziękuje The London Irish Centre za wyjątkową cierpliwość przy wyjaśnianiu zawłości irlandzkiej wymowy.

Rozdział 1

Życie przez dwadzieścia jeden wieków ma wiele zalet, a jedną z ważniejszych jest to, że ma się okazję być świadkiem niezwykle rzadkiego cudu, jakim są narodziny geniusza. Proces ten niezmiennie zachodzi w następujący sposób: ktoś odrzuca ciężar tradycji, ignoruje wrogie spojrzenia władzy i robi coś, co jego ziomkowie uważają za kompletnie szurnięte. Mnie osobiście najbardziej zafascynował Galileusz. A drugie miejsce dałbym Van Goghowi, ale on akurat to naprawdę był szurnięty.

Bogini dzięki, nie wyglądam wcale na kogoś, kto znał osobiście Galileusza – ani na kogoś, kto na własne oczy widział sztuki Szekspira, gdy wystawiano je jako debiuty; ani też na kogoś, kto jeździł sobie po Azji ze zbirami z hord Czyngis-chana. Gdy ludzie pytają mnie o wiek, mamrocze „dwadzieścia jeden”, a gdy moi rozmówcy uznają, że mam na myśli lata, a nie dekady czy wieki, to nie moja wina, prawda? Nadal zdarza mi się, że w tym czy owym barze proszą mnie o dowód tożsamości, co – jak powie wam każdy starszy człowiek – w pewnym wieku naprawdę niezwykle schlebia waszej próżności.

Aparycja młodego irlandzkiego chłopaka nie pomaga mi natomiast, gdy staram się, by to, co mówię, brzmiało fachowo w moim miejscu pracy (prowadzę księgarnię okultystyczną z niewielkim kącikiem aptecznym), ale ma jedną niezastąpioną zaletę. Gdy idę do spożywczego na przykład, ludzie widzą moje rude loki, jasną cerę i kozią bródkę, i od razu są przekonani, że lubię grać w nogę i pić dużo guinnessa. Jeśli akurat jestem w podkoszulku bez rękawów, widzą moje tatuaże na prawej ręce, więc stwierdzają, że gram też w jakiejś grupie rockowej i palę masę trawki. Nigdy jednak przez myśl im nawet nie przemknie, że mógłbym być wiekowym druidem. Dlatego właśnie tak lubię swój wygląd. Gdybym zapuścił białą brodę, sprawił sobie spiczastą czapkę, emanował roztropnością i godnością oraz promieniował błogostanem, ludzie mogliby odnieść mylne – choć skądinąd słuszne – wrażenie.

Czasami się zapominam i zdarza mi się zrobić coś, co nie do końca pasuje do mojego wyglądu, na przykład zaczynam sobie śpiewać jakieś pasterskie pieśni po aramejsku, czekając w kolejce w Starbucksie. Ale mieszkanie w amerykańskim mieście ma ten plus, że ludzie tutaj albo ignorują ekscentryków, albo wyprowadzają się na przedmieścia, żeby od nich uciec.

Dawniej takie rzeczy były po prostu nie do pomyślenia. Osoby, które miały pecha być inne niż reszta, palono na stosie lub kamienowano. Choć i dziś oczywiście bycie innym ma swoje wady – dlatego właśnie staram się wtapiać w tłum – ale w dzisiejszych czasach grozi mi najwyżej trochę dyskryminacji czy złośliwości, a to naprawdę znaczący postęp w porównaniu do umierania na śmierć ku ucieście gawiedzi.

W ogóle życie w świecie współczesnym charakteryzuje się kilkoma takimi właśnie doskonałymi udogodnieniami. Większość znanych mi starych dusz uważa, że cała atrakcyjność współczesności kryje się właśnie w różnych sprytnych wynalazkach, takich jak kanalizacja czy okulary przeciwsłoneczne. Ale dla mnie największą zaletą Ameryki jest to, że ten kraj jest praktycznie zupełnie bezbożny. Kiedy byłem młody i męczyłem się z Rzymianami, w Europie nie dało się ruszyć na krok, by nie wdepnąć w kamień poświęcony temu czy innemu bogu. Ale tu, w Arizonie, jedyne, na co muszę uważać, to żeby nie wpaść czasem na Kojota, choć tak naprawdę dość faceta lubię. (W niczym nie przypomina Thora, to na pewno, a już sam ten fakt oznacza, że jakoś się dogadujemy. Thora okoliczne dzieciaki z college'u nazwałyby pewnie cholernym bezczelcem, gdyby kiedykolwiek miały to wątpliwe szczęście go poznać).

Jeszcze lepsze od niskiego poziomu zabogowienia w Arizonie jest to, że niemal zupełnie nie ma tu faerii. I nie mam tu na myśli tych słodkich wrózek ze skrzydełkami, które Disney

nazywa „fairies”. Mam na myśli Fae, Sidhe, potomstwo Tuatha Dé Danann, urodzone w Tír na nÓg, krainie wiecznej młodości. Charakterystyczną cechą faerii jest to, że nigdy nie wiesz, czy zamierzają cię uściskać czy udusić. Za mną w każdym razie faerie nie przepadają, więc staram się nie zatrzymywać na dłużej w miejscach, do których miałyby łatwy dostęp. W Starym Świecie mają wiele najrozmaitszych przejść na ziemię, ale w Nowym Świecie potrzebują dębu, jesionu i głogu, by podróżować, a tak się składa, że tu, w Arizonie, te drzewa wcale nie rosną tak często. Znalazłem kilka takich miejsc, na przykład White Mountains przy granicy z Nowym Meksykiem oraz przybrzeżne tereny w okolicy Tucson, ale oba te obszary znajdują się setki mil od mojego starannie wybetonowanego sąsiedztwa tuż przy uniwersytecie w Tempe. Uznałem więc, że szanse na to, by faerie wkroczyły w świat w jednym z tych miejsc, a następnie próbowały przebyć całą zupełnie pozbawioną drzew pustynię w poszukiwaniu jednego samotnego druida, są wyjątkowo małe, toteż gdy znalazłem to miejsce u schyłku lat dziewięćdziesiątych, postanowiłem tu osiąść i mieszkać póty, póki sąsiedzi nie zaczną czegoś podejrzewać.

Przez z górą dziesięć lat gratulowałem sobie w duchu tej świetnej decyzji. Załatwiłem sobie nową tożsamość, wynająłem sklep, wywiesiłem szyld z napisem: Trzecie Oko. Książki i Zioła (aluzja do wierzeń wedyjskich i buddyjskich, bo pomyślałem sobie, że jakakolwiek nazwa irlandzka mogłaby niepotrzebnie zwrócić uwagę niepożądanych osób) i kupiłem mały domek na tyle blisko, by móc dojeżdżać do pracy rowerem.

Sprzedawałem kryształy i karty do tarota nastolatkom, które chciały zszokować swych protestanckich rodziców, masę przezabawnych tomów z „zaklęciami” dla cikliwych wiccan oraz różne ziołowe leki dla tych, którzy nie lubią chodzić do doktora. Miałem nawet na stanie rozliczne dzieła na temat druidów – wszystkie oparte na tych bzdurnych wyobrażeniach wiktoriańskich, pełne wierutnych bredni i gwarantujące mi kupę śmiechu za każdym razem, gdy udało mi się któreś sprzedać. Może raz na miesiąc zdarzał mi się jakiś poważny klient magiczny szukający prawdziwego grymuaru, a tych książek nigdy nie dotykają osoby niedostatecznie zaawansowane, ba! one po prostu o nich nie wiedzą. Zresztą sprzedaż tych rzadkich dzieł szła mi najlepiej przez Internet (kolejny wspaniały wynalazek współczesności). Lecz kiedy tworzyłem sobie tożsamość i organizowałem biznes, nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak łatwo będzie mnie znaleźć w sieci. Prawdę powiedziawszy, nawet mi nie przyszło do głowy, że jeden ze Starych miałby w ogóle próbować korzystać z Internetu – z kryształowej kuli czy innych wróżb, owszem, ale przecież nie z Internetu! I dlatego wybierając sobie imię i nazwisko, nie zachowałem dostatecznej ostrożności. Powiniennem skryć się pod pseudonimem John Smith lub czymś równie pospolitym i żalonym, ale duma nie pozwoliła mi na przybieranie chrześcijańskiego imienia. Zdecydowałem się więc na O'Sullivan, zangielszczoną wersję mojego prawdziwego nazwiska, a na co dzień postanowiłem używać zlatynizowanej wersji greckiego imienia Attikos. Dwudziestojednoletni O'Sullivan, który ma księgarnię okultystyczną i w dodatku sprzedaje podejrzanie rzadkie księgi, o których nie powinien mieć zielonego pojęcia – te informacje niestety wystarczyły. W końcu znalazły mnie faerie.

W piątek, trzy tygodnie przed Samhain, wyskoczyły na mnie przed moim własnym sklepem, gdy wyszedłem sobie spokojnie na lunch. Miecz świsnął mi pod nogami, a jego właściciel nawet nie pofatygował się krzyknąć „En garde!” Zresztą natychmiast zachwiał się niebezpiecznie, gdy przeskoczyłem nad głównią. Dałem mu kuksańca lewym łokciem prosto w twarz i w ten sposób pozbyłem się jednego z fae; zostało mi jeszcze czterech.

Bogom Niejedynym dzięki za paranoję, którą w ogóle klasyfikuję raczej jako niezbędny element sztuki przetrwania, a nie problem psychiczny. To dzięki niej mój nóż zdołał się tak wyostrzyć przez wieki w walce z Tymi Wszystkimi Którzy Chcą Mnie Zabić. To dzięki niej zawsze noszę na szyi amulet z zimnego żelaza. Dzięki niej nie przestałem na zabezpieczeniu

sklepu żelaznymi kratami, ale dodałem jeszcze kilka magicznych zaklęć chroniących przed faeriami i innymi niepożądanymi gośćmi. Dzięki niej wreszcie nauczyłem się walki wręcz i przetestowałem prędkość na wypadek starcia z wampirami. Jednym słowem – to ona ratowała mnie już nie raz, nie dwa przed tego rodzaju oprychami.

Choć „oprych” to może za mocne słowo. Kojarzy się z nadmiarem tkanki mięśniowej i gębą nieskażoną inteligencją. Ci natomiast nie wyglądali na takich, którzy by kiedykolwiek w życiu zaszli do siłowni, a tym bardziej – słyszeli o sterydach. Byli tak szczupli, że bez trudu mogli uchodzić za biegaczy przełajowych i takie właśnie wybrali sobie przebranie. Każdy przechodzień ujrzałby jedynie, że kilku chłopaków z gołymi klatkami, w krótkich, czerwonych spodenkach i drogich butach usiłuje obić mnie miotłami. Lecz była to oczywiście jedynie przykrywka dla prawdziwej broni, której ostre części czaiły się we włóchatych końcówkach mioteł, mogłaby więc mnie spotkać przykra niespodzianka, gdybym nie przejrzał ich kamuflażu i jedna z tych niewinnie wyglądających mioteł uderzyła mnie w przyrodzenie. Ale jako że oczywiście widziałem dokładnie ich prawdziwą broń, nie uszło mej uwagi, że dwóch z nich ma włócznie, a jeden zakrada się do mnie od prawej. Pod przebraniem za ludzi wyglądali jak typowe fae – czyli żadnych skrzydeł, skąpo odziani i ogólnie coś w stylu Legolasa Orlanda Blooma czy jakichś takich typków z reklam szamponów. Ci dwaj z włóczniami zamachnęli się na mnie równocześnie z dwóch różnych stron, ale pchnąłem je nadgarstkami tak, że przelecieli obok mnie. Potem rzuciłem się na tego po prawej i zacisnąłem mu ramię na szyi. Trudno raczej oddychać przez zmiażdżoną tchawicę. Dwóch z głowy; ale pozostali byli zwinni i szybcy, a w ich ciemnych oczach nie tliła się nawet najmniejsza iskierka litości.

Przez to, że skoczyłem na prawo, odkryłem plecy, więc teraz zwinąłem się i uniosłem lewe ramię, żeby zablokować atak, który po prostu musiał nastąpić. I rzeczywiście – miecz wbiłby mi się w czaszkę, gdybym nie zablokował go ręką. Zamiast tego dźgnął mnie aż do samej kości, co niemiłosiernie zabolalo, ale to i tak nic w porównaniu z tym, co by było, gdyby spadł tak, jak zamierzał jego właściciel. Stęknąłem z bólu i zrobiłem krok naprzód, żeby otwartą dłonią uderzyć go w splot słoneczny. Runął na ścianę mojego sklepu – ścianę żebrowaną żelaznymi prętami. Trzech z głowy, więc uśmiechnąłem się do dwóch pozostałych, którzy jakoś stracili nieco ducha. Ich towarzysze nie tylko zostali pokonani w fizycznej walce, ale i magicznie zatruci poprzez sam kontakt ze mną. Amulet z zimnego żelaza miałem połączony z aurą i z pewnością już musieli to pojąć: oto trafili na jakiegoś Żelaznego Druida, czyli ucieleśnienie ich najgorszych koszmarów. Moja pierwsza ofiara zmieniała się już w popiół, a pozostałym dwóm naprawdę niewiele brakowało do tego, by uświadomić sobie tę bolesną prawdę, iż marnościami jesteśmy jedynie i pyłem na wietrze.

Na nogach miałem sandały, więc zrzuciłem je szybko i wycofałem się w stronę ulicy, tak żeby faerie miały za sobą ścianę pełną żelaza. Była to nie tylko decyzja strategiczna, ale przede wszystkim zyskiwałem dzięki temu lepszy dostęp do cieniutkiego skrawka trawnika między ulicą a chodnikiem, a tam mogłem wreszcie zaczerpnąć mocy z ziemi, żeby zamknąć ranę i stłumić ból. Łataniem tkanki mięśniowej mogę się zająć później; najważniejsze, żeby natychmiast zatamować krwotok, bo naprawdę za wiele jest strasznych rzeczy, które nieprzyjazny mi adept takiej czy innej magii mógłby zrobić z moją krwią.

Gdy już zatopiłem stopy w trawie i zacząłem pobierać moc potrzebną do leczenia, natychmiast wysłałem wezwanie – poprzez coś w stylu komunikatora ziemskiego – do jednego takiego żywiołaka żelaza, dając mu znać, że stoją właśnie przede mną dwaj przedstawiciele fae, gdyby miał ochotę coś przekazać. Z pewnością szybko zareaguje, ponieważ ziemia jest związana ze mną tak ściśle jak ja z ziemią, lecz mimo wszystko chwilę mu to zajmie. Żeby zyskać na czasie, postanowiłem zadać moim przeciwnikom jakieś pytanie.

– Tak z czystej ciekawości, zamierzaliście mnie, chłopaki, zabić czy pojmać?

Ten po lewej uniósł krótki miecz, a następnie uznał za stosowne warknąć w odpowiedzi:

– Gadaj, gdzie miecz!

– Który miecz? Ten krótki? Nadal jest w twojej dłoni, grubasku.

– Dobrze wiesz, jaki miecz! Fragarach Prawdomówny!

– Pojęcia nie mam, o czym ty mówisz. – Pokręciłem głową. – A kto was tu przysłał, chłopaki? Jesteście pewni, że zaatakowaliście tego gościa co trzeba?

– Zupełnie pewni – syknął ten z włócznią. – Masz druidzkie tatuaże i przejrzaleś nasze przebranie.

– Ale mnóstwo magicznych stworzeń umie takie rzeczy. I nie trzeba być przecież druidem, żeby doceniać piękno celtyckich plecionek. Sami pomyślcie. Przychodzicie tu, pytacie mnie o jakiś miecz, ale wygląda przecież na to, że go nie mam, bo dawno bym go chyba wyciągnął w samoobronie, nie? Chodzi mi tylko o to, czy nie przyszło wam do głowy, że być może ktoś wysłał was tutaj, żeby się was pozbyć. Jesteście pewni, że osoba, która was tu wysłała, miała czyste intencje?

– Pozbyć się nas? – Ten z mieczem zaśmiał się z mojej głupoty. – W walce pięciu na jednego?

– Ściśle biorąc, dwóch na jednego. Może przegapiliście ten szczegół, ale już trzech z was zabiłem. Czy nie jest przypadkiem tak, że osoba, która was tu wysłała, doskonale wiedziała, że tak to się skończy?

– Aenghus Óg nigdy by nam czegoś takiego nie zrobił! – ryknął ten z włócznią, potwierdzając moje podejrzenia. A więc miałem już imię. Tak się składało, że było to imię, które prześladowało mnie już od dwóch tysiącleci. – Przecież jesteśmy jego rodzonymi synami!

– Aenghus Óg własnego ojca podstępem wyrzucił z domu. Co mu zresztą po was? Mało ma synów czy co? Słuchajcie, chłopaki, znam go od dawna, a wy najwyraźniej nie. Celtycki bóg miłości kocha przede wszystkim samego siebie. W życiu by nie zaryzykował swego cennego życia, by udać się na taką skautowską wycieczkę, więc za każdym razem, gdy mu się wydaje, że mnie odnalazł, wysła jakąś grupkę swego potomstwa. Co mu szkodzi. Jeśli uda im się akurat wrócić, wie, że to nie byłem ja. Rozumiecie?

Na ich twarzach zaczęło się malować zrozumienie i odruchowo przyczaili się w obronnych pozycjach, ale było już za późno, a w dodatku żaden z nich nie patrzył we właściwym kierunku. Pręty w ścianie mojego sklepu stopiły się cicho i zmieniły w szczęki o ostrych kłach. Olbrzymia czarna paszcza rozdziawiła się okropnie i pochłonęła obu, przeżuwając lekko, jakby to był serek wiejski, po czym wciągnęła ich bez trudu niczym galaretkę Jell-O, nim mieli czas krzyknąć z przerażenia. Ich broń stuknęła o ziemię, zupełnie już teraz pozbawiona kamuflażu, a żelazna paszcza stopniała znów i natychmiast uformowała się w rząd prętów, żegnając mnie jeszcze tylko krótkim, lecz pełnym zadowolenia uśmiechem.

Nim żelazny żywiołak zupełnie zniknął, przesłał mi jeszcze zwięzłą wiadomość w formie krótkich wybuchów emocji i obrazów, z których składa się język żywiołaków:

//Druid wzywa/Faerie czekają/Pyszne/Dzięki//.

Rozdział 2

Rozejrzałem się wokół, żeby sprawdzić, kto widział naszą walkę, ale w pobliżu nie było nikogo – od tego jest przecież przerwa na lunch. Mój sklep znajduje się na południe od uniwersytetu, na Ash Avenue, a wszystkie kafejki i restauracje mieszczą się na północ od uniwersytetu, na Ash Avenue i Mill Avenue.

Zebrałem broń z chodnika i otworzyłem sklep, uśmiechając się smętnie sam do siebie przy zdejmowaniu tabliczki z napisem PRZERWA NA LUNCH. Przekręciłem ją na drugą stronę, żeby znów było widać napis OTWARTE. Skoro i tak muszę tu posprzątać, mogę równie dobrze trochę w tym czasie zarobić. Udawszy się do kąta z herbatą, nalałem wody do dzbanka i zerknąłem na ramię. Nadal było zaczerwienione i opuchnięte po rozcięciu, ale poza tym wyglądało nieźle i udało mi się w pełni uśmierzyć ból. Mimo to jednak uznałem, że nie powinienem forsować tych mięśni, każąc im nosić wodę; będę musiał wrócić po nią osobno. Spod zlewu wyciągnąłem wybielacz i wyszedłem na zewnątrz, zostawiwszy dzbanek na ladzie. Zalałem wybielaczem każdą, nawet najmniejszą plamę krwi na chodniku, po czym wróciłem po dzbanek, żeby wszystko to splukać.

Gdy już jako tako zmyłem krew i otwierałem właśnie drzwi, żeby odnieść dzbanek, do sklepu wleciała wielka wrona. Rozsiadła się na figurce Ganeśi, rozłożyła skrzydła i zamachała nimi groźnie. Była to Morrigan, bogini poległych i wojny. Zwróciła się do mnie, używając mego irlandzkiego imienia i nazwiska:

– Siodhachanie Ó Suileabháinie – zakrakała dramatycznie. – Nadszedł czas na rozmowę.

– A nie mogłabyś przyjąć ludzkiej postaci? – poprosiłem, odkładając dzbanek na suszarkę do naczyń. Zauważyłem przy tym odrobinę krwi na amulecie, więc zdjąłem go, żeby łatwiej było ją zmyć. – Zawsze czuję się trochę nieswojo, gdy do mnie przemawiasz w ten sposób. Jak pewnie wiesz, ptasie dzioby nie są stworzone do artykułowania głosek szczelinowych.

– Nie przybyłam tu, by omawiać zagadnienia lingwistyczne – wycedziła Morrigan. – Przynoszę złe wieści. Aenghus Óg wie, że tu jesteś.

– No cóż, to już akurat wiem. Czy nie musiałaś się właśnie zająć przed chwilą pięcioma martwymi fae? – Odłożyłem naszyjnik na ladę i sięgnąłem po ręcznik, żeby go wytrzeć do sucha.

– Wysłałam ich do Manannana Mac Lira – odpowiedziała. Manannan Mac Lir to celtycki bóg odprowadzający żywych do krainy umarłych. – Ale będzie gorzej. Aenghus Óg przybywa tu we własnej osobie. Być może już jest w drodze.

Zamarłem.

– Jesteś pewna? – spytałem. – Masz na to jakieś konkretne dowody?

Wrona zamachała skrzydłami ze złości i kłapnęła dziobem.

– Czekaj na dowody, a będzie za późno – zakrakała.

Poczułem przemożną ulgę, a bolesne napięcie między łopatkami zniknęło w jednej chwili.

– A, więc to tylko jakaś taka niejasna wróżba – powiedziałem.

– Nie, to dość jasna wróżba – syknęła Morrigan. – Tu ciąży nad tobą fatum, ratuj się ucieczką.

– Sama widzisz. Znowu zaczynasz. Co roku w okolicach Samhain mówisz mi takie niemiłe rzeczy – przypomniałem. – Jak nie ma po mnie przyjść Thor, to któryś z Olimpijczyków. Pamiętasz w zeszłym roku? Rzekomo obraziłem Apolla moimi powiązaniem z drużyną Arizona State Sun Devils...

– Tym razem jest inaczej.

– I nieważne, że nawet przecież nie jestem studentem, nieważne, że tylko pracuję obok

uniwersytetu, mimo wszystko pędził tu ponoć do mnie na swym złotym rydwanie, by naszpikować mnie swymi strzałami.

Wrona zaczęła się kręcić na figurce ze stropioną miną.

– W danej chwili ta interpretacja wydawała się wysoce prawdopodobna.

– To, że grecki bóg słońca poczuł się urażony domniemanym związkiem między jakimś starym druidem a maskotką drużyny college'u znajdującego się na drugim końcu świata, wydawało się wysoce prawdopodobne?!

– Przecież najważniejsze dane się zgadzały, Siodhachan. Zostałeś zaatakowany strzałami.

– Jakieś dzieciaki przebiły mi opony w rowerze rzutkami do gry, Morrigan. Wydaje mi się, że jednak nieco wyolbrzymiałaś wtedy zagrożenie, nie uważasz?

– Niemniej jednak nie możesz tu zostać ani chwili dłużej. Otrzymałam złowieszcze znaki.

– Dobrze więc. – Westchnąłem z rezygnacją. – Powiedz mi coś więcej o tych znakach.

– Rozmawiałam ostatnio z Aenghusem...

– Rozmawiałaś z nim? – Gdybym cokolwiek jadł, z pewnością bym się zakrztusił. –

Myślałem, że się nie znosicie.

– To prawda. Lecz to nie znaczy, że nie jesteśmy zdolni do cywilizowanej rozmowy od czasu do czasu. Odpoczywałam właśnie w Tír na nÓg, syta wrażeń po wycieczce do Mezopotamii... byłeś tam ostatnio? Wspaniała rozrywka.

– Pozwól, że zwrócę ci uwagę, iż od jakiegoś czasu śmiertelni nazywają to miejsce Irakiem, i nie, nie byłem tam całe wieki. – Pojęcie rozrywki w rozumieniu Morrigan odbiega znacznie od mojego wyobrażenia o rozrywce. Jak przystało na Szafarkę Śmierci uwielbia przedłużające się wojny. Trzyma się tam zwykle z Kali i walkiriami i razem urządzają sobie na polu bitwy coś w rodzaju babskich wieczorów. Jeśli o mnie chodzi, rozczarowałem się do wojen już po krucjatach. Ostatnio naprawdę wolę baseball. – I co powiedział ci Aenghus? – spytałem.

– Uśmiechnął się do mnie złośliwie i ostrzegł, że bym uważała na swoich przyjaciół.

Mimowolnie uniosłem brwi.

– Masz jakichś przyjaciół?

– Oczywiście, że nie. – Wrona nastroszyła pióra i wyglądała na urażoną do żywego taką sugestią. – Choć w zasadzie Hekate jest naprawdę dość zabawna i ostatnio spędzamy razem sporo czasu. Ale szczerze, to myślę, że on mówił o tobie.

Między Morrigan i mną istnieje pewne porozumienie (choć jak na mój gust jest ono właściwie nie dość pewne): bogini śmierci nie zabierze mnie, póki to, że żyję, będzie doprowadzało Aenghusa Óga do furii. Nie nazwałbym tego od razu przyjaźnią (Morrigan nie należy do osób, które w ogóle dopuszczają myśl o przyjaźni), ale znamy się od dawna, a ona wpada do mnie od czasu do czasu i wyciąga mnie z różnych kłopotów.

– Byłoby to dla mnie co najmniej konfundujące – wyjaśniła mi kiedyś, wypędzając mnie dość obcesowo z bitwy pod Gabhrą – gdyby obcięto ci głowę, a mimo to byś nie umarł. Ktoś mógłby zażądać jakichś wyjaśnień. Naprawdę nie jest łatwo usprawiedliwić zaniedbanie obowiązku, więc bądź tak miły i staraj się nie stawiać mnie w sytuacji, w której musiałabym odebrać ci życie, żeby uratować twarz.

Opanowany żądzą mordy, z tatuażami aż wibrującymi od mocy, nie marzyłem o niczym innym jak o tym, by skopać tylek temu napuszonemu smarkaczowi królowi Caibre (oczywiście należałem wtedy do wojowników Fianna). Lecz Morrigan już dokonała wyboru, a gdy bogini śmierci mówi ci, żebyś opuścił pole bitwy, to opuszczasz je bez gadania. Od chwili, gdy wieki temu uczyniłem sobie z Aenghusa Óga śmiertelnego wroga, Morrigan nieraz próbowała mnie już ostrzec przed różnymi zagrożeniami. I choć czasami zdarza jej się nieco wyolbrzymić niebezpieczeństwo, powinienem być jej chyba wdzięczny za to, że jeszcze nigdy nie zdarzyło jej

się go nie docenić lub zapomnieć mnie przed nim ostrzec.

– Może tylko cię podpuszczał, Morrigan – powiedziałem. – Wiesz, jaki on jest.

– Wiem aż za dobrze. Dlatego też skonsultowałam sprawę z wronami i ich lot stawił sprawę jednoznacznie. – Skrzywiłem się odruchowo, ale Morrigan ciągnęła niewzruszona, nim miałem czas rzucić jakikolwiek komentarz. – Wiedząc dobrze, że takie auspicjum cię nie przekona, oraz chcąc poznać więcej szczegółów, rzuciłam różdżki.

– O – powiedziałem. Rzeczywiście zadała sobie sporo trudu. Istnieje wiele sposobów na wróżenie poprzez ciągnięcie losów, rzucanie run czy inne tym podobne interpretowanie przypadkowości jako wzoru mówiącego coś o przyszłości. Jak dla mnie każdy z nich jest lepszy od gapienia się na ptaki czy chmury, ponieważ wolę sam brać udział w tej przypadkowości, niż kiedy ptaki lecą gdzieś, bo są głodne, chcą się parzyć albo budować gniazdo, a ja to mam niby odnosić do własnej, czy czyjejkolwiek zresztą, przyszłości. Uważam to za niedorzeczne naciągnięcie. Na logikę rzucenie na ziemię kilku patyczków jest pod tym względem znacznie lepsze, ale problem w tym, że wiem dobrze, iż samo moje uczestnictwo w tym rytuale i moja wola mogą sprawić, że Fortuna zatrzyma swe koło i powie nagle: „A oto co będą grali w teatrze w przyszłym tygodniu”.

Istniała kiedyś cała klasa druidów, którzy zajmowali się składaniem ofiar ze zwierząt i czytaniem z ich wnętrzości, choć zawsze mi się wydawało, że naprawdę za dużo przy tym bałaganu, a w dodatku strata dobrego kurczaka czy wołu czy czego tam. Współcześni ludzie słyszą o takich praktykach i mówią: „To takie okrutne! Dlaczego oni nie byli weganami tak jak my?” Ale druidyzm pozwala na dość szczęśliwe życie po śmierci, a czasem i na powrotną wycieczkę na ziemię (lub kilka). Ponieważ dusza nigdy nie umiera, przytykanie noża do ciała od czasu do czasu nigdy nie stanowiło większego dylematu. Mimo wszystko, jakoś nigdy się nie przekonałem do tego całego składania ofiar. Istnieją przecież znacznie higieniczniejsze i wiarygodniejsze sposoby na to, by zajrzeć Fortunie pod spódnicę. Druidzi tacy jak ja posługują się dwudziestoma różdżkami w jednej torbie, a na każdej znajduje się litera z alfabetu ogham przedstawiająca jedno z dwudziestu drzew Irlandii, a jednocześnie mająca prorocze znaczenie. Podobnie jak w tarocie litery ogham interpretuje się odmiennie, zależnie od tego, w jakim kierunku wypadną względem wróżącego. Jeśli upadną do góry, mają znaczenie pozytywne; jeśli do dołu – negatywne. Rzucający musi na oślep wyciągnąć z torby pięć różdżek i rzucić je na ziemię przed sobą, a następnie interpretuje przekaz zawarty w ich ułożeniu.

– I jak wypadły? – spytałem Morrigan.

– Cztery z nich spadły do dołu – powiedziała i odczekała chwilę, żebym przyswoił sobie tę wiadomość.

Nie zanoszę na szczególnie radosny okres w moim życiu.

– Rozumiem. A które drzewa przemówiły?

Morrigan obrzuciła mnie takim spojrzeniem, jakbym miał za chwilę omdleć jak jedna z tych zasznurowanych gorsetami bohaterek Jane Austen.

– Fearn. Tinne. Ngetal. Ura. Idho.

Olcha, ostrokrzew, trzcina, wrzos i cis. Olcha oznaczała wojownika i była najłatwiejsza w interpretacji, a zarazem najbardziej niejasna. Pozostałe sugerowały, że tegoż wojownika spotka cholerny pech. Ostrokrzew sygnalizował wyzwania i próby. Trzcina mówiła o strachu. Wrzos ostrzegał przed niespodziankami, a cis prorokował śmierć.

– Ach – powiedziałem, starając się, by zabrzmiało to nonszalancko. – A konkretnie jak ułożyły się względem siebie olcha i cis?

– Cis upadł na olchę, tworząc krzyż.

No cóż. To nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Wojownik umrze. Zostanie

zaskoczony przez atakujących, śmiertelnie nastraszony, będzie walczył jak wariat, ale nie uniknie śmierci. Morrigan widocznie uznała, że przyjąłem wróżbę do wiadomości, bo zapytała:

– Dokąd więc zamierzasz uciec?

– Jeszcze nie podjąłem decyzji.

– Na pustyni Mojave jest kilka miejsc chyba jeszcze bardziej odizolowanych od świata niż to – rzuciła, kładąc lekki nacisk na nazwę. Chyba próbowała mi zaimponować znajomością geografii Ameryki po tym, jak skompromitowała się nieco z tym Irakiem. Zacząłem się przez chwilę zupełnie bez sensu zastanawiać, czy aby wie o rozpadzie Jugosławii albo czy ma pojęcie o tym, że Transylwania jest teraz częścią Rumunii. Nieśmiertelni przykładają niewielką wagę do bieżących wydarzeń.

– Chciałem przez to powiedzieć, że jeszcze nie podjąłem decyzji, czy w ogóle uciekać.

Wrona na figurce Ganeśa milczała, ale jej ślepia błysnęły na sekundę czerwonym światłem, co – muszę przyznać – sprawiło, że poczułem się trochę niepewnie. Naprawdę nie łączyła nas przyjaźń. Pewnego dnia – a ten dzień może nastąpić choćby jutro – ona uzna, że pożyłem już zdecydowanie za długo i że na zbyt wiele sobie pozwalam. I wtedy będzie po mnie.

– Sekunda, niech się zastanowię nad tą przepowiednią – mruknąłem i poniewczasie uświadomiłem sobie, że powinienem być staranniejsze dobierać słowa.

Jej oczy znów zaśniły czerwono, głos obniżył się jeszcze bardziej, a jego niższe składowe harmoniczne sprawiły, że włosy stanęły mi dęba.

– Sugerujesz, że przewyższasz mnie w zdolnościach proroczych?

– Nie, nie – zapewniłem ją pospiesznie. – Wręcz przeciwnie, nie nadażam za tobą, to wszystko. Tylko tak myślę na głos, nie? Ten ogham olchy, ten wojownik... myślisz, że on koniecznie musi oznaczać mnie, co?

Czerwone ślepia stały się znów czarne i bardziej normalne, a Morrigan zaczęła niecierpliwie bujać się na boki na mojej figurce Ganeśa.

– Oczywiście, że nie – przyznała już spokojnym tonem. Niższe harmoniczne szczęśliwie zniknęły. – Ściśle rzecz ująwszy, może chodzić o każdego, kto z tobą walczy, jeśli ty zwyciężysz. Ale koncentrowałam się na tobie, gdy wyrzucałam różdżki, więc najprawdopodobniej to ciebie reprezentuje olcha. Ta walka cię nie ominie, czy tego chcesz czy nie.

– Mam jeszcze jedno pytanie: pozwalasz mi żyć od wieków, bo działałam na nerwy Aenghusowi Ógowi, więc pewnie silnie ci się z nim kojarzę. Toteż nie jest całkiem wykluczone, że podczas wróżby myślałaś także o Aenghusie Ógu, prawda?

Morrigan zakrakała i zeskoczyła na tułów słonia, potem znów wróciła na głowę i zamachała skrzydłami. Znała dobrze odpowiedź na to pytanie, ale wcale jej się ona nie podobała, bo zgadła już, do czego zmierzam.

– Być może – syknęła. – Niewykluczone, ale mało prawdopodobne.

– Musisz jednak przyznać, Morrigan, że to również mało prawdopodobne, by Aenghus Óg opuścił Tír na nÓg, by próbować zabić mnie własnoręcznie. Raczej wyśle kogoś w swoim imieniu, tak jak czyni to od wieków. – Siła Aenghusa leżała w uroku osobistym i sprawnym networkingu. Innymi słowy sprawiał, że ludzie zakochiwali się w nim, a następnie żądał od nich jakiejś drobnej przysługi, takiej jak na przykład zabicie niepokornego druida. Przez te wszystkie lata zdołał już nasłać na mnie najdziwniejszych opryszków i morderców (najbardziej podobali mi się chyba egipcscy mamelukowie na wielbłądach), ale wszystko wskazywało na to, że osobiste zajęcie się pościgiem za mną ubliżałoby mu, zwłaszcza że wciąż udawało mi się mu umykać i nadal żyłem w najlepsze. W moim głosie mogła zabrzmieć nutka samozadowolenia, gdy ciągnąłem: – A ja jestem w stanie poradzić sobie z wszelkimi tymi pomniejszych faeriami, które za mną wysyła, jak udowodniłem zresztą przed chwilą.

Wrona zeskoczyła z figurki Ganeśa i pofrunęła wprost na mnie, lecz nim miałem czas zacząć się martwić skutkami wbicia dzioba w oko, ptak rozpląnął się w powietrzu i zmienił w nagą, posągową niewiastę o skórze białej jak mleko i kruczoczarnych włosach. Była to Morrigan Uwodzicielka. Zaskoczyła mnie zupełnie. Jej zapach sprawił, że zapomniałem o wszystkim, zanim nawet zdołała mnie dotknąć, a gdy przysunęła się bliżej, byłem gotów zaprosić ją do siebie do domu. Zresztą właściwie tak, jak stoimy, też może być, tu, przy kąciku z herbatą, byle natychmiast. Objęła mnie ramieniem i przejechała paznokciami po karku, aż mimowolnie zadrżałem. Wtedy w kącicach jej ust pojawił się uśmiech, przywarła do mnie całym ciałem i pochyliła się, by szepnąć mi do ucha:

– A co, jeśli wyślesz sukuba, mój ty najmądrzejszy i najstarszy z druidów? Gdyby tylko wiedział o tej twojej słabości, dawno już byłbyś martwy.

Słyszałem jej słowa i gdzieś tam w kącie mojego umysłu jakiś głosik szeptał coś o tym, że to ważna uwaga, ale pozostała część mnie nie myślała o niczym poza tym, jak ona na mnie działa. Morrigan raptownie odsunęła się ode mnie, a ja odruchowo próbowałem ją złapać. Trzasnęła mnie z hukiem po gębie i kazała mi oprzytomnieć, gdy zwinąłem się z bólu na podłogę.

Co miałem robić – oprzytomniałem. Odurzający zapach zniknął, a ból policzka zupełnie odegnał wszelkie fizyczne potrzeby, jakie jeszcze przed chwilą odczuwałem.

– O – powiedziałem. – Dzięki. Mało nie zacząłem ci lizać stóp.

– To jest poważny problem, Siodhachan. Aenghus mógłby po prostu zapłacić jakiejś śmiertelnej, żeby odwalila za niego tę robotę.

– Próbowałem, kiedy ostatnio byłem we Włoszech – przypominałem jej, łapiąc za krawędź zlewu, żeby jakoś się podnieść. Morrigan nie należy do tych kobiet, które by pomogły mężczyźnie. – Z sukubem też już miałem do czynienia. Mój amulet chroni mnie przed takimi rzeczami.

– Dlaczego więc nie masz go na sobie?

– Zdjąłem go dosłownie przed chwilą, żeby go umyć. Poza tym w sklepie i w domu żadne faerie mi nie grożą.

– Jestem żywym dowodem na coś wręcz przeciwnego, druidzie. Oto stoję tu sobie spokojnie.

Tak, stała. Naga. To mogłoby się wydać nieco dziwne komuś, kto by przypadkiem zaszedł właśnie do mojego sklepu.

– Przepraszam, Morrigan. Nie grozi mi nic poza Tuatha Dé Danann. Jeśli tylko się rozejrzysz, zobaczysz ochronne sploty w całym sklepie. Powinny dawać mi zabezpieczenie przed każdą pomniejszą faerią i prawie wszystkim, co wysłałby z piekła.

Morrigan zadarła głowę, a jej oczy zaszyły na chwilę mgłą i właśnie w tym momencie dwóch pechowych studentów zajrzało do środka. Od razu widać było, że są pijani, mimo że było dopiero wczesne popołudnie. Mieli brudne włosy, T-shirty z nadrukiem z jakiegoś koncertu, dzinsy i kilkuniedniowy zarost. Znałem już ten typ studentów. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że chcą wiedzieć, czy mam w swoim kąciku aptecznym cokolwiek, co dałoby się palić. Rozmowy z takimi typami zaczynały się zwykle od tego, że pytali, czy moje zioła mają jakąś wartość medyczną. Gdy potaknąłem, chcieli zwykle wiedzieć, czy mam coś o właściwościach halucynogennych. Zwykle sprzedawałem im wtedy torebkę szaławii czy tymianku, nadawszy jej jakąś egzotyczną nazwę, i życzyłem dobrej zabawy, bo nie mam żadnych skrupułów, by od czasu do czasu ulżyć jakiemuś idiocie, jeśli ma chęć rozstać się z pieniędzmi. Moje zioła przyprawiły ich o ból głowy i nigdy już nie wracali. Tym razem jednak istniało niebezpieczeństwo, że ci nieszczęśnicy zobaczą Morrigan i pożegnają się z życiem.

I oczywiście jeden z nich, ten z napisem Meat Loaf na koszulce, od razu zauważył Morrigan, która nadal stała na środku mojego sklepu z gołym tyłkiem, dłońmi na biodrach i wyglądała po prostu bosko. Pokazał ją palcem kumpłowi w koszulce z Iron Maiden.

– Chłopie, ta laska jest goła! – ryknął ten z Meat Loaf.

– Ja cię kręcę – odpowiedział mu ten od Iron Maiden i zsunął sobie okulary przeciwsłoneczne na czubek nosa, żeby lepiej widzieć. – Ale zarąbista laseczka.

– Hej, kotku! – zawołał ten od Meat Loaf i zrobił kilka kroków w jej stronę. – Jeśli potrzebujesz jakichś ciuchów, chętnie zdejmę dla ciebie gacie.

Obaj zaczęli się śmiać, jakby to było niezwykle zabawne, przy czym wyrzucali z siebie serie głośnego „hahaha” jak z karabinu. Brzmiało to trochę jak beczenie kozy, tylko znacznie mniej inteligentnie.

Oczy Morrigan błysnęły czerwienią, a ja uniosłem dłonie.

– Morrigan, nie! Proszę! Nie w moim sklepie! Sprzątanie tu tego potem to będzie istny horror.

– Ci zuchwalcy muszą zginąć – orzekła, a w jej głosie znów pojawiły się te straszliwe niskie składowe harmoniczne.

Każdy, kto ma choć podstawową wiedzę na temat mitologii, wie, że trzeba być samobójcą, żeby obrażać boginię. Wystarczy pomyśleć, co Artemida zrobiła temu biednemu facetowi, który przypadkiem zobaczył ją w kąpielu.

– To oczywiście, że taka obelga wymaga zadośćuczynienia – wybąkałem – ale może gdyby kara spotkała ich gdzie indziej, moje życie nie uległoby dodatkowej komplikacji. Byłbym ci niezwykle wdzięczny za wyrozumiałość.

– Dobrze więc – mruknęła. – Zresztą i tak dopiero co jadłam.

Obróciła się w stronę przepalonych studentów i ujrzeni ją w całej okazałości. Wpadli w zupełną ekstazę. Patrzyli raczej na dolną część ciała, więc nie zauważyli jej oczu. Lecz gdy przemówiła, jej niesamowity głos zabrzączał o szyby, a ich oczy powędrowały ku jej twarzy, i wtedy dotarło do nich, że nie mają do czynienia ze zwykłą dziewczyną, która się nieco wkurzyła.

– Załatwcie, co macie do załatwienia na tym świecie, śmiertelnicy! – ryknęła, a potężny podmuch wiatru (tak, wiatru; w moim sklepie!) uniósł ich włosy. – Za tę obelgę, która mnie spotkała z waszej strony, jeszcze dziś w nocy zrobię sobie ucztę z waszych serc. Tako rzecze Morrigan.

Przemknęło mi przez myśl, że to może nieco zbyt melodramatyczne, ale nie krytykuje się retoryki bogini śmierci.

– Co jest do cholery, brachu? – pisnął Iron Maiden, a jego głos spadł wyraźnie o kilka oktaf.

– Diabli wiedzą, stary – wyjąkał Meat Loaf – ale mi tam sflaczał. Ja spadam.

Potykając się i przepychając, wypadli z mojego sklepu.

Morrigan popatrzyła jeszcze za nimi wzrokiem drapieży, a ja milczałem dyplomatycznie, gdy jej głowa podążała za nimi wyraźnie, choć już byli poza murami mojego sklepu. W końcu jednak przypomniała sobie o mnie i powiedziała:

– Zhańbili się zupełnie. Brudne stworzenia.

Pokiwałem głową.

– No. Ale naprawdę wydaje mi się, że nie dostarczą ci wiele rozrywki. – Nie zamierzałem ich bronić czy błagać o odroczenie egzekucji; jedyne, co mogłem zrobić, to dać jej do zrozumienia, że ci dwaj nie są warci zachodu.

– To prawda – zgodziła się. – To żałosne cienie prawdziwych mężczyzn. Lecz mimo to zginą jeszcze dziś w nocy, tak jak przyrzekłam.

No cóż, westchnąłem w duchu, próbowałem.

Morrigan ochłonęła nieco i znów skupiła się na mnie.

– Twoje zabezpieczenia są zadziwiająco subtelne i niezwykle mocne – stwierdziła, a ja pokiwałem głową w ramach podziękowania. – Nie ochronią cię jednak przed Tuatha Dé Danann. Dlatego radzę ci natychmiast opuścić to miejsce.

Zacisnąłem usta i tym razem dałem sobie chwilę, żeby odpowiednio starannie dobrać słowa.

– Doceniam twoją radę i jestem ci niezwykle wdzięczny za to, że tak się troszczysz o moje życie – odpowiedziałem – lecz naprawdę nie jestem w stanie wymyślić lepszego miejsca do obrony. Uciekam już od dwóch tysiącleci, Morrigan. Jestem tym wszystkim zmęczony. Jeśli Aenghus naprawdę chce sam po mnie przyjść, trudno, niech przybywa. Będzie tu równie słaby jak wszędzie indziej. Najwyższy czas, żebyśmy raz na zawsze rozwiązali ten konflikt.

Morrigan pochyliła głowę w moją stronę.

– Naprawdę jesteś w stanie stawić mu czoło i to tu, na tej ziemi?

– Tak, jestem zdecydowany tak zrobić. – Nie byłem. Ale Morrigan nie jest szczególnie dobra w wykrywaniu kitu. Jej specjalność to raczej robienie rzezi z powodu byle kaprysu i torturowanie dla rozrywki.

Westchnęła.

– Mam wrażenie, że świadczy to raczej o twojej głupocie niż o odwadze, ale niech i tak będzie. Pokaż mi zatem ten cały amulet, tę twoją niby ochronę.

– Z przyjemnością. Czy byłabyś tak uprzejma i ubrała się trochę, żebyśmy zapobiegli kolejnym wstrząsom u śmiertelnych?

Morrigan uśmiechnęła się z wyższością. Nie tylko miała sylwetkę modelek z katalogów Victoria's Secret, ale na dodatek słońce wpadające przez okna oświetlało pięknie jej gładką, nieskazitelną skórę, która była chyba bielsza od cukru pudru.

– W tym pruderyjnym wieku nawet nagość staje się grzechem. Ale może rzeczywiście powinniśmy dostosować się tym razem do lokalnych obyczajów. – Machnęła dłonią i jej ciało okryła czarna szata.

Uśmiechnąłem się z wdzięcznością i wziąłem amulet z blatu. Ściślej mówiąc, był to raczej tak zwany „naszyjnik uroczy” – nie uroczy naszyjnik w stylu tych, które można kupić u Tiffany'ego, ale „uroczy” od „urok”. Przez urok rozumiem tu formułę magiczną pozwalającą na wykonanie zaklęć, których rzucenie zajęłoby mi w innym wypadku zbyt dużo czasu. Nad stworzeniem tego naszyjnika pracowałem siedemset pięćdziesiąt lat i opierał się on na amulecie z zimnego żelaza, chroniącego mnie przed fae i innymi użytkownikami magii. Nieustające zamachy na moje życie ze strony Aenghusa Óga sprawiły, że taki naszyjnik stał się po prostu koniecznością. Związałem amulet z moją aurą, co było procesem niezwykle męczącym (nawiasem mówiąc, sam go wymyśliłem), ale wartym każdej sekundy pracy. Amulet czynił mnie dla wszelkich pomniejszych faerii niezniszczalnym skurwielem, jako że stworzenia czysto magiczne nie są w stanie znieść żelaza w żadnej formie. Żelazo i magia po prostu się wykluczają, co wyjaśnia, dlaczego większość magii wymarło na tym świecie wraz z nadejściem epoki żelaza. Trzysta lat zajęło mi przywiązanie amuletu do mojej aury, ale to zapewniło mi niezastąpioną ochronę i Pięć Śmierci (dosłownie), kiedykolwiek dotknąłem fae. Przez następne czterysta pięćdziesiąt lat konstruowałem uroki, którym nadawałem kształty zwykłych charmsów, i kombinowałem, co tu zrobić, żeby moja magia działała mimo takiej bliskości żelaza i mojej nowej, skażonej żelazem aury.

Właśnie na tym polega problem z Tuatha Dé Danann – w przeciwieństwie do swych potomków zrodzonych w krainie faerii nie są oni stworzeniami czysto magicznymi. Kiedyś byli

zwykłymi istotami z tego świata, które po prostu posługiwały się magią lepiej niż ktokolwiek inny, ale Irlandczycy już dawno temu uczynili z nich bogów. I dlatego właśnie żelazne pręty wokół mojego sklepu zupełnie nie wzruszyły Morrigan, tak jak nie wzruszyłyby żadnego z Tuatha Dé Danann. Moja aura także nie wyrządziłaby im żadnej krzywdy. Żelazo wyrównałoby jedynie szanse między nami. Ich magia nie obezwładniłaby mnie tak od razu – musieliby się zniżyć do fizycznego ataku.

To właśnie głównie dzięki temu wciąż chodziłem po tym świecie. Poza Morrigan Tuatha Dé Danann nie znosili uciekać się do walki fizycznej, ponieważ w obliczu dobrze zadanego ciosu mieczem byli równie bezbronni jak ja. Choć magia przedłużała im życie do całych tysiącleci (tak jak i mnie), zwykła przemoc mogła położyć ich trupem, tak jak stało się w wypadku Lugh, Nuady i wielu innych. Tuatha Dé Danann byli narażeni na skrytobójców, trucizny i wszelkie inne tchórzowskie formy ataku, których nie była w stanie odeprzeć magia, a tak się składało, że Aenghus Óg wypróbował już większość z nich na mojej osobie.

– Imponujące – mruknęła Morrigan, dotykając amuletu i kręcąc głową.

– Nie daje uniwersalnej ochrony – przyznałem skromnie – ale, nie chwalcę, mimo to jest całkiem niezły.

Podniosła głowę i spojrzała na mnie uważnie.

– Jak go zrobiłeś?

– To kwestia cierpliwości. – Wzruszyłem ramionami. – Żelazo można nagiąć siłą woli, to znaczy, jeśli czyjaś wola jest silniejsza niż żelazo. Ale to proces długotrwały i pracochłonny. Poza tym przydaje się pomoc żywiołaka.

– Co się dzieje z amuletem, kiedy zmieniasz postać?

– Zmniejsza się odpowiednio. Tej sztuczki nauczyłem się najpierw.

– Nigdy nie widziałam czegoś podobnego. – Morrigan zmarszczyła brwi. – Kto cię nauczył tej magii?

– Nikt. To mój wynalazek.

– Zatem nauczysz mnie tego, druidzie. – Bynajmniej nie była to prośba.

Nie odpowiedziałem od razu, ale żeby zyskać na czasie, spojrzałem na naszyjnik i złapałem jeden z charmsów. Był to srebrny kwadracik, na którym widniała podobizna łososa. Pokazałem go Morrigan.

– Ten urok, gdy go uruchomię, pozwala mi oddychać pod wodą i pływać, jakbym był w wodzie urodzony. Działa w połączeniu z żelazną częścią amuletu, by chronić mnie przed sztuczkami syren, selkie i tym podobnych. Dzięki niemu w morzu przewyższa mnie jedynie Manannan Mac Lir, a jego udoskonalenie zajęło mi ponad dwieście lat. A to tylko jeden z wielu cennych uroków w tym naszyjniku. Co oferujesz w zamian za wiedzę takiej wartości?

– Kontynuację twego marnego żywota – wycodziła Morrigan.

Wiedziałem, że powie coś w tym stylu. Dyplomacja nie była jej specjalnością.

– To całkiem dobry początek negocjacji – odparłem więc. – Innymi słowy: ja nauczę cię tej nowej druidzkiej techniki, którą tworzyłem metodą prób i błędów, w pocie i w znoju przez całe wieki, a ty w zamian będziesz ignorować moją śmiertelność, a ściślej mówiąc: nigdy mnie nie weźmiesz.

– Prosisz mnie o... nieśmiertelność.

– A za nią otrzymasz magię, która uczyni cię najpotężniejszą wśród Tuatha Dé Danann.

– Już jestem najpotężniejsza, druidzie – warknęła.

– Ośmielam się zauważyć, że są wśród twego kuzynostwa tacy, którzy mają odmienne zdanie – powiedziałem, mając na myśli boginię Brighid, która sprawowała władzę w Tír na nÓg jako Pierwsza wśród Fae. – W każdym razie bez względu na to, jaką podejmiesz decyzję, daję ci

moje słowo, że nie nauczę tej magii żadnego z nich, choćby nie wiem jak mnie do tego przekonywano.

– I słusznie – oświadczyła łaskawie po krótkiej chwili milczenia, a ja odetchnąłem z ulgą.
– Dobrze więc. Pokażesz mi, jak stworzyłeś każdy kolejny urok w tym naszyjniku oraz jak połączyłeś żelazo ze swoją aurą, a ja pozwolę ci żyć wiecznie.

Uśmiechnąłem się i na początek poleciłem jej znaleźć kawałek zimnego żelaza, z którego będzie można wykuć amulet, a potem będziemy mogli zacząć naukę.

– Nie zmienia to jednak faktu, iż powinienes natychmiast stąd umykać – powiedziała, gdy zakończyliśmy nasze negocjacje. – To, że ja cię nie wezmę, nie oznacza, że jesteś zupełnie bezpieczny. Są inni bogowie śmierci. Jeśli Aenghus zdoła cię pokonać, jeden z nich w końcu po ciebie przyjdzie.

– Nie martw się Aenghusem – uspokoiłem ją. To był mój kłopot. Jeśli prawdą jest, że miłość i nienawiść to dwie strony tej samej monety, to jak dla mnie Aenghus spędził zadziwiająco dużo czasu po tej stronie od nienawiści, szczególnie dużo jak na boga miłości. Miałem też inne zmartwienia: Morrigan nie gwarantowała mi żadnego antidotum na starzenie się, a jeśli stracę jakąś kończynę, sama przecież mi nie odrośnie. Nieśmiertelność nie czyniła mnie niepokonanym. Strach pomyśleć na przykład, jak bachantki załatwiły tego biednego Orfeusza.

– Dobrze – odparła Morrigan. – Lecz strzeż się także istot ludzkich. Aenghus ma je wszystkie na skinienie. Jedna z nich odnalazła cię za pomocą jakiegoś nowego urządzenia zwanego Internetem. Słyszałeś o czymś takim?

– Tak, posługuję się tym na co dzień – odrzekłem. Jeśli coś było młodsze niż sto lat, w oczach Morrigan stanowiło zupełną nowość.

– Opierając się na słowie tej ludzkiej istoty, Aenghus Óg wysłał tu kilku Firbolgów, żeby się upewnić, że Atticus O'Sullivan to w rzeczywistości starożytny druid Siodhachan Ó Suileabháin. Powinienes być posłużyć się innym pseudonimem.

– Jestem skończonym dupkiem i idiotą, co do tego nie mam wątpliwości – zgodziłem się z nią, kręcąc głową z rozpaczą. Nietrudno mi było się domyślić, jak mnie namierzyli.

Twarz Morrigan złagodniała. Ujęła opuszkami palców moją brodę i przycisnęła moje usta do swoich. Czarny płaszcz rozplynął się w powietrzu i znów stała przede mną, jakby właśnie zesłała z plakatu Nagela, a moje nozdrza wypełnił mocny zapach wszystkiego tego, o czym marzy mężczyzna, choć i tak efekt ten był znacznie wytłumiony przez mój amulet. Pocałowała mnie namiętnie, po czym odsunęła od siebie z tym swoim doprowadzającym mnie do szału uśmiechem, bo wiedziała dobrze, jak na mnie działa, i magia niewiele tu miała do rzeczy.

– Od teraz nigdy nie zdejmuj amuletu – nakazała. – I wezwij mnie, gdybyś potrzebował pomocy. Żegnaj, druidzie, muszę jeszcze zapolować na kilku śmiertelników. – Co rzekłszy, zmieniła się znów we wronę i wyleciała drzwiami mego sklepu, które otworzyły się przed nią posłusznie.

Rozdział 3

W moim wieku nie traktuje się zbyt poważnie przesądów. W końcu na własne oczy widziałem, jak powstała większość z nich. Ale o jednym jestem święcie przekonany: zła magia zawsze chodzi trójkami. Za moich czasów mówiło się: „Burzowe chmury przeklęte są po trzykroć”, ale nie mogę przecież gadać w takim stylu, jeśli chcę, żeby ludzie wierzyli, że jestem amerykańskim dwudziestolatkiem, więc zamiast tego mówię: „Gównno się zdarza, brachu”.

I dlatego właśnie, mimo że Morrigan poleciała już sobie wreszcie, wcale się nie uspokoilem. Byłem pewien, że tego dnia będzie już tylko gorzej. Zamknąłem sklep kilka godzin przed czasem, wskoczyłem na mój górski rower, wrzuciłem sobie amulet za koszulkę, żeby mi się nie dyndał, i pojechałem w stronę domu, bojąc się myśleć, co tam na mnie czeka.

Od sklepu musiałem najpierw jechać na zachód, w kierunku uniwersytetu, potem skręciłem w lewo, w Roosevelta, i pedałowalem dalej na południe, w stronę Mitchell Park. Zanim wybudowano zapory na River Salt, był to obszar zalewowy o bardzo żyznej ziemi. Z początku zrobiono z niego teren uprawny, potem stopniowo dzielono go na coraz mniejsze działki, a od lat trzydziestych XX wieku zabudowywano, aż gdzieś w latach sześćdziesiątych moje sąsiedztwo zyskało wreszcie aktualny wygląd, zdominowany przez nawadniane trawniki i werandy. Zwykle w drodze do domu jechałem powoli, by nacieszyć się tą krótką chwilą – pozdrawiałem okoliczne psy, które czekały do mnie przyjaźnie, lub zatrzymywałem się, by pogawędzić z wdową MacDonagh, która niczego nie lubiła bardziej niż wysiadywać na werandzie z zimną szklaneczką Tullamore Dew i patrzeć na zachód słońca. Rozmawiała ze mną po irlandzku i mówiła mi, że jestem takim miłym chłopakiem o starej duszy. Cieszyły mnie te beztrioskie pogawędki i możliwość odgrywania przed nią młokosa. Zwykle pomagałem jej w ogródku raz w tygodniu, a ona patrzyła na mnie z werandy i za każdym razem obwieszczała: „Gdybym miała te pięćdziesiąt latek mniej, mój chłopcze złoty, tobym się rzuciła na te twoje chude kości i bym nic nikomu nie powiedziała, tylko Panu Bogu najwyższemu”. Dziś jednak popędziłem dalej, machając jej tylko pospiesznie i pedałowując ile sił w nogach. Kiedy skręciłem w prawo, w Jedenastą, zwolniłem, wyostrażając wszystkie zmysły w oczekiwaniu kłopotów. Gdy dotarłem wreszcie do domu, nie od razu wszedłem do środka. Przykucnąłem tuż przy ulicy i zanurzyłem palce prawej, wytatuowanej ręki w trawie, żeby sprawdzić swoje zabezpieczenia.

Mój dom zbudowano w latach pięćdziesiątych. Wychodzi na północ, ma podwyższoną werandę z białymi kolumnkami, a przed nią kilka rabatek. Trawnik niemal zupełnie zdominował potężny jadaloszyn rosnący na środku, nieco na prawo, a dalej po prawej podjazd prowadzi do garażu. Dróżka z kamiennej płyty łączy podjazd z moją werandą i drzwiami wejściowymi. Przez okno nic nie było widać, bo kryło się w popołudniowym cieniu. Natomiast analiza zabezpieczeń dokonana poprzez trawę potwierdziła natychmiast moje podejrzenia. Tak. Mam gościa. A jako że żaden śmiertelnik czy nawet pomniejsza faeria nie byłoby w stanie się przedrzeć przez moje magiczne zabezpieczenia, wybór był prosty: albo od razu uciekać gdzie pieprz rośnie, albo dowiedzieć się, który z członków Tuatha Dé Danann postanowił porozwijać moje magiczne węzły i czekał teraz na mnie w środku.

Mógł to być sam Aenghus Óg. Na myśl o tym dostałem gęsiej skórki, choć temperatura dochodziła do 38 (w Arizonie na próżno oczekiwać normalnych temperatur przed połową października, a do tego był jeszcze dobry tydzień). Nie potrafiłem sobie jednak wyobrazić, że Aenghus mógłby tak po prostu opuścić Tír na nÓg, choćby mnie sama Morrigan przekonywała, że już jest w drodze. Postanowiłem więc zasięgnąć języka. Zwróciłem się do mojego psa – powinienem raczej powiedzieć: przyjacielu – Oberona, z którym łączy mnie wyjątkowa więź.

Jak tam, przyjacielu?

<Atticus? To ty? Ktoś tu jest!> odpowiedział Oberon z podwórka na tyłach domu, ale w jego myślach nie wyczułem żadnego napięcia. Wręcz przeciwnie, miałem wrażenie, że macha ogonem jak szalony. Zresztą nie szczekał przecież, gdy usłyszał, że wróciłem, a to także sugerowałoby, że wszystko jest w porządku.

Wiem. Kto to?

<Nie wiem. Ale jest miła. Powiedziała nawet, że może pójdziemy potem razem na polowanie>.

Rozmawiała z tobą? W głowie? Tak jak ja?

Nie jest wcale tak łatwo sprawić, by zwierzę rozumiało ludzki język; nie wystarczy proste zakłęcie i nie każdy Tuatha Dé Danann zaprzętałby sobie głowę takimi rzeczami. Większość z nich ogranicza się w takich sytuacjach do komunikowania emocji i obrazów tak, jak się to robi w rozmowie z żywiołakiem.

<No tak, i jeszcze powiedziała, że przypominam jej moich praojców>.

Cóż za pochwała.

Oberon był jej wart – ten dorodny wilczarz irlandzki miał gęste, ciemnoszare futro i solidną budowę. Jego praojcami były psy wojenne, które towarzyszyły Irlandczykom w bitwach, zabijając konie i atakując rydwany. Znałem je w młodości. Były mało przyjaznymi stworzeniami – w przeciwieństwie do współczesnych wilczarzy: od wieków hodowanych ze względu na swoją poczciwość i tak łagodnych, że z trudem przychodzi im sama myśl o zaatakowaniu czegokolwiek poza misą karmy dla psa. Oberon jednak uosabia wyjątkowo szczęśliwe połączenie tych dwóch jakże odmiennych stworzeń i jest w stanie sięgnąć czasem do swych dzikich korzeni, gdy zajdzie potrzeba. Znalazłem go online w schronisku na jakimś ranczo w Massachusetts, gdy do rozpaczy doprowadziły mnie rasy dostępne w Arizonie. Wszystko, co mieli mi do zaoferowania, było zbyt potulne i oswojone. Oberon tymczasem okazał się dosłownie dziki, przynajmniej według współczesnych norm. Ale oczywiście wystarczyło z nim pogadać i wszystko się ułożyło. Potrzebował tylko porządnego polowania od czasu do czasu, a jeśli się tylko o tym pamiętało, był dżentelmenem w każdym calu.

Nic dziwnego, że uważasz ją za miłą. Pytała cię o coś?

<Tylko o to, kiedy się ciebie spodziewam z powrotem>.

Brzmiało to nieźle. Najwyraźniej wcale nie szukała żadnego z moich skarbów, a to z kolei mogło oznaczać, że nie wysłał jej tu Aenghus Óg.

Aha. A długo już tu jest?

<Ledwo co przyszła>.

Psy jednak nie mają najlepszego poczucia czasu. Odróżniają dzień od nocy, ale poza tym upływ czasu jest im niemal zupełnie obojętny. Toteż „ledwo co” mogło równie dobrze oznaczać minutę, jak i całe godziny.

A odkąd przyszła – spytałem – uciąłeś sobie jakąś drzemkę może?

<Nie. Zdażyliśmy zamienić tylko kilka słów, zanim przyjechałeś>.

Dzięki, Oberonie.

<To będziemy polować?>.

To zależy od mojego gościa. Kimkolwiek ona jest, na pewno jej nie zapraszałem.

<Oj>. W myślach Oberona pojawił się cień niepewności. <Czy ja cię źle chronię?>.

Nic się nie martw, Oberonie – uspokoiłem go. – Wcale się na ciebie nie gniewam. Ale pójdę teraz za dom po ciebie i wejdziemy do domu razem. Chcę, żebyś mnie chronił, na wypadek gdyby ona jednak nie była tak miła, jak ci się wydawało.

<A jeśli zaatakuje?>.

Zabij ją. Nie powinno się dawać Tuatha Dé Danann drugiej szansy.

<Przecież mówiłeś, że nigdy nie mam atakować ludzi!>.

Ona już od dawna nie jest człowiekiem.

<No, dobra. Ale mnie się zdaje, że ona wcale cię nie zaatakuję. Bardzo z niej miła
nieładzka>.

Chciałeś powiedzieć nieczłowiek. Nieludzki *to przymiotnik* – mruknąłem mentalnie, wstając z trawnika i skradając się bezszelestnie po lewej stronie domu, aż na podwórko.

<Odczep się, co? Nie jestem przecież native speakerem, nie?>.

Rower zostawiłem na ulicy, mając cichą nadzieję, że nikt mi go nie zwinie przez te kilka minut. Oberon już na mnie czekał przy bramce z wywieszonym jęzorem i merdając ogonem. Podrapałem go szybko za uchem i podeszliśmy do kuchennych drzwi.

Wszystko na podwórku wyglądało zupełnie normalnie. Moje herbarium, które zajmowało kilka rzędów doniczek pod płotem i część tego, co powinno być tradycyjnie trawnikiem, rosło sobie jak gdyby nigdy nic.

Gościa zastałem w kuchni. Właśnie próbowała zrobić sobie smoothie z truskawek.

– Manannan Mac Lir niech weźmie to przekłete urządzenie z krainy cienia! – wrzasnęła, waląc pięścią w przyciski mojego blendera. – Jak śmiertelni naciskają te cholerne guziczki, to jakoś działa, tak? A teraz to niby co sobie myśli? – ryknęła, rzucając mi wściekłe spojrzenie.

– Musisz najpierw włożyć wtyczkę do prądu – wyjaśniłem.

– Jaką wtyczkę?

– Widzisz to pudełeczko z dwoma bolcami na końcu tego sznura? Włóż je do tamtej dziury w ścianie. To sprawi, że blender... hmm... zyska moc życia. – Uznałem, że wyjaśnianiem szczegółów działania elektryczności zajmę się innym razem; teraz może lepiej nie zarzucać jej nadmierną ilością nowego słownictwa.

– Aha. Dobrze więc. Bądź pozdrowiony, druidzie.

– Bądź pozdrowiona, Flidais, bogini polowań.

<A widzisz. Mówiłem, że jest miła> wtrącił Oberon.

Musiałem przyznać, że ze wszystkich Tuatha Dé Danann, którzy mogli mi się tu trafić, rzeczywiście chyba najlepiej było zastać we własnej kuchni Flidais. Ale znacie już to przysłowie o po trzykroć przeklętych chmurach burzowych – za Flidais już ciągnęła się ta druga przeklęta chmura, a ja jej w ogóle nie zauważyłem.

Rozdział 4

Wyobrażasz sobie, że w całym Tír na nÓg nie da się nigdzie dostać takiego napoju? – powiedziała Flidais, przekrzykując szum mojego blendera.

– Wyobrażam – odrzekłem. – Z tego, co wiem, trochę wam brakuje blenderów. Jak to się więc stało, że odkryłaś smoothie?

– Zupełnie przypadkiem – mruknęła Flidais, zdmuchując sobie z oczu rudy lok, który opadł jej na twarz, gdy tak się wpatrywała w truskawkową masę. Jej grzywa była naprawdę szalona, mocno kręcona i tak naturalna, że zdawało mi się nawet, że w gęstwinie loków dojrzałem jedną czy dwie zablakane gałązki. – Odwiedziłam las Herna Myśliwego i natknęłam się na kłusownika w jednym z tych wielkich, hałaśliwych pojazdów. Upolował łanię, załadował ją na swój pojazd i zakrył czarną plastikową płachtą. Herna akurat przy mnie nie było, uznałam więc, że moim obowiązkiem jest pomścić to biedne zwierzę, i podążyłam za nim na moim rydwanie.

Zaczęła nalewać sobie smoothie do szklanki. Naprawdę wyglądało dość smakowicie i nie ukrywam, miałem nadzieję, że się ze mną podzieli. Raptem jednak dotarło do mnie, że Flidais podróżuje zwykle na rydwanie zaprzężonym w jelenie, i uświadomiłem sobie, że widok tego zaprzęgu pędzącego po autostradzie mógłby wytrącić z równowagi nawet współczesnego Anglika.

– Jak rozumiem, podczas tego pościgu byłaś niewidoczna dla oczu śmiertelnych?

– Oczywiście! – Jej dłoń znieruchomiała, a oczy posłały mi spojrzenie, które pasowało aż za dobrze do jej ognistych włosów. – Za jaką myśliwą ty mnie masz?

Cholera! Spuściłem oczy i odtąd ważyłem się przemawiać już tylko do jej butów z jasnobrązowej skóry, z mocną, ale miękką podeszwą, jak w mokasynach. Ciągnęły się te buty aż do kolan, gdzie zaczynały się z kolei obcisłe, także skórzane i nieco znoszone spodnie. Jednak skóra się tu bynajmniej nie kończyła. Flidais uwielbiała wszelkiego rodzaju skórę z wyjątkiem czarnej. Jej pasek i kamizela były zielone, a materiał pod spodem miał ten sam czekoladowy odcień co buty. Wokół lewej ręki owinęła sobie gruby zielony rzemień, żeby chronił ją od cięciwy łuku, co robił chyba skutecznie, bo widać było na nim dość świeże otarcia.

– Za najlepszą, Flidais. Wybacz moją impertynencję.

Flidais jako jedna z niewielu znała sztuczkę z niewidzialnością. Mnie stać było jedynie na dość porządny kamuflaż.

Skinęła głową na znak, że przyjmuje moje przeprosiny, i ciągnęła tak, jakbym jej w ogóle nie przerwał tym zuchwałym pytaniem.

– Wkrótce jednak okazało się, że jego pojazd jest szybszy. Nim go dogoniłam, już parkował na jednym z tych zaasfaltowanych ugorów, jak one się tam nazywają...? – Tuatha Dé Danann nie widzą żadnego problemu w pytaniu druidów o jakieś informacje. W końcu po to tu jesteśmy. To, że mam szczęście być starym druidem, a nie martwym druidem, zawdzięczam między innymi tej oto tajemnicy: nigdy nie pozwalałam sobie nawet na odrobinę protekcjonalności, gdy odpowiadam na choćby najgłupsze pytanie.

– Nazywają się parkingami – odpowiedziałem więc.

– A tak, tak, dziękuję. Kłusownik wyszedł z budynku o nazwie „Crussh” i trzymał w dłoni właśnie taką miksturę. Znasz może ten budynek, druidzie?

– Z tego, co mi wiadomo, w Anglii „Crussh” to sieć barów specjalizujących się w smoothie.

– W rzeczy samej. Toteż, gdy go już zabiłam i schowałam jego ciało obok łani,

postanowiłam skosztować tego trunku i doszłam do wniosku, że jest wyborny.

To właśnie przez tego typu zdania nigdy się chyba nie pozbędę zdrowej dawki strachu przed Tuatha Dé Danann. Nie zrozumcie mnie źle, przyznaję bez wahania, że ludzkie życie nie było w epoce żelaza wiele warte, ale Flidais i reszta wyznają nadal moralność z epoki brązu, którą można streścić następująco: jeśli coś mi się podoba, to chcę więcej; jeśli coś mi się nie podoba, to ma zostać zniszczone i to jak najszybciej, przy czym najlepiej w taki sposób, żeby dodatkowo przyniosło mi to sławę i zapewniło nieśmiertelność w pieśniach bardów. Ich sposób rozumowania jest po prostu zupełnie odmienny od współczesnego i to dlatego właśnie faerie mają takie zaburzone pojęcie dobra i zła.

Flidais ostrożnie wzięła łyk smoothie i rozpromieniła się, bardzo z siebie zadowolona.

– No, doprawdy, ci śmiertelni to jak czasem coś wymyślą... – powiedziała. – Ale, ale, druidzie... jakiego to imienia używasz obecnie? – Między jej brwiami pojawiła się delikatna zmarszczka.

– Atticus – odpowiedziałem.

– Atticus? – Zmarszczka się pogłębiła. – I ludzie naprawdę myślą, że jesteś Grekiem?

– Tu nikt nie zwraca uwagi na imiona.

– Nie? To na co oni zwracają uwagę?

– Na ordynarne dowody osobistego bogactwa. – Wbiłem wzrok w resztki soku w blenderze, mając cichą nadzieję, że Flidais pochwyci moje wymowne spojrzenie. – Lśniące samochody, lśniące kamyki na palcach, takie tam. – Rzeczywiście, po chwili się zorientowała, że nie znajduje się w centrum mojej uwagi.

– O co ci cho... a, może chciałbyś trochę smoothie? Często się, na zdrowie, Atticisie.

– To bardzo miłe z twojej strony. – Sięgając po drugą szklankę, uśmiechnąłem się sam do siebie na myśl o tamtych dwóch nieszczęśnikach, którzy wpadli dziś do mojego sklepu, a teraz byli już z pewnością martwi. Byliby równie martwi, gdyby natknęli się na Flidais w kuchni któregoś z nich. Na jej widok powiedzieliby pewnie coś w stylu: „Te, lala, co ty, do kurwy nędzy, robisz z moimi truskawkami, co?” i to byłyby zarazem ich ostatnie słowa. Maniery z epoki brązu są być może nie do pojęcia dla dzisiejszego człowieka, lecz w zasadzie sprowadzają się do jednego: gość w dom, bóg w dom. Nie w przenośni, ale dosłownie, bo każdy gość może się okazać bogiem w przebraniu. Choć oczywiście pod tym względem nie miałem co do Flidais żadnych wątpliwości.

– Skądże znowu – odrzekła. – Jesteś niezwykle uprzejmym gospodarzem. Lecz wracając do twego pytania, weszłam do tego budynku o nazwie Crussh i zobaczyłam, że śmiertelni używają właśnie takich maszyn do wytwarzania smoothie. I tak właśnie dowiedziałam się o tym pysznym napoju. – Przez chwilę delektowała się sokiem, lecz zaraz mars znów przeciął jej czoło. – Nie masz wrażenia, że ta epoka jest doprawdy niezwykle dziwaczna z tą swoją mieszaniną rzeczy cudownych i zupełnie obrzydliwych?

– Otóż to – zgodziłem się z nią, wlewając sobie czerwony sok do szklanki. – Na szczęście wciąż trwamy na stanowisku, by zachowywać pamięć lepszych czasów.

– I właśnie dlatego postanowiłam cię odwiedzić, Atticisie – powiedziała.

– Żeby porozmawiać o lepszych czasach?

– Nie. O przetrwaniu.

Cholera. To nie zabrzmiało najlepiej.

– Chętnie posłucham o tym wszystkim, lecz może najpierw zaproponuję ci jakąś przekąskę?

– Nie, dziękuję. To mi wystarczy w zupełności – zapewniła, kołysząc lekko szklanką.

– Zatem może przejdźmy na werandę, by tam w czas naszej pogawędki odpocząć?

– Cóż za miły pomysł. – Poszedłem przodem, a Oberon podreptał zaraz za nami i usiadł między nią a mną na werandzie. Już myślał o polowaniu w parku Papago i miał wielką nadzieję, że wkrótce go tam zabierzemy. Stwierdziłem z ulgą, że rower wciąż jest jeszcze na ulicy, co uspokoiło mnie nieco, lecz nie na długo, bo drogą prostego skojarzenia uświadomiło mi, że przecież Flidais nie przyszła do mnie piechotą.

– Czy twój rydwan jest bezpieczny? – spytałem.

– O, tak. Tu niedaleko jest taki mały park, w którym uwiązałam moje jelenie. Bez obaw – dodała, gdy moje brwi uniosły się nieco – są niewidzialne oczywiście.

– Oczywiście. – Uśmiechnąłem się. – Opowiedz mi zatem, czemu zawdzięczam tę wizytę, ja, stary druid, o którym wszyscy już zapomnieli?

– Aenghus Óg wie, gdzie jesteś.

– To samo mówi Morrigan – odparłem gładko.

– O, więc była tu? Firbolgowie także są już w drodze do ciebie.

– Tak, jestem tego świadom.

Flidais przekrzywiła lekko głowę, wyraźnie zaintrygowana moim spokojem.

– A czy jesteś również świadom tego, że za nimi kroczy Bres?

Zakrzusłem się moim truskawkowym smoothie, sporą część wypluwając w rabatki.

Oberon odwrócił łeb zaniepokojony.

– Ach, domyślam się zatem, że o tym jeszcze nie wiedziałeś – zauważyła Flidais i zachichotała, wyraźnie zadowolona z tego, że wywołała taką moją reakcję.

– Ale dlaczego? Bres? – spytałem, ocierając usta.

Bres był chyba najpaskudniejszym spośród żyjących Tuatha Dé Danann, choć z pewnością nie należał do najbystrzejszych. Przez kilka dekad był nawet ich przywódcą, ale w końcu odsunęli go od władzy, gdyż przejawiał więcej sympatii dla potwornej rasy Fomorian niż swoich własnych ludzi. Był bogiem rolnictwa i nawet udało mu się kiedyś uniknąć śmierci z rąk Lugh tylko dlatego, że obiecał, iż podzieli się z nim całą swoją wiedzą. Ale tak naprawdę żył nadal tylko i wyłącznie dlatego, że był mężem Brighid, a nikt nie chciał ściągnąć na siebie jej gniewu. Pod względem magicznych mocy ta bogini nie miała sobie równych, no może z wyjątkiem samej Morrigan.

– Aenghus Óg coś mu tam za to obiecał. – Flidais machnęła ręką lekceważąco. – Bres nie podjąłby się żadnego działania, gdyby to nie leżało w jego interesie.

– To rozumiem oczywiście, ale po co wysłał Bresa? Ma mnie zabić?

– Nie wiem. Nie ulega jednak wątpliwości, że nie ma cię przechytryć. Prawdę rzekłszy, druidzie, mam wielką nadzieję, że dojdzie do walki między wami i że go pokonasz. On naprawdę nie szanuje lasu tak, jak powinien.

Nic na to nie powiedziałem, bo wydało mi się, że Flidais chce, żebym sobie przemyślał te słowa. Sącząc smoothie, wyciągnęła dłoń i podrapała Oberona za uchem. Jego ogon od razu podskoczył do góry i zaczął się obijać o nogi naszych krzesel. Usłyszałem, jak zaczął jej opowiadać o naszych polowaniach w parku Papago, i uśmiechnąłem się mimowolnie. Oberon – jak przystało na prawdziwego łowczego – nigdy nie zapominał o raz obranym celu.

<Tam, na wzgórzach, żyją pustynne owce kanadyjskie. Polowałaś kiedyś na nie?>.

Flidais powiedziała mu, że nie, nigdy w życiu nie polowała na żadną owcę, ponieważ są to zwierzęta hodowlane, które nie dają żadnej rozrywki.

<To nie są zwykłe owce. Są większe, brązowe i poruszają się bardzo szybko po skałach. Jeszcze nigdy nam się nie udało żadnej przydybać, choć próbowaliśmy już kilka razy. Mimo to bardzo lubię te nasze polowania>.

– Czy twój pies żarty sobie ze mnie stroi, Atticusie? – Flidais podniosła głowę i spojrzała

wprost na mnie, a w jej głosie wyczułem nutę pogardy. – Nie byliście w stanie upolować owcy?

– Oberon nigdy nie żartuje sobie z polowania – wyjaśniłem. – Pustynne owce kanadyjskie w niczym nie przypominają owiec, które znasz. Stanowią nie lada wyzwanie, szczególnie w górach Papago. Nie brakuje tam zdradzieckich skał.

– Czemuż więc nigdy nie słyszałam o tych stworzeniach?

Wzruszyłem ramionami.

– Żyją tylko tutaj. Zresztą mamy tu także kilka innych pustynnych zwierząt, na które warto zapolować od czasu do czasu.

Flidais odchyliła się na krześle, zmarszczyła brwi i pociągnęła kolejny łyk smoothie z takim przekonaniem, jakby truskawki stanowiły jakiś magiczny eliksir leczący dysonans poznawczy. Przez chwilę wpatrywała się w nisko wiszące gałęzie mojego jadłoszynu, delikatnie poruszane oddechem pustyni. Potem nagle jej twarz rozpromieniła się i Flidais wybuchnęła śmiechem, powiedziałbym, że nieco nawet przypominającym chichot, ale to oczywiście byłoby poniżej jej godności bogini.

– Coś nowego! – wyrzuciła z siebie. – Czy ty masz pojęcie, kiedy ostatnio polowałam na coś nowego? Całe wieki temu, druidzie, a może nawet milenia!

Uniosłem szklankę.

– Za nowość – powiedziałem. Nowość zawsze stanowiła wśród długo żyjących niezwykle cenny towar.

Brzdęknęła swoją szklanką o moją i przez chwilę piliśmy w przyjaznej ciszy, po czym zapytała, kiedy możemy zacząć polowanie.

– Nie wcześniej jak kilka godzin po zmroku – stwierdziłem. – Musimy poczekać, aż zamkną park, a wszyscy śmiertelni udadzą się na spoczynek.

Flidais uniosła brew.

– Jak zatem spędzimy te kilka godzin, Atticusie?

– Czuj się jak u siebie w domu. Możemy je spędzić, jak ci się żywnie podoba.

Otakowała mnie spojrzeniem, a ja skupiłem się na udawaniu, że tego nie widzę, i wpatrywaniu w rower, który wciąż leżał na ulicy.

– Świetnie się trzymasz, Atticusie – orzekła w końcu.

– Dziękuję. Ty także nic się nie zmieniłaś.

– Ciekawa jestem, czy wciąż posiadasz wytrzymałość Fianna, czy też pod maską młodości kryjesz zniedołężnienie lub miękkość, która tak nie przystoi Celtowi.

Wstałem i podałem jej prawe ramię.

– Odniosłem pewne obrażenia lewej ręki dziś po południu i wciąż jeszcze się nie zagoiła. Jeśli jednak pozwolisz mi poprowadzić się teraz na górę i wesprzesz mnie nieco w reperowaniu tej ręki, uczynię wszystko, by zaspokoić twoją ciekawość.

Kącik jej ust drgnął nieznacznie, a jej oczy zabłysły, gdy oparła dłoń na moim ramieniu i wstała. Spojrzałem jej prosto w oczy i nie puściłem jej dłoni, gdy weszliśmy do środka i skierowaliśmy się w stronę sypialni. Do diabła z rowerem. I tak pewnie będę miał rano ochotę pobiec do pracy piechotą.

Rozdział 5

Rozmowy łóżkowe ograniczają się w dzisiejszych czasach do opowiadania sobie historii z dzieciństwa lub ewentualnie do dzielenia się wizjami wymarzonych wakacji. Jedną z moich ostatnich dziewczyn, urocza niewiasta o imieniu Jessie, u której na prawej łopacie widniała wytatuowana wróżka Dzwoneczek (swoją drogą istota ta ma się zupełnie nijak do prawdziwych faerii), zażyczyła sobie, byśmy omawiali w łóżku serial science fiction pod tytułem *Gwiazda bojowa Galaktyka* jako polityczną alegorię prezydentury Busha. Kiedy przyznałem, że nie mam żadnego pojęcia o owym nieszczęsnym filmie ani najmniejszego nawet pragnienia zapoznania się z nim czy też z polityką amerykańską w ogóle, wyzwala mnie od „frakkin Cylonów” i wypadła z domu jak szalona, zostawiając mnie w lekkim szoku, który jednak szybko zastąpiła ulga. Flidais dla odmiany zapragnęła rozmowy o starożytnym mieczu należącym niegdyś do Manannana Mac Lira o nazwie Fragarach Prawdomówny. To nieco zepsuło mi nastrój, a wręcz spowodowało narastającą irytację.

– Wciąż go masz? – spytała. Gdy tylko padło to pytanie, naszły mnie podejrzenia, że cała ta wizyta – nawet jej intymna część – miała na celu zdobycie odpowiedzi na to jedno pytanie. Kłamałem jak z nut, gdy o to samo spytały mnie zaledwie kilka godzin wcześniej tamte mało znaczące faerie, lecz uznałem, że może to być trochę niebezpieczne, gdy w grę wchodzi Flidais.

– Aenghus Óg nie ma co do tego wątpliwości – odpowiedziałem więc wymijająco.

– To nie jest odpowiedź.

– Tak, ale mam swoje powody, żeby zachować pewną ostrożność, by nie powiedzieć: wpadać w paranoję w tej kwestii, bez urazy.

Wbiła we mnie wzrok i patrzyła tak przez całe pięć minut, licząc najwidoczniej na to, że zmusi mnie do mówienia samym milczeniem. Metoda ta działa wyśmienicie w wypadku większości ludzi, ale to druidzi nauczyli jej Tuatha Dé Danann jeszcze przed moim przyjściem na ten świat, więc uśmiechnąłem się do siebie w duchu i czekałem spokojnie na jej następny ruch. Tymczasem zajmowałem się odnajdywaniem wzorów na suficie oraz bezmyślnym głaskaniem jej prawego ramienia, na którym znajdował się taki sam tatuaż jak mój, dzięki czemu mogła pobierać moc ziemi za pomocą samej woli. Udało mi się dojrzeć na suficie dzięcioła, panterę śnieżną i coś, co mogło być śmiesznie wykrzywioną twarzą Randy'ego Johnsona tuż przed rzucającym slidera, ale nim zdążyłem zdecydować, czy to rzeczywiście on, odezwała się Flidais.

– Opowiedz mi zatem, jak w ogóle udało ci się zdobyć tę broń – powiedziała w końcu. – Legendarny Fragarach, miecz, który przebija się przez każdą zbroję. W Tir na nÓg krąży co najmniej kilka wersji tej historii, a chciałabym poznać prawdę.

Próbowała wykorzystać moją wrodzoną próżność. Chciała, żebym zaczął się chwalić i tak się rozpędził w samozachwycie, że w końcu wymuszyłoby mi się coś w stylu: „A teraz jest w moim garażu!” albo „I sprzedałem go na eBayu!”

– No, dobra. Ukradłem go w bitwie Magh Lena, kiedy Conn Stu Bitew tak się skupił na tym, żeby zabić Mogh Nuadhata, że wszystko mu było jedno, jaką broń dźrzy tej nocy w dłoni. – Uniosłem pięść, jakbym trzymał w niej miecz. – Conn miał znacznie mniej ludzi i nie łudził się nawet, że uda mu się zwyciężyć w otwartej walce, toteż postanowił zaatakować w nocy, żeby jakoś wyrównać szanse. Goll Mac Morna i reszta Fianna oświadczyli, że nie będą walczyć, póki nie nastanie świt, gładząc przy tym coś o honorze, ale przyznam, że ja nigdy nie zaprzętałem sobie głowy takimi rzeczami w wirze wojny. Dbanie o honor oznacza zwykle tylko to, że łatwo dajesz się zabić. Choćby tacy Anglicy, którzy tracili na rzecz rdzennych mieszkańców tego kontynentu swe marne czupryny tylko dlatego, że nie chcieli zrezygnować z tych głupich formacji.

Flidais odchrząknęła.

– Czy to było, zanim Fionn Mac Cumhaill przejął dowodzenie nad Fianna? – zapytała.

– O, tak, dużo wcześniej. W każdym razie zostawiłem Fianna przy ogniskach i ruszyłem z Connem zająć się rzezią. Właśnie wyrąbywał sobie przejście między wojownikami armii Mogh Nuadhata... czy uwierzysz, że składało się na nią około siedemnastu tysięcy Gaelów i ze dwa tysiące Hiszpanów?!... gdy nagle, kiedy chciał zadać kolejny cios, z jego śliskich, ociekających krwią wroga rąk wymknął się Fragarach, po czym ten wspaniały miecz poleciał wysoko nad jego głową i upadł dosłownie u moich stóp w chaosie nocnej bitwy.

Flidais prychnęła tylko.

– Nie wierzę ci. Po prostu go upuścił?

– Ściśle biorąc, rzucił nim. – Podniosłem prawicę. – To szczerą prawdą albo jestem synem kozy. Podniosłem go i poczułem, jak magia dudni mi w dłoni. Okryłem się mgłą i wymknąłem z pola bitwy ze swoją ceną zdobyczą, by wrócić dopiero za czasów Cormaca Mac Airta.

– Nie, na pewno nie pozwolili ci tak po prostu odejść z Fragarachem w rękę!

– Masz rację – zachichotałem. – Pomiąłem kilka szczegółów, bo nie chciałem przynudzać, tylko dostarczyć ci rozrywki.

Flidais zrobiła taką minę, jakby naprawdę się zastanawiała, czy moja opowieść ją rozbawiła.

– Gdy nie dostajesz, czego chcesz, czujesz się tak, jak wtedy, gdy ofiara zachowuje się nietypowo, czyniąc polowanie tym ciekawszym. Wiem jednak, że pominąłeś zbyt wiele ważnych informacji, a twoja skrócona wersja i tak różni się znacznie od tego, co słyszałam, więc teraz muszę poznać całą prawdę. Poproszę o dłuższą wersję.

– Czekaj, co takiego słyszałaś na Tír na nÓg? Poproszę tak w skrócie.

– Słyszałam, że ukradłeś go Connowi podstępem. Według niektórych opowieści uśpiłeś go jakąś miksturą. W innych zamieniłeś się z nim mieczami, wykorzystując jakiś rodzaj złudzenia. Generalnie wychodziło w nich na podłego, tchórzliwego złodziejaszka.

– Jak miło. Dobrze więc, może powinienem najpierw wyjaśnić ci, w jakim stanie znajdował się mój umysł, gdy miecz upadł mi pod nogi, bo tak to się naprawdę stało. Nocne bitwy to czyste szaleństwo. Naprawdę nie byłem wcale taki pewien, czy aby zawsze walczę z ludźmi z armii przeciwnika, wyobrażasz to sobie? Jedyne źródłem światła był cieniutki, błąd księżyc, gwiazdy i kilka ognisk gdzieś w oddali. Nie wiedziałem, czy nie zabiłem już kilku własnych kamratów, i zaczynałem wpadać w paranoję, że i ja mogę zginąć z ręki przyjaciela. I w głowie zaczęły mi się kłuć te myśli: to jest jakiś absurd... to wszystko jest zbyt niebezpieczne... dlaczego ja w ogóle robię coś takiego... dlaczego w ogóle tu jestem. A odpowiedź na te wszystkie pytania była jedna: oto zabijamy się nawzajem w środku nocy tylko dlatego, że Conn ma ten magiczny miecz, który dostał od Lugh Lámhfhady z Tuatha Dé Danann. To moc Fragaracha pozwoliła mu podbić większą część Irlandii. Mimo całej swej dzielności w życiu by tego nie osiągnął bez tego jednego miecza. Bez niego nie odważyłby się zaatakować Mogh Nuadhata. I każdy, kto poległ w tej szalonej bitwie, zginął tylko i wyłącznie przez ten jeden nieszczęsny miecz, który dostał się w ręce człowieka o nadmiernych ambicjach. I gdy tak rozpaczliwie rąbałem na oślep, kiedy tylko czułem, że ktoś się zbliża, doszło do mnie nagle, że choć niby walczyliśmy dla Conna, to Conn walczył dla Tuatha Dé, a wszyscy razem padliśmy ofiarami manipulacji Lugh i jego koleśki albo drzewo nie pije wody.

– Rzeczywiście przypominam sobie coś takiego. – Flidais pokiwała głową. – Nie wtrącałam się w to całe zamieszanie, bo ludzkie sprawy mało mnie zwykle obchodzą, jeśli bezpośrednio nie dotyczą lasu, ale w rzeczy samej Lugh bardzo się wtedy zaangażował w tę

wojnę, a Aenghus Óg chyba jeszcze bardziej.

– Tak, wydaje mi się, że tym mieczem próbowali zaprowadzić pokój w całej Irlandii. I dlatego pozwalali Connowi na to, co robił, jak i zresztą wszystkim najwyższym królom, którzy byli jego następcami. I nie jest wykluczone, że tak byłoby dla Irlandii najlepiej, sam nie wiem. Wiem jednak, że to oznaczało, że Tuatha Dé manipulują ludzkimi losami, gdy tymczasem już wieki temu mieli tego zaprzestać.

– Może rzeczywiście trochę lubimy się wtrącać w to i owo. – Flidais uśmiechnęła się sardonicznie.

– W tym akurat wypadku przesadziliście. Właśnie układałem sobie to wszystko w głowie, usiłując dojść, które z was stanęło po stronie Conna, a które popiera Mogh Nuadhata, gdy u moich stóp wylądował wiadomy miecz. Od razu go poznałem... czułem jego moc, która pulsowała poprzez ziemię i wzywała mnie. W tej samej chwili odezwał się w mojej głowie ten głos, którego niemal już oczekiwałem, i nakazał mi chwycić miecz i zniknąć z pola walki. Weź miecz, mówił, a będziesz bezpieczny.

– Czyj to był głos? – spytała Flidais.

– Nie domyśliłaś się?

– Morrigan? – szepnęła.

– Tak, był to głos tej starej wrony. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że to ona maczała palce w całym tym „wyślizgnięciu się” miecza z dłoni Conna. Cóż miałem robić? Wziąłem miecz. Kiedy jesteś w samym środku walki i nagle Szafarka Śmierci każe ci coś zrobić, robisz to, do cholery, nie? Ale oczywiście napotkałem pewien opór zarówno po stronie śmiertelnych, jak i nieśmiertelnych.

– Conn próbował cię schwytać?

– Nie osobiście. Był zbyt zajęty, bo właśnie walczył o życie najwykleszym w świecie mieczem, który wyrwał jakiemuś truposzowi. Znajdował się akurat w samym oku cyklonu, więc po prostu wysłał na poszukiwanie Fragaracha kilku swoich przywódców. Oni natomiast znaleźli druida z mieczem i odkryli, że nie bardzo chcą im oddać swoją nową broń. Ścisłej mówiąc, dotarli do mnie akurat, gdy usiłowałem wezwać mgłę, która by mnie skryła i ułatwiła ucieczkę.

– Usiłowałaś? – Flidais uniosła brew. Zauważyłem, że tuż pod oczami ma na policzkach kilka piegów. Poza tym skórę miała pocieszenie różowitką, lekko muśniętą słońcem, bynajmniej nie tak śnieżnobiałą jak u Morrigan.

– Miałem pewne problemy z koncentracją. Aenghus Óg i Lugh byli w mojej głowie i darli się, że mam natychmiast oddać Connowi miecz, bo inaczej zginę, a Morrigan zapewniała mnie, że umrę, jeśli go oddam. Powiedziałem jej, że sam chętnie zatrzymałbym sobie ten miecz, na co Aenghus Óg i Lugh zaczęli wrzeszczeć, że nie, więc Morrigan od razu się ze mną zgodziła.

Flidais roześmiała się w głos.

– Po prostu wykorzystasteś animozje między nimi. To doprawdy przezabawne.

– Poczekaj, to tylko początek. Morrigan osłoniła mój umysł przed Aenghusem Ógiem i Lughiem, i przyznam, że zrobiła to w samą porę. Dowódcy Conna rzucili się na mnie, a ja odkryłem od razu, że choć w jego dłoniach Fragarach jest doskonałym mieczem, w moich jest zupełnie do niczego. Mimo to jednak ledwie zdążyli krzyknąć „Zdrajca!”, a już leżeli w błocie. Ja natomiast znalazłem się nagle wśród wrogów, którzy niczego nie pragnęli tak bardzo jak mnie zabić, w czym pewnie także maczali palce Aenghus Óg i Lugh. Morrigan zasugerowała mi wtedy, że najlepsza droga ucieczki prowadzi przez armię Mogh Nuadhata. Rzuciłem się więc w tę stronę, wymachując Fragarachem z siłą, jaką może mieć druid, który pobiera moc z ziemi, i w rezultacie tnąc ciała na dwoje, aż na moich byłych towarzyszy broni tryskały fontanny krwi. W końcu jednak dotarłem do Hiszpanów Mogh Nuadhata, którzy rozstąpili się przede mną jak

Morze Czerwone przed Mojżeszem...

– Przed kim?

– O, przepraszam. Miałem na myśli tego człowieka z Tory. Uciekał przed armią egipską i poprosił o pomoc boga Jahwe, który sprawił, że Morze Czerwone się rozstąpiło, a Mojżesz i jego żydowscy przyjaciele mogli uciec, ale gdy faraon i jego armia próbowali pójść w ich ślady, morze zalało ich zupełnie i wszyscy utonęli. I podobnie się stało, gdy ludzie Conna próbowali mnie dopaść; Hiszpanie zwarli szeregi i odparli ich atak, a ja mogłem wreszcie, dzięki pomocy Morrigan, umknąć na drugą stronę pola. Ale wtedy właśnie Aenghus Óg postanowił wziąć sprawę w swoje ręce. Objawił mi się ni z tego, ni z owego i zażądał, żebym oddał miecz.

– Nie żartuj sobie ze mnie – powiedziała Flidais.

– Zapewniam cię, że pamiętam to tak, jakby to było wczoraj. Miał na sobie niesamowitą zbroję z brązu, pięknie wykończoną, z tymi granatowymi naramiennikami i zarękawiami. Może kiedyś ją widziałaś?

– Hmm. Dawno temu, tak. Ale to nie żaden dowód.

– Zawsze możesz spytać Morrigan, czy mówię prawdę, bo gdy już mieliśmy się na siebie rzucić z Aenghusem, usiadła mi na ramieniu jako wrona i powiedziała Aenghusowi, żeby spieprzał.

– Naprawdę tak powiedziała?

– Nie. – Zachichotałem cicho. – Przyznaję że to akurat była taka bardowska przesada. Ale powiedziała, że znajduję się pod jej osobistą ochroną i że grożąc mi, naraża się na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Flidais aż klasnęła w dłonie z zachwytu.

– Założę się, że go opadła wścieklizna.

Rozśmieszyła mnie tym do łez. Ileż to czasu minęło, odkąd ostatni raz słyszałem to pyszne wyrażenie? Postanowiłem nie mówić jej, że współcześnie powiedziałyby się raczej, że ktoś się wściekł.

– O tak. Opadła go taka wścieklizna, że mogłyby od niej poginać wilczarze w całej Irlandii.

– I co wtedy zrobił Aenghus?

– Zaczął się upierać, że Morrigan posuwa się za daleko i że ingeruje w sprawy pozostające poza jej domeną. Odrzekła mu, że pole walki jest i zawsze było jej domeną i że może na nim robić, co się jej żywnie podoba. Próbowwała też go pocieszyć, zapewniając, że Conn przeżyje noc i nawet wygra bitwę. On jednak zachował się tak, jakby te ustępstwa należały mu się jak psu buda, i nie omieszkał osobiście mi pogrozić. Wbił we mnie te swoje czarne oczy i poprzysiągł, że czeka mnie życie krótkie i marne. Jestem mu za to niezwykle wdzięczny, bo od tej chwili Morrigan robi wszystko, by jego pogroźka się nie sprawdziła. „Ciesz się zwycięstwem, druidzie, póki możesz – powiedział – bo odtąd nigdy już nie zaznasz spokoju. Moi ludzie i moje faerie będą cię ścigać, póki cię nie osaczą i nie pozbawią twego marnego żywota. W każdej chwili grozić ci będzie zdradziecka śmierć. Tako przysięga Aenghus bla, bla, bla...”

– I dokąd wtedy poszedłeś? – spytała Flidais.

– Tak jak poradziła mi Morrigan, opuściłem Irlandię, by mu utrudnić dotrzymanie słowa. Ale na każdym kroku natykałem się na tych cholernych Rzymian, a oni bynajmniej nie byli przyjaźnie nastawieni do druidów. U władzy był wtedy Antoninus Pius, musiałem więc powędrować aż za Ren, żeby jakoś przed nim uciec. Tam dołączyłem do plemion germańskich. Spłodziłem dziecko, nauczyłem się kilku języków i czekałem parę pokoleń, aż ludzie w Irlandii zapomną o mnie zupełnie. Wykradzenie Fragaracha spowodowało wiele bitew i strasznych, krwawych zabójstw. Bez miecza Conn nie był już w stanie zjednoczyć klanów, a marzenia

Aenghusa Óga o pax Irlandia spełży na niczym. Choć Conn wygrał bitwę i zabił Mogh Nuadhata, musiał się ratować całą płataniną rozejmów i małżeństw, by podtrzymać iluzję pokoju, a wszystko to i tak runęło natychmiast po jego śmierci. Morrigan natomiast mogła przywoływać moje imię, gdy tylko nasza ją ochota podokuczać Aenghusowi Ógowi. Po tym, jak na własne oczy widziałem, że dał się jej zastraszyć, niczego nie pragnął tak bardzo, jak zatrzeć swoje upokorzenie poprzez starcie mnie z powierzchni ziemi.

– Kiedy ostatnio posłużyłeś się Fragarachem?

– Trudno powiedzieć. – Twarz bogini wykrzywiła się nieco. Flidais wyraźnie liczyła na to, że się zapędzę w swej opowieści. Uśmiechnąłem się. – Ale jeśli zastanawiasz się, czy nie utraciłem zdolności posługiwania się białą bronią, to powiem ci, że nie, nie utraciłem.

– Doprawdy? A z kim ty tu możesz się ćwiczyć w fechtunku? Wydawało mi się, że niewielu jest już śmiertelnych, który umieją jeszcze utrzymać miecz w dłoni.

– I słusznie ci się wydawało. Ćwiczę z Leifem Helgarsonem, starym wikingiem z Islandii.

– Chcesz powiedzieć, że jego ród wywodzi się od wikingów?

– Nie, chcę powiedzieć, że on jest wikingiem. Przybył na ten kontynent wraz z Erykiem Rudym.

Brew bogini uniosła się znacząco. Wiedziała dobrze, że nie jestem jedynym śmiertelnym, którzy żyje nieco dłużej niż normalni ludzie, ale zdawało jej się, że zna ich wszystkich. Widziałem, jak się skupia, usiłując przypomnieć sobie każdego z nich po kolei. Szybko jednak doszła do przykrego wniosku, że nie zna żadnego wikinga, i spytała:

– Jak to możliwe? Zawarł jakiś pakt z walkiriami?

– Nie, jest wampirem.

Flidais z dzikim sykiem wyskoczyła z łóżka, lądując w obronnej pozycji, jakby się spodziewała, że mogą ją natychmiast zaatakować. Dołożyłem wszelkich starań, by nawet nie drgnąć. Pozwoliłem sobie jedynie ostrożnie przegiąć głowę, by mieć lepszy widok na idealną rzeźbę jej ciała. Ostatnie promienie słońca wślizgiwały się do pokoju przez żaluzję i pieściły jej lekko opalone nogi pasami cieni.

– Jak śmiesz być w dobrej harmonii z martwiakiem? – Splunęła z obrzydzeniem.

Naprawdę nie cierpię tego sformułowania, chociaż łapię się czasem na tym, że go używam. Ale mimo wszystko od czasów Romea i Julii w zupełności zgadzam się z Merkucjem, gdy oburza się na to, że Tybalt sugeruje harmonię między nim a Romeem. Żeby ukryć poirytowanie, uśmiechnąłem się i próbując udawać elżbietański akcent, przemówiłem:

– W harmonii? Masz-li mnie za muzyka!

– Nie mówię o żadnych muzykach – zdenerwowała się bogini. – Mówię o złym!

Aha, czyli nie należy do fanów Mistrza znad Avonu.

– Wybacz, Flidais. Cytowałem Szekspira, ale widzę, że nie jesteś w nastroju do żartów.

Ale nie, nie powiedziałbym, że żyję w jakiejś szczególnej harmonii z tym konkretnym martwiakiem. Nasza znajomość jest natury czysto biznesowej. Po prostu jestem klientem pana Helgarsona. Jest moim prawnikiem.

– Chcesz przez to powiedzieć, że twoim prawnikiem jest krwiopijca?

– Tak. Jest współnikiem w firmie Magnusson & Hauk. Hauk także jest moim prawnikiem, i także jest z Islandii, ale dla odmiany jest wilkołakiem, toteż zajmuje się klientami za dnia, a Helgarson wykonuje swoją pracę po zachodzie słońca oczywiście.

– Związki z członkami Watahy są dla mnie zrozumiałe, w pełni je popieram, ale igranie z martwiakiem? To tabu!

– I to jedno z mądrzejszych tabu spośród wszystkich znanych w kulturach tego świata, lecz czy ja mówię, że kiedykolwiek z nim igrałem? Nigdy tego nie robiłem i nie zamierzam

nawet. Leif naprawdę nie nadaje się do niczego takiego jak igraszki. Ograniczam się do korzystania z jego usług prawnych i fechtowania się z nim od czasu do czasu, ponieważ jest najlepszym szermierzem w okolicy, a już z pewnością najszybszym.

– Ale dlaczego Wataha współpracuje z wampirem? Jej członkowie powinni go zabić od ręki.

Wzruszyłem ramionami.

– To nie Stary Świat. Nowe miejsce, nowe czasy. Zresztą tak się składa, że mają wspólnego wroga.

Flidais przekrzywiła głowę i spojrzała na mnie wyczekująco.

– Chodzi o Thora, nordyckiego boga piorunów.

– Aha. – Wyraźnie się rozluźniła. – To dużo wyjaśnia. Przeciw niemu nawet salamandra współpracowałaby z syreną. Co on im takiego zrobił?

– Helgarson nie chce mi powiedzieć, ale musiało być to coś bardzo złego, bo wyskakują mu kły na sam dźwięk słowa „Thor” i nienawidzi stolarzy, tylko dlatego że używają młotków. Z Magnussonem i Haukiem sprawa jest prosta: z dziesięć lat temu Thor zabił kilku członków ich Watahy.

– Ten Magnusson to też wilkołak, tak?

– Jasne, to on jest alfą. Hauk jest betą ich Watahy.

– Czy Thor miał jakiś powód, żeby ich zaatakować?

– Hauk twierdzi, że byli sobie po prostu na wakacjach w starych lasach Norwegii, a tu nagle Thor ma kaprys powybijać im pół Watahy. Osiem dobrze wymierzonych piorunów z jasnego przed chwilą nieba. Trudno uznać to za przypadek. – Srebro nie jest jedynym sposobem na zabicie wilkołaka, choć ludzie oczywiście nie mają dostępu do takiej broni jak pioruny, które smażą wilkołaki na śmierć, nim te potężne stwory mają czas nawet pomyśleć o leczeniu.

Flidais milczała przez chwilę i przyglądała mi się uważnie.

– Wygląda na to, że ta pustynia przyciąga bardzo szczególną mieszaninę nietypowych istot.

Znów wzruszyłem ramionami w odpowiedzi.

– To dobre miejsce na kryjówkę. Jak sama wiesz, nie jest tu tak łatwo dotrzeć z krain faerii. Nie pałęta się tu żaden bóg, no, może z wyjątkiem Kojota i sporadycznych gości takich jak ty.

– Kim jest Kojot?

– Bóg tubylców, oszust i żartowniś. Jest kilka jego wersji, które biegają tu i ówdzie po całym kontynencie. To miły facet, tylko trzeba unikać zakładania się z nim o cokolwiek.

– Myślałam, że to terytorium boga chrześcijan.

– W zasadzie tak, ale chrześcijanie mają takie niejasne pojęcie o swoim bogu, że ma on duże trudności z ucieleśnianiem się pod inną postacią jak boga ukrzyżowanego, a sama rozumiesz, że to żadna przyjemność, więc rzadko tu zagląda. Maryja pojawia się częściej. Ta to umie dokonywać niezłych sztuczek, jeśli tylko jest akurat w nastroju. Zwykle jednak siedzi po prostu i emanuje miłością i łaską. I uparła się mówić do mnie „dziecko drogie”, chociaż jestem od niej sporo starszy.

Flidais uśmiechnęła się i wślizgnęła z powrotem do łóżka, jakby zupełnie zapomniała o sprawie wampirów.

– To kiedy właściwie się urodziłeś, druidzie? Kiedy cię poznałam, już wydawałeś mi się dość stary jak na śmiertelnika.

– Urodziłem się za panowania króla Conaire'a Mora, które trwało siedemdziesiąt lat. Kiedy ukradłem Fragarach, miałem już około dwustu lat.

Przerzuciła nogę przez moje ciało i usiadła na mnie okrakiem.

– Aenghus Óg jest przekonany, że Fragarach prawnie mu się należy. – Jej palce zaczęły rysować jakieś skomplikowane wzory na mojej klatce piersiowej, więc powstrzymałem jej rękę, okrywając ją dłonią, co miało wyglądać na czuły, łóżkowy gest. Lepiej, żeby nie rzuciła na mnie jakiegoś czar. Nie żebym ją podejrzewał; po prostu mam taką małą paranoję, jeśli chodzi o te rzeczy.

– Śmiertelni mają tu takie powiedzenie – odparłem. – Samo posiadanie to już dziewięćdziesiąt procent prawa. A ja jestem w posiadaniu Fragaracha o wiele dłużej niż ktokolwiek inny, nie wyłączając samego Manannana Mac Lira.

– Aenghus Óg nie dba o powiedzenia jakichś tam śmiertelnych. Uważa, że ukradłeś mu coś, co mu się należało z urodzenia, i tylko to ma dla niego znaczenie.

– Z urodzenia? Przecież Manannan był jego kuzynem, a nie ojcem. Nie ukradłem jego rodzinnej pamiątki czy coś. Zresztą, gdyby naprawdę tak mu na nim zależało, już dawno sam by się po niego wybrał.

– Nigdy nie przebywałeś w jednym miejscu na tyle długo, by to było możliwe.

Spojrzałem na nią zdziwiony.

– Czy to tylko kwestia zostania w jednym miejscu na jakiś czas? Czy to wystarczy, by zakończyć tę sprawę?

– Niewykluczone. Najpierw naśle na ciebie jakichś swoich sługusów, ale jeśli ich pokonasz, nie będzie miał w końcu wyjścia i stawi się sam we własnej osobie. W innym wypadku wszyscy uznaliby go za tchórza i skończyłoby się to wygnaniem z Tír na nÓg.

– No, to zostanę, gdzie jestem, i ani drgnę – obiecałem i uśmiechnąłem się do niej. – Ale ty dla odmiany możesz się przecież poruszać. Proponuję zacząć od delikatnego ruchu kołyszącego.

Rozdział 6

Położony nieco na północ od Phoenix Zoo park Papago stanowi przedziwną formację wzgórz otoczonych kaktusami teddy bear cholla, karnegiami olbrzymimi oraz krzewami kreozytowymi. Strome zbocza z czerwonej skały podziurawione są niezliczonymi otworami i wnękami. Są to pozostałości powodzi błotnych sprzed piętnastu milionów lat, skamieniałych i zniszczonych przez erozję. Teraz wzgórzka te służą jako plac zabaw dla dzieci w jednej części parku i miejsce do wspinaczki dla ambitnych w drugiej, a w odgradzonej części na terenie zoo zamieszkują je owce kanadyjskie. Te ostatnie można zobaczyć – choć z rzadka, to jest tylko wtedy, gdy raczą się komuś ukazać – z tej części zoo, która zwie się szumnie: Arizoński Szlak. Nawet wtedy jednak obserwatorzy mogą być zmuszeni do użycia lornetki, by je dobrze zobaczyć, bo nie jest to typowy wybieg zoologiczny, lecz raczej mały rezerwat, w którym owce pozostawione są same sobie i mają święty spokój, przynajmniej miały, póki nie odkryliśmy ich ja i Oberon.

Zwykle kiedy polowałem z Oberonem, przybierałem postać wilczarza o rudej sierści z białymi pasami, nieco wyższego od Oberona i z ciemnymi znakami na prawym boku, które są pozostałościami moich tatuaży. Gdybym chodził tam po prostu z łukiem, a Oberon by mi je tylko naganiał, polowanie byłoby pewnie znacznie prostsze, ale o ileż mniej dawałoby nam satysfakcji.

Oberon upierał się polować na nie „po staremu”, zupełnie głuchy na moje wyjaśnienia, że ogary były przecież wyhodowane, by polować na wilki w lesie oraz konie przy rydwanach na polach bitwy, a nie, żeby skakać po skalistych wzgórzach za zwinnymi baranami. Polowanie na owce stanowiło wyzwanie, właśnie dlatego że teren był stromy, nieprzyjazny dla łap, a każde zsuniecie ze skał niechybnie skończyłoby się wyładowaniem na kaktusie – kto kiedykolwiek miał bliskie spotkanie z teddy bear cholla, wie aż za dobrze, że należałoby raczej usunąć słowo „teddy” z jego nazwy, bo ta roślina ma o wiele więcej wspólnego z prawdziwym niedźwiedziem niż z pluszowym misiem. W takich warunkach nie mogło być mowy o rozwinięciu pełnej prędkości i złapaniu ich tak po prostu.

Kiedy wreszcie dotarliśmy do parku, Oberon był już w takim nastroju, że mógłby zabić wszystko, co się rusza. Próbował nawet postraszyć jelenie Flidais, ale szybko okazało się, że to nie takie łatwe, co doprowadziło go niemal do szału. Gdy jechaliśmy rydwanem, dochodziły mnie urywki ich rozmów:

<Gdybyście nie były pod opieką bogini, schrupałbym was sobie na kolację> przechwalał się.

<Może gdybyś miał ze sobą ze czterdziestu kumpli> wyśmiały go. <Jeden taki szczeniak jak ty to dla nas betka>.

Ho! Ho!

<Nie byłybyście takie odważne, gdyby nie było tu waszej bogini>.

<Doprawdy? Zostawia nas same na długo i w dodatku jesteście wtedy uwiązane. Spróbuj nas wówczas zaczepić, a zobaczysz, co się stanie, chucherko ty>.

Oberon warknął dziko, obnażając kły, a ja nakazałem mu spokój, ze wszystkich sił starając się nie pokazać po sobie rozbawienia. Ależ był wściekły. Żeby kilka jeleni wyzwało takiego olbrzyma jak on od chucher? Naprawdę wiedziały, jak zaleźć psu za skórę.

Gdy Flidais spytała, gdzie zaparkować rydwan, wskazałem miejsce przed grobowcem Hunta, małą, białą piramidą, którą z jakichś niepojętych dla mnie powodów ktoś postawił tu na jednym ze wzgórz, by w ten dziwny sposób uczcić miejsce spoczynku pierwszego gubernatora Arizony. Od reszty parku oddzielał ją płot, ale dzięki jakiejś magii Flidais jelenie po

prostu go przeskoczyły, gwałtownie szarpiąc rydwanem, po czym z gracją wylądowały po drugiej stronie ogrodzenia.

<Umiałbyś tak skoczyć, psiuniu?> spytał Oberona złośliwie jeden z nich.

Mój wilczarz w odpowiedzi wydał pomruk, który nie przypominał żadnego słownego komunikatu. Zeszliśmy z rydwanu, a Oberon zaszczekał na nie raz jeszcze, nim zdążyłem go przywołać do nogi.

– Dziś polujemy na owce – przypomniałem mu.

<Chodźmy więc> odparł, gdy jelenie parsknęły śmiechem.

– Jesteś gotów, druidzie? – spytała Flidais, zarzucając kołczan na plecy, więc oczyściłem głowę z wszystkich myśli i poprzez tatuaż wiążący mnie z ziemią wezwałem moce, by pobrać siłę z pustyni. Opadłem na cztery łapy, przybrawszy postać wilczarza.

Druidzka tariantropia w niczym nie przypomina wilkołaczej, poza tym może, że oba te procesy są natury magicznej. Jedna z zasadniczych różnic polega na tym, że mogę zmieniać formę (lub jej nie zmieniać), kiedy tylko chcę, niezależnie od pory dnia czy fazy księżyca. Poza tym w przeciwieństwie do likantropii moja przemiana przebiega właściwie zupełnie bezboleśnie. Dodatkowo mogę przemieniać się też w kilka innych zwierząt, choć nie w tak znowu wiele.

W praktyce jednak staram się nie pozostawać w zwierzęcej formie ze względów psychologicznych. Choć mogę niby jeść wszystko to co dane zwierzę i nic mi nie będzie, to jednak mam duże opory psychiczne przed wrąbaniem całej myszy, gdy jestem sową, czy pożeraniem surowej sarniny jako wilczarz. Kilka tygodni temu upolowaliśmy w Kaibab Forest sporą łanię i musiałem odejść na bok i poczekać, aż Oberon się posili. W zasadzie te polowania są bardziej dla niego niż dla mnie. Ja lubię tylko samą pogoń i to ciepłe uczucie, które ogarnia człowieka, gdy wie, że kogoś uszczęśliwia.

Tym razem jednak, gdy tylko zmieniłem się w psa, poczułem, że coś jest inaczej. Mój umysł był jakiś zamroczony i dziwnie żądny krwi. Wywahałem owcę w nocnym powietrzu, poczułem bliskość jeleni i zamiast po prostu przyjąć do wiadomości te wonie, zacząłem umierać z głodu, a z pyska pociekła mi ślina. Coś tu było nie tak i powinienem był od razu wtedy wrócić do ludzkiej postaci.

Flidais podeszła do ogrodzenia i jednym sprawnym ruchem wyrwała jego część z ziemi, po czym gwizdnęła i dała nam znak, żebyśmy przebiegli. Prześlizgnęliśmy się przez tę wyrwę i popędziliśmy w stronę wzgórz, na których zwykle polowaliśmy. Staraliśmy się biec jak najciszej, żeby nie dać znać owcom, że nadchodzimy. Od ich rezerwatu oddzielał nas jeszcze jeden płot i tu również Flidais ułatwiła nam zadanie.

– Teraz, moje pieski! Biegiem! – szepnęła, wyrwawszy kolejny kawał płotu, a gdy tylko to powiedziała, poczułem się tak, jakbym naprawdę był jej psem, a nie żadnym druidem, nawet nie człowiekiem, ale po prostu częścią sfory. – Wypłoszcie barana ze wzgórz i wystawcie mi go pod łuk.

Popędziliśmy więc szybciej niż kiedykolwiek przedtem, wymijając kaktusy w słabym świetle gwiazdzonego nieba, a ja byłem coraz mniej świadomy magii, która na mnie działała i która bynajmniej nie należała do mnie. W zasadzie jednak mój naszyjnik z amuletem z zimnego żelaza, teraz nie większy niż zwykła obroża, powinien bronić mnie przed złą magią, więc za bardzo się nie przejmowałem.

Wkrótce znaleźliśmy owce. Spały schowane w gąszczu krzaków kreozytowych, ale od razu usłyszały, jak sadzimy susami po piasku, i zerwawszy się, wskakiwały na niemal zupełnie pionowe wzgórze. Dopiero wtedy je ujrzeliśmy. Spięliśmy się w sobie i rzuciliśmy za nimi w górę zbocza. Z trudem udało mi się skoczyć, nie spadając w urwisko, ale Oberon źle wymierzył swój skok i potoczył się do tyłu, sapiąc ciężko.

<Obiegnij wzgórze i czekaj na dole> powiedziałem. <Ja ci je nagonię>.

<Dobrze> zgodził się. <Kto nie ma w nogach, ten ma w głowie>.

Podążylem wzrokiem za uciekającymi owcami i popędziłem za nimi, zmuszając nogi do nadludzkiego wysiłku. Ku mojemu zdumieniu byłem coraz bliżej stada, więc nawet pozwoliłem sobie na kilka szczeknięć, żeby kompletnie pogłupiały ze strachu. To one jednak były stworzone do biegania po tych stromych wzgórzach, nie ja, i w końcu dystans między nami się zwiększył, bo musiałem czasem przystawać, by szukać lepszych miejsc do skoku i półek, o które mógłbym zaczepić łapę. Gdy zniknęły mi za szczytem wzgórza i popędziły w dół po drugiej stronie, znów zacząłem szczekać, żeby miały pewność, że jestem blisko, i nie zatrzymały się przypadkiem. Chciałem, żeby wypadły wprost na Oberona.

Oczywiście nie miałem pojęcia, gdzie dokładnie czeka Oberon, ale liczyłem na to, że moje szczekanie pozwoli mu określić, z której strony nadciągamy.

Zbieganie ze wzgórza było znacznie trudniejsze niż wbieganie. Cienie padały w taki sposób, że nie byłem w stanie zgadnąć, czy następny krok trafi w skalne podłoże, czy to tylko złudzenie. Lecz blade plamy w miękkie, granatowe pasy, które to pojawiały się, to znikwały przede mną, dawały mi jako takie pojęcie o tym, co mnie czeka. Pędziły niemal dokładnie na południe i nie słyszałem nic poza dudnieniem ich racic na skałach, własnym sapaniem i szczekaniem. Jeśli Oberon i Flidais czaili się gdzieś przed nami, to byli bardzo ostrożni i niczym nie zdradzali swojej obecności.

Szczekałem nadal, choć bardziej, by zagłuszyć ewentualne pomruki Oberona, niż z radości, że zmniejszam odległość między nami. Zatrzymałem się nad ostrym urwiskiem. Żeby je pokonać, musiałbym pobiec spory kawał na zachód, nim zdołałbym zejść bezpiecznie, a tymczasem owce były coraz dalej. Zostałem więc i ograniczyłem się do obserwacji. Okazało się, że Oberon już czeka za krzakiem kreozytowym rosnącym tuż obok miejsca, gdzie owce zbiegły ze wzgórza. Do następnego wzniesienia było może z pięćdziesiąt metrów, z rzadka pokrytych jakąś mniejszą roślinnością. Oberon odciął im drogę do niego, a ja czekałem z tyłu, więc owce zwróciły się na wschód, żeby pobiec między wzgórzami. Gdy tylko ich sylwetki pojawiły się na tle rozgwieżdżonego nieba, mignęła strzała, a jedno ze zwierząt upadło i zabeczało. Reszta stada popędziła dalej przed siebie.

Oberon rzucił się na upolowane zwierzę, żeby je dobić, ale nie było takiej potrzeby. Strzała Flidais ugodziła je w samo serce, a ona sama przybędzie z pewnością za chwilę po swoją zdobycz. Zacząłem schodzić ze wzgórza, zastanawiając się, czy bogini będzie usatysfakcjonowana. Polowanie nie trwało zbyt długo; wystawiliśmy je zbyt dokładnie, pewnie dlatego, że zbyt dobrze znaliśmy już teren.

Niestety wyglądało też na to, że nasze poprzednie wizyty nie pozostały bez echa. Gdy dotarłem wreszcie do miejsca zbrodni, gdzie Flidais zajęła się sprawianiem ofiary, a Oberon stał tuż przy niej, ni z tego, ni z owego wyrósł przed nami strażnik leśny z latarką i ze strzelbą. Zażądał dość głośno, byśmy się nie ruszali, po czym oślepił nas swoim halogenem.

Trudno by było o większe zaskoczenie. Teoretycznie nie powinien być w stanie zaskoczyć żadnego z nas, a już na pewno nie całej trójki. Lecz nie należy robić przykrych niespodzianek żadnemu Tuatha Dé Danann – nim miałem czas się obejrzeć w stronę strażnika, Flidais wyciągnęła z pochwy nóż i cisnęła nim na lewo od światła. Nie celowała, ba! nawet nie patrzyła w jego stronę, więc nóż go nie zabił, ale utkwiał w jego lewym ramieniu. Mężczyzna krzyknął i upuścił latarkę, co znacznie utrudniłoby mu celny strzał, gdyby miał ochotę na strzelaninę. Okazało się, że owszem – miał. Nocną ciszę rozdarło kilka strzałów. Poczułem, jak jedna z kul ociera się o mój kręgosłup, i usłyszałem, że druga utknęła w kaktusie na lewo ode mnie. Flidais mruknęła niezadowolona, gdy kula trafiła ją w rękę, potem ryknęła z wściekłości,

gdy dotarło do niej, co się stało.

– Zabij go! – wrzasnęła, a ja z posłuszną bezmyślnością rzuciłem się naprzód wraz z Oberonem, w przeciwieństwie do niego jednak po kilku sekundach zdobyłem się na samodzielną myśl i przystanąłem. Zabicie strażnika leśnego równałoby się sprowadzeniu na siebie całej okolicznej policji, być może zmusiłoby nas nawet do ucieczki z Arizony, a ja naprawdę nie miałem ochoty opuszczać Tempe. Wróciłem do ludzkiej postaci i natychmiast poczułem w umyśle zwykłą jasność myślenia. Gdy byłem wilczarzem, Flidais przejęła kontrolę nade mną tak, jak wciąż kontrolowała teraz Oberona; tak zresztą, jak mogła sprawować pełną władzę nad wszystkimi zwierzętami. Bez zimnego żelaza Oberon nie miał żadnych szans oprzeć się jej rozkazom i w okamgnieniu powalił strażnika, który darł się teraz pod nim przeraźliwie. Próbowałem go zawołać, ale nic to nie dawało. Flidais w pełni przykuła jego wolę do swojej; nawet nie byłem w stanie wyczuć jego zwykłej mentalnej obecności.

– Flidais! Uwolnij mojego psa! – syknąłem i w tym momencie ustały wrzaski mężczyzny. Było już za późno. Bez żadnych większych szopek, dramatycznych warknięć czy rozedrganych skrzypiec w tle mój pies po prostu rozdarł nieszczęśnikowi gardło.

Myśli Oberona wróciły i mój umysł zalała powódź pytań.

<Atticusie, co się stało? Czuję jakąś krew? Co to za człowiek? Gdzie jestem? Przecież mieliśmy polować na owce. To nie ja to zrobiłem, prawda?>.

Odsuń się od niego, a zaraz wszystko ci wyjaśnię – powiedziałem. Jeśli ktoś widział tyle śmierci, co ja i Flidais, nie traci czasu na wyrażanie zadziwienia czyimś nagłym końcem. Nie ma bełkotu, zawrota głowy i rwania sobie włosów z głowy. Jest tylko chłodna ocena sytuacji i jej konsekwencji. Lecz jeśli konsekwencje są bardzo poważne, odrobina emocji jest nie do uniknięcia.

– To nie było konieczne! – krzyknąłem, ale naumyślnie nie odrywałem oczu od ciała. – Przecież byśmy go rozbroili. Jego śmierć przysporzy mi i mojemu psu wielu kłopotów.

– Ależ skąd – odrzekła Flidais. – Po prostu pozbędziemy się ciała.

– To nie jest już takie proste jak dawniej. W końcu je znajdą, a wtedy odkryją też DNA psa w jego ranach.

– Masz na myśli śmiertelnych? – spytała łowczyni.

Co robić w sytuacji, gdy chciałoby się błagać bogów, by dali człowiekowi cierpliwość, a tymczasem się ją traci właśnie z powodu bogini?

– Tak, śmiertelnych! – warknąłem.

– Co to jest to całe deena?

Zazgrzytałem zębami i w tym samym momencie pustynne powietrze zadrżało od krótkich, wysokich skowytów Kojota. Śmiał się ze mnie.

– Mniejsza z tym.

– Moim zdaniem dobrze się stało, że już jest martwy. Postrzelił mnie i próbował strzelić do ciebie. A w dodatku zaskoczył mnie, a to nie powinno się być nigdy zdarzyć.

Muszę przyznać, że to zaostriło moją ciekawość. Podeszedłem bliżej do ciała, odganiając Oberona.

<Atticusie?> niemal zaskomlał. <Jesteś na mnie zły?>.

Nie, Oberonie – odpowiedziałem. – *To nie ty to zrobiłeś. To Flidais. Po prostu użyła twoich zębów jako broni tak, jakby użyła noża czy łuku.*

Teraz naprawdę zaskomlał.

<Czuję się podle. Niedobrze mi. Oooj!>.

Kaszał i krztusił się, aż zwymiotował na suchą, skalistą ziemię.

Przykucnąłem, żeby się przyjrzeć strażnikowi. Był to młody Latynos o rozwichrzonych

wąsach i grubych wargach. Jego aura już zdążyła zniknąć, dusza uleciała gdzie indziej, ale gdy posłużyłem się jednym z moich uroków na naszyjniku, żeby sprawdzić jego widmo magiczne, dojrzałem ślady druidzkiej magii w diamentowym kolczyku w jego lewym uchu. To było co najmniej niepokojące.

Wstałem i wskazałem go ręką.

– Flidais, on ma magiczny kolczyk. Byłabyś w stanie określić jego cel lub pochodzenie?

W zasadzie to ostatnie było dla mnie oczywiste, choć pewne węzły w magicznych splotach pozostawały dla mnie zagadką. Pytałem raczej, żeby ją sprawdzić: jeśli Flidais potwierdzi druidzkie pochodzenie kolczyka, a może nawet rozpozna jego cel, nie gra na dwa fronty. Jeśli jednak będzie próbowała mi wmówić, że to jakieś wudu albo inne lichy, to będę miał już pewność, że gramy w przeciwnych drużynach. Buty Flidais zaszurały po pustynnej powierzchni. Zupełnie już zapomniała o swoim trofeum i rannej ręce. Przykucnęła przy głowie strażnika i przyjrzała się kolczykowi.

– Tak, rozpoznałem ten splot. Nie jest to byle jakie zaklęcie. Na pewno nie zrobiła tego pierwsza z brzegu faeria. Ten mężczyzna działał pod kontrolą kogoś z Tuatha Dé.

– To mi wystarczy – powiedziałem, stwierdziwszy z ulgą, że mówi prawdę. – Głowę daję, że to sam Aenghus Óg. Najpierw dał mu zaklęcie okrywające, a potem zdjął je z niego nagle, tuż przed tym, jak facet otwierał usta, żeby mieć pewność, że nas zaskoczy, a co za tym idzie, że strażnika czeka natychmiastowa śmierć. Aenghus uwielbia takie właśnie zabawy żywymi marionetkami. – Nie dodałem, że na moje oko także Flidais gustuje w takich rozrywkach. Sama myśl o tych istotach, które tak lubowały się w pozbawianiu innych wolnej woli, sprawiała, że najchętniej dołączyłbym do Oberona w porządnym katartycznym oczyszczeniu żołądka.

Kiedyś zgooglowałem nawet Aenghusa, żeby zobaczyć, co śmiertelni wiedzą o jego prawdziwej naturze. Znalazłem opisy przedstawiające go jako boga miłości i piękna, z krążącymi mu nad głową czterema ptakami, które miały jakoby symbolizować jego pocałunki czy inne tego rodzaju wierutne bzdury. Kto by wytrzymał cztery ptaki latające cały czas nad głową? Bez przerwy drące dzioby i spuszczone wiadomo co? Na pewno nie Aenghus. Ale trafiłem też na źródła przedstawiające trafniejszy obraz jego charakteru, wspominające o niektórych jego wyczynach, takich jak na przykład zabranie domu własnemu ojcu za pomocą zwykłego oszustwa czy zabicie ojczyzna i przybranej matki. Albo choćby to, jak zostawił dziewczynę, która tak się w nim beznadziejnie kochała, a ona zmarła z rozpaczony ledwie kilka tygodni później. To zdecydowanie bardziej do niego pasowało.

Nie, celtycki bóg miłości to nie cherub z uroczymi skrzydełkami ani syrena zrodzona w wielkiej, morskiej muszli. Nie jest dobrotliwy, nie jest łaskawy, nie jest nawet miły, a przynajmniej bardzo rzadko. Choć mówię o tym z przykrością, bo w końcu świadczy to o moim własnym ludzie, nasz bóg miłości to bezwzględny zdobywca, kompletnie egoistyczny i ponad miarę mściwy. Jakby dla zilustrowania tej myśli rozległ się nagle ryk policyjnych syren.

– Czy nie jest to przypadkiem ten dźwięk, którego używają organy ścigania śmiertelnych?
– chciała wiedzieć Flidais.

– Tak, to on właśnie.

– Myślisz, że tutaj jadą?

– To pewne. Aenghus wysłał tego człowieka na śmierć – powiedziałem, wskazując znów na strażnika – a teraz chce, byśmy mieli z tego powodu jak najwięcej kłopotów.

Szansa na to, że policja nie będzie wiedziała, gdzie nas szukać, równała się mniej więcej zeru.

– I domyślam się – zauważyła nieco wyniosłym tonem Flidais – że wolałbyś, żebym nie zabijała tych śmiertelników, mimo że pozwoliłoby mi to w spokoju sprawić moje trofeum.

Nie żartowała. Najchętniej naprawdę zabiłaby ich wszystkich bez żadnych skrupułów. Jej ton dawał mi jasno do zrozumienia, że powinienem być jej dozgonnie wdzięczny za to, że się zorientowała, iż mogę mieć inne zapatrywania na ten temat.

– Słusznie się domyślasz, Flidais. Żyjąc wśród śmiertelnych, podlegam ich prawom i naprawdę nie chciałbym ściągać na siebie zbyt wiele uwagi.

Łowczyni westchnęła poirytowana.

– Zatem czas nagli. Jedyne, co mogę w takiej sytuacji zrobić, to sprawić, by pochłonęła go ziemia – stwierdziła, wrywając nóż z ramienia trupa.

– Policja wyciągnie go, gdy tylko zdążymy stąd odejść. – Pokręciłem głową. – Ale zrób to, bo cóż innego nam pozostaje. Może to przynajmniej nieco pobrudzi dowody.

Bogini przemówiła w starym języku, a skóra wokół jej tatuaży rozbłysła jasno, gdy pobierała moce z ziemi. Zmarszczyła lekko czoło – nie było ich tu tak wiele jak w Starym Świecie, a ich pobranie kosztowało ją więcej wysiłku, niż się spodziewała. Lecz gdy zamachała rękoma i powiedziała: „Oscail”, ziemia pod strażnikiem posłusznie zareagowała. Najpierw piach na powierzchni usunął się spod niego z chrzęstem, potem skała pod nim zaczęła się zapadać i marszczyć, aż w końcu zaczął tonąć. Gdy był ledwie kilka stóp pod powierzchnią, Flidais zamachała w przeciwnym kierunku, wymamrotała: „Dún” i ziemia zamknęła się nad ciałem. Była to mało zaawansowana magia, którą sam mógłbym wykonać, lecz zrobiłbym to nieporównywalnie wolniej. Efekty jednak nie były zbyt oszałamiające: ziemia nad trupem wyglądała na świeżo skopaną, więc policja nie będzie musiała długo się zastanawiać, gdzie szukać zwłok. Syreny były coraz bliżej.

– Do rydwanu! – zawołała Flidais, popędziłem więc stumilowym niemal krokiem, a za mną Oberon. Bogini przystanąła tylko, by chwycić łuk i wyrwać strzałę z barana, po czym natychmiast nas dogoniła.

Gdy dopadliśmy do rydwanu, syreny już umilkły i posłyszeliśmy huk zatrząskiwanych drzwiczek gdzieś na południe od nas. Jeśli, w co nie wątpiłem, mieli ze sobą jakiegoś przewodnika, dotrą do ciała w ciągu kilku minut.

<Czemuż to nie machasz ogonkiem, psiuniu?> spytał drwiąco jeden z jeleni.

<Byłeś może niegrzeczny?> dorzucił drugi.

Flidais kazała im się zamknąć, nim sam zdążyłem to uczynić, a Oberon na szczęście zmilczał tę obelgę. Rzuciła na nas zaklęcie niewidzialności – co to jest jednak za genialna sztuczka! – i ruszyliśmy bez chwili zwłoki.

Bogini polowań kipiała ze złości.

– Moje pierwsze polowanie na coś nowego w epoce człowieka – syczała przez zaciśnięte zęby – i co? Aenghus Óg tak po prostu mi je zrujnował. Popamięta mnie jeszcze. Łowczyni umie czekać na swój czas zemsty. Nie brak mi cierpliwości.

– Jesteś zatem w lepszej sytuacji niż ja – odparłem, mimo że uważałem ją za niebezpieczną socjopatkę. – Bo przyznam, że ja już jestem na granicy cierpliwości.

Rozdział 7

Przeprosiwszy Flidais serdecznie i podziękowawszy jej z całego serca za odwiedzinę, odważyłem się zasignalizować, że gdy tylko wrócę do domu, muszę się zająć przygotowaniami, skoro mam zostać niebawem zaatakowany przez Firbolgów. Na szczęście w lot pochwyciła moja myśl i dała wyraz swojej gotowości do pozostawienia mnie samemu sobie.

– Mam nadzieję, że zwyciężysz, druidzie, bo wtedy może znów kiedyś wybralibyśmy się na jakieś miłe polowanie. Masz moje błogosławieństwo. – Poklepała Oberona po głowie z czułością (mimo że zrobił dość niegrzeczny unik), pomachała nam na pożegnanie, po czym zniknęła. Mieliśmy zatem jej błogosławieństwo, ale w żadnym wypadku nie jej łuk czy inne bardziej konkretne wsparcie. Nie mogła sobie pozwolić na to, by stanąć po mojej stronie w starciu z jednym z Tuatha Dé Danann.

Zrobiwszy porządny wydech, żeby pozbyć się choć odrobiny tego spięcia, które wywoływała sama jej obecność, opadłem na krzesło przy kuchennym stole. Oberon przyczłapał do mnie natychmiast, ze spuszczoneym łbem i podkulonym ogonem.

<Przepraszam, Atticusie> powiedział.

To nie była twoja wina – przypomniałem mu. – Posłużyła się tobą tak, jak każdą inną bronią, a w dodatku Aenghus Óg ukartował całe to zabójstwo. Teraz jednak musimy poradzić sobie z jego konsekwencjami.

<Dlatego, że go zabiłem> rozpaczał Oberon.

Flidais kazała ci go zabić. Choć oczywiście to ciebie zabiją, jeśli policja dojdzie, że to ty to zrobiłeś.

<Nawet nie pamiętam tego momentu>.

Wiem. I właśnie dlatego nigdy więcej nie będziemy już z nią polować. Nawet na mnie miała o wiele za silny wpływ i wcale mi się nie podobało pozostawianie pod jej kontrolą.

<Nigdy przedtem z nią nie polowałeś?>.

Nie pod postacią zwierzęcia. Kiedyś polowaliśmy razem na Ukrainie. Pomogła mi sporo, jeśli chodzi o strzelanie z łuku z konia, bo to jest cholernie trudne, wierz mi, ale zbiry z hord Czyngis-chana opanowały tę sztukę do perfekcji, więc nie miałem wyjścia.

<Pojęcia nie mam, o czym ty mówisz>.

Mniejsza z tym. Słuchaj, musimy cię wyszorować. Marsz do łazienki.

<Nie wystarczy, jak się wytarzam w ziemi?>.

Nie. Musisz być superczysty. Wystarczy, że znajdą na tobie odrobinę krwi, i jesteś martwy.

<Nie pozwolisz im mnie dorwać, prawda?>.

Nie, jeśli to tylko będzie w mojej mocy, Oberonie. Chodź już! Do wanny!

Wstałem z krzesła, a Oberon zaczął wlec się przede mną po korytarzu w stronę łazienki, ale po chwili już wymachiwał ogonem.

<Opowiesz mi o źdźwirach Czyngis-chana, jak się będę kąpał?>.

Zbirach, nie źdźwirach. Ale miał i to, i to, jeśli już chodzi o ścisłość.

<Musiał być bardzo zajęтым facetem>.

Żebyś wiedział.

Spędziliśmy miłą chwilę z mydlinami i skróconą wersją historii imperium Czyngis-chana, a potem zabrałem się do przygotowań na przybycie Firbolgów, co w praktyce oznaczało pójście do łóżka. Nie zaatakują mnie przecież w domu, bo będą myśleli, że jest zbyt dobrze chroniony (i będą mieli całkowitą rację). Będą pewnie czekali, aż wyjdę poza mój własny teren, a wtedy rzucają się na mnie wszyscy razem jak banda łobuzów na szkolnym podwórku. Odprężyłem się więc i

udałem na nocny spoczynek.

Rano bez pośpiechu usmażyłem sobie omlet z serem i szczypiorkiem, dodałem odrobinę tabasco i zjadłem go z razowym tostem. Usmażyłem też kilka kiełbasek, ale głównie dla Oberona. Zaparzyłem dzbanek jakiejś świeżo zmielonej, ekologicznej kawy z Ameryki Środkowej (ja wolę czarną, ale Oberon lubi ze śmietanką do kawy Cafe Mate o smaku Irish Crème, schłodzoną kilkoma kostkami lodu).

<Czy Czyngis-chan pił czarną kawę?> spytał Oberon, który po mojej opowieści zapragnął zostać Czyngis-chanem psów. Chciał mieć harem pełen francuskich pudlic, przy czym wszystkie nazywałyby się Fifi albo Bambi. Był to jeden z jego zabawnych zwyczajów: bywał już w przeszłości Władem Palownikiem, Joanną d'Arc, Bertrande Russellem i kilkoma innymi postaciami historycznymi, o których mu akurat opowiedziałem, kiedy go myłem. Szczególnie dobrze na moje samopoczucie wpływał jego okres à la Władziu Valentino Liberace. Mówię wam – nic nie wiecie o życiu, jeśli nie widzieliście wilczarza irlandzkiego paradyującego po pokoju w lśniącej, złotej lamie nabijanej ćwiekami ze strasów.

W ogóle nie pił kawy – odpowiedziałem. – *Był raczej z tych, co pijają herbatę. Albo mleko jaka. Kawy w tamtych czasach nie było akurat w okolicy.*

<To w takim razie, jeśli mogę, poproszę o herbatę>.

Oczywiście, dodam ci do niej lodu, żebyś sobie nie poparzył języka.

Gdy już pozmywałem, a Oberon-chan zaspokoił pragnienie herbatą, uznałem, że nadszedł czas na wystawienie się na atak. Najpierw jednak udałem się boszo na podwórze za domem, a Oberon stanął na warcie. Podlałem zielony ogródek od prawa do lewa, przemawiając odpowiednio do każdej z roślin i zachęcając je do rośnięcia. Zioła znajdowały się w skrzynkach ustawionych na półkach, które były umocowane na płocie. Pod nimi, w ogródku, rosło trochę warzyw, a resztę podwórka stanowiły włości Oberona, który mógł się tu tarzać do woli. Większość ziół miała właściwości lecznicze, ale kilka hodowałem dla ich kulinarnych zastosowań.

Podczas tego nudnego obowiązku połączyłem się z ziemią, by sprawdzić moje domowe zabezpieczenia. Przesyłając świadomość w dół poprzez tatuaże, przejrzałem wszystko pod kątem ewentualnych dziur w splotach, a potem rozejrzałem się wokół, żeby sprawdzić, czy jestem sam i nikt mnie nie obserwuje. Na jadaloszynie u sąsiada siedział sobie strzyż kaktusowy i przyglądał mi się uważnie, ale odleciał natychmiast, gdy machnąłem na niego ręką, więc uznałem go za zwykłego ptaka, a nie żadnego znajomego. Dotarliśmy do ostatniej skrzynki na lewo, odstawiłem konewkę i pokręciłem głową.

– Tymianku nigdy dość – mruknąłem pod nosem, zdejmując skrzynkę z ziołami z półki i odwracając ją do góry dnem na trawniku. Owionął mnie silny zapach gliny i kompostu, a moim oczom ukazał się długi, wąski pakunek, mocno owinięty impregnowanym materiałem. – Niemożliwe – dodałem, udając zdziwienie, ale Oberon od razu rozpoznał ton mojego głosu i nawet nie raczył odwrócić łba. – Ktoś mi tu ukrył jakiś stary magiczny miecz pod ziołami. Ludzie są naprawdę niepoważni.

Teraz znajdowałem się tak naprawdę w największym niebezpieczeństwie, ponieważ kryjówka została ujawniona, a jednocześnie na mieczu wciąż tkwiły trzy magiczne sploty oraz równie magiczna osłona, uniemożliwiająca posłużenie się nim każdemu, kto by tylko spróbował, mnie nie wyłączając. Sploty założyłem sam i w zasadzie jako druid niczego innego nie mogłem zrobić. Zajmujemy się głównie splataniem różnych rzeczy i rozplątywaniem ich. Na przykład, kiedy zmieniam swoją postać, splatam mojego ducha z postacią zwierzęcia. Wzywanie mgły czy wiatru jest także formą splatania, tak zresztą jak kamuflowanie się czy umożliwienie Oberonowi słuchania moich myśli. Wszystko to da się zrobić po prostu dlatego, że i tak jesteśmy spleceni ze

światem natury, gdyż w nim żyjemy. Nie byłibyśmy w stanie niczego z niczym spleść, gdyby nie było nici łączących nas z naturą. A ponieważ druidzi widzą te połączenia i wiedzą, że to, co z pozoru odległe, może być w rzeczywistości bardzo ściśle powiązane, umiemy przepowiadać przyszłość znacznie lepiej niż większość stworzeń praktykujących czary. Dzięki znajomości natury jesteśmy także najlepszymi zielarzami, bez trudu wytwarzamy leki, trucizny, a nawet różne trunki. Możemy biec, zupełnie się nie męcząc, bo w czasie biegu cały czas pobieramy moc z ziemi. Umiemy też stosunkowo szybko wracać do zdrowia. Jednym słowem przydajemy się do tego i owego. Ale jednak nie mamy w zwyczaju rzucać kulami ognia, latać na miotłach czy sprawiać, by eksplodowały głowy naszych wrogów. Tego rodzaju magia możliwa jest tylko przy bardzo odmiennym od naszego spojrzeniu na świat oraz przy spleceniu własnego ducha z wyjątkowo niesympatycznymi istotami.

Sploty na Fragarachu były proste, ale skuteczne. Jeden z nich sprawiał, że materiał dokładnie oblekał miecz; drugi trzymał go na stałe w pochwie; a trzeci uniemożliwiał mu opuszczenie mojego podwórka. Wszystkie trzy można było oczywiście rozsypać, ale tylko jeśli się miało odrobinę mojej krwi i śliny, a żadnej z tych cieczy nie rozdają za darmo.

Lecz najlepszym zaklęciem chroniącym teraz Fragaracha była magiczna osłona – kryła cały miecz, tak że nie wydawał się on w ogóle żadnym magicznym przedmiotem. Nawet ja – mimo że wiedziałem dobrze, iż moje sploty znajdują się tuż przed moim nosem – nie byłem w stanie ich wyczuć. I mimo że Fragarach jest jednym z najpotężniejszych magicznych przedmiotów, jakie kiedykolwiek stworzono, i w normalnych warunkach powinien dosłownie aż buczeć od całej tej faerycznej mocy, to leżał sobie właśnie przede mną spokojny niczym rekwizyt z teatrzyku. Teraz miałem też pewność, że osłona działa także na Tuatha Dé Danann, bo Flidais najwyraźniej go nie zauważyła podczas swojej wizyty.

Osłona ta stanowiła zaklęcie przewyższające moje możliwości. Tego typu czary nie należą do repertuaru druidów. Rzuciła je dla mnie pewna zaprzyjaźniona wiedźma imieniem Radomila, a ja w zamian wskoczyłem na pokład samolotu do San Francisco, podjechałem do Mendocino i zmieniłem się w wydrę morską, dzięki czemu byłem w stanie wydobyć ozdobny, złoty naszyjnik z kilkoma wielkimi rubinami, tkwiący w zaciśniętej dłoni kościotrupa, który – co zastanawiające – znajdował się dokładnie tam, gdzie przewidziała Radomila. Była nadszpedzowana zadowolona, gdy jej dostarczyłem ten naszyjnik, choć nawet dwa milenia wiedzy tajemnej nie starczyły mi, by zrozumieć, cóż niby było tak wyjątkowego w tym starym cacku. Ale kto by tam rozumiał, co siedzi w głowie wiedźmy.

Dla mnie ważne było, że nasza umowa zakładała, iż nie da się zdjąć osłony z miecza bez kałuży moich łez, a te z kolei były towarem po prostu niedostępnym, póki nie obejrzałem *Pola marzeń*. Kiedy Kevin Costner pyta na samym końcu tatę, czy nie chciałby złapać piłki, kompletnie przestaję nad sobą panować. Głowę daję, że jeśli jakiś facet nie ryczy przy tym filmie, to tylko dlatego, że ogląda go w mieszanym towarzystwie lub też miał szczęście posiadać wyjątkowo czulego ojca. Ja w każdym razie szlocham jak nastolatka za każdym razem, nie tylko gdy oglądam tę scenę, ale nawet gdy tylko ją sobie przypominam. Mój tata nigdy by nie pograł ze mną w piłkę i nie ma tu znaczenia to, że nie żyje od ponad dwóch tysięcy lat, a baseball wynaleziono wiele wieków po jego śmierci. Pojęcie mojego ojca o rodzicielskich obowiązkach ograniczało się do wrzucenia mnie do smolistego grzędzawiska, żeby dać mi nauczkę, choć nadal nie rozumiem, jaka była właściwie treść tej nauki poza tym, że najlepiej trzymać się z dala od tatusia. W każdym razie jeśli kiedykolwiek przyjdzie mi do głowy jakiś poważny powód, dla którego miałbym zdjąć z miecza osłonę, wystarczy, że pomyślę o Kevinie Costnerze i jego szansie na chwilę z tatusiem, a lzy popłyną niczym górskie strumienie.

Sploty zniknęły natychmiast pod wpływem kropli krwi z ukłucia na moim palcu i

odrobiny śliny, więc odwinąłem ostrożnie materiał i oczom moim ukazała się piękna pochwa z brązowej skóry, nad którą znajdował się złoty jelec i rękojeść owinięta w pasy z niewyprawionej, ale mocno już wytartej skóry. Głownia nie była pokryta chłodzoną stalą. Była prosta, kuta i śmiercionośna.

Do pochwy przymocowany był żeliwnymi kółkami długi pas ze skóry, zarzuciłem więc miecz na plecy, po trosze by zwabić wroga, po trosze by mu pogrozić. Wyciągnąłem miecz z pochwy, wmawiając sobie, że muszę sprawdzić stan ostrza, ale tak naprawdę miałem ochotę znów rzucić okiem na tę wspaniałą robotę. Wiedziałem przecież dobrze, że głownia jest nieskazitelnie czysta, bo pochwa była w nienaruszonym stanie. Ostrze zamigotało w słonecznym świetle i przez chwilę znów zachwyciłem się skutecznością osłony. Choć wiedziałem, że trzymam w dłoni Fragaracha, choć od tyłu lat znałem jego wagę, wyważenie, te charakterystyczne plecionki wyryte na głowni, nie było śladu po pulsowaniu magii, które powinienem czuć. Firbolgowie w życiu nie uwierzą, że to Fragarach. To jest, dopóki nie przetnie on ich zbroi i kości, jakby ciął papier ryżowy.

– Do nogi, Oberon – powiedziałem głośno i wetknąwszy Fragaracha z powrotem do pochwy, wstałem. – Ostrzegaj mnie, gdy tylko ktoś się zbliży, ale nie atakuj, jeśli wyraźnie ci na to nie pozwolę.

<Idę z tobą do sklepu?>. Uszy uniosły mu się pytająco.

– Tak, musisz być przy mnie, póki nie zakończymy całej tej sprawy. Czy mam ci przypominać, żebyś nie obwąchiwał tyłków moim klientom?

<Właśnie to zrobiłeś. Nadzwyczaj delikatnie. Bardzo dziękuję>.

– Przepraszam, jeśli cię uraziłem Oberon-chanie. – Zachichotałem. – To stres wywołany tym wyrokiem śmierci sprawia, że gadam bez zastanowienia.

<Kiedyś ci wybaczę> odparł Oberon, ale jego ruchliwy ogon wskazywał na to, że już jest w dobrym humorze.

– Muszę rzucić na ciebie zaklęcie kamuflujące – powiedziałem. – Jeśli tylko będziesz siedział bez ruchu, żadnego machania ogonem ani sapania, to nikt cię nie zobaczy. Nawet jeśli się poruszysz, trudno będzie cię zobaczyć, ale jeśli będziesz nieruchomy, to tak jakbyś był niewidzialny.

<Po co mi to?>.

– Ponieważ po tym, co się zdarzyło wczoraj wieczorem, ludzie mogą na ciebie polować, oraz dlatego, że jeśli faerie będą chciały polować na mnie, chcę, żebyś wziął je z zaskoczenia.

<To niezgodne z zasadą fair play!>.

– Zasada fair play jest jak najbardziej słuszna podczas polowania, ale w czasie wojny jest zwyczajnie głupia, a może być śmiertelnie niebezpieczna.

Rzuciłem na niego zaklęcie, które polegało na spleceniu pigmentu jego skóry i włosów z barwami otoczenia, a on próbował je z siebie strząsnąć jak wodę po kąpieli.

<To mnie gilgocze> marudził.

– I dobrze – odparłem. Wskoczyłem na rower i ruszyłem w stronę pracy, a on truchtał tuż przy mnie, stukając pazurami o asfalt ulicy. Ci, których uwagę zwrócił ten dziwny dźwięk, zobaczyli jedynie coś w rodzaju złudzenia wywołanego gorącym: lekko falującą masę powietrza.

Wdowa MacDonagh już siedziała na werandzie i sączyła swoją poranną whisky.

– Zajedziesz do mnie po południu, Atticusie złotko? – spytała, pomachawszy do mnie przyjaźnie.

Szybki rzut oka na jej trawnik wystarczył mi, by stwierdzić, że znów należałoby mu się strzyżenie. Jej drzewko grejpfrutowe też zresztą powinienem nieco przyciąć.

– Taka powabność nie musi prosić o nic dwa razy! – odrzyknąłem, mając nadzieję że

mnie usłyszysz, ale na wszelki wypadek uniosłem kciuki, żeby wzmocnić przekaz wizualnie.

Gdy dotarłem do sklepu, mój jedyny pracownik już był na miejscu. W sobotnie poranki zawsze było dużo pracy i potrzebowałem kogoś do pomocy. Gdy otwierałem drzwi, przestawiłem się na mentalną komunikację z Oberonem:

Idź, połóż się za ladą w części aptecznej i miej oczy i uszy otwarte.

<Dobra. Ale czego tak konkretnie mam nasłuchiwać?>.

Zbliżających się bardzo ciężkich kroków, takich mniej więcej w stylu olbrzymów.

– Dzieńdoberek, Atticus – zadudnił mi basowy i nieco zachrypły, acz pogodny głos.

– Dzień dobry, Perry – odpowiedziałem. – Zabrzmiało, jakbyś był wyjątkowo zadowolony z życia. Jeśli czegoś z tym nie zrobisz, ludzie zaczną na ciebie dziwnie patrzeć.

Wysoki, dwudziestodwuletni chłopak uśmiechnął się do mnie świeżo wybielonymi zębami. Perry Thomas miał ciemne włosy, niezwykle starannie ułożone w artystyczny nieład, prostokątne okulary o grubych, czarnych oprawkach oraz wielki srebrny labret niczym perła w samym środku zarostu typu soul patch. Poza tym miał w uszach spore srebrne tunele, a cerę tak bladą jak tylko goci potrafią. Ubrany był naturalnie cały na czarno, miał T-shirt z koncertu psychodelicznej grupy Mad Marge and the Stonecutters, wysadzany ćwiekami pas oraz obcisłe džinsy, które rozkwiatały u dołu wspianiałymi martensami. Nie zauważył oczywiście Oberona, który przeczłapał między nami i zajął wyznaczone miejsce za kontuarem.

– Noo, powinienem być bardziej zblazowany i ogólnie załamany tym, że świeci słońce, nie? Nic się nie martw, jak tylko otworzymy, wejdę w rolę. Ja cię kręcę, ale fajowy miecz.

– Dzięki. – Chyba oczekiwałem podświadomie, że zada mi jakieś pytania, ale Perry najwyraźniej wyczerpał już ten temat. Młodzi ludzie potrafią być tacy nieskomplikowani.

Spojrzałem na zegar za kontuarem. Otwieramy za pięć minut.

– Dobra, to daj mi chwilę na zaparzenie herbaty, a potem odpalaj muzykę i zaczynamy. Otwieramy dziś obie kasy. – Mój kącik apteczny i kontuar z herbatą znajdowały się na wschodniej ścianie, zaraz na lewo (czyli na południe) od wejścia do sklepu. Na drewnianych półkach za ladą stały słoiki, a torebki z ziołami, z których większość pochodziła z mojego własnego ogródka, leżały w małych szufladkach. Miałem tu też Kuchenkę, niewielką lodówkę na mleko oraz zlew i suszarkę z kilkoma filiżankami. Sprzedawałem także ciastka i muffinki, ale lwia część moich dochodów w tej części sklepu pochodziła z leczniczych herbatek i pakowanych ziół. Udało mi się zdobyć sobie stałych klientów wśród okolicznych emerytów, którzy zachodzili tu na opatentowaną przeze mnie herbatkę, łagodzącą artretyzm i energetyzującą (nazwałem ją „Wesołe Życie Staruszka”). Przez jakieś dziesięć godzin po jej wypiciu czuli się tak z dziesięć lat młodsi, więc wychwalali mnie pod niebiosa, a na poranną gazetkę i obowiązkową dawkę kłótni na temat polityki i dzisiejszej młodzieży zasiadali przy pięciu stolikach, które ustawiłem w tym celu tuż przed herbacianym kontuarem. Jedna z kas znajdowała się właśnie tutaj, a druga na „tyłach” sklepu, czyli w jego zachodniej części, żeby obsługiwać klientelę z części księgarskiej.

Na moje zasoby książkowe składały się głównie obszerne regały z kolekcją „Religie i New Age”, ale miałem też trochę poważniejszych tekstów magicznych za gablotką na północnej ścianie sklepu. Tu i ówdzie utkałem kilka figurek Buddy oraz rozmaitych bogów hinduistycznych i kadzidełek; dodałbym też kilka krucyfiksów, gdyby był na nie popyt, ale z jakichś powodów pobożni chrześcijanie mieli zwyczaj omijać mój sklep szerokim łukiem. Za to popularnością cieszyły się krzyże celtyckie i najróżniejsze wersje Zielonego Człowieka.

– Otwieramy drugą kasę? – powtórzył zdziwiony. – Myślisz, że będzie aż taki ruch? Pokiwałem głową.

– Coś mi mówi, że to nie będzie dzień jak co dzień. – Prawda była jednak taka, że po prostu chciałem, żeby Perry trzymał się z dala od aptecznego kontuaru, za którym chował się

Oberon. – Gdybyś miał wolną chwilę, spróbuj wyłożyć jakoś ładnie te karty do tarota, może uda nam się sprzedać talię czy dwie.

– Jeśli je wyłożymy tak po prostu na wystawie, łatwiej je będzie ukraść.

– Tym akurat się nie martwię. – Wzruszyłem ramionami. Nie martwiłem się. Wszystko w sklepie było z nim splecione tak jak Fragarach z moim podwórkiem. Nie dało się wynieść niczego, nie zostało wcześniej położone na ladzie przy jednej z kas. Nieraz już niedoszły złodziejasek przymusowo wracał do sklepu, przyciągnięty tu przez przedmiot w kieszeni.

– Okej, to ja włączę muzykę. Mogą być celtyckie piszczałki?

– Eee, nie, zapodaj jakieś gitary czy coś, może ten duet z Meksyku. Jak im tam było?

Rodrigo y Gabriela?

– Sie robi. – Perry powędrował na tyły sklepu, gdzie stał sprzęt grający, a ja napełniłem oba czajniki i postawiłem je na gazie. Część z naszych regularnych klientów pojawi się od razu, gdy tylko otworzymy drzwi, więc lepiej mieć wrzątek pod ręką. Spojrzałem jeszcze kontrolnie na stojaki z gazetami i zobaczyłem, że Perry już zdążył je zapłacić.

Z głośników popłynęły hiszpańsko brzmiące gitary, a ich światowy rytm będzie dawał klientom znak, że mogą tu znaleźć schronienie nie tylko przed wyświechtanymi przebojami radiowymi, ale i wieloma innymi zwietrzalymi i pozbawionymi wszelkich tajemnic półproduktami. Perry ruszył w stronę drzwi, wymachując kluczami, i spytał:

– To jak? Otwieramy?

Kiwnąłem głową.

Pierwszą osobą, która od razu wkroczyła w nasze progi, okazał się mój prawnik dzienny, Hallbjörn Hauk (na użytek współczesnych Amerykanów skracał swoje imię do zdrobnienia Hal). Miał na sobie granatowy garnitur w prążki, białą koszulę i jasnożółty krawat. Jego włosy były starannie ułożone na Joe Bucka, jak zwykle zresztą, a dołeczek w brodzie uśmiechał się do mnie szeroko. Gdybym nie wiedział, że jest wilkołakiem, bez wahania oddałbym na niego głos w każdych wyborach.

– Czytałeś poranne gazety, Atticusie? – spytał bez wstępów.

– Jeszcze nie – przyznałem. – Witam pana, panie Hauk.

– Aha. No, to może lepiej, żebyś do nich zajrzał.

Chwycił egzemplarz „The Arizona Republic” i trzasnął nim o ladę tuż przed moim nosem, po czym puknął paluchem w nagłówek w prawej kolumnie.

– A tera gadaj, chopie – zaczął, mało skutecznie naśladowując irlandzki akcent, spod którego wyraźnie wyzierał staroislandzki – nie wiesz ty czego o tej rozróbie?

Nagłówek głosił: „Zwłoki strażnika leśnego w Papago Park”.

Odrzucając na chwilę amerykański akcent, odpowiedziałem mu jak należy:

– Wiedziałbym aż za wiele, jeśliby pan obiecał dotrzymać tajemnicy adwokackiej.

– Tak właśnie przypuszczałem. Wczoraj w nocy słyszałem śmiech Kojota, a on nie ma zwyczaju śmiać się bez przyczyny, prawda?

– Prawda, proszę pana. Mogę potrzebować pańskiej pomocy raczej wcześniej niż później.

– Dobrze, więc spotkamy się na lunch w Rúli Búli? – Miał na myśli mój ulubiony irlandzki pub na północnym końcu Mill Avenue. – Tak mi się wydaje, że czas na małą pogawędkę od serca, a nie widzę powodu, by jej nie odbyć przy najlepszych fish'n'chipsach w trzydziestu stanach.

Kiwnąłem głową.

– Zatem w samo południe, proszę pana – powiedziałem. Pojęcia nie miałem, skąd wytrzasnął tę trzydziestkę. Które dwadzieścia stanów miało niby lepsze fish'n'chipsy niż Rúla Búla? Wyglądało na to, że Hal zrobił znacznie porządniejszy wywiad w tej sprawie niż ja, i

poczułem lekkie wyrzuty sumienia. Poszukiwanie informacji na temat najlepszych fish'n'chipsów w kraju stanowiło dla mnie coś więcej niż pustą rozrywkę, a tymczasem od koszmarnie długiego czasu zaniedbywałem tę działalność. Sęk w tym, że większość knajp doprowadza do doskonałości albo rybę, albo frytki, a prawdziwą rzadkością są kucharze, którzy przykładają równą wagę do obu składników tego kulinarnego wyzwania. Rula Bula należała właśnie do tych niewielu irlandzkich pubów, a ponieważ knajpa znajdowała się w Tempe, umocniło moją decyzję, by tu właśnie zapuścić korzenie.

– Dobra – skwitował. – To do zobaczenia – rzucił i wyszedł.

Potem przyszli moi stali bywalcy – emeryci: Sophie, Arnie, Joshua i Penelope. Joshua od razu chwycił gazetę i wskazał innym ten sam artykuł, o którym przed chwilą mówił Hal.

– Boże jedyny, spójrzcie na to! – krzyknął, wymachując gazetą. – Zupełnie, jakbyśmy znów byli w Nowym Jorku.

Mówił mniej więcej to samo codziennie rano, komentując w ten sposób ten czy inny artykuł, więc poczułem lekką ulgę.

Pojawił się samotny poszukiwacz książek, które nie należałyby do tradycji judeochrześcijańskiej, i zakupił podręczniki dla początkujących z zakresu buddyzmu, hinduizmu i wicca.

– Niech harmonia będzie z tobą – życzyłem mu, a on skinął mi głową na odchodnym. Tacy jak on budzili mój szacunek. Przynajmniej nie zadowala go dieta, którą karmi go telewizja.

Po nim do mojego sklepu weszła osoba dość nietypowa.

Była to wiedźma. Zaklęcia osłaniające dosłownie migały ostrzegawczo wokół niej i choć nie posiadałem dość specjalistycznej wiedzy, by określić, jak działają czy przed czym mają ją chronić, aura od razu zdradziła mi jej tożsamość. Pospiesznie wymamrotałem jakieś zaklęcie splatające wszystkie moje włosy z moim ciałem. Wiedźmy naprawdę potrafią narobić paskudnych rzeczy, jeśli tylko mają czyjś włos, krew czy nawet kawałek obciętego paznokcia, a przecież nie miałem pojęcia, czy ta konkretna wiedźma przybywa z dobrymi zamiarami czy wręcz przeciwnie. Z wyglądu każdy wziąłby ją za zwykłą, modnie ubraną studentkę z college'u. Żadnych czarnych płaszczy, spiczastych kapeluszy czy owłosionych pieprzyków na olbrzymim nochału. Ciemne włosy spięte miała w koński ogon, co było z pewnością równie przemyślane jak makijaż i różowy błyszczak na ustach. Przebrała się w biały obcisły top bez rękawów z wielkim napisem „bebe”, a do tego dopasowała ogromne okulary w białych oprawkach. W dłoni trzymała różową komórkę i grzechoczące kluczyki. Jej boskie, opalone nogi były zupełnie gołe, jeśli nie liczyć turkusowych bawełnianych szortów opiętych do granic przyzwoitości. Na stopy wsunęła różowe japonki, a różowy lakier na jej paznokciach połyskiwał złotym brokatem.

Rozejrzała się wokół bez pośpiechu, przyglądając się raczej temu, co niewidzialne niż widoczne, po czym odwróciła się w moją stronę i podeszła do kontuaru z herbatami. Wyglądała na moją rówieśniczkę, czyli dwudziestoparolatkę, ale wiedziałem aż za dobrze, jak bardzo mogą mylić pozory. Tak z miejsca, bez żadnych informacji nie byłem w stanie określić jej wieku, ale za tymi okularami kryły się oczy zdecydowanie starsze; oczy te widziały rzeczy, których nie widział nikt młody i głupi. Z drugiej strony nie mogła mieć dużo ponad stówkę, bo jej aura nadal była płynna i nie wyczuwałem w niej oznak prawdziwej starości. Jeśli ona z kolei była w stanie dojrzeć sploty, jakie założyłem w sklepie, na pewno domyślała się, że i ja jestem znacznie starszy, niż na to wyglądam.

– Ty jesteś tu właścicielem? – spytała, podchodząc do kontuaru.

– Tak. W czym mogę pomóc?

– Atticus O'Sullivan?

– Yhmy. – Skinąłem głową. Ktoś powiedział jej, o kogo pytać. Bynajmniej nie

wywiesiłem mojego nazwiska w witrynie sklepu.

– Słyszałam, że umiesz zaparzać wyjątkowe herbaty.

– Taa, mogę ci zrobić ulung z antyutleniaczami. Jest naprawdę świetna. Życzysz sobie filiżankę?

– Brzmi super, ale nie o tego typu herbatkę mi chodzi.

– A, to o co ci chodzi?

– Potrzebuję herbaty, która... ośmieszyłaby mężczyznę, który się mną zainteresował.

Sprawiła, że wydałabym mu się nieatrakcyjna.

– Co? Nie kumam. Chcesz być nieatrakcyjna?

– Tak, dla tego konkretnego mężczyzny. Jesteś w stanie zaparzyć mi coś takiego?

– Chcesz coś w stylu antywiagry, tak? Czy coś źle cię zrozumiałem?

– Świetnie mnie zrozumiałeś.

Wzruszyłem ramionami.

– Myślę, że da się zrobić.

Uśmiechnęła się. Jej zęby były tak białe i proste, że zdawało mi się, iż przenieśliśmy się do świata reklam past do zębów.

– Ale skąd w ogóle o mnie wiesz?

– Należę do sabatu Radomily – wyjaśniła, wyciągając dłoń na powitanie. – Jestem wśród nich najmłodsza, jeśli chodzi o ścisłość. Mam na imię Emilia, ale w Ameryce mówią na mnie Emily.

Uspokoilem się nieco. Z Radomilą łączyła mnie więź serdeczna, ale i zawodowa. Była przywódczynią Sabatu z Tempe, czyli trzynastu wiedźm, które przynajmniej znały się, u diabła, na swoim fachu. Miały bardziej wymyślne imię, ale jakoś się z nim nie obnosiły. Radomila była dość potężna i wolałem raczej nie nadepnąć jej przypadkiem na odcisk. Cóż, jeden na jedną byłbym pewnie w stanie ją wyekspediować, gdzie trzeba, ale gdyby doszło do starcia z całym sabatem, zostałaby po mnie mokra plama, a Morrigan mogłaby mnie najwyżej wessać przez słomkę, bo z pewnością miały w zanadrzu własną boginię od tych spraw.

– Dlaczego jestem ci do tego potrzebny, Emily? – spytałem, ściskając jej rękę nieco pospiesznie. Wiedziałem aż za dobrze, że poprzez ten dotyk będzie próbowała wysondować moje moce. Ten trik nie sprawdzał się najlepiej w wypadku druidów. Moc pobieramy z ziemi na bieżąco, w zależności od potrzeb, pewnie więc wyczuła we mnie zaledwie tę odrobinę, której potrzebowałem do podtrzymywania kamuflażu Oberona. Już niejeden wróg nie docenił przez to moich możliwości i nie mogę powiedzieć, żeby mi to jakoś specjalnie przeszkadzało. Jeśli chodzi o moce, to obnoszenie się z nimi na widoku jak paw raczej nie jest w moim stylu. – Czyżby Radomila nie była już w stanie zajmować się własnym sabatem? Zresztą w tym akurat przypadku sama możesz przecież rozwiązać ten problem. Nie jestem ci do niczego potrzebny.

– To prawda – odparła. – Lecz Radomila nie chce mieć żadnego udziału w tej konkretnej miksturze. Ja także nie. Potrzebujemy... pomocy z zewnątrz.

– I dlatego przychodziecie z tym do mnie? Zwykłego, sympatycznego aptekarza, który tym się tylko różni od innych, że wie, iż więdźmy nie są na niby.

– Tuszę, iż dworujesz sobie ze mnie. Wiem dobrze, kim jesteś... druidzie.

Hmm. A zatem karty na stół. Przyjrzałem się uważniej jej aurze, która była w dużej mierze czerwona i aż się trzęsła od żądy mocy. Może jednak liczy sobie więcej niż jedno stulecie. Studentki z college'u nie mają w zwyczaju mówić: „dworujesz sobie", a słowo „tuszę", kojarzy im się wyłącznie z tuszem do rzęs.

– I ja wiem, kim ty jesteś, Emilio, Siostrzy Trzech Zórz. – Jej usta ułożyły się w małe kółeczko zdziwienia, gdy wymówiłem prawdziwą nazwę jej sabatu. – Jeśli nie chcesz sama

ośmieszyć tego faceta, to i ja wolę tego nie robić.

– Jeśli podejmiesz się tego zlecenia, Radomila i jej sabat będą twymi dłużnikami – powiedziała Emily.

Uniosłem brew.

– Czy masz upoważnienie Radomily do zaciągania takich zobowiązań?

– Mam – zapewniła mnie i położyła na ladzie jakąś kartkę. Zapisana była pismem Radomily, a plama pod tekstem była niewątpliwie krwią tej potężnej wiedźmy. Nawet wysuszona miała wciąż jej moc. O tak, z całą pewnością miała jej upoważnienie.

Chwyciłem kartkę i wcisnąłem ją sobie do kieszeni.

– Dobrze więc – powiedziałem. – Zgadzam się zaparzyć tę herbatę w zamian za przysługę ze strony waszego sabatu, jeśli zgodzisz się wypełniać dokładnie moje polecenia co do jej zażywania i jeśli otrzymam zwyczajową w takich razach zapłatę.

Najeżyła się lekko. Wyraźnie oczekiwała, że świstek od Radomily załatwi wszystko od ręki, ale w końcu zdawkowo kiwnęła głową.

– Zgoda – oświadczyła.

– Świetnie. – Uśmiechnąłem się. – Jak długo chciałabyś być nieatrakcyjna dla tego mężczyzny?

– Wystarczy tydzień.

– Zatem stawisz się tu jutro o tej samej godzinie i potem codziennie przez tydzień, żeby wypić herbatę, którą ci będę przygotowywał. Niestawienie się na czas i miejsce będzie się równało unieważnieniu naszej umowy bez zwrotu pieniędzy.

– Rozumiem i zgadzam się na te warunki.

– Jutro przyniesiesz mi także czek gotówkowy na dziesięć tysięcy dolarów.

Oczy rozszerzyły jej się oczy ze zdumienia.

– Też coś! – wycedziła. Trochę ją rozumiałem. Nigdy jeszcze nie skasowałem nikogo na więcej niż dwieście dolarów za usługę apteczną. – Nie wierzę, że to twoja zwyczajowa stawka!

– Jeśli Sabat Tempe nie chce się sam zająć sprawą libido twego lubego, a weź pod uwagę, że one mogą rozwiązać ten problem znacznie prościej niż ja, to należy mi się przecież jakiś procent za wystawienie się na ryzyko – powiedziałem.

– Ale nie taki! – Gotowała się ze złości, nie zaprzeczyła jednak, że owszem, w grę wchodzi spore ryzyko.

Wyciągnąłem świstek od Radomily i podsunąłem jej pod nos.

– W takim razie żegnam i życzę miłego dnia.

– Umiesz się targować – przyznała, nie podnosząc oczu znad lady. Jej dłoń nie poruszyła się w kierunku listu, choć trzymałem go w zasięgu jej ręki.

– Zatem jutro przyniesiesz mi czek? – upewniłem się.

– Tak – obiecała, więc schowałem świstek Radomily do kieszeni.

– Zaczynamy od jutra.

– Nie od razu?

– Nie dostałem przecież czeku.

– A jeśli przyniosę czek jeszcze dziś, rozpoczniemy dziś?

– Tak, Emily, oczywiście.

– A kiedy już rozpoczniemy, nie wycofasz się nagle?

Tak szczerze pytanie zaskoczyło mnie, ale nie było tak zupełnie od rzeczy. Wszystkie umowy powinny zapewniać klientowi jakąś gwarancję wykonania pracy. A jednak wydawało się, że już i tak dość się nagadaliśmy tylko po to, by mieć pewność, że jednemu facetowi nie stanie przez tydzień.

– Daję ci moje słowo, Emily, że gdy tylko otrzymam zapłatę, wykonam solennie swoją część umowy, oczywiście pod warunkiem że będziesz się pojawiać codziennie o tej samej godzinie, by wypić moją herbatę.

Splunęła na dłoń i wyciągnęła ją do mnie.

– Umowa stoi?

Popatrzyłem na jej dłoń, ale nie wykonałem żadnego ruchu, by ją uścisnąć. Gdybym splunął w swoją i jej podał, miałyby moją ślinę. Dać wiedźmie jakikolwiek płyn pochodzący z ciała to jak odciąć sobie kawał poślądka i dobrowolnie ofiarować go wilkołakowi.

– Umowa stoi – powiedziałem, trzymając dłonie na ladzie. – Możesz trzymać mnie za słowo.

Uśmiechnęła się triumfalnie i bynajmniej nie wyglądała na urażoną. Opuściła mój sklep, nie udając nawet, że jest choć trochę zainteresowana jakimkolwiek sprzedawanym w nim towarem, ale aż nadto ostentacyjnie pomachała w stronę Oberona i zawołała:

– Pa! Pa! Piesku! – tylko po to, żeby pokazać mi, że nie dała się nabrać na jego kamuflaż.

Dopiero wtedy, mocno poniewczasie, przyszło mi do głowy, że może jednak nie powinienem był na nic się godzić. Pewnie nie powinienem. Wiedźmy miały naprawdę lepsze metody na panowanie nad swoimi ciałami niż picie druidzkich herbatek, a jeśli były gotowe zaciągnąć u mnie magiczny dług i w dodatku zapłacić mi dziesięć tysięcy zielonych, żeby pozbyć się jednego napalonego typu, to z pewnością chodziło tu o jakiegoś inkuba lub coś jeszcze gorszego.

Magia uwodzenia to w dzisiejszych czasach w zasadzie sprawa czystej nauki. Zaparzę jej kilka ziół na powstrzymanie wydzielania naturalnych feromonów, które tak pociągały teraz tego faceta, a potem wystarczy już tylko kilka sprytnych splotów, by wydzielala zamiast tego sygnaturę chemiczną skunksa. O ile ten typ nie jest akurat jakimś ukrytym skunksofilem, Emily będzie tej nocy spała z mokrą kluchą. Dodatkowo dorzucając naturalne środki zmniejszające wydzielanie niektórych monoamin, postaram się też, by i jej przypadkiem nikt nie pociągał. Zdarzało mi się już robić takie napary – sprzedawałem je studentkom jako herbatkę „Ziołowa Porażka”. Używały ich, żeby pozbyć się swoich byłych, odstraszyć niechcianych zalotników lub zakończyć jakiś związek, gdy nie umiały znaleźć żadnego dobrego powodu do zerwania.

Kiedy po raz pierwszy udało mi się zaparzyć tego typu herbatę, nie miałem jeszcze nazw na wszystkie te chemiczne reakcje wywołane przez zioła, a zielarstwo było dla mnie taką magią, jak moje sploty dla laika. Nauka odjęła temu procesowi sporo czaru, ale nie pozbawiła mnie tego miłego poczucia wyższości nad przemysłem farmaceutycznym, pojawiającego się zawsze, gdy wytwarzam mieszanki o właściwościach, o których przemysł ten może sobie na razie tylko pomarzyć.

Ale nie będę tu ściemniał, że pomagałem Emily tylko po to, by znów cieszyć się przez chwilę poczuciem wyższości. Po prostu uznałem, że mieć za dłużnika cały sabat czarownic to nie byle co, a bogowie mi świadkami, że jeśli przepowiednia Morrigan okaże się prawdziwa, potrzebna mi każda pomoc.

Rozdział 8

Okazało się, że tego poranka rzeczywiście był u nas niezwykle ruch, przez co mój pomysł, żeby otworzyć drugą kasę, zaczął nam się wydawać istnym przebłyskiem geniuszu. Perry nie miał ani chwili, żeby zabrać się do rozłożenia tarota, a mnie nie udało się dokończyć artykułu o leśnym strażniku. Pocieszałem się, że Hal i tak wszystko mi zrelacjonuje, gdy już dotrę do Rúli Búli.

Chodź, Oberonie. Czas na lunch.

<Hamburgery?> Uniósł głowę i spojrzał na mnie wzrokiem pełnym nadziei.

Ryba. I idziemy do restauracji, więc zachowuj się i nie pałętaj nikomu pod nogami.

<Zawsze to samo. Zachowuj się i nie pałętaj>.

Machnąłem na Perry'ego i powiedziałem mu, że wrócę za jakąś godzinę.

– Twierdza zostaje pod twoją opieką, tak?

– Jasne, nie ma sprawy – zapewnił mnie i pomachał mi na pożegnanie.

Wymknąłem się za drzwi, ale potem otworzyłem je szerzej, żeby zmieścił się Oberon.

Odpiąłem rower od stojaka i wskoczyłem na siodełko.

Żadnego zatrzymywania się, żeby wąchać drzewa i hydranty – zapowiedziałem. – Nie mogę co chwila przywoływać do porządku niewidzialnego psa.

<A kiedy będzie wreszcie czas na jakąś zabawę?> zaczął marudzić.

Kiedy zamknę sklep. Będziesz mógł sobie poharcować w domu wdowy. Jeśli taki zakamuflowany będziesz gonił jej koty, zupełnie zwariują ze strachu. He, he.

Oberon wydał radosne pomruki, które są psim odpowiednikiem śmiechu.

<O! To brzmi nieźle! Mogę podkraść się do tego trzykolorowego i warknąć mu nagle tuż nad uchem. Na pewno skoczy pod sam sufit>.

Pochichotaliśmy sobie beztrosko, pędząc wzdłuż Mill Avenue i mijając bary, butiki i nieliczne galerie. Oberon opisał mi też swój plan złapania perskiego kota za ogon i poczekania, co się stanie.

Hal Hauk już zajął nam stolik pod oknem i zamówił po pincie Smithwicka dla każdego. Było to bardzo miłe z jego strony, poczułem jednak cień rozczarowania, bo oznaczało też, że nie będę miał okazji sam podejść do baru i powąchać barmanki.

To nie to, co myślicie.

Granuaile, rudowłosa syrena pracująca za barem Rúli Búli, na pewno nie była w pełni człowiekiem, a jednak nadal nie byłem w stanie rozgryźć jej natury, a zapach był moją jedyną wskazówką. Stanowiła dla mnie kompletną zagadkę, i to jaką piękną... Kaskady rudych loków spływały jej na ramiona, które kryły się zawsze pod opiętym, ale poza tym niewinnym T-shirtem. Nie zdobywała napiwków za pomocą dekoltu, jak to zwykle czynić tak wiele barmanek; polegała raczej na swoich zielonych oczach, lekko wydętych wargach i uroczych piegach na policzkach. Mlecznobiałą skórę pokrywał delikatny złoty meszek na rękach, które kończyły się paznokciami pomalowanymi na zielono, czyli pod kolor oczu.

Nie była żadną faerią, bo w takim wypadku byłbym w stanie przejrzeć jej kamuflaż, a zresztą obecność mojego żelaznego amuletu wyraźnie w ogóle jej nie przeszkadzała. Nie była też jednak martwiakiem, bo przecież bez problemu pracowała na dziennej zmianie. Nie była w żaden sposób spokrewniona z wilkołakami, co potwierdził Hal, ale już wcześniej ustaliłem to własnymi metodami. Przez jakiś czas myślałem, że jest wiedźmą, lecz w jej aurze brakowało pewnych charakterystycznych oznak przynależności do czarownic. Gdyby była jakimś stworem z piekła rodem, powinienem czuć od niej siarkę, a tymczasem pachniała czymś nieokreślonym, jakby

kwiatowym, niby *pinot grigio* z jakąś indyjską nutą, może szafranem czy makiem. W końcu uznałem, że może jest po prostu jakąś boginią, która ukrywa swą prawdziwą naturę i funkcjonuje incognito, jak tylu innych członków tej naszej nadprzyrodzonej wspólnoty na całym świecie. Przykrywka nadobnej irlandzkiej dziewczyny była chyba jeszcze bardziej bezwstydną niż moja, ale wątpiłem, by pod nią kryła się osoba o jakichkolwiek związkach z Irlandią. Najwyraźniej należała do jakiegoś zagranicznego panteonu, a ja postawiłem sobie za punkt honoru ustalić jej tożsamość, nie pytając jej o to wprost.

Uśmiechnęła się do mnie, gdy mijałem bar, a mnie serce uderzyło nieco szybciej. Czy rozgryzła moją prawdziwą naturę, czy też widziała tylko moją fasadę niezbyt rozgarniętego chłopaka z college'u?

Wyraźnie zmarkotniała, kiedy zorientowała się, że idę w stronę stolika Hala.

– To nie posiedzisz dziś ze mną, Atticusie? – spytała i wyduła wargi jak rozkapryszone dziecko, a ja mało nie zawróciłem na pięcie.

<Spokój, chłopie> syknął na mnie Oberon, delektując się własną złośliwością.

– Przepraszam, Granuaile – niemożliwe, żeby to było jej prawdziwe imię; głowę daję, że wybrała je tylko po to, by pasowało do irlandzkiej knajpy – ale muszę trochę pospiskować z jednym moim znajomym – wyjaśniłem, wskazując na Hala.

– Jeśli to spisek, też chcę się dołączyć. – Uśmiechnęła się znowu. – Umiem dotrzymywać tajemnic.

– W to nie wątpię – wymknęło mi się, a ona uniosła brew. Poczułem, że na gębie rozlewa mi się mocno głupawy uśmiech.

– Yhmy. Czas to pieniądz, panie Sullivan! – zawołał Hal.

Odwrociłem się natychmiast, bo dopiero teraz doszło do mnie, że stoję na środku baru i że kompletnie zapomniałem, po co tu przyszedłem. Czas Hala wart był trzysta pięćdziesiąt dolarów za godzinę.

<Następnym razem, jak mnie weźmiesz do parku i będziesz się darł, żebym się trzymał z dala od francuskich pudlic, to ci to wypomnę> obiecał z namaszczeniem Oberon.

Podreptałem zawstydzony do stolika Hala i siadłem naprzeciwko niego. Oberon wcisnął się pod stół przy oknie i czekał, aż jedzenie spadnie mu z nieba.

Hal zmarszczył się groźnie.

– Czuć twoim psem.

– Jest pod stołem. Zakamuflowany – przyznałem.

Oczy Hala rozszerzyły się nieprzyjemnie, gdy przyglądał się pasowi przerzuconemu przez moją pierś i rękojeści wystającej zza pleców.

– Czy to jest to, co myślę? – spytał.

– Tak – odparłem i pociągnąłem porządny łyk Smithwicka.

– Czy to miało jakiś związek z wydarzeniami tej nocy?

– Nie, ale przezorny zawsze ubezpieczony. Znosi się na więcej kłopotów. Dużo więcej.

– Czy powinienem poinformować Watahę? – przepytywał mnie dalej Hal.

Wilkołaki. Cokolwiek by się działo, najważniejsza jest zawsze ich Wataha.

– Wyluzuj, tu chodzi o ratowanie mojego tyłka, a nie Watahy – zapewniłem go. –

Nikommu nic nie musisz mówić, poza Leifem oczywiście. Prawdę powiedziawszy, z nim to chciałbym się zobaczyć, jak tylko się obudzi. Wyślij go wieczorem do mnie do domu, dobra?

Hal spojrzął na mnie tak, jakbym mu właśnie kazał zlizać wymiociny.

– Czy ty płacisz firmie za jego czas, czy on sam płaci?

Miał na myśli mój prywatny układ z Leifem. Dobrze się dogadywałem z tym wampirem: czasami płaciłem za jego usługi gotówką, ale częściej płaciłem mu dość szczególnym napitkiem

– innymi słowy, własną krwią (uznałem, że lepiej nie wspominać o tym Flidais). Krew 2100-letniego człowieka, co więcej – druida, jest dla wampira mocnym, odurzającym i nader rzadko spotykanym trunkiem. Toteż robiłem nacięcie na ramieniu, napełniałem mu kieliszek, po czym uzdrawiałem sobie rękę, i w ten sposób załatwiałem rachunki za jakieś dwanaście godzin porady prawnej. Potem tylko dokładnie myłem kieliszek i upewniałem się, że na pewno niczego nie rozlał (mam poważną paranoję, jeśli chodzi o ewentualne ryzyko dostania się mojej krwi w ręce czarownic). Leif z kolei płacił firmie z własnej kieszeni, a tymczasem z roku na rok rósł w siłę. Nigdy nie widziałem, żeby korzystał z tak zdobytej mocy, bo w okolicy nikt nie był na tyle głupi, żeby z nim zadzierać, ale po cichu podejrzewałem, że Leif po prostu zbiera siły na to, żeby pewnego dnia zmierzyć się z Thorem.

– A jakie to ma znaczenie? – spytałem. – Firma tak czy siak dostaje kasę.

Pojawiła się kelnerka i przerwaliśmy rozmowę, żeby zamówić trzy porcje ryby z frytkami – trzecia była dla Oberona, któremu jak na razie całkiem nieźle szło bycie niewidzialnym. Kiedy odeszła, Hal rozłożył ręce i powiedział:

– Dobra, a teraz opowiedz mi wszystko po kolei.

Powiedziałem mu więc o Flidais, ale ominąłem Morrigan; naprawdę niewiele zataiłem.

– Podsumowując, przysłała do ciebie jedna z bogiń z waszego panteonu, ale już sobie poszła – rzekł, gdy skończyłem swoją opowieść – i być może wpadnie do ciebie z wizytą jeszcze dwóch irlandzkich bogów, nim to wszystko się skończy, mam rację?

– Tak. Aenghus Óg i Bres. No i Firbolgowie.

– A, i jeszcze ci. Nigdy żadnego nie widziałem. Jak oni wyglądają?

– Pewnie będą wyglądali jak gang motocyklistów czy coś w tym stylu, ale będą śmierdzieć jak cholera.

– Gangi motocyklistów zwykle śmierdzą jak cholera.

– No, tak. Można powiedzieć, że dobrze sobie wybierają przebrania – przyznałem. –

Chodzi mi o to, że nie zobaczysz ich prawdziwej postaci, bo kiedy wchodzą do świata śmiertelnych, mają na sobie specjalne maski. Tak naprawdę jednak to olbrzymy, które w ogóle nie dbają o higienę jamy ustnej i uwielbiają wymachiwać dzidami na lewo i prawo. Kiedyś byli niepodległym ludem, ale Tuatha Dé Danann zatrudniają ich teraz w roli zbirów i ochroniarzy.

– To poważne zagrożenie?

– Dla mnie? Niewielkie lub żadne, ale martwię się raczej o zniszczenia i straty wśród ludności cywilnej.

– To by skutkowało zwróceniem na ciebie uwagi policji.

– I taki właśnie jest cel nasłania ich na mnie. Firbolgowie raczej nie słyną z dyskrecji.

Przybyły nasze fish'n'chipsy i westchnąłem z rozkoszy. Te małe, proste przyjemności sprawiają, że warto pożyć ciut dłużej niż jedno czy dwa stulecia. Zrzuciłem Oberonowi kawałek dorsza, tuszując jego głośnie mlaskanie własnym.

– To co mam zrobić, żeby Oberonem nie zajął się hycel? – spytałem z ustami pełnymi frytek i piwa.

Hal wzruszył ramionami.

– Najprościej będzie robić dalej to, co robisz, i kłamać jak z nut – odpowiedział. –

Trzymaj go w ukryciu. Jak by kto pytał, mów, że uciekł i nie wiesz, gdzie się podziewa. Za miesiąc, a pewnie nawet wcześniej, tak ich zawali natłok nowych spraw, że nie będą w stanie kontrolować tego, czy wrócił czy nie. Wtedy pożalisz się wszystkim sąsiadom, że już straciłeś nadzieję i że postanowiłeś sprawić sobie nowego psa i *voilà!* wróci Oberon. Aha, i na twoim miejscu przez jakiś rok nie wybierałbym się na polowanie do parku Papago.

Oberon zaskomlał na to, a ja uciszyłem go kolejnym kawałkiem dorsza.

– Ale to przy założeniu, że policja w ogóle namierzy twój dom – dodał Hal. – Jak dotąd jeszcze nie złożyli wam wizyty, nie?

– Jeszcze nie, ale jestem pewien, że ktoś ich prowadzi, więc niewątpliwie wkrótce się pojawią. A teraz powiedz mi, co mam robić, jeśli nie chcę kłamać.

Hal przestał żuć i spojrzał na mnie uważnie.

– Nie chcesz kłamać? – spytał kompletnie zbity z tropu.

– Jasne, że chcę! Chciałem tylko wiedzieć, co jeszcze mógłbym zrobić poza tym, na co sam już wpadłem. Za to ci w końcu płacę, Hal, no błagam cię, trochę się, chłopie, postaraj.

Hal aż się uśmiechnął.

– Naprawdę gadasz czasem jak te dzisiejsze dzieciaki. Pojęcia nie mam, jak ci się to udaje.

– Żeby przetrwać, trzeba umieć się dostosowywać do otoczenia, tak? Wystarczy uważnie słuchać i papugować. Ale mniejsza z tym, opowiedz mi, co mam robić, jeśli zostanę zmuszony do uczciwości.

– Że niby policja będzie w stanie przejrzeć twoje zaklęcie kamuflujące i zobaczy, że Oberon siedzi im tuż pod nosem?

– No, na przykład. Wyobraź sobie, że jestem normalnym chłopakiem jak każdy inny. Zero magii i tak dalej. Jak miałbym w takim wypadku ochronić Oberona?

Wilkołak pociągnął porządny łyk Smithwicka i beknął dyskretnie, przemyśliwując moją sytuację. Wreszcie położył dłonie płasko na stole i rzekł:

– Ponieważ nie mają świadków, jedyne, co mogą zrobić, to oprzeć dochodzenie na analizie DNA. Oberon nie ma żadnych praw, ale ty, jako jego właściciel, możesz zażądać nakazu sądowego, zanim pozwolisz im na całą tę bezsensowną rewizję i zatrzymanie mienia, czyli Oberona. Jeśli już jednak będą mieli nakaz, musisz im w zasadzie na wszystko pozwolić. Z tego, co mi powiedziałeś, wnioskuję, że jeśli tylko będą mieli próbkę jego DNA, sprawa jest właściwie jasna.

– Tak.

– Innym sposobem na opóźnienie dochodzenia jest oczywiście złożenie protestu na tle religijnym.

– Niby jak?

– Protestujesz przeciwko testowaniu DNA twojego psa, ponieważ jest to sprzeczne z twoją religią.

Spojrzałem na niego, jakby próbował mi sprzedać zestaw ścierek ShamWow z krajaczką Slap Chop gratis za jedyne 19,99\$ plus przesyłka.

– Moja religia nie zabrania analizowania DNA. Przecież w epoce żelaza nie mieliśmy pojęcia, co to w ogóle DNA.

Hal wzruszył ramionami.

– Ale oni tego nie wiedzą. – Chyba żaden z nas nie ma jednak szans na Nobla w dziedzinie etyki. – A więc w epoce żelaza, mówisz?

Hal od dłuższego już czasu próbował określić mój wiek, a oto zupełnie niepotrzebnie wymyśliła mi się kolejna odpowiedź.

Zignorowałem jego pytanie i zmarszczyłem sceptycznie czoło.

– I to by zadziało?

– Nie, sędzia odrzuciłby twój protest, argumentując, że twój pies z pewnością nie podziela twoich przekonań religijnych czy jakoś tak, ale mimo wszystko opóźniłoby to znacznie całą sprawę, a ty miałbyś czas, żeby ukryć gdzieś Oberona, gdybyś na przykład, hipotetycznie rzecz biorąc, nie był w stanie zrobić tego za pomocą magii.

– Dobra robota, brachu – pochwaliłem go wesołym akcentem wprost z Piccadilly Circus.
– Wiedziałem, że gdzieś tam w głębi serca jesteś prawnik pierwsza klasa.

– Odwal się – odpowiedział grzecznie Hal. – Po prostu ukryj go, kłam, jak umiesz, i nie komplikuj mi, człowieku, życia, dobrze?

Wyszczrzyłem do niego zęby.

– Się zrobi. Gdzie się wybieracie z Watahą w najbliższą pełnię?

– W Góry Białe, w okolicy Greer. A co? Chcesz się przyłączyć? – Od czasu do czasu Wataha pozwalała nam z Oberonem pobiegać razem z nimi i zawsze świetnie się razem bawiliśmy. Delikatną sprawą pozostawała jednak kwestia mojego statusu w obrębie stada, bo wilkołaki mają na tym punkcie lekkiego bzika. Magnussonowi nie bardzo leżała moja obecność, bo formalnie rzecz biorąc, musiałby mi podlegać (to znaczy gdyby nie to, że ja mam takie rzeczy gdzieś), a alfy mają to do siebie, że nie czują się dobrze, gdy muszą się komukolwiek podporządkować, szczególnie w obecności watahy. W pewnym sensie go rozumiałem, więc po prostu wypracowaliśmy rodzaj kompromisu, według którego ja byłem „przyjacielem” Watahy, gościem na równej stopie z każdym członkiem stada, czyli kimś poza hierarchią, i dzięki temu nikt nie musiał niepotrzebnie obnażać kłów. Ale oznaczało to także, że to Hauk, a nie Magnusson, musiał być moim prawnikiem. Jako samiec beta i tak podlegał komuś innemu, więc nie musiał się obawiać, że dbanie o moje potrzeby prawne jakoś mu będzie uwłaczać.

– Bardzo bym chciał, ale to wypada akurat w Samhain, więc muszę się wtedy zająć swoimi własnymi rytuałami – powiedziałem. – Ale bardzo dziękuję za zaproszenie.

– Nie ma za co. – Wyciągnął dłoń przez stół, a gdy uściśnąłem ją, dodał: – Zajmę się tym rachunkiem i dam znać Leifowi, że chcesz się z nim widzieć, gdy tylko się obudzi dziś w nocy. Dzwon, gdybyś potrzebował czegoś jeszcze. Aha, i trzymaj się z dala od tej rudej barmanki. Wietrzę tu same kłopoty.

– To tak, jakbyś kazał pszczole trzymać się z dala od kwiatów. – Nie zdołałem powstrzymać uśmiechu. – Dzięki, Hal. Pozdrów Watahę. Chodź, Oberonie. – Wstaliśmy obaj i ruszyliśmy w stronę drzwi.

Granuaile pomachała do mnie i uśmiechnęła się na pożegnanie.

– Odwiedź mnie znów jak najszybciej! – zawołała.

– Nie omieszkam – obiecałem.

<Nawet nie wiesz przecież, czy ona naprawdę cię lubi> dopiekł mi Oberon, gdy już wyszliśmy i odpinałem rower. <Być może to jej standardowy element obsługi klienta i chodzi jej tylko o to, żebyś się następnym razem szarpnął na porządny napiwek. Z sukami jest o wiele lepiej. Wystarczy podejść, powąchać im tyłek i już wiesz, na czym stoisz. Czemu ludzie tak nie robią?>.

Może gdybyśmy mieli lepszy węch, to też byśmy tak robili – powiedziałem. – *Natura poskąpiła nam talentów, którymi obdarzyła twój gatunek.*

Gdy wróciłem do sklepu i powiedziałem Perry'emu, że może iść na lunch, Emily już tam na mnie czekała, popijając rumianek, który zaparzył jej Perry. Nie był zbyt utalentowany, jeśli chodzi o zioła, ale umiał zagotować wodę i zalać nią przygotowane przeze mnie saszetki, jeśli dobrze je oznakowałem.

– Tak szybko wróciłaś? – spytałem. – Musi ci bardzo zależeć na czasie.

– W samej rzeczy – odrzekła. Wstała od stolika i podeszła do mnie tym swoim kroczeniem zmanierowanej Barbie. Pomachawszy czekiem, położyła mi go w dłoni i oświadczyła kąśliwie: – Oto twoja gwarancja. Choć raz jeszcze zaznaczam, że nie widzę żadnej potrzeby zabezpieczania się przy robieniu komuś kilku filiżanek herbaty. W życiu nie przypuszczałam, że druidzi są tacy chciwi.

Wziąłem czek i ostentacyjnie zacząłem go sprawdzać, tylko po to żeby jej trochę pograć na nerwach. Celowo mnie prowokowała, a powinna wiedzieć, że mnie nie pyskuje się bezkarnie. Zrobiła się czerwona jak burak i widać było, że chce coś jeszcze powiedzieć na mój temat, ale na szczęście ugryzła się w język i ograniczyła do porządnego nabzdyczenia.

– Wszystko wskazuje na to, że czek jest w porządku – powiedziałem w końcu. – Rozpocznę twoją kurację od razu, ponieważ miałem jak dotąd dobre doświadczenia z twoim sabatem, ale jeżeli bank będzie miał do niego jakiekolwiek zastrzeżenia, uznam to za zerwanie umowy. – Dobra, to może nie było potrzebne, może nieco przesadziłem, ale czułem po prostu, że się smarkatej należy.

– Rozumiem – wycodziła przez zęby, a ja odpowiedziałem jej uśmiechem, po czym udałem się za kontuar, by zaparzyć herbatę.

Przez chwilę pracowałem w milczeniu. Byliśmy sami w sklepie i żadne z nas nie czuło potrzeby pogawędki. Oberon zaraz wykorzystał okazję.

<Czyngis-chan na pewno nie tolerował takiego zachowania> stwierdził.

Masz rację, przyjacielu. Lecz wina leży też po mojej stronie. Oboje zachowujemy się dość niegrzecznie.

<To akurat zauważyłem. Ale dlaczego właściwie? Nie należy do tego typu samic, które zwykle ci się podobają?>.

Gdyby naprawdę tak wyglądała, to pewnie tak – przyznałem. – Ale w rzeczywistości ma pewnie koło dziewięćdziesiątki. Zresztą z zasady nie ufam wiedźmom.

<Myślisz, że będzie próbowała wykręcić jakiś numer? Mam może stanąć za nią?>.

Nie, i tak wie, że tu jesteś. Przejrzała kamuflaż. Ale mam przecucie, że coś ukrywa. Głowę daję, że ma coś za uszami.

<Za uszami? No, czekaj. Mogę podejść z tyłu i sprawdzić>.

Nie, nie. Mniejsza z tym. Słuchaj, gdy tylko wypije herbatę, będzie mnie próbowała czymś zaskoczyć. Czeka, aż nasza umowa wejdzie w życie, żeby mi tak przygadać, że aż mi pójdzie w pięty.

<No, to oddaj jej ten czek i powiedz, żeby spadała! Na co nam takie gierki z wiedźmami? Zawsze robią wszystko, żeby dorwać ciebie i twojego małego pieska>.

Czułem, że nie powinienem ci puszczać Czarnoksiężnika z Krainy Oz.

<Toto naprawdę nie zasługiwał na tę traumę. Był taki malutki>.

Gdy herbata Emily zaparzyła się w końcu, postawiłem filiżankę na ladzie przed nią i powiedziałem:

– Wypij ją, tak jak jest. Żadnych słodzików i słodczy przez co najmniej trzy godziny po zażyciu herbaty. Od dziś staraj się także nie jeść nic na trzy godziny przed herbatą. Insulina może zaburzyć metabolizm leczniczych składników ziół. – Była to oczywiście kompletna bzdura, ale nie mogłem sobie darować. – Zacznie działać dopiero po dwóch godzinach, więc nie wskakuj mu tak od razu do łóżka.

– Dobra – powiedziała i zaczęła łąpać gorącą herbatę jakby to była Irlandzka Bomba Samochodowa albo inny miły drink, kompletnie nie zważając na to, że wrzątek może poparzyć jej język i przetyk. Chyba naprawdę chciała mieć to już za sobą. Odstawiła filiżankę z takim hukiem, jakby to był kieliszek do wódki, i uśmiechnęła się do mnie złowrogo.

– A teraz, druidzie, teraz, gdy już weszła w życie umowa, z której nie możesz się wycofać bez bardzo poważnych konsekwencji, mam przyjemność poinformować cię, że mężczyzna, którego za pomocą tych ziół czynisz właśnie impotentem, to nie kto inny jak Aenghus Óg.

Rozdział 9

Dobra, takiej bomby to się nie spodziewałem. W przyspieszonym tempie nasuwała ona wiele pytań, z których na pierwszy plan wysuwało się jedno: „Gdzie znajduje się aktualnie Aenghus Óg?” Bo jeśli był już w mieście i flirtował sobie z lokalnymi wiedźmami, to moja paranoja w ogóle nie była paranoją. Oznaczało to bowiem, że był w wydarzenia zeszłej nocy zaangażowany znacznie bardziej bezpośrednio, niż myślałem. Oznaczało to jeszcze coś i Emily najwyraźniej czekała, by ta rewelacja dotarła do mnie w całej krasie: to, że dostarczyłem jej środek do poniżenia go, sprawiało, że Aenghus Óg będzie po prostu musiał mnie zabić i to jak najszybciej. Nie wystarczy mu już okazjonalne wysyłanie na mnie tego i owego; będzie musiał sam dorwać mnie i pokazać mi, gdzie raki zimują.

Tak, nieszczęścia zawsze chodzą trójkami. Najpierw te faerie odnalazły moją kryjówkę, potem mój własny pies zabił człowieka, a teraz zrobiłem sobie osobistego wroga z boga, który przez stulecia zadowalał się męceniem mnie przez pośredników i zastępców.

Ale nie zamierzałem dać Emily satysfakcji, okazując choć odrobinę niepokoju, jaki mnie opadł. Marzyła o tym, by zobaczyć w moich oczach strach, więc odgoniłem od siebie wszystkie te myśli i udałem sam przed sobą, że wspomniała o kimś zupełnie nieszkodliwym, jak na przykład pan Snuffleupagus z Ulicy Sezamkowej czy też doktor Dolittle.

– Zatem przyszłaś do mnie, by zwiądl mu jak wczorajsza sałata? – powiedziałem. – Mogłaś przecież sama to osiągnąć wiele prościej. Wystarczyło zrzucić z siebie tę sztuczną skórę i pokazać mu, jak naprawdę wyglądasz.

Cholera. Aż się sam zdziwiłem, że to powiedziałem. Oczy wyszły jej na wierzch na taką obelgę i w mgnieniu oka zamachnęła się prawą ręką, by dać mi w gębę. Wyjaśnijmy sobie coś: wytrzymałbym policzek zadany przez zwykłą kobietę. Ba! Mogę nawet przyznać, że należałby mi się, gdybym powiedział coś takiego zwykłej studentce. Jednakże policzek wymierzony przez wiedźmę po prostu nie wchodził w grę, bo jak księżyc w pełni jest raz w miesiącu, tak wiedźma na pewno przy okazji drapnęłaby mnie w twarz, by zdobyć trochę mojej krwi pazurami, a wtedy byłoby już po mnie. Wiele wieków temu mój przyjaciel padł ofiarą takiej samej sztuczki i to wystarczyło, bym zawsze miał się na baczności w towarzystwie wiedźm. Jedna taka sprowokowała go do jakiejś niezbyt grzecznej wypowiedzi, potem wymierzyła mu policzek, zostawiając na twarzy lekkie zadrapanie, a tej samej nocy jego serce po prostu wybuchło. I nie mam tu na myśli zawału. Jego serce dosłownie eksplodowało tak, jakby ktoś umieścił w nim trochę materiału wybuchowego i to na stulecia przed wynalezieniem prochu. Wzięliśmy go z kilkoma druidami do naszego gaju i przeprowadziliśmy rudymentarą sekcję zwłok, żeby zrozumieć, dlaczego tak nieoczekiwanie zmarł, i odkryliśmy w jego klatce piersiowej przerażający krater. Wtedy zrozumieliśmy, że wyrok śmierci zapadł już w chwili, gdy go spoliczkowała.

Nie udało mi się go pomścić, wiedźma zdołała uciec, a to bolesne wspomnienie wciąż mnie prześladowało, choć minęły wieki. I dlatego właśnie próba wymierzenia mi policzka przez Emily spotkała się u mnie z dość żywiołową reakcją: odbiłem jej dłoń, zasłaniając twarz prawą ręką, po czym zadałem jej z bekhendu cios znacznie silniejszy, niż powinienem. Zresztą w ogóle nie powinienem był jej uderzać. Powinienem był się po prostu wycofać o krok czy dwa, ale czasami mnie szlag trafia, kiedy mnie ktoś próbuje zabić, a nikt mi nie wmówi, że Emily miała inne zamiary. Wydała dziki pisk i zatoczyła się kilka kroków do tyłu, łapiąc się za twarz.

Złamałem jej nos i czułem się z tego powodu jak ostatnia świnia, mimo że wiedziałem dobrze, iż ona ma wobec mnie o wiele gorsze plany. Spojrzała na mnie lekko oszołomiona, a ja

postanowiłem wykorzystać tę chwilę na uspokojenie jej, zanim konflikt wymknie nam się zupełnie spod kontroli.

– Zaatakowałaś mnie, więc musiałem się bronić. Wiem, że policzek od ciebie równałby się śmierci, a przynajmniej poważnemu zagrożeniu życia, więc nie mogłem do tego dopuścić. Jeżeli zastanawiasz się, czy nie użyć przeciwko mnie magii, pragnąłbym ci przypomnieć, że znajdujemy się w moim własnym sklepie oraz że odwaga powinna iść w parze z rozważą.

– A ja pragnę ci przypomnieć, z kim masz do czynienia. Radomila dowie się o tym zajściu jeszcze dziś!

– To mnie nie niepokoi. Pokażę jej taśmę z mojej kamerki – powiedziałem, wskazując kamerę przemysłową umieszczoną na ścianie nad kasą – na której widać na pewno, że ty pierwsza się na mnie rzuciłaś. W dodatku dałaś mi przed chwilą dowód na to, że pozostajesz w bardzo bliskiej relacji z moim odwiecznym wrogiem. Mam więc pełne prawo traktować cię jak osobę, która nie ma wobec mnie przyjaznych zamiarów.

– No to już, na co czekasz? – rzuciła mi wyzwanie, a jej oczy ciskały istne pioruny.

– Na nic nie muszę czekać. – Zachichotałem. – Ja mam sytuację pod kontrolą.

– Może ci się zdawać, że masz coś pod kontrolą, druidzie – wycodziła, pędząc w stronę drzwi i wściekle klapiąc japonkami o podłogę. – Lecz już wkrótce przekonasz się, że jesteś w błędzie.

– Do jutra! Nie zapomnij o herbatce! – Pomachałem jej serdecznie, gdy trzasnęła za sobą drzwiami.

<O. Ona chyba będzie się chciała mścić> zauważył Oberon, gdy już zostaliśmy sami.

– O nią się nie martw – uspokoiłem go, łapiąc za łyżeczkę i wybiegając z kontuaru. – Ona akurat jest głupia jak but.

<Chyba jak kłapek> zauważył słusznie Oberon. <Co ty robisz?> spytał i z ciekawości wylazł za mną z za lady.

Kucnąłem i zacząłem się wpatrywać w wykładzinę.

– Ha! Mam. – Udało mi się znaleźć kropelkę krwi, która nie wsiąknęła jeszcze całkiem we włosie. Ostrożnie wziąłem ją na łyżeczkę i ruszyłem w stronę drzwi, zerkając przez szybę, czy jeszcze widać Emilię. Wsiadała właśnie do żółtego garbusa zaparkowanego po drugiej stronie ulicy, trochę na północ. Musiałaby obrócić się przez lewe ramię, żeby mnie zobaczyć, więc wyskoczyłem na zewnątrz (krzyknąwszy do Oberona, żeby został w środku) i zrzuciłem buty. Zanurzawszy palce stóp w wąskim pasie trawy, tym samym, który poprzedniego dnia pomógł mi wyleczyć rękę, zacząłem nucić zaklęcie splatające i pobierać moc z ziemi. Emilię jakimś sposobem zorientowała się w sytuacji, bo odwróciła nagle głowę i zobaczyła mnie; pomachałem jej łyżeczką z wesołym uśmiechem. Otworzyła usta z przerażenia, gdy zrozumiała, jak nieostrożnie się zachowała. Jej wargi się poruszyły, a brwi zmarszczyły w skupieniu, nie miałem więc już wiele czasu. Zlizalem jej krew z łyżeczki i zakończyłem splatanie w samą porę. Przytknęła palcami w moją stronę i wiedziałem dobrze, że posłała coś ku mnie, lecz poczułem tylko lekki powiew wiatru.

Dwie sekundy później jej górna połowa ciała została boleśnie wciśnięta w kierownicę, aż samochód zatrząsł się od trąbienia. Ha! Zamierzała widocznie wypchnąć mi łyżeczkę z ręki, a przy okazji popchnąć mnie, tak żebym stracił kontakt z moim paskiem ziemi, czyli źródłem mocy. Sprytne zagranie. Ale nie dość szybkie. Splot, który zdążyłem przedtem wykonać, był tylko prostym zaklęciem zabezpieczającym, które sprawiało, że każdy czar, który rzuci przeciwko mnie, wróci rykoszetem do wykonawcy. Jedynym sposobem, by się mogła z niego wyplątać, było zdobycie nieco świeżej krwi.

Odchyliła się powoli i chwyciła za klatkę piersiową. Pewnie obięła sobie żebro. Złamany

nos i zraniona duma dopełniały obrazu. Miała dziś wyjątkowo zły dzień przez tę wizytę u druida. Zacząłem się leniwie zastanawiać, co jej o mnie naopowiadano. Czy wiedziała, ile mam lat? Czy zdawało jej się, że jestem jakimś malowanym neodruidem, radośnie wymachującym ostrokrzewem i jemiolą? Odwróciła się w moją stronę, by posłać mi na pożegnanie jeszcze jedno piorunujące spojrzenie, a ja pomachałem jej serdecznie i posłałem nawet buziaka.

Pokazała mi środkowy palec – gest ten nie wzrusza mnie z zasady, po prostu jako kulturowo zupełnie dla mnie nieadekwatny – po czym uruchomiła swego garbuska i ruszyła z piskiem opon w stronę University Drive.

Wciąż chichocząc pod nosem, wróciłem do sklepu, a Oberon podszedł do mnie natychmiast i trącił nosem w nogę. Poczulem się dość dziwnie, bo przecież nadal był niewidzialny.

<Nikogo nie ma. Proszę mnie podrapać za uchem>.

Poszukałem więc jego głowy i przez dobrą minutę drapałem go za uchem.

– Jesteś bardzo cierpliwy – pochwaliłem go. – Wiesz co? Następnym razem pojedziemy na polowanie w góry Chiricahua. To na południu i głowę daję, że ci się tam spodoba.

<Na co będziemy polować?>.

– Na mulaki. Ale może i na owce kanadyjskie, jeśli się nam poszczęści.

<To kiedy jedziemy?>.

– Najpierw trzeba by pewnie zakończyć tę naszą sprawę tutaj – stwierdziłem. – Wiem, że dłuży ci się okropnie, ale obiecuję, że jak już pojedziemy, będziemy tylko polować. To będzie taka wycieczka wyłącznie dla ciebie. Co nie znaczy, że do tego czasu będziesz się nudził. Prawdopodobnie zaraz zostaniemy zaatakowani.

<Serio?>.

– No, może nie zaraz. Pewnie raczej, gdy już wyjdziemy ze sklepu.

Oberon nastawił uszu i odwrócił się w stronę drzwi.

<Ktoś idzie>.

Był to klient poszukujący egzemplarza *Upanisad*, a potem nieprzerwany ciąg kolejnych kupujących lub tylko oglądających. Pora lunchu minęła i wkrótce pojawił się Perry, żeby mnie poratować. Gdy tylko zaparzyłem jednemu ze stałych klientów jego ulubioną herbatkę, czyli „Małego Pomocnika Tatusia” (była to moja własna nazwa na herbatę, mającą zapobiegać problemom z prostatą), zadzwonił telefon. Ktoś z sabatu Radomily.

– Panie O’Sullivan, Malina Sokolowski z tej strony. Czy możemy porozmawiać o tym, co wydarzyło się dziś między panem a Emily?

– Jasne. Ale nie mogę teraz rozmawiać swobodnie. Mam klientów.

– Rozumiem – odrzekła. Miała ciepły głos, a lekki akcent przypisałem jej polskiemu pochodzeniu, bo takowe przecież sugerowało nazwisko. – Proszę mi tylko powiedzieć jedno: czy uważa pan, że umowa zawarta między panem a Emily nadal was obowiązuje?

– Naturalnie. – Pokiwałem głową, jakby była w stanie mnie zobaczyć. – Nie stało się nic, co mogłoby ją anulować.

– Cieszę mnie pańskie słowa. Czy nie przeszkadzałoby panu, gdybym towarzyszyła jej jutro, gdy przyjdzie na herbatkę?

– Myślę, że to by raczej zależało od pani intencji.

– Pan chyba sobie ze mnie dworuje – oburzyła się Malina. Czy one mają jakąś obsesję na punkcie tego dworowania czy jak? – Intencją moją jest jedynie bronienie Emily, na wypadek gdyby zamierzał pan znów ją zaatakować.

– Ach tak. A według niej ileż to ja razy ją dziś zaatakowałem?

– Raz fizycznie i raz magicznie.

– Dobrze, że choć w tym nie skłamała. Ale może powinna pani wiedzieć, pani Malino, że w obu wypadkach to ona zaatakowała mnie pierwsza, a ja się jedynie broniłem. Stąd te obrażenia, które z pewnością pani widziała.

– Cóż, zatem mamy dwie wersje wydarzeń. – Westchnęła z rezygnacją.

– Na to by wyglądało. Rozumiem, że pani zmuszona jest wierzyć jej, ale proszę też postawić się w mojej sytuacji. Wyznała mi, że jej kochankiem jest mój zaprzysiężony wróg, a zatem muszę założyć, że cały wasz sabat stanął po stronie mego nieprzyjaciela.

– Nie! To jakieś nieporozumienie! – zaprotestowała Malina. – Gdybyśmy stały po stronie tego pana, nie usiłowałybyśmy przecież go poniżyć.

– Dlaczego próbujecie go poniżyć?

– Na to pytanie powinna panu raczej odpowiedzieć Radomila.

– To bardzo proszę poprosić ją do telefonu.

– Radomila nie może w tej chwili podejść do telefonu. – U normalnych ludzi oznacza to zwykle, że dana osoba bierze prysznic czy coś w tym stylu. W przypadku Radomily oznaczało to prawdopodobnie, że właśnie rzuca skomplikowane zaklęcie z uwzględnieniem żabiego języka, oka trytona i może paczki słodziku.

– Rozumiem. – Do kontuaru podszedł klient o czarnych, przetłuszczonych włosach zwisających mu w strąkach na twarzy i położył na ladzie wielką torbę kadzideł. – Pani Malino, naprawdę muszę już kończyć. Będzie mi bardzo miło gościć jutro panią razem z Emily, ale najlepiej by było, gdyby namówiła ją pani do zachowania milczenia w mojej obecności. Ja mogę zrobić herbatkę w milczeniu, a ona może ją bez słowa wypić, w ten sposób nikt nie odniesie żadnych obrażeń. Gdyby miała pani ochotę zostać potem u mnie na chwilę, być może udałoby nam się porozmawiać bez niepotrzebnych rękoczynów.

Malina zgodziła się na taki plan i powiedziała, że będzie jej bardzo miło mnie poznać, po czym się rozłączyliśmy. Facet z brudnymi włosami spytał, czy jako aptekarz mam może dostęp do leczniczej marihuany, a ja zrobiłem smutną minę i powiedziałem mu, że nie, podliczając go jednocześnie za tonę tych kadzideł, które niechybnie służyć miały zamaskowaniu jego śmierdzących nawyków.

Narkomani nie przestają mnie zadziwiać. Historycznie rzecz biorąc, są wytworem dość świeżym. Wiadomo, każdy ma swoją teorię na ten temat. Tacy monoteiści na przykład zwykli składać ten fenomen na karb bezbożności, ale ja osobiście uważam, że jest to plaga, która narodziła się w usmolonym sadzą świecie rewolucji przemysłowej i wynikającego z niej podziału pracy. Wraz z daleko posuniętą specjalizacją nastąpiło odsunięcie ludzi od produkcji żywności i codziennej walki o przetrwanie, co z kolei pozostawiło w ich życiu pustkę, z którą niektórzy nie wiedzą, co zrobić. Większość znajduje sobie jakieś zdrowe sposoby na jej wypełnienie, takie jak hobby, kluby towarzyskie czy pseudosporty typu gra w warcaby czy pchełki. Ale niektórym się to nie udaje.

Perry miał wreszcie chwilę, żeby zająć się wyłożeniem tarota, i nim nadeszła pora, żeby zamykać, ułożył go pięknie na wystawie. Potem podjechałem szybko do wdowy i wyciągnąłem kosiarkę z szopy na narzędzia stojącej na tyłach jej domu.

– Ech, dobry z ciebie chłopak, mój Atticusie kochany – powiedziała, salutując mi szklaneczką whisky, gdy wyszła na werandę popatrzeć, jak pracuję. Lubiała sięść sobie na bujanym fotelu i usiłując przekrzyczeć warkot kosiarki, śpiewać mi stare pieśni irlandzkie – w każdym razie jej się zdawało, że są stare. Czasami zapominała słów i poprzestawała na nuceniu, ale mnie to nie przeszkadzało. Po zakończeniu pracy w ogródku zawsze siadałem przy niej i słuchałem wspominków o młodości spędzonej w kraju. Tego dnia, gdy słońce chyliło się już ku zachodowi, a cienie stawały się coraz dłuższe, opowiadała mi właśnie o tym, jak się wałęsała po

ulicach Dublina z bandą obiboków. – To było, zanim poznałam mego męża, oczywiście – zapewniła mnie pospiesznie.

Oberon stał na czatach na krawędzi trawnika, od strony ulicy. Gdy wdowa zabawiła mnie opowieściami o złotym wieku rozpusty, on czuwał gotowy ostrzec mnie na wypadek zbliżającego się zagrożenia.

<Atticusie> powiedział, gdy wdowa snuła opowieść o lepszych czasach w lepszej krainie <ktos zbliża się pieszo od północy>.

Czy to ktoś obcy? – Odłożyłem Fragaracha na bok, gdy siadałem przy wdowie, ale teraz wstałem i przerzuciłem go sobie przez ramię. Wdowa zmarszczyła brwi.

<Tak. Nie tylko obcy, ale i dziwny. Czuć od niego oceanem>.

Oj. Niedobrze. Nie ruszaj się i staraj się nie wydawać żadnych dźwięków.

– Przepraszam, pani MacDonagh – powiedziałem. – Ale ktoś tu idzie i chyba nie ma dobrych zamiarów.

– Co? Kto taki, Atticusie?

Nie wiedziałem, co jej odpowiedzieć, więc przemilczawszy jej pytanie, zrzuciłem buty i pobierając moc poprzez trawnik wdowy, ruszyłem w stronę ulicy ze wzrokiem skierowanym na północ. Jeden z moich charmsów na naszyjniku ma kształt niedźwiedzia i służy mi jako rodzaj baterii przechowującej moc, gdy idę po cemencie czy asfalcie. Starałem się go załadować maksymalnie, nim przeciwnik będzie bliżej.

Wkrótce, kilka domów dalej ujrzałem wysoką postać w zbroi, która grzechotała nieznosnie na asfalcie. Na mój widok uniosła dłoń w geście powitania. Uruchomiłem charms, który nazywam „szkłem faerycznym”; to taki rodzaj filtru umożliwiającego mi widzenie mimo przebrań i innych magicznych sztuczek faerii. Jednocześnie widzę to, co widziałbym normalnie, ale na to nakłada się dodatkowa warstwa zielonej barwy, na której widoczne jest to, co magiczne i w zamierzeniu ukryte. Jak na razie obie warstwy pokrywały się ze sobą, a więc kimkolwiek był ten typ, widziałem go takiego, jaki rzeczywiście był. Jeśli miał coś podobnego do mojego szkła faerycznego, był w stanie przejrzeć kamuflaż Oberona, ale być może nie miał.

Zakuty był w dość jarmarczną zbroję z brązu, której dawniej nikt by na pewno nie włożył. Kirys z utwardzanej skóry pomalowany był na kolor indygo, ale przede wszystkim zakrywał zbyt wiele i przez to ograniczał ruchy. Na krótką kolczugę z brązu nałożył dodatkowo taszki w kształcie liści, a poza tym miał jeszcze pięcioczęściowe naramienniki, zarękawia i nagolenniki do kompletu. Już w Irlandii byłoby mu w takiej zbroi za ciepło, ale tu, gdzie temperatura wciąż oscylowała w okolicach trzydziestu stopni Celsjusza, musiał się po prostu piec żywcem. Wszystko to jednak przebijał hełm – jeden z tych średniowiecznych barbut, które tak naprawdę popularne stały się dopiero chyba z tysiąc lat po powstaniu. Uznałem, że włożył go w ramach jakiegoś żartu, choć wydawał mi się on raczej mało zabawny. U boku dyndał mu miecz w pochwie, ale na szczęście nie miał przy sobie żadnej tarczy.

– Pozdrowiony bądź, Siodhachanie Ó Suileabháinie! – zawołał. – Witaj – dodał jeszcze i posłał mi spod hełmu uśmiešek świadczący o takim samozadowoleniu, że naszła mnie ochota ubić go na miejscu i mieć to już z głowy. Nie zdjąłem szkła faerycznego, bo nie ufałem mu za grosz. Gdybym go nie miał, Bres bez trudu mógłby oszukać moje oczy, udając, że stoi sobie trzy kroki ode mnie z rękoma za głową, gdy tymczasem tak naprawdę wbijałby mi właśnie nóż w brzuch.

– Mów mi Atticus. Witaj, Bresie.

– Nie pozdrowisz mnie? – Przekrzywił nieco głowę na prawo, jak dalece pozwalała mu na to barbuta.

– Może najpierw zobaczymy, jak przebiegnie nasze spotkanie. Dawno się nie widzieliśmy i

prawdę powiedziawszy, nie miałbym nic przeciwko niewidzeniu cię jeszcze trochę dłużej. A swoją drogą Festiwal Renesansu odbywa się tu dopiero w lutym.

– To niezbyt gościnne przyjęcie z twojej strony – zauważył Bres, marszcząc brwi. Oberon miał rację. Śmierdział solą i rybami. Jako bóg rolnictwa powinien pachnieć ziemią i kwiatami, ale unosił się nad nim odór zatęchłych doków. Być może był to spadek po jego fomoriańskich przodkach, którzy mieszkali nad morzem. – Mógłbym nawet wziąć do siebie tę zniewagę.

– Bierz ją i wracaj, skąd przyszedłeś, bo naprawdę nie mam pojęcia, po co jeszcze miałbyś tu się pojawić.

– Poprosił mnie o to mój stary przyjaciel – wyjaśnił.

– Czy ten sam przyjaciel kazał ci się tak ubrać? Bo jeśli tak, to na twoim miejscu nie uważałbym go za przyjaciela.

– Atticusie, kto to taki? – zawołała wdowa MacDonagh z werandy.

Nie odrywając oczu od Bresa, odkrzyknąłem jej:

– Stary znajomy! Już sobie idzie. – Czas najwyższy na mój sprytny manewr. Łącząc swój umysł z umysłem Oberona, powiedziałem mu: *Nie ruszaj się. Ale kiedy ci powiem, skocz za niego, chwyć zębami za nogę i powal na ziemię. Potem natychmiast odskocz.*

<Dobra> zgodził się Oberon.

Bres natomiast zachowywał się tak, jakby wdowa nie istniała.

– Aenghus Óg chce z powrotem swój miecz. Oddaj mi go, a zostawimy cię w spokoju.

Prosta sprawa.

– A czemuż to sam nie przyszedł?

– Jest w okolicy – powiedział Bres. Liczył na to, że podniesie tym moją paranoję o kilka poziomów. Zadziałało, lecz nie zamierzałem pozwolić, by zadziałało na jego korzyść.

– A co ty z tego będziesz miał, Bres? I o co chodzi z tą zbroją?

– Nie twój w tym interes, druidzie. Ty musisz tylko zdecydować, czy oddajesz nam miecz i żyjesz, czy też odmawiasz i umierasz.

Ostatnie promienie słońca pomachały nam na pożegnanie tuż nad horyzontem i zapadł zmierzch. Czas faerii.

– Powiedz mi lepiej, po co mu ten cały miecz – nie dawałem za wygraną. – Przecież Irlandia nie ma już żadnego Wysokiego Króla, który by potrzebował Tuatha Dé Danann do zjednoczenia wszystkich plemion.

– To nie twoja sprawa.

– Owszem, moja, ale pewnie i tak nie znasz odpowiedzi na to pytanie. Fragarach jest tu, pod twoim nosem. – Wskazałem na wystającą mi zza pleców rękojeść. – Czy jeśli dam ci go teraz, pójdiesz sobie i nigdy już nie usłyszysz słowa ani od ciebie, ani od Aenghusa?

Bres przez chwilę wpatrywał się uważnie w rękojeść, po czym zachichotał.

– To nie jest Fragarach. Widziałem prawdziwego Fragaracha, druidzie, czułem jego magię. W tej pochwie masz zwykły miecz.

Ja cię kręcę! Ta osłona Radomily jest naprawdę pierwsza klasa.

I wtedy zielona warstwa mojej wizji oddzieliła się od tej normalnej. Bres zaczął wyciągać z pochwy swój miecz, ale robił to nieśpiesznie i przyglądał mi się bacznie, czy zareaguję, więc starałem się sprawiać wrażenie, jakbym był tego zupełnie nieświadom. Albo tak naprawdę wie, że mam na plecach Fragaracha, i chce mnie przechytrzyć, albo po prostu uznał, że zabicie mnie poprawi mu reputację. Z pewnością zrobi z tego wspaniałą opowieść o walecznej bitwie, mimo że przecież planował coś w stylu dźgnięcia nożem w plecy.

– Zapewniam cię, że to prawdziwy Fragarach – powiedziałem do niego, a do Oberona nadałem komunikat: *Zmiana planu. Połóż się za nim, kiedy dam ci znak. Pchnę go na ciebie tak,*

żeby się przewrócił.

<OK>.

Nieprawdziwa postać Bresa wzruszyła ramionami i powiedziała:

– Możesz mi dać swoją podróbę, jeśli chcesz. To tylko wszystko trochę opóźni, znów będę musiał tu wrócić i przedstawić ci odpowiednią ofertę. Ale mogę ci zagwarantować, że nie będzie ona nawet w połowie tak hojna jak ta, którą dziś ci przedstawiłem.

I wtedy właśnie prawdziwy Bres widoczny na zielonej warstwie rozdziawił gębę w szalonym uśmiechu, chwycił miecz obiema dłońmi i zamachnął się nim, żeby rozciąć mnie na dwoje.

Teraz, Oberon! – krzyknąłem w głowie, starając się jednocześnie zachować zamyślony wyraz twarzy, jakbym usilnie analizował słowa Bresa. Zacząłem gadać, cokolwiek mi przyszło na myśl, żeby zatuszować ewentualne dźwięki, które mógłby wydać Oberon podczas ruchu.

– Wiesz, Bresie, moim zdaniem pomijasz w tym rozumowaniu pewną ważną kwestię – mówiłem, gdy on opuszczał miecz z całą siłą na moje ciało, a potem odsunąłem się w ostatniej chwili na prawo. Jego udawana postać wciąż stała tam gdzie przedtem, uśmiechając się głupawo, ale już zupełnie nie zwracałem na nią uwagi. Zielona postać – czyli prawdziwy Bres – właśnie usiłował mnie zabić. Zgiął się niezgrabnie, gdy jego miecz trafił w pustkę, a ja wykorzystałem ten moment, żeby kopnąć go najpierw w nadgarstek, bo chciałem, żeby przede wszystkim wypuścił z dłoni miecz, a potem w twarz, żeby wstał. Oczywiście hełm chronił go od mojego ciosu, ale jednak każde uderzenie w głowę sprawia, że się ją odruchowo podnosi. Następnie przeniosłem ciężar ciała na lewą nogę, obróciłem się zgodnie ze wskazówkami zegara i nim miał czas się zorientować, wyprowadziłem sierpowy w jego splot słoneczny. Zachwiał się do tyłu, potknął o Oberona i z wielkim hukiem i brzdękiem brązu i utwardzanej skóry runął na ziemię. Jemu samemu nic w zasadzie nie było, ale zdecydowanie ucierpiała jego duma. W jednej chwili zrezygnował z tej drugiej udawanej postaci, uśmiechający się Bres zlał się w jedno z tym na ziemi, a moje szkło faeryczne znów pokazywało to samo, co byłoby widać bez niego.

Mogłem na tym poprzestać. Był już bezbronny i nie stanowił dla mnie żadnego zagrożenia. W dodatku, jeśli w okolicy znajdowała się choć jedna faeria i widziała go, gdy klapnął tyłkiem na ziemię, z pewnością wieść o jego upokorzeniu natychmiast przejdzie do legend. Ale on próbował mnie przecież zabić za pomocą oszustwa. Nie odważył się walczyć ze mną uczciwie, bo wiedział, że tak by nie wygrał (na polu walki Bres nigdy nie budził niczyjego przestrachu). Wiedziałem, że jeśli pozwolę mu żyć, zacznie nasylać na mnie kolejnych morderców tak, jak robił to od wieków Aenghus, i na samą myśl o podwojeniu sobie w ten sposób problemu, z którym i tak borykałem się od dawna, zrobiło mi się słabo.

Poza tym, jak to się współcześnie mówi: ten facet był skończoną gnido-kanalią.

Toteż nie poprzestałem na tym. Gdy on leżał na ziemi, wyciągnąłem Fragaracha z pochwy i pchnąłem go prosto w środek jego brązowego kirysu, który nie stanowił dla magicznego ostrza żadnej przeszkody. Bresowi oczy wyszły na wierzch i spojrzał na mnie ze zdumieniem: przeżył tyle epickich bitew w starożytnej Irlandii (fakt, że w normalnej zbroi) i choć mógł zginąć w nich śmiercią herosa, oto z winy nadmiernej pewności siebie miał umrzeć w wyniku bójk, która trwała nie dłużej niż dziesięć sekund.

Nie marnowałem czasu na triumfowanie nad nim, bo tak najłatwiej ściągnąć na siebie jakąś klątwę, tylko wyciągnąłem z niego szybko ostrze Fragaracha, aż jęknął z bólu, i spuściłem miecz na jego szyję, odcinając mu głowę, nim miał czas mnie przekląć.

<Kiedy mówił, że chce, żebyś oddał mu miecz, chyba nie to miał na myśli> stwierdził rzeczowo Oberon.

Zamachnął się na mnie swoim mieczem – tłumaczyłem się.

<Naprawdę? Nie widziałem>.

On ciebie też nie widział. Dobra robota.

– Zabiłeś go na śmierć – usłyszałem jakiś cichutki głosik. Odwróciłem się i ujrzałem wdowę. Szklaneczka whisky zatrzęsała się w jej dłoni niebezpiecznie, a potem runęła w dół i roztrzaskała na werandzie. – Zupełnie na śmierć. – Głos jej drżał. – Teraz mnie też zabijesz na śmierć? Wyślesz mnie do Pana Mego, żebym już była z moim Seanem?

– Nie, pani MacDonagh, nie, oczywiście, że nie. – Mimo że ostrze było dość brudne, wsunąłem miecz z powrotem do pochwy, żeby wyglądać trochę mniej groźnie. – Dlaczego miałbym panią zabijać?

– A nie jestem świadkiem twojej zbrodni?

– To nie była żadna zbrodnia. Musiałem go zabić. To było w samoobronie.

– Nie wyglądało wcale jak samoobrona, chłopcze – zauważyła z wyrzutem. – Kopnąłeś go, pchnąłeś, a potem dźgnąłeś i odrąbałeś mu łeb.

– Może nie widziała pani całego zajścia – odpowiedziałem, kręcąc głową – bo częściowo zasłaniałem pani widok. Najpierw to on próbował mnie dźgnąć mieczem. Widzi pani to ostrze na ziemi. Przecież nie ja je wyciągnąłem z pochwy, tylko on. – Nie ruszyłem się z miejsca i czekałem, aż to przeanalizuje. Kiedy komuś się wydaje, że chcesz go zabić, nigdy się do niego nie zbliżaj, żeby go pocieszyć, choć z niewiadomych przyczyn ludzie zawsze tak właśnie robią na filmach.

Wdowa zmrużyła oczy, przyglądając się znikającemu w mroku wieczoru zarysowi miecza. Widziałem, że na jej twarzy zaczyna się malować wątpliwość.

– Tak mi się nawet zdawało, że coś ci tam groził – powiedziała – ale nie widziałam, żeby się choć ruszył, nim go kopnąłeś. Kto to był? Czego chciał?

– Wróg z dawnych czasów... – zacząłem, ale przerwała mi od razu.

– Z dawnych czasów? Toż ty masz ledwie dwadzieścia jeden lat! Jak możesz mieć wroga z dawnych czasów?

Bogowie niejedyni, żeby ona wiedziała.

– Dla mnie był wrogiem z dawnych czasów – zacząłem, ale potem przyszło mi coś innego do głowy. – Chodzi o to, że był wrogiem mego ojca, więc w zasadzie jest moim wrogiem od dnia moich narodzin, sama pani rozumie. A ponieważ mój ojciec zmarł dawno temu, to na mnie zaczął polować. I dlatego się tu sprowadziłem, wie pani, chciałem przed nim uciec. Ale kilka dni temu ktoś mi powiedział, że facet mnie odnalazł i że tu przyjedzie, więc zacząłem nosić ze sobą ten miecz, żeby móc się jakoś bronić.

– Ale czemu nie sprawiłeś sobie normalnego pistoletu jak wszyscy ci amerykańscy chłopcy?

Uśmiechnąłem się do niej promiennie.

– Bo jestem Irlandczykiem, pani MacDonagh. I pani przyjacielem. – Przybrałem błagalny wyraz twarzy i złożyłem odpowiednio dłonie. – Proszę, niech mi pani uwierzy, że musiałem go zabić, bo inaczej już bym sam nie żył. Mam nadzieję, że wie pani, że nigdy w życiu bym pani nie skrzywdził, prawda?

Nie wyglądała na przekonaną, ale wyraźnie się wahała.

– Na czym polegał ten cały konflikt między nim a twoim tatą? – spytała.

Jakoś nie przyszło mi do głowy żadne przekonujące kłamstwo, więc zadowolilem się półprawdą:

– Chodziło o ten miecz – powiedziałem, wskazując kciukiem rękojeść. – Tata ukradł mu go dawno temu, ale w pewnym sensie to właściwie go tylko odebrał. To irlandzki miecz, sama pani rozumie, a ten typ trzymał go w swojej prywatnej kolekcji i tego... w sumie on był

Anglikiem i w ogóle...

– Był Anglikiem?

– Tak. – Miałem ostre wyrzuty sumienia, że tak manipuluję wdową, ale naprawdę nie mogłem sobie pozwolić na to, żeby stać tu całą noc na środku ulicy i deliberować nad odrąbaną głową Bresa. Podczas konfliktów w Irlandii Północnej jej mąż należał do radykalnego odłamu IRA i został zabity przez UVF, których wdowa uważała (czy słusznie, to inna rzecz) za marionetki w rękach Anglików.

– A to zakop skurczybyka u mnie w ogródku i niech szlag trafi królową i tych jej wszystkich sługusów z piekła rodem.

– Amen – powiedziałem – i bardzo pani za to dziękuję.

– Nie ma sprawy, serdeńko – zapewniła mnie wdowa i roześmiała się. – Wiesz, co mawiał mój Sean, niech spoczywa w pokoju? Mawiał: „Znajomy to pokopie z tobą piłkę, Katie, ale prawdziwy przyjaciel zakopie z tobą trupa”. – Zachichotała ochryple i zaklaskała w dłonie. – Choć prawdę powiedziawszy, to ja ci w żaden sposób, mój złociutki, nie pomogę z tak wielgachnym ciałem. Ale wiesz, gdzie jest łopata, prawda?

– Jasne, już po nią idę. Tak sobie myślę, pani MacDonagh, może by miała pani w domu jakąś lemoniadę czy coś? Bo naprawdę bym nie pogardził.

– Jasne, słońce ty moje, zaraz ci coś tam przyrządzę. Ty tu rób, co trzeba, a ja ci zaraz wyniosę szklaneczkę czegoś dobrego.

– Bardzo pani dziękuję. – Gdy tylko zniknęła w domu, odwróciłem się do Oberona, który wciąż miał na sobie kamuflaż: *Dalbyś radę zanieść tę głowę na podwórze? Musimy to wszystko jakoś uprzątnąć.*

Zapadła już noc, ale niestety zapaliły się także lampy na ulicy, a w światłach reflektorów każdy kierowca będzie w stanie dojrzeć, że coś jest nie tak.

<W tym hełmie to nie mam jej nawet jak złapać. Ale może uda mi się ją poturlać nosem>.

Świetnie – odpowiedziałem. Gdy tylko pochyliłem się, żeby unieść ciało, a Oberon zaczął swoją upiorną grę z nietypową piłką, tuż obok pojawiła się wielka wrona. Wystarczył jej rzut oka na pozostałości jatki, by natychmiast zakrakać wściekle.

– Wiem, wiem – szepnąłem pospiesznie. – Wpakowałem się w niezłe tarapaty. Jeśli pójdiesz ze mną na tyły tego domu, będziemy w stanie normalnie porozmawiać. – Wrona znów zakrakała, po czym wzniosła się w powietrze i przeleciała nad dachem.

Podniosłem wreszcie Bresa z ulicy i zarzuciłem go sobie na ramię. Poczulem, że jego krew spływa mi po plecach. Będę musiał spalić koszulę. Gdy dotarłem na podwórko za domem, Morrigan stała już w swej ludzkiej postaci – blada i milcząca. Dłonie oparła na biodrach. Oczy wbiła we mnie. Nie zanosilo się na miłą pogawędkę.

– To, że zgodziłam się na twoją nieśmiertelność, bynajmniej nie oznacza, że masz moje pozwolenie na zabijanie Tuatha Dé Danann – wycodziła.

– Ale chyba nie muszę mieć żadnego pozwolenia, żeby się bronić? – zdenerwowałem się.

– Próbował posłużyć się magią, żeby mnie zwyczajnie zadźgać, Morrigan. Gdyby nie mój naszyjnik, w życiu bym nie zobaczył, że zamachuje się na mnie swoim mieczem.

– Przeżyłbyś – oświadczyła Morrigan.

– Taa, ale w jakim stanie? Wybacz, ale naprawdę nie mam ochoty sprawdzać, ile bólu odczuwa się przy wyprutych wnętrznościach – powiedziałem, zniżając ramię i bezceremonialnie pozwalając ciału Bresa opaść na trawę gatunku bermuda.

– Opowiedz mi dokładnie, co się wydarzyło. Chcę usłyszeć każde słowo, które padło między wami.

No to powiedziałem jej. Ona tymczasem przyglądała mi się w milczeniu i świdrowała

mnie spojrzeniem swych czerwonych oczu, które w końcu zbladły, gdy zdałem relację, jak posłużyłem się zakamuflowanym psem, żeby powalić przeciwnika i go wykończyć.

– Cóż, Bres zachował się wyjątkowo arogancko. Zasłużył na głupią śmierć – zawyrokowała. – Spójrz tylko na tę szkaradną zbroję. – Potem jednak popatrzyła na jego głowę, która leżała na ziemi na prawo od niej, i jej oczy znów zabłysły czerwienią. – Gdy usłyszysz o tym Brighid, zażąda ode mnie twojej głowy! A ja będę jej musiała odmówić! Czy ty masz pojęcie, druidzie, w jakiej mnie to stawia niezręcznej sytuacji?

– Bardzo mi przykro, Morrigan. Ale może jeśli opowiesz Brighid szczegółowo, jak zginął, nie będzie się chciała tak od razu mścić. Sama pomyśl, jak ty zareagowałaś. To najbardziej żalosna śmierć, jaka kiedykolwiek zdarzyła się komukolwiek spośród Tuatha Dé Danann. Poza tym dlaczego on w ogóle wykonywał jakieś polecenia Aenghusa? Żądanie zadośćuczynienia za kogoś tak marnego byłoby śmieszne.

Ochłonęła nieco, gdy rozważała moje słowa.

– Hmm. Dobrze kombinujesz. Być może uda nam się uniknąć konfliktu, jeśli przedstawimy jej to w odpowiedni sposób. – Znów spojrzała na ciało Bresa i jego głowę leżącą pod łapami Oberona. – Ciało zostaw mnie – zarządziła. – Ja się nim zajmę.

– Dzięki. – Przysłałem na to z ulgą. – Jeśli ci to nie przeszkadza, skoczyłbym teraz zmyć krew z ulicy.

– Oczywiście. – Morrigan machnęła ręką, nie odrywając oczu od ciała, więc ruszyłem, nie czekając, aż przypadkiem zmieni zdanie. Zresztą naprawdę nie miałem ochoty patrzeć na to, co zamierzała zrobić.

Chwyciłem zainstalowany na frontowej ścianie domu wąż ogrodowy i przekręciłem kurek, ile się dało. Z domu wyszła wdowa ze szklaneczką lemoniady dla mnie i świeżą porcją whisky dla siebie. Wyraźnie się zdziwiła, że tak szybko wróciłem z podwórka.

– Pochowałeś już tego zasranego dupka? – spytała.

– Nie – przyznałem, starając się ukryć zdumienie takim słownictwem w jej ustach. – Wróciłem, żeby najpierw zmyć krew z ulicy.

– Aha. To pracuj, pracuj – powiedziała, podając mi szklankę i klepiąc mnie delikatnie po ramieniu. – Zaraz będzie „Koło Fortuny”, więc sam rozumiesz.

– Oczywiście. Dobranoc, pani MacDonagh.

Zachwiała się lekko, gdy szukała klamki.

– Dobry z ciebie chłopak, Atticusie. Tak ładnie strzyżesz mi trawnik i bardzo sprawnie pozbywasz się tych paskudnych Angoli.

– Nie ma o czym mówić – odparłem nonszalancko. – Zresztą może w ogóle lepiej, żeby pani o tym nikomu nie mówiła – dodałem.

– Oczywiście – zgodziła się i wreszcie odnalazłszy klamkę, pociągnęła za nie. – Dobrej nocy, złociutki.

Gdy drzwi zamknęły się za nią, Oberon mruknął:

<Nie wydaje ci się, że telewizja znieczuliła ją na przemoc?>.

Może to telewizja, a może życie w Irlandii Północnej podczas konfliktów w latach siedemdziesiątych – odparłem.

<O co tam chodziło?>.

O wolność. Religię. Władzę. Czyli o to co zwykle. Byłbyś tak dobry i stanąłbyś znów na czatach na skraju trawnika, gdy ja będę mył ulicę?

<Nie ma sprawy>.

Najpierw wyciągnąłem Fragaracha, żeby go zmyć szlauchem, a potem zająłem się ulicą. Już prawie kończyłem, gdy usłyszałem w głowie Oberona. Głos drżał mu z przejęcia.

<Hej, kazałeś mi zwracać uwagę na ciężkie kroki. No, to teraz słyszę całą gromadkę ciężkich kroków. I są coraz bliżej>.

Rozdział 10

Czas do domu! – zawołałem, rzuciłem węża na ziemię i popędziłem zakręcić wodę. Szybko wskoczyłem na rower i kazałem Oberonowi biec jak najszybciej. Musiałem zniknąć spod domu wdowy, bo w innym wypadku zbyt łatwo mogłaby za chwilę paść ofiarą tego, co się zbliżało.

<Co robi cały ten hałas?> chciał wiedzieć wilczarz, gdy pędził koło mnie wielkimi susami. Ja tymczasem pedałowalem ze wszystkich sił.

To Firbolgowie – wyjaśniłem mu mentalnie, oszczędzając oddech.

<Chyba przyspieszyli. Teraz biegną>.

Zauważyli nas. Nie oglądaj się za siebie, tylko biegnij ile sił w łapach. Aha, będą mieli włócznie, ale ich nie zobaczysz. Po prostu zaufaj mi. Oni też cię nie zobaczą. Dlatego masz rzucać się na ich lewe nogi, na ten kawałek tuż nad kostką.

<Chodzi ci o ścięgno Achillesa? Przecież pamiętam>.

Świetnie, ale tym razem celuj w łydki. Te typy są znacznie większe, niż ci się będzie zdawać, a ich ścięgna Achillesa są tam, gdzie u normalnych ludzi łydki. Gryź ich raz i potem natychmiast uciekaj, nim zdążą na ciebie upaść albo się zamachnąć.

<Ale co, jeśli będą w zbroi?>.

Nie będą. Cokolwiek zobaczysz, pamiętaj, że to tylko złudzenie. Najprawdopodobniej będą boso. Ale mają dość twardą skórę. – Zaryzykowałem i obejrzałem się szybko za siebie, na Roosevelta, gdy skręcaliśmy w Jedenastą. Normalny widok przedstawiał dziewięciu dupków na harleyach-davidsonach, pędzących za mną na pełnym gazie, jakbym właśnie powywracał im maszyny przed barem z bilardem. Moje szkło faeryczne pokazywało mi jednak dziewięciu Firbolgów, niemal nagich, jeśli nie liczyć przepasek na biodrach i malunków wojennych na skórze. W prawych rękach mieli włócznie, a w lewych dzierżyli wielkie drewniane tarcze. Gęby wykrzywiali w upiornych uśmiechach, bo widzieli, że są coraz bliżej.

Gdy wreszcie dotarliśmy do domu, wjechałem wprost na trawnik i zeskoczyłem z roweru, który pojechał beze mnie jeszcze kawałek i uderzył w werandę. W tym momencie z tej strony dobiegło mnie ciche przekleństwo, zacząłem się więc zastanawiać, kto taki może tam na mnie czekać, ale nie tracąc czasu, wyciągnąłem też Fragaracha z pochwy.

– Niech cię diabli, Atticusie, cóż ty wyprawiasz? – powiedział znajomy głos, a mój rower poleciał w powietrze i wylądował w połowie drogi między mną a werandą.

Poczułem, że mięśnie mojej twarzy rozluźniają się i same układają w uśmiech.

– Leif! – zawołałem, a on z pewnością usłyszał w moim głosie ulgę. – Jak się cieszę, że tu jesteś. – Zupełnie już zapomniałem, że sam prosiłem przecież Hala, żeby go do mnie przysłał po zachodzie słońca. – Mam nadzieję, że jesteś ubrany odpowiednio na małą bójkę.

– Bójkę? Czy to tak mam interpretować ten zbliżający się hałas?

Mój wampirzy prawnik wyłonił się z cienia na werandzie i zrobił krok w stronę przyćmionego światła lamp na ulicy. Jego bladą twarz otaczała bujna czupryna siwych włosów, a równie srebrne brwi marszczyły się na mnie sponad nienagannie skrojonego garnituru. A więc niestety nie jest ubrany w swój strój do walki.

Firbolgowie tymczasem właśnie wypadli zza rogu ulicy i hałas, jaki robili, stał się zupełnie nie do zniesienia, nawet przy normalnym słuchu, o wampirzym już nie wspominając.

– Nie taki był mój plan, Leif – zapewniłem go. – Ale jeśli mi teraz nie pomożesz, możesz stracić raz na zawsze swego ulubionego klienta. Daję za to dwa kieliszki.

– Nie licząc normalnych opłat dla firmy? – spytał, unosząc brwi.

– No, bez przesady. Jeden jako opłata dla firmy, a drugi pod ladą za pomoc w tej bójce. Nie było czasu na negocjacje. Kiwnął tylko głową i stwierdził:
– Nie wyglądają specjalnie groźnie.
– To olbrzymy ukryte pod postaciami harleyowców. Nie ufaj swoim oczom. Zдай się na węch. Jak pachnie ich krew?

Byli tuż o krok, ale warto było zadać to pytanie. Oczy Leifa rozszerzyły się, gdy poczuł zapach ich posoki.

– Cóż za siła – mruknął. – Dzięki, Atticusie. – Uśmiechnął się, ukazując wyrastające mu natychmiast kły. – Jeszcze nie jadłem śniadania.

– Jedz, jedz, nie żałuj sobie – zachęciłem go i więcej nie zdążyłem powiedzieć.

Nie krępując się już niczym, Leif skoczył nienaturalnie wysoko i skierował się w stronę dowodzącego Firbolga, ponad jego, widoczną dla śmiertelników, głowę, ponieważ szyja olbrzyma znajdowała się około trzech stóp wyżej. Firbolgowie zwolnili nieco, gdy zobaczyli, że ich przywódcę powalił na ziemię facet w angielskim gajerku. Jednak zwolnić to nie to samo co się zatrzymać.

Leć, Oberonie! Milego polowania! Wilczarz pobiegł, a ja pobrałem moc z trawnika, ciesząc się tym miłym uczuciem, gdy energia ziemi wpływa poprzez tatuaże w moje ciało. Skomplikowane węzły i zawijasy tatuażu oplatały mi podeszwę prawej stopy, a potem wędrowały w górę po kostce, nodze, aż po klatkę piersiową i ramiona, gdzie spływały niczym wodospad z indygo na bicepsy; tam zawijały się pięć razy, aż wreszcie kończyły się (jeśli celtyckie plecionki w ogóle mają jakiś koniec) na wierzchu mojej dłoni. Tatuaże połączone były ze mną nierozzerwalną więzią i to przez nie miałem dostęp do mocy ziemi. Mogłem pobierać ją bez końca, jeśli oczywiście stałem na niej boso. W praktyce oznaczało to, że nigdy nie zmęczę się w bitwie. Po prostu nie odczuwałem wyczerpania. Gdy tylko potrzebowałem, mogłem rzucić jakieś zaklęcie na wroga albo pobrać taką siłę, że bez trudu pokonałbym niedźwiedzia gołymi rękami.

Minęło jednak wiele czasu, odkąd ostatni raz zaszła potrzeba pobrania aż takiej ilości mocy. Z drugiej strony nie byłem w takich opałach od czasu, gdy wpakowałem się w moszujący tłum na koncercie Pentery. Dziewięciu Firbolgów – no, już ośmiu – przerosło moje oczekiwania.

Przesunąłem się tak, żeby mieć za sobą mój jadłozyn, na wypadek gdyby któremuś przyszło do głowy zająć mnie od tyłu. Wskazałem palcem na pierwszego, który wszedł na mój trawnik, i powiedziałem: *Coinnigh* („trzymaj”, „zatrzymaj”), a ziemia zgodnie z moją wolą zaczęła się poruszać. Usunęła się olbrzymowi spod nóg, a potem otoczyła je, łapiąc go i zatrzymując w miejscu. Nie oddałbym sprawiedliwości sytuacji, gdybym rzekł, że to go tylko trochę zaskoczyło. Siła bezwładności pchnęła go do przodu tak, że kości nie miały innego wyjścia, jak pęknąć tuż nad kostkami, gdy stopy zostały nagle unieruchomione w jednym miejscu. Złamane kości przedarły się przez łydki, a on wylądował przede mną twarzą na ziemi, bez stóp i drąc się niemiłosiernie. Nie tak to sobie zaplanowałem. Liczyłem na to, że zepnie się, utrzyma na nogach i w ten sposób odgrodzi mnie od swoich kompanów. Nic z tego. Jego kumple pędzili na mnie bardziej wściekli niż zaniepokojeni upadkiem jednego ze swoich, więc musiałem teraz poradzić sobie jakoś z trzema włóczykami wymierzonymi w moje wątpia.

Prawdziwe walki nie wyglądają wcale tak ładnie jak te na filmach, bo za tymi ostatnimi stoi staranna choreografia (w szczególności dotyczy to wschodnich sztuk walki), tak że koniec końców wydają się piękne niczym jakiś taniec. Podczas prawdziwej bójki nie ma czasu, żeby się zatrzymać, upozować i nastroszyć piórka. Człowiek po prostu stara się zabić, żeby samemu nie zostać zabitym, a wygrana bez zachowania zasad fair play jest nadal wygraną. Właśnie tego nie rozumiał Bres, dzięki czemu tak łatwo się go pozbyłem. Firbolgowie nie znają, co to

pretensjonalność – a gdyby nawet znali, z pewnością by szybko o niej zapomnieli na widok Leifa powalającego ich przywódcę jeszcze na ulicy i drugiego kolegi tracącego grunt pod nogami na moim trawniku. Nie, ci kolesie założyli po prostu, że nie będę w stanie umknąć trzem włóczniom wymierzonym we mnie z wysoka i to pod trzema różnymi kątami. Mogę zdążyć zrobić unik przed jedną z nich, może nawet odepchnąć drugą, ale nie poradzę sobie na pewno ze wszystkimi trzema. Jeśli podskoczę do góry lub odskoczę do tyłu, wpadnę na moje własne drzewo. Jeśli rzucę się na ziemię, poniżej ich włóczni, po prostu mnie zdeptają. Tak na oko dobijali lekko do sześciuset funtów żywej wagi, więc naprawdę wolałbym nie trafić pod ich stopy, gdyby zachciało im się stepować. Podsumowując, miałem mniej więcej sekundę na wymyślenie i wykonanie jakiegoś cholernego cudu. Ci na lewo i przede mną stali dość pewnie, ale ten na prawo musiał stanąć wprost na plecach swego pozbawionego stóp kolegi, który tymczasem darł się jak opętany. Uznałem, że największe szanse mam z tym właśnie. Uskoczyłem w drugą stronę, czego najwyraźniej nie oczekiwali. Ponieważ ten po prawej był już poza moim zasięgiem, zamachnąłem się na włócznie pozostałych dwóch i z radością stwierdziłem, że Fragarach łatwo je przeciął. Zbyt łatwo: cięcie było tak sprawne i szybkie, że choć ich główki odpadły na bok, drzewca wciąż leciały na mnie i oba trafiły mnie z pełną siłą – jedno uderzyło mnie w ramię, a drugie prosto w brzuch. Pchnęły mnie do tyłu tak mocno, że grzmotnąłem o pień mojego własnego jądłoszynu. A planowałem taki piękny unik i spektakularne przeturlanie się po ziemi na dokładkę.

Firbolg nacierający na mnie z prawej kompletnie nie trafił, a jego włócznia przecięła tylko powietrze w miejscu, gdzie stałem przed chwilą, ale już schodził z pleców wrzeszczącego kolegi gotowy do kolejnego ciosu.

– *Coinnigh* – powiedziałem, wskazując na niego, i ze zdziwieniem stwierdził, że nie jest w stanie się ruszyć.

Gdy główkował nad tym, co zrobić ze swoimi unieruchomionymi stopami, znów odwróciłem się do tamtych dwóch, którzy trzymali teraz w łapach długie kije. Z pewnością pozostali czterej Firbolgowie wprost marzyli, żeby się do mnie dostać, ale tymczasem starali im się umilić czas Leif i Oberon. Tak naprawdę nie widziałem jednak nic poza moją małą osobistą walką. Ten, który przedtem był przede mną, postanowił ukraść włócznię bezstopemu, jako że rzeczywiście nie był on w stanie za wiele zdziałać poza wykrwawianiem się na śmierć. Gdy pochylał się, by mu ją wyrwać, ten z lewej uznał, że najwyższa pora zagrać w golfa moją głową. Cóż, to akurat było proste – wyciągnąłem Fragaracha tak, żeby przecinał drogę jego ciosu, i dzięki temu mogłem potem spędzić kilka sekund na rozpamiętywaniu bólu, jaki wywołał mój upadek. Siniak po włóczni na ramieniu był głęboki, sięgał aż po mięsień, więc wiedziałem, że tą ręką wiele nie zwojuję, póki jej porządnie nie uzdrowię. Cios w brzuch był jednak znacznie poważniejszy: włócznia wbiła się głęboko, choć nie na wylot, i krwawiłem obficie. Jeśli zaś chodzi o plecy, miałem cholernie szczęście. Nie złamałem kręgosłupa. Mimo to jednak z pewnością wyglądał jak marzenie kręgarza.

Gdybym tylko mógł zrobić jeden z tych numerów w stylu dobrej wróżki – machnąć różdżką, wywołać kilka lśniących iskierek i wszystko nagle byłoby dobrze... Ale moja magia nie polega na czymś takim. Mogę rozpocząć proces uzdrawiania. Mogę go przyspieszyć. Mogę zmusić ciało do ignorowania bólu. Ale nie mogę tak po prostu sprawić, by zniknęły wszystkie rany i złamania. Zrobiłem więc, co mogłem w te dwie sekundy: aktywowałem urok uzdrawiający z mojego naszyjnika, żeby zablokować ból i pchnąć moje ciało w kierunku samoleczenia, po czym już musiałem lecieć. Miłośnik golfa chciał właśnie wziąć kolejny zamach, a ten pośrodku miał już w dłoniach włócznię kumpla i gotów był mnie na nią nadziać. Tamten unieruchomiony postanowił mimo wszystko cisnąć we mnie swoją, choć nie można powiedzieć, żeby robił to

bardzo precyzyjnie. Czas było przejść do ofensywy.

Spiąłem się, kucnąłem i skoczyłem, ale tym razem bardziej przypominało to skoki Leifa: posłużyłem się mocą ziemi, by polecieć prosto na niedoszłego Phila Mickelsona. Zobaczył, co zamierzam, i uniósł tarczę, ale ja właśnie na to liczyłem: zamachnąłem się od prawa do lewa i w locie przeciąłem zarówno ją, jak i czaszkę, po czym uderzywszy prawym ramieniem w pozostałości jego tarczy, ześlizgnąłem się po niej na ziemię wraz z jego opadającym ciałem.

Muszę tu zaznaczyć, że jeśli chodzi o barbarzyńskość walki, Firbolgom należy się jakieś specjalne wyróżnienie czy coś – kumple poległego olbrzyma nawet na niego nie spojrzeli, tylko rzucili się wykorzystać moje słabe strony, które ewentualnie mogłem odsłonić w wyniku tego ataku. Musiałem zamachnąć się natychmiast Fragarachem do góry, żeby obronić się przed włócznią ciśniętą przez tego unieruchomionego, a potem znów w dół, blokując cios drugiego.

– *Coinnigh* – powiedziałem jeszcze raz i ten ostatni zamarł w miejscu. Mogłem wreszcie bez obaw ruszyć dalej, by zająć się pozostałymi, a unieruchomionych wykończyć później.

Kolejny Firbolg próbował zająć mnie od tyłu, ale przez to zbyt blisko zbliżył się do domu i uruchomił zamontowane tam zabezpieczenia. Teraz był zajęty walką z pnączami bugenwilli, które próbowały go powalić. Rzucano się w oczy, że nie za bardzo podobały mu się jej kolce.

Obróciłem się na pięcie i wyteżywszy wzrok, zobaczyłem, że jeszcze dwóch leży na ulicy. Jeden był już zupełnie poćwiartowany, a przy szyi drugiego tkwił przyssany Leif i pił łapczywie.

Został więc już tylko jeden – kręcił się wokół niezdarnie i uderzał na oślep w coś na ziemi. Chodziło mu oczywiście o Oberona, kłusującego go wytrwale po nogach.

Nie mogłem znieść myśli o utracie przyjaciela, więc rzuciłem się psu na ratunek. Gdy olbrzym znów się obrócił, chwyciłem go za ramię, w którym trzymał włócznię, i dźgnąłem Fragarachem pod żebro.

<Dzięki> sapnął Oberon, kiedy olbrzym opadł ciężko na ulicę. <Mieli twardszą skórę, niż się spodziewałem. Byłem w stanie jedynie go trochę wkurzać>.

I to wystarczyło, przyjacielu. Zostań tu, a ja zajmę się maruderami.

Rzuciłem na siebie i swój miecz zaklęcie kamuflujące, po czym zakradłem się do unieruchomionych Firbolgów i dźgałem każdego po kolei w wątrobę. Niehonorowe zagranie? Iii tam. Słowo daję: pogadajmy o honorze, a potem zobaczymy, kto z nas dłużej pożyje.

Kiedy ostatni Firbolg skonał pod masą z pnączy i krwi, zdjąłem zaklęcia wiążące z trawnika tak, żeby ziemia mogła w końcu wypluć z powrotem stopy olbrzymów. Strzepnąłem z siebie kamuflaż i obrzuciłem okolicę lustrującym spojrzeniem, a potem jeszcze za pomocą pozostałych zmysłów, ale nie było widać nic poza dziewięcioma wielkimi cielskami i oceanem krwi. Magiczne przebrania Firbolgów znikły wraz z ich śmiercią, zostawiając mnie z kolosalnym bałaganem.

Nie chciałem prosić ziemi o pochłonięcie tych typów; już i tak prosiłem ją o zbyt wiele, a poza tym miałem przeczucie, że może nam nie starczyć czasu na takie metody. Nie byłem tak szybki jak Flidais w przesuwaniu hałd piachu, a coś mi mówiło, że już dawno wezwano z naszego powodu policję.

Jakby na potwierdzenie moich przypuszczeń, nocne powietrze rozdarł ryk syren, a to z kolei kazało mi skierować spojrzenie na rozchylone nieco żaluzje w salonie mojego sąsiada z naprzeciwka. W szparze widać było jego wielkie oczy wpatrzone we mnie ze strachem, jakbym to ja był tu tym złym. No to świetnie.

– Leif? – zawołałem. – No, Leif, przecież już się najadłeś, nie?

– Ahhh – mruknął mój prawnik, odrywając się od śniadania i bekając z cicha. – Owszem, owszem, podjadłem sobie, dziękuję.

– Byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś zechciał mi tu pomóc. Policja jest już w drodze, a mamy całkiem sporo dowodów do ukrycia.

– Oj – do wampira dotarło jakby nagle, że jego zadaniem jest starać się trzymać mnie z dala od więzienia. Spojrzał na swój szyty na miarę garnitur, teraz obficie zalany krwią, a potem na moją koszulkę, która też wydawała się nieco czerwona. – Tak, hmm, wygląda na to, że mamy całkiem sporo dowodów do ukrycia.

– Leć do środka i przebierz się chybcikiem – powiedziałem. – W szafie wisi garnitur. Przy okazji weź dla mnie jakąś czystą koszulkę – dodałem, zdejmując swoją i podając mu ją szybko. – Potem wracaj tu i zrób mojemu sąsiadowi ten odjechany trik z pamięcią. To on jest przyczyną naszego problemu z policją.

Leif ruszył, wykorzystując całą swoją nadprzyrodzoną prędkość. Wiedział dobrze, że mamy najwyżej kilka minut, nim przyjedzie policja. W tym czasie trzeba zrobić coś, żeby się wydawało, że absolutnie nikt tu dziś nie zginął. Wróciłem na trawnik i znów pobrałem trochę mocy, dzięki czemu zdołałem przesunąć gigantyczne cielska na wschodnią część trawnika, jak najdalej od podjazdu, i ułożyć je jedno na drugim. Tymi, które leżały na ulicy, musi się zająć Leif. Gdybym sam próbował je uprzątnąć, zbyt szybko skończyłaby mi się moc zmagazynowana w charmsie o kształcie niedźwiedzia. Mogłem natomiast rzucić szybko zaklęcie kamuflujące wszystkie ciała i rozlaną wokół nich krew. Aha, i może jeszcze ukryć miecz. Nie ma tu się na co gapić, gliny. Spadówka.

Leif wrócił po niecałej minucie w garniturze, który kupiłem sobie w Men's Wearhouse.

– I jak? Zachwycił cię twój wygląd, gdy go włożyłeś? – spytał, przedrzeźniając faceta z reklamy i rzucając mi T-shirta. Garnitur nie leżał na nim najlepiej: był trochę za ciasny w klatce piersiowej, miał trochę za krótkie rękawy i nogawki... w końcu miałem tu do czynienia z wikingiem z krwi i kości.

Syreny wyły już nieznośnie blisko.

– Weź te ciała i zanieś je tutaj – zakomenderowałem, wskazując na trupy na ulicy i potem na stosik, który sobie ułożyłem na trawniku. – A potem zajmij się urojeniami mojego sąsiada.

– Nie ma sprawy – odparł, po czym pomknął na ulicę i zaczął przerzucać olbrzymy, zachowując przy tym podziwu godną ostrożność, by nie powalać sobie dłoni krwią.

Wciągnąłem czystą koszulkę i nie spuszczałem oczu z żaluzji po drugiej stronie. Mój sąsiad, pan Semerdjian, należał do tych raczej wścibskich. Powziął co do mnie poważne podejrzenia już w dniu, gdy się wprowadziłem, ponieważ nie miałem samochodu.

Zacząłem kamuflować każdą najmniejszą nawet kropelkę krwi oraz stos trupów. Leif tymczasem pobiegł na drugą stronę ulicy, żeby rzucić na pana Semerdjiana jakieś wampirze czary typu: „Spójrz mi głęboko w oczy. Nic nie widziałeś”. Trochę jak w tym starym triku Jedi.

Gdy zza rogu wyłonił się pierwszy wóz policyjny, miałem już jako taką pewność, że nie pozostawiłem żadnych widocznych śladów. Jeśli jednak zaczną węszyć po wschodniej stronie trawnika, wdepną w całkiem spory niewidoczny ślad, ale miałem nadzieję, że nie znajdą żadnych powodów, by węszyć gdziekolwiek. Gdy ryk syren wypełnił ulicę, wymamrotałem jeszcze małe co nieco, żeby zwiększyć intensywność zapachów okolicznych roślin i tym samym zatuszować odór rozkładającej się krwi.

Oberona wysłałem na werandę i kazałem mu siedzieć jak mysz pod miotłą, gdy my z Leifem zajmiemy się władzami. Zresztą i tak z pewnością zasłużył sobie na jeszcze jedną kąpiel.

Pod moim domem zaparkowały trzy suki, dając pozostałym sąsiadom jasno do zrozumienia, że powinni się jednak zainteresować hałasem, który dotąd spokojnie sobie ignorowali. Z samochodów wyskoczyło sześciu policjantów i wymierzyło w naszą stronę pistolety zza bezpiecznej kryjówki drzewiczek.

– Stój! – krzyknął jeden z nich, mimo że staliśmy przecież. Drugi dodał: – Ręce do góry!
– a jeszcze inny krzyknął: – Rzuć miecz na ziemię! – Czwarty zaś warknął: – Nie ruszać się!

Rozdział 11

Jak mamy niby jednocześnie podnieść ręce do góry i się nie ruszać? Czy specjalnie uczą ich w akademii, żeby wykrzykiwali sprzeczne komendy dla jakichś niepojętnych, acz z pewnością niecnym celów? Czy jeśli wykonam rozkaz jednego gliniarza, to drugi zastrzeli mnie na miejscu za utrudnianie aresztowania? Choć tak naprawdę niepokoił mnie tylko ten, który kazał mi rzucić miecz. Fragarach był wprawdzie zakamuflowany, ale nadal zwiślał mi w pochwie na plecach. Czy ten facet zdołał przejrzeć kamuflaż?

– Dobry wieczór, panowie – rzekł uprzejmie Leif.

Żaden z nas nie podniósł rąk do góry.

– Jestem prawnikiem obecnego tu pana O'Sullivana.

Oczy wszystkich gliniarzy zwróciły się w stronę stojącego sobie spokojnie faceta w garniturze i zapadła cisza.

„Jestem prawnikiem” to zdanie, które naprawdę działa na gliny. Oznacza bowiem, że będą musieli zwolnić i postępować zgodnie z procedurami, bo inaczej zostaną potem wywaleni z sądu na zbity pysk. Oraz że nie będą mogli beztrzesko wymachiwać splotami i próbować mnie zastraszyć. Niestety to zdanie mówiło im również, że należą do ludzi, którzy potrzebują obecności swego prawnika w domu po godzinach. Głowę daję, że gdybym umiał czytać w myślach, w każdej przeczytałbym mniej więcej to samo: „Ten drań jest tak winny, że już od razu ma tu ze sobą prawnika”.

– Co możemy dla panów dziś zrobić? – spytał uprzejmie Leif.

– Otrzymaliśmy telefon z informacją, że ktoś tu zabija ludzi mieczem – powiedział jeden z nich.

– Mieczem? – prychnął ubawiony Leif. – Co za wyobrażenia. I jaka urocza stylizacja retro. Ale gdyby to była prawda, czy nie powinniśmy w takim wypadku widzieć tu jakichś śladów bójk? Jakichś ludzi bez rąk, krwi, może nawet miecza w czyjejś dłoni? Sami panowie widzą, że nic takiego tu nie ma. Wszyscy mają się dobrze. Obawiam się, że ktoś sobie z panów zażartował.

– To co pan tu robi? – spytał jeden z nich.

– Ja, agencie...?

– Benton.

– Ja, agencie Benton, nazywam się Leif Helgarson. Jestem tu, ponieważ pan O'Sullivan jest nie tylko moim klientem, ale także przyjacielem. Staliśmy tu właśnie, rozkoszując się tym jesiennym wieczorem i omawiając baseball, gdy podjechaliście nagle i wymierziliście w nas broń palną. A propos broni, czy nie czas, byście odłożyli ją już, panowie? Pragnę zauważyć, że żaden z nas nie stanowi dla panów żadnego zagrożenia.

– Chcę najpierw zobaczyć wasze dłonie, panowie – oświadczył agent Benton.

Leif wyciągnął powoli ręce z kieszeni, a ja zrobiłem to samo, i obaj unieśliśmy je na wysokość ramion.

– Oto one – powiedział Leif i zamachał palcami niczym tancerz jazzowy. – Żadnych mieczy.

Agent Benton spiorunował go spojrzeniem, ale w końcu niechętnie schował broń, a pozostali poszli za jego przykładem.

– Uważam, że powinniśmy się rozejrzeć. Tak na wszelki wypadek – powiedział, wychodząc z samochodu i ruszając w naszą stronę.

– Nie ma żadnego racjonalnego powodu, dla którego mielibyście to robić – zareplikował Leif, opuszczając ręce i krzyżując je na piersi.

Ja swoje wsadziłem do kieszeni.

– Otrzymaliśmy zgłoszenie, a to wystarczająco racjonalny powód – upierał się Benton.

– Głupi żart, który ewidentnie nie miał żadnego związku z rzeczywistością. Jedynym zakłóceniem dzisiejszej ciszy nocnej w tej okolicy były wasze syreny, panowie, a jeśli macie ochotę przeszukać nieruchomość mojego klienta, powinniście zdobyć w tym celu odpowiedni nakaz sądowy.

– Co takiego próbuje ukryć pański klient? – spytał Benton.

– Tu nie chodzi o ukrywanie czegokolwiek, agencie Benton – zapewnił go Leif. – Tu chodzi o chronienie mego klienta przed nieuzasadnionym przeszukaniem jego posiadłości. Nie macie absolutnie żadnego powodu, by wkraczać na jej teren. Według waszej informacji odbywała się tu bójka na miecze, tymczasem nic takiego tu nie zaszło, sugeruję więc, byście zajęli się raczej ochronieniem miasta przed prawdziwymi zagrożeniami, a nie jakimiś fantasmagoriami. W dodatku osobą, która dzwoniła do was, jest starszy imigrant z Libanu, który mieszka naprzeciwko. Od dłuższego już czasu niepokoi on mego klienta wyssanymi z palca zarzutami o wtargnięcie na jego posiadłość. Rozważamy wniosek o nakaz sądowy z poleceniem zaniechania tych działań z jego strony.

Agent Benton wyglądał na wyjątkowo sfrustrowanego. Wiedział, po prostu wiedział, że coś ukrywam, i oczywiście miał rację. Ale nie znał się na prawnikach (od radzenia sobie z nimi byli przecież detektywi), nie był więc pewien, czy może drażnić sprawę, jeśli na pozór wszystko jest w porządku. Wyglądało na to, że gliniarz, który kazał mi rzucić miecz, wcale nie widział Fragaracha na moich plecach, bo potem nic już o nim nie wspominał. Pewnie krzyczał tak tylko na podstawie informacji, jakie otrzymali przez telefon. Informacji wyssanych z palca. Ale Benton nie zdołał oprzeć się pokusie i bez względu na wszystko postanowił mnie postraszyć.

– A pan co? Nie ma pan nic do powiedzenia? – wycodził. – Dlaczego nas tu zawołano? Co?

– Hmm – odpowiedziałem. – Nie jestem wyrocznią, ale być może to dlatego, że pan Semerdjian z naprzeciwka naprawdę mnie nie lubi. Widzi pan, trzy lata temu mój pies uciekł i zrobił mu kupę na trawnik. Przeprosiłem go i posprzątałem, ale nigdy mi już tego nie wybaczył.

<Wszystko słyszę!> krzyknął Oberon z werandy. <Sam mi kazałeś zrobić tę kupę na trawnik!>.

No? I co z tego? – spytałem.

<Ale teraz tak to jakoś przedstawiłeś, że wychodzę na jakiegoś pospolitego psa, który robi kupy gdzie popadnie>.

Wiem, wiem, ale dzięki temu facet z naprzeciwka będzie miał kłopoty.

<A. Skoro tak, to w porządku. Nie lubię go>.

Agent Benton wbił we mnie wściekle spojrzenie, po czym przeniósł je na Leifa, ale jeśli oczekiwał, że tą metodą doprowadzi nas do łez i wyznania naszych win, musiał się bardzo zawieść.

– Przepraszamy za najście – mruknął w końcu, ale uznał chyba, że musi zmienić ton na miłszy, gdyż dodał: – Dobrej nocy, panowie.

Odwrócił się do nas plecami i ruszył groźnym krokiem w stronę domu pana Semerdjiana, mrużąc do dwóch gliniarzy, że mogą już jechać, on go spisze. Wydali jakieś dźwięki żegnające, zapakowali się z powrotem do samochodów, pogasili światła i ruszyli, a agent Benton zaczął się dobijać do drzwi Semerdjiana.

– Czy powinniśmy się obawiać, że coś sobie przypomni? – szepnąłem do Leifa.

– A gdzie tam. Jest w pełni pod moją kontrolą – odpowiedział mi równie cicho. – Jakie masz plany wobec Firbolgów?

– Szczerze mówiąc, moje plany nie sięgały aż tak daleko.
– Wiesz, za dodatkowy kieliszek tego znakomitego trunku, którym dysponujesz, mogę się tym zająć. Tylko musiałbyś mi pomóc ich zaciągnąć do Mitchell Parku.

Była to oferta warta rozpatrzenia. Pogrzebanie dziewięciu olbrzymów nie należy do łatwych zadań, nawet jeśli są już poćwiartowani. Mógłbym niby zawołać Radomilę i jej dziewczyny na pomoc, ale naprawdę żal by mi było zużyć tę obietnicę przez nie przysługę na taki drobiazg.

– Jak byś się ich pozbył? – spytałem.

Wzruszył ramionami.

– Znam kilku ghuli. Dwa telefony do odpowiednich osób i chłopaki mają porządną kolację. I po problemie.

– Są w stanie zeżreć naraz dziewięciu olbrzymów? To mamy w mieście aż tylu ghuli?

– Pewnie nie naraz – przyznał Leif. – Ale czego nie zjedzą na miejscu, to sobie wezmą na wynos.

– Niby jak? – zapytałem zdumiony. – W pudełku na drugie śniadanie czy co?

Wampir pokręcił głową, a na jego ustach zagościł cień uśmiechu.

– Mają ciężarówkę z chłodziarką, Atticusie. To praktyczni ludzie. Często ich zatrudniam, zresztą Magnusson także czasem korzysta z ich usług. Ten układ satysfakcjonuje obie strony.

– Czyli że wiszę ci trzy kieliszki – podsumowałem.

– Na to by wyglądało. I życzyłbym je sobie raczej wcześniej niż później, bo wszystko wskazuje na to, że długo nie pożyjesz.

– Hmm – powiedziałem błyskotliwie, by zyskać na czasie. Po drugiej stronie ulicy agent Benton spisywał dane oszołomionego pana Semerdjiana. Dzwonienie dla żartu na policję to naprawdę poważne wykroczenie.

– Mógłbym zapłacić ci dziś tę jedną dla firmy, a pozostałe dwie jutro wieczorem? – usiłowałem się targować.

– Czyż nie będzie prościej od razu dać mi je wszystkie? – odparł nieugięty. – Przecież szybko się leczysz.

– Właśnie to robię – syknąłem. – Mam rozdarte mięśnie brzucha, potłuczone lewe ramię i kilka kręgów nie do końca tam, gdzie być powinny.

– W takim razie nie powinieneś przypadkiem wyc z bólu? – Leif obrzucił mnie sceptycznym spojrzeniem.

– Powiniennem, ale zablokowałem receptory bólu. A żeby być jutro jak nowo narodzony, naprawdę będę potrzebował całej energii, jaka mi została.

– Jakie masz szanse na przeżycie do jutra?

– Moim zdaniem stuprocentowe. Ostrzeżono mnie o przybyciu Bresa i Firbolgów i wszystkich ich już wyekspediowałem na zieloną trawkę.

– Bresa nie żyje? Były król Tuatha Dé Danann?

A niech mnie Manannan Mac Lir trzaśnie. To ostatnia rzecz, o jakiej powinienem był mu powiedzieć! Było już jednak za późno na wsteczny bieg. Gdybym zaczął kłamać, od razu by mnie przejrzał.

– Tak, zupełnie stracił głowę na ulicy kawałek stąd chwilę przedtem, jak tu przyjechałem.

– Ty go zabiłeś?

– Winny.

– To żądam wszystkich moich trzech kieliszków jeszcze dziś, Atticusie, i niech diabli biorą twoje leczenie. Brigid zabije cię jak nic, a to będą moje ostatnie łyki tego trunku.

Westchnąłem ciężko, godząc się z porażką. Nie zamierzałem wprowadzać go w szczegóły

mojego porozumienia z Morrigan.

– Najpierw poczekamy, aż pójdzie sobie agent Benton – powiedziałem. – Potem zadzwonisz gdzie trzeba i zaciągniemy trupy do parku. I dopiero wtedy, kiedy wszystko będzie wysprzątane, a mój trawnik będzie można spokojnie poddać ewentualnej inspekcji i to bez kamuflażu, dostaniesz swój trunek.

– Zgoda – przystał na mój plan wampir. – I tak nie jestem teraz głodny. Muszę to trochę spalić. Wyciągnął z górnej kieszeni marynarki komórkę i nacisnął szybkie wybieranie, żeby zadzwonić do jakiegoś gościa o imieniu Antoine.

– Halo? Mam kolację dla całej paczki. W Mitchell Parku w Tempe. Teraz. Weźcie wóz... Tak, starczy dla wszystkich, zaufaj mi. Do zobaczenia na miejscu.

Kurczę, on ma ghule na szybkim wybieraniu. Mój prawnik to naprawdę wymiata.

Rozdział 12

Fuu. Błee. Brrr.

Obudziłem się na podwórku za domem, cały zdrętwiały po nocy na ziemi. Wszystko mnie swędziało od trawy. W nogach ułożył mi się Oberon, a głowę położył na moim goleniu. Ostrożnie wysunąłem się spod niego, żeby mógł sobie jeszcze pospać.

Noc na dworze była absolutną koniecznością, bo zależało mi na jak najszybszym dojściu do siebie, szczególnie po tym, jak oddałem Leifowi aż trzy kieliszki krwi. Potrzebowałem bezpośredniego kontaktu z ziemią i jej mocą. Warte lekkiego swędzenia skóry? Z całą pewnością.

Usiadłem i pomacałem się po brzuchu. Tu i ówdzie ciało było jeszcze odrętwiałe, ale nie czułem już żadnego bólu, a strupy zdążyły obeschnąć i odpaść, ukazując różowitką skórę. Ramię było jak nowe, a przez plecy – trochę jeszcze bolały – biegł przyzwoicie prosty kręgosłup. Uśmiechnąłem się do siebie. Po tych wszystkich dwóch tysiącach stu lat nadal uważałem, że magia jest naprawdę w dechę.

Gdy tylko wstałem, Oberon podniósł głowę, uznając, że to znak, iż powinien zrobić to samo i przeciągnąć się leniwie.

<Dzieńdoberek, Atticusie>.

Dzieńdoberek. Mam cię podrapać po brzuchu? Radzę korzystać, póki mam czas.

<Jasne!> Radośnie rzucił się na ziemię obok mnie i uniósł łapy. Przykucnąłem i drapałem go dziarsko przez kilka minut, a jego ogon walił wesoło o moje nogi.

– To co byś sobie życzył dziś na śniadanie?

<Kielbasę>.

– Zawsze chcesz kielbasę.

<Bo kielbasa jest smaczna>.

– Kielbasa się skończyła. Co byś powiedział na schab?

<Bo ja wiem. Czy Czyngis-chan jadał kotlety schabowe?>.

– Hmm, pewnie nie kotlety, bo to dość nowy wynalazek. Raczej może całą pieczoną świnię albo coś innego z rożna.

<To mogę prosić świnię?>.

– Nie mam świni ani czasu, żeby ją porządnie upiec. Nie mógłbyś poprzestać na schabowych i udawać, że to cała świnią?

<No, dobra. Ale potem pojedziemy podbić Syberię czy coś, nie?>.

– Nie dziś, Oberonie. – Zachichotałem. – Mam tę umowę z wiedźmami. Poza tym jak bum-cyk-cyk, że ktoś mnie będzie dziś próbował zastraszyć lub zabić. Musimy też sprawdzić, czy u wdowy wszystko w porządku. Wczoraj wieczorem opuściliśmy ją trochę pośpiesznie. – Wstałem i otrzepałem bokserki z trawy. – Chodźmy do środka. Zrobimy sobie to śniadanie.

<Dobra, ale naprawdę uważam, że czas najwyższy zacząć rekrutować zbirów, żeby ćwiczyli bieganie hordami po mongolskich stepach. Potem byśmy do nich dołączyli na wiosnę i popędzili po sławę>.

– Niby skąd byśmy ich mieli rekrutować? – spytałem, gdy weszliśmy do środka.

Fragarach leżał na kuchennym stole tak, jak go zostawiłem.

<A bo ja wiem. Kto tu jest druidem, do licha? Ale moim zdaniem powinieneś zacząć od załatwienia mi gromadki francuskich pudlic, a pudlice bierze się z ogłoszeń drobnych w gazecie. Poczekaj, zaraz ci ją przyniosę>.

– Nie, nigdzie nie idziesz – powiedziałem. – Nadal się ukrywasz, pamiętasz? Ja pójdę po

gazetę.

I tak chciałem zobaczyć, jak wygląda mój trawnik w świetle dziennym. Poluzowałem nieco sploty kamuflujące założone na trawniku, żeby ocenić ślady po wczorajszej masakrze. Wciąż tu i ówdzie widać było kałuże krwi, które przeoczyliśmy podczas nocnego sprzątnia. Szczególnie dużo ich było we wschodniej części trawnika. Wyciągnąłem wąż ogrodowy, żeby sprawdzić, czy da się to po prostu splukać. Większość krwi wsiąkła natychmiast posłusznie w ziemię, ale na trawie pozostały plamy niezdrowego różu. Nie mogłem tego po prostu zakamuflować, bo z różowej trawy dało się tylko zrobić więcej różowej trawy. Uznałem, że najlepiej będzie wymyślić jakąś dobrą historyjkę, na wypadek gdyby ktoś się nią zainteresował. Może uda mi się wszystkim wcisnąć, że wylał mi się tu wielki dzbanek malinowej oranżady?

Poza tym jednak nie znalazłem żadnych dowodów na to, że wczoraj dokonało tu żywota dziewięć wyjątkowo wielkich istot. Wziąłem gazetę z podjazdu i wróciłem do domu, gdzie już czekał na mnie Oberon, wymachując ogonem.

<I co? Są jakieś pudlice na sprzedaż?> spytał z nadzieją w głosie.

– Jeszcze nie zdążyłem sprawdzić. – Roześmiałem się.

Omówiliśmy logistykę oraz źródła zaopatrzenia podczas naszego najazdu na Syberię, a ja tymczasem przygotowałem dzbanek kawy i dwie oddzielne przystawki: patelnię pełną schabowych na masle dla Oberona oraz omlet z serem i szczypiorkiem dla siebie. Potem zrobiłem sobie jeszcze razowego tosta z odrobiną masła i dżemem jeżynowym.

Przez chwilę panował w naszym domu błogi spokój. Słyszeć było tylko smażące się śniadanie, gruchanie gołębi na podwórzu i naszą zupełnie beztroską paplaninę. Oberon zawsze umiał sprawić, że zapomniałem o codziennych zmartwieniach, między innymi za to go uwielbiałem.

Gdy jedzenie było już gotowe, siadłem do stołu i spojrzałem na gazetę. Wszystkie zmartwienia wróciły w jednej chwili.

Przed moim nosem znajdował się artykuł kontynuujący historię o śmierci strażnika leśnego. Nagłówek głosił: „Strażnik zabity przez psa”, a pod tym, mniejszymi literami: „Policja rozpatruje kilka możliwych scenariuszy wypadków”. Jedzenie, którym zamierzałem się delektować, zniknęło w moich ustach w wyniku zupełnie mechanicznego pochłonięcia. Jadłem, nie odrywając wzroku od tekstu.

„PHOENIX: Laboratorium policyjne oświadczyło, że śmierć strażnika leśnego z Phoenix, Alberta Floresa, spowodowana była atakiem psa, a nie nastąpiła, jak początkowo przypuszczano, w wyniku dźgnięcia nożem.

Dr Erick Mellon, koroner hrabstwa Maricopa, odkrył, że w ranie na szyi Floresa widać ślady po zębach. Analiza DNA przeprowadzona na próbkach z rany wykazała obecność psiej śliny.

Jednocześnie pod paznokciami Floresa znaleziono fragmenty psiej sierści, a według detektywa Carlosa Jimeneza z policji w Phoenix „istnieją inne przesłanki”, które każą policji podejrzewać, że ofiara została zaatakowana przez dużego psa, prawdopodobnie wilczarza irlandzkiego.

– To laboratorium zrobiło analizę podejrzenie szybko – mruknąłem pod nosem, a Oberon od razu chciał wiedzieć, o co chodzi.

– Są na twoim tropie, przyjacielu. – Pokazałem mu gazetę. – Wiedzą już, że strażnika zabił pies. Pojęcia nie mam, skąd wytrzasnęli informację o tym, że to wilczarz. O ile mi wiadomo, nie istnieje możliwość rozpoznawania ras za pomocą samej analizy DNA. Założę się, że ktoś tym glinom bardzo pomaga.

Oberon zastrzygł uszami i odwrócił głowę w stronę drzwi.

<Ktoś zaraz zapuka> powiedział.

Tylko nie szczekej – rozkazałem mu bezgłośnie. – Nie wydawaj żadnych dźwięków. W żaden sposób nie zdradzaj swojej obecności. Znów cię zakamufluje.

Cztery mocne puknięcia w drzwi odbiły się echem w całym domu. Szybko rzuciłem zakłęcie kamuflujące na Oberona i podszedłem do wejścia, robiąc wiele hałasu. Przystanąłem, żeby spojrzeć przez dziurkę od klucza, i zobaczyłem dwóch facetów w koszulach i pod krawatami. Przetawiliem się na szkło faeryczne, ale nie zobaczyłem nic więcej. Wyglądało na to, że to ludzie – a zatem albo gliny, albo misjonarze. Jako że w niedzielę rano wszyscy misjonarze powinni być właśnie w drodze do kościoła, obstawilem, że jednak gliny.

Otworzyłem oczy i wyszedłem szybko, biorąc ich z zaskoczenia i zmuszając do odsunięcia się o krok do tyłu. Zamknąłem drzwi za sobą i uśmiechnąłem się do nich triumfująco.

– Dzień dobry panom – przywitałem się. – W czym mogę panom pomóc?

Ręce spuściłem po bokach, tak żeby je widzieli i żeby w ogóle wypaść na człowieka miłego i zupełnie niegroźnego. Przesunąłem się też lekko na lewo, żeby nie patrzyli przypadkiem w stronę tych różowych plam na trawie.

Gliniarz po mojej prawej miał na sobie niebieską koszulę i krawat w granatowo-białe pasy. Na to zarzucił marynarkę, oczywiście żeby ukryć broń, a nie żeby było cieplej, ale miałem nieodparte wrażenie, że wolałby paradować z tym pistoletem na wierzchu. Był Latynosem, na oko trochę po trzydziestce, i miał nieco obwisłe policzki.

Na lewo stał facet wyznaczony do tego, żeby wyglądać tępiej i złośliwiej. Zdecydował się na styl Michaela Madsena: okulary słoneczne z filtrem polaryzującym, ręce skrzyżowane na piersi i niedbała poza (oparł się o barierkę werandy). Zgadywałem, że ten nie będzie miał wiele do powiedzenia. Był nawet młodszy od swego partnera, a do tego miał białą koszulę bez marynarki i wąski czarny krawat. Ogólnie wyglądał, jakby uciekł z filmu Tarantina. Wyraźnie się na mnie obraził za to, że wyszedłem na werandę, nim mieli czas kazać mi wyjść, a tym samym pozbawiłem ich jednej z podstawowych metod zepchnięcia mnie do defensywy. Jeśli tylko uda im się wmanewrować człowieka w rolę gospodarza, mają szansę powęszyc trochę, gdy gospodarz staje na głowie, żeby ich ugościć.

Ten o latynoskich rysach odpowiedział mi tak, jak się spodziewałem:

– Pan Atticus O'Sullivan?

– Tak, to ja.

– Detektyw Carlos Jimenez z policji w Phoenix, a to detektyw Darren Fagles z policji w Tempe. Czy możemy z panem porozmawiać w środku?

Ha! A więc i tak poprosił, żebym go wpuścił. Nic z tego, chłopie.

– Taki mamy piękny poranek. Czemu nie porozmawiać na zewnątrz – odpowiedziałem. – Co panów do mnie sprowadza?

Jimenez zmarszczył się groźnie.

– Panie O'Sullivan, lepiej by to było omówić na osobności.

– Ależ jesteśmy tu przecież zupełnie sami. – Posłałem mu niewinny uśmiech. – No, chyba że panowie zamierzają krzyżeć i wciągną w naszą rozmowę sąsiadów. Nie będą panowie na mnie krzyżeć, prawda?

– Nie – przyznał detektyw.

– Świetnie! To dlaczego tu panowie przyjechali?

Detektyw Jimenez poddał się w końcu.

– Czy jest pan w posiadaniu wilczarza irlandzkiego, panie O'Sullivan?

– Nie.

– Biuro Rejestracji Psów twierdzi, że ma pan psa o imieniu Oberon.

– To prawda. Tak właśnie ma na imię, proszę pana. Dobra robota.

– A więc jednak jest pan w posiadaniu psa.

– Nie. Uciekł w zeszłym tygodniu. Nie mam zielonego pojęcia, gdzie się podziewa.

– To gdzie on jest?

– Czy nie wspomniałem już, że nie mam zielonego pojęcia?

Detektyw Jimenez westchnął i wyciągnął notesik oraz pióro kulkowe.

– Kiedy konkretnie uciekł?

– W zeszłą niedzielę, czyli będzie już tydzień, jak go nie ma. Wróciłem z pracy, a jego nie było.

– O której godzinie?

– O siedemnastej piętnaście. – Najwyższy czas odegrać oszołomionego obywatela. – Ale dlaczego wypytujecie, panowie, o mojego psa?

Jimenez zignorował moje pytanie i zadał mi następane:

– O której wyszedł pan tego dnia do pracy?

– O wpół do dziesiątej.

– Gdzie pan pracuje?

– W księgarni Trzecie Oko na Ash Avenue, trochę na południe od uniwersytetu.

– Gdzie był pan w piątek w nocy?

– Tu, w domu.

– Czy ktoś był z panem?

– To akurat nie jest pana sprawa.

– To, owszem, jest moja sprawa, panie O'Sullivan.

– O. Czy może powie mi pan wreszcie, o co w ogóle chodzi?

– Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa popełnionego w nocy z piątku na sobotę w parku Papago.

Zmarszczyłem brwi i zmrużyłem oczy.

– Czy jestem na liście podejrzanych? Ja tego nie zrobiłem.

– Czy ma pan alibi?

– Nie byłem w piątek w parku. Czy on nie jest zresztą zamykany na noc?

– Czy widział się pan z kimś w piątek w nocy?

– Nie. Byłem sam w domu i czytałem.

– Pies był z panem?

– Nie. Mój pies uciekł w niedzielę, pamięta pan? Zapisał pan to sobie w tym notesiku.

– Czy nie ma pan nic przeciwko temu, byśmy upewnili się, że pańskiego psa nie ma w domu?

– Co ma pan na myśli?

– Chcielibyśmy rzucić okiem na pana podwórze i dom, żeby mieć pewność, że go tam nie ma.

– Przykro mi, ale nie przyjmuję dziś gości. W szczególności nie ludzi, którzy mają mnie za kłamcę.

– Możemy wrócić z nakazem sądowym, panie O'Sullivan – powiedział detektyw Fagles, odzywając się po raz pierwszy.

Obróciłem głowę, by spojrzeć na niego.

– Domyślam się, panie władzo. Jeśli chcecie, panowie, tracić cenny czas, proszę bardzo. Mojego psa tu nie ma i nie będzie go, gdy wrócicie. Dlaczego w ogóle szukacie akurat mojego psa? Dlaczego przyszliście z tym do mnie?

– Nie możemy omawiać szczegółów śledztwa – oświadczył Jimenez.

– To musi być bardzo fascynujące. Sherlock Holmes wpadł na ślad wilczarza w parku czy co? Trudno mi jakoś uwierzyć, że sprawdzacie, panowie, każdego wilczarza w okolicy. Zresztą jeśli o tym moim wilczarzu usłyszeliście od mojego sąsiada z naprzeciwka, muszę was ostrzec, że nie jest on godnym zaufania świadkiem. Wczoraj w nocy agent Benton z komisariatu w Tempe spisał go za dzwonienie dla żartu na policję.

Detektywi wymienili szybkie spojrzenia, więc wiedziałem już, że to było właśnie to. Pan Semerdjian znów maczał w tym palce. Muszę poprosić Oberona, żeby zostawił mu jakiś mały prezent na frontowych schodach. Powinien to zrobić, nie zdejmując kamuflażu, tak żeby – jeśli pan Semerdjian będzie akurat patrzył (a pewnie będzie) – na własne oczy mógł się przekonać, że czasami gówno się po prostu zdarza.

– Czy sprawdzał pan w schronisku, panie O'Sullivan? – spytał Jimenez, a Fagles stwierdził, że jednak lepiej patrzeć na mnie zza ciemnych okularów.

– Jeszcze nie – odpowiedziałem.

– Nie martwi się pan o niego?

– Oczywiście, że się martwię. Jest zarejestrowany i ma przy obroży mój numer telefonu. W każdej chwili może do mnie zadzwonić jakiś uczciwy znalazca.

Wpatrywali się we mnie przez kilka chwil z minami, które miały mi dać do zrozumienia, że nie docenili mojego subtelnego sarkazmu. Odpowiedziałem im podobnym spojrzeniem, żeby wiedzieli, że nie dam się zastraszyć. No, dalej, wasz ruch, młodzieniaszki.

Czułem, że nie wiedzą, co ze mną począć. Z początku zaklasyfikowali mnie pewnie jako ponurego, zaćpanego smarkacza udającego studenta, ale moje zachowanie nie pasowało do takiej szufladki. Byłem zbyt szybki, zbyt bystry. Być może przesunęło mnie to do szufladki z napisem: dealerzy. Być może uznali, że nie chcą wpuścić ich do środka, bo się boją, że znajdą u mnie w szafie plantację trawki i grzybków halucynogennych, a na stoliku do kawy niemal metrowe bongo z dmuchanego szkła w hipisowskie esy-floresy.

W końcu milczenie przerwał Jimenez. Podał mi swoją wizytówkę i powiedział:

– Proszę do nas zadzwonić, jeśli znajdzie pan swojego psa.

Wziąłem ją i włożyłem do kieszeni, nawet na nią nie spojrzawszy.

– Miłego dnia – powiedziałem, sugerując, żeby wynieśli się wreszcie z mojej werandy.

Jimenez odczytał moją sugestię, ale Fagles nie. Nie poruszył się i wyglądało na to, że chce doprowadzić do konfrontacji albo chociaż pogrozić mi z cicha. Co za debil. Cierpliwość to moja mocna strona. Wsadziłem ręce do kieszeni i uśmiechnąłem się do niego nieszczercze. To wywołało natychmiastową reakcję.

Wyprostował ręce, które miał dotąd cały czas skrzyżowane na piersi. Wskazał na mnie palcem i powiedział:

– Będziemy cię mieć na oku.

Spoko. Jak sobie chcecie. Milczałem, nie przestając się uśmiechać.

Jimenez zatrzymał się na ulicy i obrócił. Teraz powinien się zorientować, że Fagles nie zszedł za nim z werandy.

– Detektywie Fagles, musimy porozmawiać jeszcze z wieloma innymi osobami – zawołał. Piękna kwestia. Tak cicho, żebym usłyszał to tylko ja, Fagles mruknął:

– Ta, na przykład z sędzią.

Bogowie niejedyni, czy ten spektakl w ogóle na kogokolwiek działał? Zacisnąwszy szczęki w wyjątkowo agresywny sposób, Fagles odwrócił się i zszedł z werandy. Tym samym twarz zwrócił na wschodnią część trawnika, gdzie wciąż widniały różowe plamy. Rozejrzał się leniwie. Zero reakcji. Trawa wcale nie wyglądała pewnie zresztą na różową w tych jego ciemnych okularach. Dobra robota, detektywie! Jimenez także jakby jej nie widział. Przyglądał

mi się, żeby stwierdzić, czy moja mowa ciała komunikuje wielkimi literami: WINNY! Potem nieśpiesznie ruszył w stronę swojego nieoznakowanego forda crown victoria, a po chwili dogonił go Fagles.

Wróciłem do środka, dopiero gdy odjechali. Oberon natychmiast zaczął trącać mnie nosem w dłoń.

<Byłem cicho> pochwalił się, bardzo z siebie zadowolony.

Uśmiechnąłem się i podrapałem go za uchem.

– Tak, byłeś bardzo cicho. Czyngis-chan byłby dumny z twej przebiegłości.

Zdjąłem z niego kamuflaż, żeby mu było wygodniej, i wróciłem do mojego już zupełnie zimnego omleta i kawy, którą musiałem sobie podgrzać, żeby w ogóle dało się ją wypić. Po zmywaniu obszedłem dom w poszukiwaniu wszystkiego, co mogłoby się wydać podejrzanym gliniarzom, gdyby jednak wrócili z nakazem sądowym. Nawet jeśli teoretycznie będą szukać jedynie psa, nic ich nie powstrzyma przed grzebaniem mi po wszystkich kątach, o ile oczywiście nie będzie tu akurat mojego prawnika. A i w takim wypadku zawsze mogą coś upuścić czy zniszczyć w inny sposób jakiś cenny drobiazg lub książkę. W gablotce w gabinecie trzymałem kilka dość rzadkich pozycji, w których papier był tak stary, że kruszył się pod najdelikatniejszym dotykiem. A gliny na pewno nie będą się z nimi cackać; Halowi musiałbym zapłacić trzysta pięćdziesiąt dolarów za godzinę koczowania w moim domu tylko po to, żeby mieć pewność, że policja nie będzie szukała Oberona w mojej biblioteczkę. Szlag by to wszystko trafił. I tak powinni mi dać jakiś gratis za tę masę krwi, którą dałem wczoraj Leifowi. Cała walka zajęła znacznie mniej niż godzinę, a sprzątanie może drugą, więc powinni mi oddać co najmniej dziesięć godzin. A skoro już mowa o krwi, tamten świstek z krwią Radomily włożyłem do starego egzemplarza opowieści o Fianna i zamknąłem w gablotce.

Na wszelki wypadek zakamuflowałem zioła na podwórzu tak, że wydawało się, iż mam wzdłuż płotu rząd pustych zupełnie pól. Nawet mi się myśleć nie chciało o tym, jak by sobie gliniarze zinterpretowali te kwiatki; z pewnością uznaliby, że są nielegalne, skonfiskowali połowę i oddali do analizy. Wróciłyby do mnie zupełnie powiedle albo gorzej. Już Fagles by się tym zajął w odwecie za to, że się na niego gapiłem.

Choć sprawiali mi tyle kłopotów, trudno mi się było na nich gniewać. Na tym przecież polegała ich praca. W końcu tym razem to ja tu byłem prawdziwym złoczyńcą, a raczej był nim Oberon.

Gdy wreszcie byłem zadowolony z wyników moich działań chowająco-ukrywających, zadzwoniłem do Hala i wyjaśniłem mu, że pilnie potrzebuję prawnika, mimo że jest niedziela. Jeśli Jimenez może zdobyć nakaz w niedzielę, to ja mogę sobie zawołać prawnika. Hal obiecał, że wyśle do mnie młodszego współpracownika.

– Należy do Watahy? – spytałem.

– Tak. A co to ma do rzeczy?

– Powiedz mu, żeby trzymał oczy i uszy szeroko otwarte. Jeśli rzeczywiście za tym wszystkim stoi ktoś z mojego panteonu, możemy mieć do czynienia z jakimiś magicznymi przekrętami i manipulacjami. Nie zdziwię się, jeśli policja będzie miała do pomocy kogoś, kto nie do końca jest człowiekiem.

– Pewnie nawet się nie pofatygują. Jeszcze nie słyszałem o nakazie sądowym wydanym z powodu psa. W życiu nie spotkałem nikogo z taką paranoją jak u ciebie.

– Ani nikogo, kto by żył równie długo jak ja.

– Też prawda. Dobra, powiem mu.

Wziąłem prysznic, ubrałem się i z powrotem zarzuciłem kamuflaż na Oberona, a Fragaracha na plecy. Przede wszystkim chciałem jeszcze zajrzeć do wdowy i upewnić się, że nic

jej nie jest.

Na ulicy wszystko wyglądało bez zarzutu. Krew zmyła się albo wsiąkła w ziemię. Gdy wszedłem na podwórze, nie zobaczyłem nic podejrzanego poza lekko skopaną ziemią. Wzdrygnąłem się na myśl, że nie jest zupełnie wykluczone, iż Morrigan po prostu zjadła Bresa. Otrząsnąwszy się z tej upiornej wizji, wróciłem na trawnik przed domem, a Oberon sapał cicho przy mojej nodze. Zapukałem do drzwi frontowych, po jakiejś minucie wdowa otworzyła mi dziarskim ruchem i wesoło zawołała:

– Atticusie, skarbeńku ty mój, jak ja się cieszę, że cię widzę. Jak Boga kocham. Zabiłeś mi może dziś już jakichś wstrętnych Angoli?

– Dzień dobry, pani MacDonagh. Nie, dziś nie zabiłem żadnego. Mam nadzieję, że z nikim pani o tym przypadku nie rozmawiała.

– Za kogo ty mnie masz, serdeńko ty moje? Bogu Jedynemu dzięki, nie zgłupiałam jeszcze na starość. A wszystko dlatego, że zachowuję higieniczny tryb życia i piję dobrą irlandzką whisky. Masz może ochotę? Wchodź, wchodź, złociutki. – Otworzyła drzwi z siatką i kiwnęła na mnie zapraszająco.

– Nie, dziękuję, pani MacDonagh, ale nie ma jeszcze nawet dziesiątej i w dodatku dziś niedziela.

– Któż to wie lepiej niż ja, serdeńko? Zaraz będę się zbierać na mszę. Ale nasz ksiądz tak głądzi, wciąż narzeka na dzisiejsze czasy i na młodzież, i głównie to grzmi na studentów, co to mają te swoje grzeszki ciała na sumieniu, więc sam rozumiesz, że bez łyczka czy dwóch nie starczyłoby mi cierpliwości, żeby tego wszystkiego wysłuchiwać, kochaniutki.

– Chce pani przez to powiedzieć, że chodzi pani do kościoła po pijaku?

– Ależ skąd?! Po prostu muszę sobie coś zaaplikować na uspokojenie.

– Ale nie siada pani za kierownicę taka... uspokojona, co?

– Też coś! – Wyglądała na urażoną do głębi. – Podwożą mnie ci przemili Murphy'owie, co to mieszkają kilka domów w tę stronę.

– Aha. No, to w takim razie wszystko w porządku. Tak tylko wpadłem, proszę pani, żeby sprawdzić, czy nic pani nie jest. A teraz muszę już lecieć do pracy, więc proszę się spokojnie u... uspokajać i miłego dnia. Niech pokój będzie z panią.

– I z tobą, z tobą, mój chłopcze. Pewien jesteś, że nie dałbyś się namówić na chrzest?

– Zupełnie pewien, proszę pani – odpowiedziałem. – Ale raz jeszcze bardzo pani dziękuję za troskę. To do zobaczenia później.

<Atticusie, na czym polega chrzest?> spytał Oberon, biegnąc za moim rowerem, gdy byliśmy już w drodze do sklepu.

Chrzest polega na tym, że ksiądz pakuje cię do wody, a potem rodzisz się na nowo.

<Serio? Czy to znaczy, że jak bym wziął chrzest, to znów byłbym szczeniakiem?>.

Nie, nie rodzisz się na nowo w dosłownym znaczeniu. To taki symbol. Twój duch rodzi się na nowo, bo zostaje obmyty z grzechów.

Przemyślenie tego zajęło Oberonowi jakieś dwadzieścia metrów. Jego pazury stuknęły miarowo w chodnik, gdy skręciliśmy w prawo, w University Drive.

<Ale od wody moczy się futro i skóra, nie? To jak to ma umyć ducha? Szczególnie jeśli nie ma mydła?>.

Mówię ci, to tylko taki symbol. Zresztą i tak z innego systemu wierzeń.

<Aha. Z tego, w którym, jak się idzie dokądś napitym, to się jest uspokojonym?>.

Roześmiałem się.

Taa, no coś w tym stylu.

Odłożyłem Fragaracha na półkę pod ladą, Oberon zdążył się chwilę pokręcić wokół, nim

się ułożył, a w drzwiach już stał Perry, który tego poranka wyglądał akurat tak ponuro, jak powinien każdy szanujący się got.

Niedziele przynosiły nam zwykle dość przyzwoity zysk, tak jakby wszyscy niechrześcijanie chcieli coś komuś udowodnić, robiąc swoje pogańskie zakupy wtedy, gdy inni są w kościele. Nietrudno rozpoznać kogoś, kto wychował się w surowym chrześcijańskim środowisku: zwykle kładą oni swoje książki na temat wicca lub coś Aleistera Crowleya na ladę i posyłają mi nerwowy uśmiech, jakby sami nie wierzyli, że zdobyli się na to, by kupić coś zakazanego przez rodziców. Ich aury natomiast niemal zawsze zdradzają spore podniecenie, czego z początku, gdy otworzyłem sklep, zupełnie nie mogłem pojąć, ale z czasem zrozumiałem, z czego to wynika: ci ludzie po raz pierwszy w życiu mają w dłoniach książki opisujące systemy wierzeń, w których seks nie jest niczym złym, z przejęciem więc czekają na to swego rodzaju uprawomocnienie.

Podobnie łatwo było zgadnąć, kto należy do poważniejszej wspólnoty magicznej. Aury takich klientów emanowały pewnością siebie, a gdy spoglądali na żółtodzioby kupująca właśnie swoją pierwszą talię tarota, ich twarze układały się w jeden z trzech następujących grymasów: albo uśmiechali się z pogardą, albo wyglądali na rozbawionych, albo w ich oczach malowała się nostalgia za czasami, gdy i oni nie mieli pojęcia, na czym świat stoi.

Emily należała do tych, co uśmiechają się z pogardliwą wyższością. Wpadła do sklepu ubrana jak rozpieszczony upiór ze Scottsdale i pokazała mi język.

– Emilio! – syknął głos zza drzwi, nim miałem czas cokolwiek powiedzieć. Do środka wkroczyła zagniewana kobieta, pozwalając wybrzmieć tej klasycznej rodzicielskiej reprimendzie (czyż w miejscach publicznych nie wystarczy krzyknąć imię dziecka odpowiednim tonem?), a oczy Emily poszerzyły się nieco. Wiedziała dobrze, że wpadła w tarapaty.

Rozdział 13

Domyśliłem się, że zagniewana kobieta to nie kto inny jak Malina Sokolowski. Wyglądała na panią lekko po trzydziestce, ale jeśli Emily była najmłodszą z dziewcząt Radomily, to Malina musiała dobijać setki albo i lepiej. Jej jasne, niemal żółte włosy spływały na ramiona w miękkich falach, które tak lubią pokazywać w reklamach szamponów. Włosy te lśniły, pachniały i wyglądały tak, że nie można było oderwać od nich wzroku. Układały się pięknie na czerwonym wełnianym płaszczu, który jeszcze przez co najmniej miesiąc zupełnie nie miał uzasadnienia w tutejszych warunkach pogodowych, ale stanowił świetne tło dla włosów, kontrastując z nimi zarówno pod względem koloru, jak i faktury.

W tej chwili mój amulet zadziałał wreszcie i wyrwał mnie z tych rozmyślań. Kurczę blade. Na włosach miała oczywiście założony jakiś zniewalający urok. Co gorsza, było to coś, na co nie reagowały moje zabezpieczenia w sklepie, ale na szczęście radziło sobie z tym zimne żelazo w moim amulecie. Nie była to więc zwykła magia normalnych wiedźm. Fajne. Trochę straszne, ale jednak imponujące.

Nareszcie zdołałem oderwać oczy od jej czupryny i spojrzeć na resztę. Blade brwi, ledwie o cień czy dwa ciemniejsze od jej włosów, a teraz zmarszczone groźnie, stanowiły subtelną ozdobę olśniewająco błękitnych oczu. Miała nos prawdziwej arystokratki i usta, które wydawały się pełne, lecz teraz były mocno zaciśnięte. Szminka kolorem dopasowana była do płaszcza. Błada skóra – nie w tym niezdrowym odcieniu bieli typowym dla gotów, ale ta charakterystyczna dla europejskiej arystokracji krew z mlekiem – ciągnęła się ku dekolтови i niknęła pod płaszczem, spod którego wystawał kawałek złotego łańcuszka.

Znaki pozawerbalne są czasem tak silne, że zastanawiam się, po co w ogóle wynaleziono mowę. Nie musiałem nawet przyglądać się jej aurze, żeby wiedzieć, że Malina ma klasę, o której Emily może sobie tylko pomarzyć, a do tego dojrzałość, inteligencję i siłę. Zarazem w przeciwieństwie do Emily nie lubiła nikogo niepotrzebnie obrażać. Nie ulegało też wątpliwości, że jest niebezpieczniejsza o kilka stopni mocy.

– Wydawało mi się, że wyraziłam się dość jasno, Emilio. Bardzo proszę, żebyś nie obrażała pana O'Sullivan – powiedziała. Jej polski akcent wydawał mi się znacznie silniejszy niż przez telefon, być może dlatego, że była teraz wyraźnie poirytowana.

Emily spuściła oczy i wymamrotała przeprosiny.

– Nie mnie przeprasza, lecz pana O'Sullivan, bo to jego obraziłaś. Przepróż go natychmiast.

O kurczę. Kobieta ma u mnie plusik. Od razu jednak przypomniałem sobie, że to wiedźma, i doszło do mnie, że cała ta scena mogła być ukartowana. Mimo wszystko Emily wyglądała, jakby prędeż miała spółkować z kozłem, niż mnie przeprosić, więc sprawiło mi to sporą radość, nawet jeśli było to tylko przedstawienie. Pozostali klienci obejrzeni się na dźwięk uniesionego głosu Maliny, a ich spojrzenia zawisły na obu kobietach. Rzeczywiście trudno było na nie nie patrzeć, choć z bardzo różnych powodów.

Ponieważ Emily zwlekała z przeprosinami, głos Maliny zniżył się do groźnego szeptu, który mogliśmy usłyszeć tylko my z Emily.

– Jeśli natychmiast go nie przeprosisz, to przysięgam na trzy Zorie, że złożę ci skórę, jak tu stoję, i zaświadczę, że złamałaś umowę. Już i tak jesteś w takich opałach, moja panno, że prawdopodobnie zostaniesz za to wyrzucona z sabatu.

Widocznie ta perspektywa była jeszcze gorsza niż spółkowanie z kozłem, bo nagle Emily przeprosiła mnie tak wylewnie, że nie wiedziałem, co robić.

– Przyjmuję przeprosiny – zapewniłem ją pospiesznie, a ona wyraźnie odetchnęła z ulgą. Wtedy dopiero Malina zwróciła się bezpośrednio do mnie.

– Panie O'Sullivan, tak mi wstyd za to wejście. Mam nadzieję, że i mnie je pan wybaczy. Nazywam się Malina Sokolowski.

Uśmiechnęła się do mnie promiennie i wyciągnęła dłoń (nie mogło ujść mojej uwagi, że miała na niej rękawiczkę z brązowej skóry), a ja uściśnąłem ją szybko.

– Oczywiście – powiedziałem – choć naprawdę nie ma co tu wybaczać. Proszę się rozejrzeć lub, jeśli woli pani po prostu poczekać na herbatę, proszę usiąść przy stoliku, a ja zaraz ją przygotuję.

– To bardzo miłe z pana strony – odparła Malina.

– To zajmie ledwie kilka minut.

– Znakomicie. – Wskazała Emily stoliki, a potem pchnęła ją lekko w ich stronę. – Ty przodem, moja panno.

<Podoba mi się ta blondynka. Wie, jak okazywać szacunek> oświadczył Oberon zza lady. Zająłem się parzeniem naparu dla Emily i powiedziałem mu:

Tak, wygląda na to, że postanowiła załatwić to wszystko w białych rękawiczkach, a nie ukrywam, że mnie to jest na rękę.

<Przecież ma brązowe rękawiczki. Czy ty jej nie lubisz?>.

Nie ufam jej za grosz. To wiedźma. Uprzejma, ale jednak wiedźma. Na włosach ma zainstalowany urok, który sprawiłby, że dałbym jej wszystko, czego by chciała, gdyby nie to, że jestem zabezpieczony przed takimi sztuczkami. Aha, póki pamiętam, nic od niej nie bierz.

<A co? Myślisz, że wyciągnie nagle zza pazuchy kielbaskę albo coś? Przecież nawet nie wie, że tu jestem>.

Oczywiście, że wie. Emily na pewno jej o tobie powiedziała.

<No, niech ci będzie, ale tak na serio myślisz, że może mieć dla mnie jakąś magiczną kielbaskę?>.

A niby jak byś się zorientował, że jest magiczna? Przecież jesteś przekonany, że wszystkie kielbasy są magiczne.

Podawanie Emily herbatki okazało się niemal równie magiczne jak owa hipotetyczna kielbaska. Postawiłem napar przed nią, a ona wypila jednym haustem, nie zważając na temperaturę i nie patrząc mi w oczy. Gdy skończyła, wstała z krzesła, powiedziała: „dziękuję” i wyszła, nie oglądając się za siebie.

– To było naprawdę imponujące – powiedziałem Malinie. – Może pani co dzień z nią przychodzić?

Malina zaśmiała się gardłowo i natychmiast zakryła usta dłonią.

– Och, nie powinnam się śmiać. Lecz trudno mi panu nie współczuć. Ta dziewczyna ma naprawdę poważne luki w wychowaniu.

– Czemu więc pani się z nią trzyma?

Malina westchnęła.

– To długa historia.

– To nie wie pani, że jestem druidem? Uwielbiam długie historie.

Wiedźma rozejrzała się wokół. W sklepie nadal było jeszcze kilku klientów, a jakiś obskurny typ podszedł do mojego kontuaru aptecznego i wyraźnie czegoś szukał wśród słoiczeków.

– Bardzo tu u pana miło i przytulnie – powiedziała Malina – ale pora może nie jest zbyt sprzyjająca tego typu opowieści.

– Czemu? Ma pani na myśli klientów? Perry zaraz się nimi zajmie. – Podszedłem do

kontuaru i podstawiłem obskurnemu pod nos tabliczkę z napisem ZAMKNIĘTE.

– Hej, koleś, już zamykasz? – Skrzywił się nieprzyjemnie, ale poza tym wyglądał na niezrążonego. Szukał czegoś konkretnego. – Słuchaj, stary, masz tu może na stanie jakąś leczniczą marihuanę?

– Przykro mi. – Czemu ci ludzie po prostu się ode mnie nie odczepią?

– To nie dla mnie, słowo daję. To dla babci.

– Przykro mi. Może w przyszłym tygodniu.

– Powaga?

– Nie.

Odwrociłem się do niego plecami i przysunąłem sobie krzesło bliżej Maliny, robiąc jednocześnie taki wyraz twarzy, jakbym cały zamieniał się w słuch.

– Proszę więc opowiedzieć mi, dlaczego toleruje pani Emily.

Obskurny od marihuany wtrącił się jednak, nim miała czas odpowiedzieć.

– Masz naprawdę piękne włosy – powiedział jej.

Spojrzała na niego poirytowana i powiedziała mu dość ostro, żeby sobie poszedł, a on odwrócił się na pięcie i wyszedł ze sklepu. Udając lekkie zażenowanie tą sytuacją, ujęła jeden z loków w palce i mruknęła coś cicho, bez wątpienia rzucając urok. Pewnie zapomniała, że już go tam wcześniej zainstalowała. Udałem, że tego nie zauważam.

Uniosła brew i spojrzała na mnie niepewnie.

– Mam panu opowiedzieć o tym wszystkim? A jeśli któryś z pana klientów usłyszy coś o sabatach i tym podobnych?

– Nie ma lepszego miejsca na takie rozmowy niż mój skromny sklepik. Będą przekonani, że mówimy o wicca. A jeśli będzie pani wspominała jakieś dawniejsze czasy i ktoś będzie na tyle niegrzeczny, by nam przerwać jak ten facet, który właśnie wyszedł, zawsze możemy powiedzieć, że należymy do LAZ-u.

Spojrzała na mnie zdezorientowana.

– Do Ligi Oprawców Zwierząt?

– Nie, pani ma chyba na myśli Ligę Ochrony Zwierząt, ale nie mówię o LOZ-ie, tylko o LAZ-ie.

– Ach tak.

Posłałem Oberonowi ukradkowe spojrzenie.

Sam słyszałeś.

<Teraz rozumiem, czemu jej nie ufasz. Pewnie gdyby mi dała kiełbasę, w środku byłyby brokoły albo coś>.

Reszką silnej woli powstrzymałem uśmiech, który cisnął mi się na usta. Oberon naprawdę myślał tylko o jednym.

– Chodziło mi raczej o LAZ, czyli Ligę Animacji Zabytków. Ludzie zbierają się, organizują sobie wycieczki do Europy, a tam przebierają się w średniowieczne stroje i odgrywają bitwy w pełnej zbroi i takie tam. Dużo jest osób, które idealizują dawne czasy i lubią odgrywać najróżniejsze historyczne sceny na tle prawdziwych zabytków. Dzięki temu istnieje idealna przykrywka dla omawiania spraw magii pod nosem najzwyczajniejszych ludzi.

Przyglądała mi się przez chwilę w milczeniu, jakby chciała odgadnąć, czy kłamię. W końcu widocznie uznała, że nie, bo wzięła oddech i powiedziała:

– Dobrze więc. Krótka wersja tej bardzo długiej historii brzmi tak, że Emilia przyjechała ze mną do Ameryki. Mieszkałyśmy obie w polskiej miejscowości o nazwie Krzepice, gdy we wrześniu tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku wybuchł Blitzkrieg. Uratowałam ją przed gwałtem, więc poniekąd czułam się potem za nią odpowiedzialna. Po prostu nie mogłam

jej tam zostawić. Jej rodzice już nie żyli.

– Ach. A pani rodzice?

– Też nie żyją, ale z tym akurat naziści nie mieli nic wspólnego. – Przez jej twarz przemknął ponury uśmiech. – W trzydziestym dziewiątym miałam już siedemdziesiąt dwa lata. *Słyszałeś? Ta miła blondynka po trzydziestce ma tak naprawdę ponad sto czterdzieści lat.* <Pewnie używa tego kremu przeciwzmarszczkowego Olaya. Myślisz, że jakby wysmarować nim shar pei, toby mu zniknęły te wszystkie zmarszczki?>.

– Niesamowite. A ile miała wtedy Emily?

– Ledwie szesnaście wiosen.

– I nadal zachowuje się jak szesnastolatka. Czy wszystkie pochodzicie z tych Krzepic?

– Nie, tylko my z Emilią. Ale wszystkie razem przyjechałyśmy do Ameryki, gdy już odnalazłyśmy się nawzajem w Polsce.

– I od razu zamieszkałyście w Tempe?

– Nie, pomieszkowałyśmy to tu, to tam, ale tu mieszkamy najdłużej.

– Dlaczego, jeśli mogę spytać?

– Niewątpliwie z tego samego powodu co i pan. Niewielu starych bogów, kilka starych dusz i, aż do niedawna, ani jednej faerii. A teraz, skoro odpowiedziałam na pięć pańskich pytań, mówiąc samą prawdę, czy odpowie pan podobnie na moje pięć pytań?

– Powiem samą prawdę, ale nie obiecuję, że powiem całą prawdę.

Przystąpiła na to bez zbędnych komentarzy.

– Ile ma pan lat? – spytała.

To jedno z najbardziej podstępnych pytań, jakie można zadać osobie, która przestała już być przeciętnym człowiekiem. Pozwala oszacować moc i inteligencję, a skoro Malina nie znała mojego wieku z jakichś innych źródeł, wolałem jej go nie zdradzać. Zawsze lepiej być pod tym względem raczej niedocenianym; znacznie łatwiej się walczy, jeśli wróg nie wie tak naprawdę, z kim ma do czynienia. Jest też oczywiście zupełnie przeciwny pogląd, według którego dzięki pokazowi siły unika się konfrontacji w ogóle, ale moim zdaniem ta metoda działa tylko na krótką metę. Może i przeciwnik będzie unikał bezpośredniego starcia, jeśli się dowie, że jesteś zbyt potężny, ale bynajmniej nie zaniecha knucia przeciwko tobie i prędzej czy później spróbuje jakiegoś podstępu. Malina otwarcie przyznała się do swojego wieku, ale ja nie miałem ochoty na podobną szczerłość, tym bardziej że powiedzieć jej coś to jak powiedzieć coś całemu jej sabatowi. Zdecydowałem się więc na unik.

– Co najmniej tyle co Radomila.

To ją zaskoczyło. Zaczęła się usilnie zastanawiać, czy powinna teraz spytać, skąd wiem, ile lat ma Radomila, czy też raczej nie drążyć tego tematu. Nie znałem wieku Radomily, ale nie miałem ani cienia wątpliwości, że jestem od niej starszy. Malina jednak znów wykazała się inteligencją i postanowiła zapytać mnie o zupełnie inne rzeczy, a nie ciągnąć bez sensu coś, co nie przyniesie jej żadnych konkretów.

– Aenghus Óg powiedział Emilii, że masz miecz, który do niego należy. Czy to prawda?

Uznałem, że mogę spokojnie odpowiedzieć jedynie na drugą część tak niechlujnie zadanego pytania.

– Nie. Nie należy do niego.

Aż syknęła ze złości, gdy pojęła swój błąd.

– Czy wciąż masz miecz, o którym on mówi?

– Tak.

Zastanowiło mnie, że w ogóle o to pyta, bo przecież to właśnie Radomila założyła na nim tę sprytną osłonę. Czyżby Malina nie rozmawiała zbyt często z przywódczynią swego sabatu?

– Czy ten miecz znajduje się na terenie twojego sklepu?

Oj, to było niezłe. Znacznie lepsze niż wypytywanie mnie, gdzie on jest, bo wtedy mógłbym dać jakąś mętną odpowiedź. Tu mogłem tylko powiedzieć „tak” lub „nie”, a jako że odpowiedź brzmiała „tak”, a ja obiecałem mówić prawdę... hmm, mogłem skłamać. Tyle że dobrze wiedziałem, że by to wyczuła. Wyszłoby na to samo, tylko jeśli po prostu powiem „tak”, nie dam jej powodu do zdjęcia białych rękawiczek.

– Tak – przyznałem.

Uśmiechnęła się z radości.

– Dziękuję, że nie skłamałeś. Ostatnie pytanie: Którego z członków Tuatha Dé Danann widziałeś ostatnio w cielesnej formie?

O ja cię! A po co jej niby taka informacja?

– Morrigan – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

Spojrzała na mnie, nie kryjąc zdumienia.

– Morrigan? – pisnęła.

A, teraz kumam. Oczekiwała, że powiem „Bres” i że z tego będzie miała prawo wywnioskować, że to ja go zabiłem, posłużwszy się na dodatek mieczem znajdującym się na terenie sklepu. Teraz jednak takie wnioskowanie nie miałoby uzasadnienia. Mogła natomiast dojść do wniosku, że jeśli widziałem Morrigan i żyję, to być może bogini śmierci należy do mojej paczki czy drużyny czy jakkolwiek by to zwał. A co za tym idzie, być może Bres nie wrócił wczoraj do domu z winy Morrigan, a nie z mojej. Tylko że ta linia rozumowania zakładała, że Malina wie, iż wczoraj Bres wybierał się do mnie.

– Ile spośród was pomaga Aenghusowi Ógowi odebrać mi miecz?

Na jej twarz spadła zasłona uporu.

– Przykro mi, ale nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

Bingo, jak mawiają w świetlicy parafialnej w środy wieczorem.

– Szkoda. A tak nam się szczerze rozmawiało.

– Nadal możemy rozmawiać szczerze na inne tematy.

– Wątpię. Wygląda mi na to, że stoicie po stronie Aenghusa Óga.

– No, naprawdę. – Wzniosła oczy ku niebu, jakby traciła cierpliwość. – Jak powiedziałam już panu przez telefon, gdyby tak było, dlaczego zamierzałybyśmy go upokorzyć?

– Liczę na to, że pani mi to wyjaśni, pani Malino.

– Dobrze. Nie chcemy mieć nic do czynienia z Tuatha Dé Danann. Śmiertelnicy, którzy wchodzą z nimi w jakiegokolwiek kontakty, raczej rzadko cieszą się szczęśliwym życiem, i choć nie należymy może do typowych śmiertelników, na pewno nie jesteśmy z ich kategorii wagowej, wybaczy pan, że posługuję się tu taką metaforą rodem z boksu.

– Wybaczam, choć uważam, że byłoby o wiele zabawniej, gdyby użyła tu pani żargonu graczy komputerowych, na przykład: „walcząc z Tuatha Dé Danann, ryzykowałybyśmy dylit 95% życia”.

Uśmiechnęła się uprzejmie, jakby dając mi do zrozumienia, że domyśla się, że to żart, choć nie do końca wie, co w ogóle powiedziałem.

– Prawda jest taka, że chciałybyśmy panu pomóc, panie O'Sullivan. Uważamy, że Aenghus Óg nie będzie szczególnie zadowolony, gdy odkryje przyczyny swojej niemocy, a wtedy obróci swój gniew zarówno przeciwko nam, jak i panu. Toteż, skoro wy dwaj i tak zamierzacie walczyć, chciałybyśmy mieć pewność, że to pan będzie zwycięzcą. A zatem, jak możemy panu pomóc?

Przyjmowanie jakiegokolwiek „pomocy” od wiedźm było wykluczone. Nie miałem żadnej wątpliwości, że coś takiego z pewnością obróciłoby się przeciwko mnie. Była to jednak

wspaniała okazja, by zdobyć jeszcze kilka informacji.

– Sam nie wiem – powiedziałem. – Może niech mi pani powie coś więcej o tych Zoriach, o których pani wspomniała. Czy to one są źródłem waszej mocy?

– Kiedy wspomniałam o Zoriach?

– Przysięgła pani na nie, gdy chciała pani postraszyć Emily.

– A, tak, rzeczywiście. Zorie to boginie gwiazd znane w całym świecie słowiańskim. Gwiazda Polarna, zwana po rosyjsku Zoria Połnocznaja, to bogini życia i odrodzenia i jak się pan może domyślić, zarazem bogini magii i wiedzy. To od niej czerpiemy dużą część naszej wiedzy i siły, choć pozostałe dwie Zorie także są bardzo ważne.

– Fascynujące. – Powiedziałem to szczerze. Nie słyszałem przedtem za wiele o tych całych Zoriach. Stare słowiańskie bóstwa nie wypłynęły jakoś nigdy w żadnej rozmowie podczas moich rozlicznych podróży. Teraz odczuwałem silną potrzebę doczytania nieco na ten temat.

– Rozumiem z tego, że wcale nie odstawiacie żadnych hocków klocków z księżycem?

– Nie. – Pokręciła głową. – To zupełnie inna sztuka.

– Muszę przyznać, że pojęcia nie mam, jak byście mi mogły pomóc. Miała może pani coś konkretnego na myśli?

– Cóż, jako że z zaklęciami zabezpieczającymi radzi pan sobie całkiem sprawnie – gestem wskazała na zaklęcia, które wyczuwała w sklepie – być może mogłybyśmy pomóc panu w zakresie potencjału ofensywnego. W jaki sposób zamierza pan zaatakować Aenghusa Óga?

Czy naprawę zdawało jej się, że odpowiem jej na tak postawione pytanie?

– Myślę, że będę improwizował.

– Mogłybyśmy polepszyć pana szybkość.

– Dziękuję, ale to nie będzie potrzebne.

Malina zachmurzyła się.

– Odnoszę wrażenie, że tak naprawdę nie chce pan przyjąć od nas żadnej pomocy.

– I ma pani rację. Mimo to jednak jestem pani niezwykle wdzięczny za propozycję. To bardzo miłe z pani strony.

– Dlaczego odmawia pan przyjęcia wsparcia?

– Proszę mnie dobrze zrozumieć, wiem, że chciałybyście jak najszybciej spłacić dług, który zaciągnęłyście z powodu kuracji Emily, ale nie jestem zainteresowany tego typu usługami.

– Sądzi pan zatem, że może sam stawić czoło Aenghusowi Ógowi?

Wzruszyłem ramionami.

– To się dopiero okaże. Jak dotąd za bardzo się nie wysiłał. Być może dlatego, że on sam sądzi, że owszem, mogą.

Spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

– Czy jest pan czymś więcej niż zwykłym druidem?

– Oczywiście. Jestem właścicielem tego sklepu, całkiem dobrym szachistą, a raz powiedziano mi nawet, że jestem frakkin'Cylonem.

– Co to jest frakincylon?

– Pojęcia nie mam, ale muszę pani powiedzieć, że brzmi to jak coś bardzo groźnego, kiedy tak to pani wymawia z polskim akcentem.

Jej brwi zbliżyły się do siebie, a akcent stał się jakby nieco cięższy.

– Pan sobie ze mnie kpi, a ja bynajmniej sobie tego nie życzę. Sugeruje pan, że członek Tuatha Dé Danann boi się pana, gdy tymczasem nie podała mi pan żadnego racjonalnego uzasadnienia takiej hipotezy.

– Wszystko mi jedno, czy pani mi wierzy, czy nie.

Oczy Maliny posłały mi spojrzenie zimne jak lód.

– Mam wrażenie, że nie darzy mnie pan pełnym zaufaniem.
– Ma pani takie wrażenie? To niech mnie pani zapewni, że wasz sabat wcale nie knuje przeciwko mnie z Aenghusem Ógiem.
– Mój sabat nie knuje przeciwko panu z Aenghusem Ógiem.
– A teraz proszę sprawić, żebym w to uwierzył.
– Wygląda na to, że to jest fizycznie niemożliwe. Lecz pan jest w posiadaniu dokumentu zawierającego krew Radomily. Sugerowałabym, że to oznacza, iż ona przynajmniej ufa panu. Wydawało mi się także, że Radomila i pan wyświadczali sobie wzajem pewne przysługi, a wasze stosunki były dość serdeczne.

– Tak rzeczywiście było, ale zanim członkinie jej sabatu zaczęły sypiać z moim śmiertelnym wrogiem.

– Przyznam, że nie wiem, w jaki sposób mam rozwiązać pana podejrzenia. – Odsunęła swoje krzesło od stolika. – Toteż nie pozostaje mi nic innego, jak opuścić pana.

– Raz jeszcze dziękuję za okiełznanie dziś Emily. Proszę mi wierzyć, że to doceniam – powiedziałam. – Bardzo miło było mi panią poznać.

– Miłego dnia – odrzekła tonem, z którego wnosilem, że jej wcale nie było równie miło poznać mnie. Poprawiła dłonią grzywę wspaniałych włosów i wyszła – wyniosła, dostojna, polska i tak strasznie wiedźmowata.

<Ona jest trochę jak Mary Poppins tuż przed przejściem na ciemną stronę mocy> podsumował Oberon. Wciąż siedział za kontuarem, ale gdy wychodziła, przyjrzał jej się uważnie. <Pozbądź się złości, Malino! Jest w tobie dobro. Imperator nie zdołał całkiem go zgasić>.

Ja to ci chyba muszę załatwić jakieś nowe filmy do oglądania, kiedy jestem w pracy.

<A nie, dziękuję. Wolałbym raczej chodzić odtąd z tobą do sklepu. Fajnie jest tak patrzeć, jak udajesz, że jesteś normalny>.

W tej samej chwili drzwi otworzyły się same i wpłynęła przez nie Morrigan, kracząc głośno w swojej wroniej postaci i napędzając stracha moim klientom. Znowu. Cholera.

Gdy już wszyscy wyszli i został tylko Perry, kazałem mu iść na lunch.

– Ale tego no, sam se poradzisz z tym dziwnym jakimś takim ptakiem, co? – spytał, nie odrywając spojrzenia od wrony. – Bo on ma dziób ostry jak żyleta i straszliwe ślepie, w których palą się piekielne ognie czy coś, wiesz?

– A, tak, tak – zgodziłem się z nim beztrąsko. – Nic się nie martw. Idź na lunch. Nie spiesz się. Smacznego.

– No, dobra, jeśli jesteś tego pewien. To do zobaczenia po lunchu.

Obszedł wronę wielkim łukiem i nie spuszczać z niej oczu, dotarł do progu, a potem wymknął się na zewnątrz. Podszedłem do drzwi, zamknąłem je za nim na klucz i odwróciłem wiszącą w nich tabliczkę tak, żeby teraz głosiła: ZAMKNIĘTE.

– Dobra, Morrigan, co się dzieje?

Przybrała swą ludzką postać i na szczęście pamiętała tym razem o tym, żeby załatwić też sobie jakiś czarny płaszcz. Była jednak wyraźnie zaniepokojona; jej oczy lśniły czerwonym blaskiem.

– Brigid wyruszyła już, by się z tobą spotkać. Będzie tu wkrótce.

Podskoczyłem z wrażenia i zakląłem z mocą w siedemnastu językach.

– Podzielim twoje odczucia – powiedziała Morrigan. – Nie wiem, jakie ona ma zamiary. Zameldowałam jej, że wzięłam Bresa, i zrelacjonowałam, jak zginął, zgodnie z tym, co radziłeś, ale prawie mnie nie słuchała. Gdy skończyłam mówić, podziękowała mi i oświadczyła, że wybiera się do ciebie. Potem chciała zostać na chwilę sama i koniec końców nie wiem, co myśli o tym wszystkim. Dziś rano wyruszyła i podróżuje przez pustynię. Jest sama.

– Świetnie. A jeśli postanowi mnie zabić?
– Wystawi to naszą umowę na poważną próbę – stwierdziła Morrigan ze złośliwym uśmiechem.
– Morrigan?
– Uspokój się. Ty i ja zawarliśmy umowę. Ale bądź tak miły i przynajmniej udawaj, że jesteś całkiem martwy, jeśli uzna za stosowne cię zabić.
– A jeśli postanowi mnie spalić żywcem i patrzeć, jak płonę?
– To będzie bolało. Krzycz sobie do woli, ale potem przestań, to uzna, że nie żyjesz. Jak już sobie pójdzie, to ci pomogę.
– Ale mnie pocieszyłaś. Aha – przypomniało mi się nagle – czy ty masz świadomość, że była u mnie Flidais i ostrzegła mnie przed Aenghusem Ógiem?
– Nie. – Morrigan zmarszczyła się. – Kiedy to było?
– Tego samego dnia, kiedy ty do mnie wpadłaś. Jak wróciłem do domu, to już na mnie czekała.
– Nie rozumiem, dlaczego nagle miałyby się zacząć tobą interesować.
– Ja też nie. Szczególnie że wpakowała mnie i mojego psa w poważne kłopoty.
– Jakiego rodzaju?
– Mój wilczarz jest poszukiwany przez policję. Zabił strażnika leśnego, który zaskoczył nas podczas polowania. A na dodatek ten strażnik miał w uchu kolczyk zawierający uroki faeryczne pomagające w skradaniu się.

Oczy Morrigan stały się jeszcze bardziej czerwone.

– Wygląda mi na to, że w Tír na nÓg dochodzi do jakichś machinacji, o których nie wiem. Nie lubię nie mieć takich rzeczy pod kontrolą; mam wtedy od razu dziwne przeczucie, że są wymierzone przeciwko mnie. – Naburmuszyła się strasznie i pokręciła głową. – Muszę to zbadać. Pokręcę się tu po okolicy i zobaczę, co zrobi Brighid, ale potem wracam do Tír na nÓg, żeby się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. – Jej oczy przygasły nagle i odwróciła się w stronę drzwi. – Idzie – syknęła. – Lepiej, żeby mnie tu nie widziała. Do zobaczenia wkrótce, Siodhachanie Ó Suileabháinie.

Znów przemieniła się we wronę i machając skrzydłami, pofrunęła ku drzwiom, które same się przed nią otworzyły. Zostałem sam na sam z Oberonem, który świetnie się bawił obserwowaniem zza lady moich kolejnych gości.

<Wiesz, Atticusie, to całe zmienianie się we wronę jest niezłe, ale moim zdaniem to nie jest najmocniejsza strona tej bogini. Ona wyczuwa, że ktoś się zbliża, na tyle szybko, że ma jeszcze czas się ulotnić! Sam pomyśl, jak by to było fajowo móc do końca życia unikać wszelkich dupków?>.

– Cicho, Oberonie – szepnąłem. – Brighid jest już blisko. Masz być grzeczny. Siedź cicho za kontuarem i nie waż się wychodzić, póki ci nie pozwolę. Wystarczy jeden fałszywy ruch, a usmaży nas jak bekon na patelni.

Ledwie zdążyłem to powiedzieć, gdy przez drzwi wpadła kula ognia, zbijając przy okazji szybkę i topiąc dzwonek. Płomienie zgasły tuż przed moim nosem, a oczom naszym ukazała się wysoka, dostojna bogini w pełnej zbroi – Brighid, bogini poezji, ognia i kuźni.

– Stary druidzie – rzekła głosem muzyki i strachu – musimy porozmawiać o śmierci mego męża.

Rozdział 14

Brighid naprawdę umiała robić wrażenie. Głowę daję, że nie było nigdy w historii równie seksownej wdowy. Mimo że była w pełnej zbroi, która zakrywała wszystko poza oczami i ustami, to od razu poczułem się jak napalony nastolatek. Marzyłem tylko o tym, żeby móc choć trochę z nią poplirtować, ale jednak to ja przecież byłem facetem, który zabił jej męża, uznałem więc, że to może by już była lekka przesada.

Odchrząknąłem i nerwowo oblizałem usta.

– Chcesz tylko porozmawiać o jego śmierci? – spytałem. – Żadnej kremacji żywcem w ramach podsumowania czy coś?

– Porozmawiajmy najpierw – zarządziła surowym tonem. – Co się stanie potem, zależy od tego, co powiesz. Opowiedz mi o jego śmierci.

Powiedziałem jej wszystko. Bogini takiej jak Brighid nawet nie należy próbować kłamać. Odważyłem się jedynie pominąć szczegół wyjaśniający, w jaki sposób udało mi się zobaczyć, że Bres zamachuje się na mnie mieczem. Miałem cichą nadzieję, że może nie zauważy mojego naszyjnika albo nie uzna go za nic potężnego. Nie skłamałem jednak ani razu.

– Morrigan powiedziała to samo – stwierdziła Brighid.

– To było w akcie samoobrony – zapewniłem ją.

– Tak, rozumiem. – Złagodniała nieco. – Prawda jest taka, druidzie, że mam wobec ciebie dług wdzięczności. Oszczędziłeś mi bardzo przykrego obowiązku.

A niech to dunder świśnie! Brighid właśnie powiedziała, że ma wobec mnie dług. W życiu się czegoś takiego nie spodziewałem.

– Przepraszam? Chyba nie rozumiem – wybąkałem.

Bogini zdjęła hełm, a jej rude włosy rozsypały się na naramiennikach niczym jakaś samonadmuchująca się tratwa. Mimo że przez całe mile siedziały pod tym hełmem, nie wydawały się teraz ani mokre od potu, ani potargane. Były to boskie, lśniące włosy godne ery Wodnika rodem z *Hair*, których mogłaby pozazdrościć sama Malina Sokolowski. Żeby jakaś gwiazda filmowa miała coś takiego na głowie, gdy zabłyszczą światła kamer, cała drużyna stylistów musi w pocie czoła pracować przez kilka godzin. Pachniały lawendą i ostrokrzewem. Jakimś cudem przypomniałem sobie, że powinienem mimo wszystko oddychać.

– Zaraz ci wyjaśnię – zapowiedziała. – Lecz czy mogłabym przedtem dostać jakąś herbatkę? Mam za sobą tak daleką podróż.

Skoczyłem na równe nogi i rzuciłem się za ladę, gdzie cierpliwie siedział Oberon.

– Oczywiście! – krzyknąłem z zapałem. Robienie herbatki bogini ognia było sto razy lepsze niż płonienie żywcem w wyniku bliskiego spotkania z jej żywiołem.

<Mogę się z nią chociaż przywitać?> spytał potulnie Oberon.

Zaczekaj, spytam – powiedziałem.

– Mój wilczarz chciałby cię powitać, Brighid. Czy nie miałabyś nic przeciwko temu? A ja tymczasem zaparzyłbym ci herbatkę.

– Masz tu ze sobą psa? Gdzie?

Zdjąłem z niego kamuflaż i kazałem mu się grzecznie zachowywać.

Wyszedł zza lady i podreptał do Brighid, a jego ogon latał wte i we wte jak metronom wskazujący tempo *allegro*. Usiadła przy jednym z moich stolików i uśmiechnęła się na widok jego entuzjazmu.

– Ho, ho, piękny wilczarz. Umiesz mówić, piesku? – Splotła swoją świadomość z jego, żeby być w stanie usłyszeć jego odpowiedź.

<Tak. Atticus mnie nauczył. Mam na imię Oberon. Jestem zaszczycony, że mogę cię poznać, Brighid>.

– I mnie również jest bardzo miło, Oberonie, Szekspirowski królu wróżek i faerii. – Posłała mu uśmiech i podrapała za uchem, nie zdejmując rękawicy. – A kim jest Atticus?

– To ja – przyznałem.

– O? Nikt mi nie powiedział, że zmieniłeś imię. Wszyscy zawsze używają twego prawdziwego imienia, gdy rozmawiamy o tobie w Tir na nÓg. Wyobrażam sobie, że musisz podejmować wiele takich interesujących decyzji, mieszkając wśród śmiertelnych. Ale, ale – ujęła dłonią szczękę Oberona i zwróciła się wprost do niego – doszły mnie słuchy, że zabiłeś człowieka. Czy to prawda?

Odmierzałem właśnie herbatę, czekając, aż zagotuje się wreszcie woda, ale od razu podniosłem głowę. Oberon przestał machać ogonem i spuścił go w popłochu. Usiadł i zaskomlał.

<Tak. Ale ja nie chciałem. Flidais mi kazała, więc musiałem być jej posłuszny>.

– Tak, wiem. Trudno mi cię winić, Oberonie. W pewnym sensie to moja wina, bo to ja wysłałam Flidais, żeby spotkała się z twoim panem.

Bogowie niejedyni! Jeśli co chwilę będzie rzucać takie bomby, będę musiał naprawdę strasznie uważać, gdy już wezmę wrzątek do rąk.

– W ogóle nic nie potoczyło się tak, jak sobie to zaplanowałam – poskarżyła się Oberonowi, zdejmując swoje stalowe rękawice, żeby móc go głaskać. Odłożyła je z brzdękiem na stół. Nawet zza lady czułem, jak emanują magią. Oczywiście zbroja bogini kuźni musi być wyjątkowa. Zacząłem się mimowolnie zastanawiać, czego potrzeba, by choć ją zarysować. Może Fragaracha na przykład? – I doszło już do tego, że muszę osobiście interweniować w to wszystko – ciągnęła Brighid.

<Mogłabyś sprawić, by gliny po prostu o mnie zapomniały?> spytał Oberon z nadzieją w głosie.

– W normalnej sytuacji być może bym mogła. Ale tym razem niestety ktoś robi wszystko, by policja o tobie nie zapomniała.

– Poczekaj, proszę, nic więcej nie mów – zaprotestowałem. – Daj mi nalać tę wodę w spokoju, usiądźmy i pogadajmy.

– Jak sobie życzysz. Oberonie, może chciałbyś, żebym cię podrapała po brzuchu, gdy tak będziemy czekać?

<O, tak, bardzo bym chciał> zapewnił ją Oberon i radośnie uwalił się u jej stóp, zamiatając podłogę ogonem.

Na marginesie: Brighid lubi herbatę z mlekiem i miodem. Tak jak ja.

– Dziękuję – powiedziała, nim wzięła łyk i westchnęła błogo.

– Proszę bardzo – odparłem, a potem siadłem i zamyśliłem się nad tym, do jakich surrealistycznych sytuacji może w życiu dojść. Oto siedzę i piję sobie herbatkę z Brighid, boginią, którą czczę od dzieciństwa, i to w mieście, którego nikt nawet jeszcze nie planował, gdy byłem dzieckiem. A towarzyszy nam mój wilczarz (zrobiłem mu też herbaty i schłodziłem ją kostkami lodu, a teraz chleptał ją z miski na podłodze).

Myśli Brighid pobiegły widać w tym samym kierunku, bo uśmiechnęła się i rzekła:

– Jakież to dziwne.

– Lubię dziwne rzeczy – powiedziałem. – A przynajmniej te dziwne, które nie stanowią zagrożenia.

– Tak. Niestety, ostatnio wydarza się wiele rzeczy dziwnych i groźnych zarazem. Może powinnam ci wyjaśnić to i owo.

– Byłoby wskazane – przytaknąłem.

– Otóż, tak w skrócie: brat mój, Aenghus Óg, wystąpił przeciwko mnie. Zamierza przejąć pozycję najwyższego boga wśród Tuatha Dé Danann, lecz podejrzewam, że ma to być jedynie etap czegoś znacznie poważniejszego. Cokolwiek zamierza, zbiera w tym celu wszelką magiczną broń, jaką zdoła. Posunął się nawet do tego, że namówił mego zdurniałego męża, by ten poprosił mnie o zrobienie dla niego zbroi, która chroniłaby przed Fragarachem. O nic nie pytając, wykułam mu jakieś żalosne przebranie i zapewniłam na odczepnego, że uczyni go ono niezwyciężonym. Natychmiast je na siebie włożył i dał się zabić, więc moje gratulacje, druidzie.

– Yyy... – Nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Gdyby sprawy zaszły dalej, sama musiałabym go zabić. Tymczasem na razie sytuacja wygląda tak, że nadal mogę właściwie uniknąć bezpośredniego konfliktu z Aenghusem Ógiem, a wierz mi, że nie chcę się zniżyć do walki... to naprawdę obrzydliwe, szczególnie jeśli w grę wchodzi walka z własnym bratem.

Zniżanie się do poziomu śmierci także jest rzeczą obrzydliwą, a tak się składa, że ryzyko śmierci jest zawsze wpisane w walkę. Ale tę myśl zachowałem dla siebie i tylko pokiwałem głową ze zrozumieniem.

– Aenghus chce zdobyć Fragaracha, bo wydaje mu się, że byłby nim w stanie przebić się przez moją zbroję – ciągnęła, bębniąc palcami w hełm.

– A nie ma racji?

– Tego nie wiem na pewno – przyznała Brighid. – W przeciwieństwie do tego, co dałam Bresowi, zbroja ta powstała w wyniku prawdziwej próby wykucia czegoś, co byłoby odporne na Fragaracha. Ale wołałabym jej nie wypróbować.

– Ja nigdy nie posłużyłbym się Fragarachem przeciwko tobie.

Brighid roześmiała się. Poczulem się tak, jakby moje uszy pieściła symfonia, która przyprawia o dreszcz strachu, wyciskając zarazem łyzy radości i wzruszenia.

– Wiem, Atticusie. I wołałabym, żeby Aenghus także nie posłużył się nim przeciwko mnie.

– Po moim trupie.

– Otóż to. Uważam, że jesteś dosłownie stworzony na jego właściciela, i wołałabym, żeby pozostał w twoim posiadaniu. Ale Aenghus uparł się, że go zdobędzie, i tak wszystkimi manipuluje, żeby koniec końców dostał się w jego ręce. Zresztą sam z pewnością już to zauważyłeś.

– Masz na myśli tych Firbolgów, którzy zaatakowali mnie wczoraj wieczorem? Raczej nie dało się ich nie zauważyć.

– Myślałam raczej o czym innym. Na przykład o tych śmiertelnych policjantach, którzy polują na twojego wilczarza.

– Ale to się stało przez Flidais, a to ty ją wysłałaś.

– Wysłałam ją, by cię ostrzegła, to prawda. Ale ten strażnik leśny to już była sprawka mego męża, działającego z polecenia Aenghusa. Policjanci są teraz narzędziami w rękach boga miłości.

– To nie ulega wątpliwości – zgodziłem się.

– Wymyślą jakiś sposób, by odebrać ci miecz, choćbyś się opierał. Aenghus na to zresztą liczy, bo jeśli będziesz się opierał, policja wyciągnie broń i po prostu skonfiskuje twój miecz. Potem on bez trudu go im odbierze.

– Rozumiem. To pewnie oznacza, że będą próbowali zdobyć nakaz sądowy, żeby przeszukać mój dom. Muszę ostrzec mojego prawnika.

– To nie koniec. Aenghus zatrudnił do walki z tobą cały sabat czarownic.

– Co takiego? – krzyknąłem. – Który sabat?

– Znane mi są jako Siostry Trzech Zórz.

Poczułem, że ciśnienie skacze mi niebezpiecznie.

– Ale one twierdzą, że nie chcą mieć nic do czynienia z Aenghusem Ógiem! Jedna z nich z nim sypia i nawet kazała sobie zaparzyć herbatkę, która by zrobiła z niego impotent!

– To on to wszystko z nimi zaplanował. Po pierwsze da mu to pretekst do zabicia ciebie, po drugie jest sposobem na to, by wiedźmy się do ciebie zbliżyły.

– Ale ja mam krew Radomily! – ryknąłem. Zalała mnie taka złość, że aż się zaplułem. – Jej sabat obiecał mi przysługę w zamian za moje usługi!

– Liczą na to, że wkrótce już cię tu nie będzie, by zgłosić się po to, co ci się należy – powiedziała Brighid. – A jeśli poprosisz je o cokolwiek, co zagroziłoby jakoś interesom Aenghusa, ta cała Radomila będzie akurat nieosiągalna.

– A co one z tego mają? Przecież Aenghus na pewno coś im za to obiecał.

– Tego nie wiem. Mogę się jednak domyślać, że skusił je przywilejem nieograniczonego podróżowanie przez Tír na nÓg.

Gwizdnąłem z cicha.

– To by pozwoliło im bardzo urosnąć w siłę.

– Tak. Lecz nie są jedyną grupą, której obiecał różne rzeczy. Na swojej liście pomocników ma już także Fomorian, podjudził przeciw mnie sporą grupkę faerii i podejrzewam, że wszedł w jakieś układy z piekłem.

Czułem, że sytuacja zaczyna mnie przerastać. Moi przeciwnicy stawali się coraz liczniejsi, a w dodatku część z nich za nic będzie miała mojego prawnika.

– A co z resztą Tuatha Dé Danann? Po której stronie stanęli?

– Większość po mojej. Połączenie Fomorian i demonów nie budzi w nikim w Tír na nÓg zbyt ciepłych uczuć.

– A Morrigan?

– Tego nikt nie wie, bo nikt z nią o tym wszystkim nie rozmawiał. – Brighid uśmiechnęła się cierpko. – Wydaje mi się, że Aenghus bał się, iż mogłaby zdusić cały ten spisek w zarodku. Co do mnie, to wolałabym jej niczego nie zawdzięczać. Ona nie należy do tych osób, które wiedzą, co to praca zespołowa.

– Rozmawiała ze mną – powiedziałem. – Już podejrzewa, że coś się dzieje, i jest wściekła, że nikt jej o niczym nie powiedział.

– Jeśli zechce, może się przecież dołączyć w każdej chwili. A ty? Czy ty chcesz do nas dołączyć, druidzie?

– Wygląda mi na to, że już dawno dołączyłem.

– Chodzi mi o to, żebyś się opowiedział, po której jesteś stronie. A ściślej mówiąc, żebyś powiedział, że jesteś po mojej.

– Zrobione – odpowiedziałem prędko. Niby gdzie tu dylemat? Ona chce, żebym zatrzymał miecz; Aenghus chce mi go zabrać. Ona chce, żebym żył; Aenghus nie. Ona jest seksy; Aenghus nie.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się do mnie czule, a ja poczułem, że mi się topi wątroba. – Zabij dla mnie Aenghusa Óga, a sownie cię wynagrodzę. – Muszę przyznać w tym miejscu, że to miłe, ciepłe uczucie natychmiast mnie opuściło. Zamiast tego poczułem się jak zwykły najemnik. – Aha, a na wypadek gdybyś natknął się na jakieś demony, mam dla ciebie prezent. Podaj prawą dłoń.

Położyłem prawą dłoń w jej lewej. Jej ręka była zimna w dotyku; zrogowaciała od kucia stali; palce miała długie i silne. Dotknęła palcem wskazującym pętelki na moim tatuażu i spróbowała... czegoś.

Oj!

– Nie rozumiem. – Zmarszczyła czoło. – Coś nie pozwala mi przekazać ci mocy Zimnego Ognia.

Zachowałem neutralny wyraz twarzy, a tymczasem część mnie klęła na czym świat stoi, a druga myślała intensywnie.

Suuuuuperancko. Mój amulet właśnie powstrzymał jej magię. A zatem być może nawet udałoby mu się ochronić mnie przed spłonieniem, gdyby spotkanie potoczyło się mniej korzystnym torem. W każdym razie wołałem tego nie sprawdzać. Teraz jednak wiedziała już o jego istnieniu i to mogło nieco wszystko skomplikować.

– Twoja aura jakoś dziwnie wygląda, druidzie – powiedziała, odchylając się na krześle, jakby chciała spojrzeć na mnie z lepszej perspektywy. – Co ty z nią zrobiłeś?

– Splotłem ją z zimnym żelazem – powiedziałem, wyciągając naszyjnik spod koszuli. – Chroni mnie przed magią.

Brighid milczała przez chwilę. Siedziała tylko i wpatrywała się w mój naszyjnik. Potem zaś powiedziała:

– Chroni cię także przed moją pomocą. Nie mogę dać ci Zimnego Ognia. Jeśli natkniesz się na demony, będziesz zdany na siebie, a pojęcia nie mam, jak zamierzasz się bronić, skoro nie możesz posługiwać się magią.

– Ależ nie. Oczywiście, że mogę posługiwać się magią.

– Przecież żelazo uniemożliwia użycie magii.

– Odkryłem rozwiązanie tego starego problemu.

– To zadziwiające, że udało ci się coś, co mnie się nie powiodło – rzekła bogini kuźni.

– A próbowałaś?

– Nie – przyznała. – Zawsze myślałam, że to po prostu niemożliwe.

– Nie, to jest tylko prawie niemożliwe.

– Wypróbowałeś go już na demonach.

– Obronił mnie przez czarami sukuba.

– Ale nie miałeś jeszcze do czynienia z piekielnym ogniem czy innymi atakami z piekła?

– Jeszcze nie.

– Wkrótce będziesz go musiał wypróbować pod tym kątem. Potrzebujesz sposobu na demony. Na dużo demonów, o ile się nie mylę i Aenghus rzeczywiście rozmawiał z tym, z kim mnie się wydaje.

– Jak działa ten Zimny Ogień?

– Umożliwia spalanie ich od środka; ale pali tak, jak pali się lód. Pochłania bardzo dużo energii i wycieńcza rzucającego czar, pozwala jednak zapanować nad sytuacją podczas walki. Cóż z tego, jeśli nie mogę ci go przekazać.

– Ale oczywiście, że możesz – powiedziałem i zdjąłem naszyjnik. To od razu zmieniło aurę, a ja poczułem się nieswojo. Teraz mogła mi bez trudu pomóc, ale równie łatwo mogła mnie zniszczyć.

– Cóż za cudowne urządzenie, Siodhachanie – zauważyła z podziwem, widząc, jak zmieniła mi się aura. Zupełnie już oczywiście zapomniała o moim nowym imieniu. – Musisz mnie tego nauczyć.

Tego właśnie się obawiałem.

– Bardzo mi przykro, Brighid, ale poprzysiągłem trzymać go w sekrecie. – Postanowiłem pominąć słowa: „bo wymogła to na mnie Morrigan” i pospiesznie paplałem dalej, żeby nie miała czasu spytać, komu złożyłem tę przysięgę. – Lecz teraz, gdy już wiesz, że coś takiego jest możliwe, bez wątpienia sama dojdiesz do znacznie lepszych rozwiązań. Jedyne, czego trzeba, to

cierpliwości. Wytworzenie tego amuletu zajęło mi siedemset pięćdziesiąt lat.

Na szczęście nie wyglądała na obrażoną. Na lekko zawiedzioną, ale nie obrażoną. Im dłużej jednak patrzyła na naszyjnik leżący przy jej rękawicach, tym bardziej zmieniał się wyraz jej twarzy, aż w końcu wydawała się wręcz zachwycona.

– Postawiłeś przede mną nowe wyzwanie, druidzie, i to wyzwanie warte zachodu – rzekła. – Postaram się stworzyć mój własny amulet w krótszym czasie. Wiem, że nie możesz powiedzieć mi, jak to zrobić, bo złamałbyś swoją obietnicę, ale czy pozwolisz mi przyjrzeć się mu tylko od czasu do czasu?

– Oczywiście.

– Czy dobrze zgaduję, że naszyjnik ten będzie działał tylko, jeśli ty go włożysz?

– Tak. Jest ze mną spleciony. Dla każdej innej osoby będzie to jedynie zwykła błyskotka.

– Teraz rozumiem już, jak to się stało, że tak długo żyjesz.

Zarumieniłem się, słysząc taki komplement, a ona wystawiła lewą rękę i uśmiechnęła się. Podąłem jej swoją prawą dłoń, złapała ją i dotknęła palcem tatuażu. Tym razem poczułem coś: ciepło i lód wędrowały przez moje żyły, zakręciło mi się w głowie.

– Teraz jesteś już w posiadaniu mocy Zimnego Ognia – powiedziała Brighid. – Działa on jedynie na piekielne stworzenia i zarówno ty, jak i twój przeciwnik musicie dotykać ziemi. Wskaż na niego prawą ręką, zberz wolę i powiedz: *Dóigh*, a zostanie unicestwiony. Ostrzegam cię jednak: czar ten wymaga niesamowitej ilości energii, więc stosuj go z umiarem. Pamiętaj też, że śmierć zajmuje demonom kilka chwil.

– Dziękuję, Brighid.

– Jeszcze nie dziękuj – powiedziała, drapiąc Oberona po raz ostatni, nim włożyła z powrotem rękawice. – Mimo wszystkich twoich zalet mam świadomość, że ty jeden powstrzymujesz Aenghusa Óga i jego sprzymierzeńców przed otwartą walką przeciwko mnie. On ma całe legiony, a ty jesteś sam jeden. Cieszę się, że masz odwagę stawić im czoło, ale nie daję ci wielu szans na przetrwanie do wschodu słońca.

I po tym pocieszającym stwierdzeniu pochyliła się i pocałowała mnie przez stół. Smakowała mlekiem, miodem, jagodami i jeszcze czymś przepysznym.

<W ciągu kilku ostatnich dni pocałowały cię aż trzy boginie> wypomniał mi Oberon, gdy tylko wyszła. <Moim zdaniem oznacza to, że wisisz mi około trzystu francuskich pudlic. Tak na oko przynajmniej>.

Rozdział 15

Wydawało mi się zawsze, że niedziele są dniem relaksu i wypoczynku. Jako męski obywatel Ameryki mam psie prawo do niedzielnego oglądania dobrze zbudowanych mężczyzn w obcisłych strojach zajmujących się rytualną inwazją na terytorium wrogiego stada, a gdy oni odpoczywają, powinienem być bombardowany reklamami o samochodach, pizzy, piwie i usługach finansowych. Tak właśnie powinno być; na tym polega tak zwany „American dream”.

Być może nie mam prawa zgłosić w tej sprawie zażalenia, bo nie jestem tak naprawdę amerykańskim obywatelem. Pan Semerdjian nawet nasłał kiedyś na mnie INS, czyli Służbę Imigracji i Naturalizacji. Zamachałem do nich wesoło i powiedziałem: „Nie jestem tym druidem, którego szukacie”, ale wcale ich to nie rozśmieszyło. Znów zamachałem i powiedziałem: „No, dobra”, a oni wtedy wyciągnęli te swoje kajdanki. I tak zdobyłem moje nieco zniszczone, lecz w sumie zupełnie nielegalne dokumenty, które spreparował mi sam Leif Helgarson, mój prawnik-krwiopijca. A gdy już poszli sobie wreszcie agenci INS-u, posłałem Oberona do pana Semerdjiana, by po raz pierwszy zrobił mu kupę na trawniku.

Od tego czasu nie układa się jakoś między nami. W zasadzie nigdy nam się nie układało, ale przez pierwsze kilka lat poprzestawał na pogodnym sąsiedzkiem ignorowaniu mojej osoby. Kiedy zabrał się do aktywnego nękania mojej osoby, zacząłem podejrzewać, że albo jest bezdennie głupi, albo jest pionkiem w rękach faerii. Okazało się, że to tylko jego wrodzona złośliwość, a psie gówno na jego trawniku zmieniło go w prawdziwego Flibbertygibbeta, ducha fochów i fąfrów, niczym Szekspirowskiego Toma o'Bedlama – tylko w libańskiej wersji.

Teraz jednak to ja czuję się pionkiem faerii, choć już prawdę powiedziawszy, sam nie wiedziałem, czym właściwie jestem pionkiem. Byłem trochę jak Korea, w której Stany i Chiny prowadzą wojnę, nic sobie z niej nie robiąc.

A nie chciałem być pionkiem. Ani Koreą. Wolałbym być skoczkiem. Albo Danią. Duńczycy byli kiedyś w stanie dokopać każdemu – to jest zanim ich ofiary się skapnęły, skąd się ci Duńczycy brali.

I na tym właśnie polegał mój problem. Wszyscy nagle wiedzieli, gdzie mnie znaleźć. A w szczególności, gdzie mnie znaleźć w tę konkretną niedzielę.

Właśnie dzwoniłem do faceta od drzwi, błagając, żeby przyszedł i naprawił mi moje zdemolowane wejście mimo niedzieli, gdy przez wybite okno ujrzałem, że przed sklepem parkuje znajomy ford crown victoria. Ze środka wyłonił się detektyw Carlos Jimenez, a po chwili z piskiem opon zatrzymało się na parkingu jeszcze kilka podobnych samochodów. Chroniący oczy za pomocą ciemnych okularów gliniarze, którzy z nich wyskoczyli, pospiesznie podciągnęli sobie spodnie na wszywanych paskach i ukradkiem sprawdzili, czy nie wystają im koszule z gaci. Detektyw Darren Fagles, ten, któremu zdawało się, że jest Wściekłym Psem, trzymał w dłoni niezwykle oficjalnie wyglądający papier o typowo prawniczych wymiarach i dużej ilości małych literek.

Odwiesiłem słuchawkę w połowie zdania pana od drzwi i kazałem Oberonowi natychmiast wskoczyć na stół pod samą ścianą.

– Skul się na blacie i ani drgnij. Niech ci nawet ucho nie zadrży, żadnego machania ogonem, nic po prostu, póki ci faceci nie pójda sobie na dobre.

<Jacy faceci?> chciał wiedzieć, ale posłusznie wykonał moje polecenie.

– Idą tu gliniarze. Jeśli któryś z nich jakimś cudem cię zauważy, wybiegasz stąd natychmiast, pędzisz na podwórko wdowy i tam się chowasz, zrozumiano? Drugi raz nie będę powtarzał.

<Myślisz, że mogą mnie zauważyć mimo kamuflażu?>.

– Niewykluczone. Na pewno nie dotarliby tu bez niczyjej pomocy.

Oberon skulił się na blacie stołu, ledwo się na nim mieszcząc.

Gdy tylko przestał się ruszać, wszelkie objawy jego obecności natychmiast zniknęły.

Rzuciłem spojrzenie w stronę Fragaracha, który wciąż leżał pod ladą, i jeszcze dodatkowo go zakamuflowałem. Tak na wszelki wypadek.

Gdy gliny zebrały się do kupy i zaczęły iść w stronę drzwi, mnie opadło przecucie, że być może, zanim przyjechali tu, zdążyli już złożyć mi wizytę w domu. A jeśli tak przypadkiem było, gdzie, do cholery, podziewali się moi prawnicy?

Rozległ się głośny klakson, wyraźnie żądając uwagi wszystkich obecnych, i tuż za Faglesem zatrzymało się z cichym warkotem bmw Z4, niebieski metalik. Z środka wyskoczył jak na zawołanie Hal Hauk.

– Przepraszam pana uprzejmie, czy mam przyjemność z detektywem Faglesem? – spytał Hal, który znalazł się przed detektywem być może nieco szybciej, niżby się tego można było spodziewać po zwykłym człowieku. Inni policjanci też to chyba zauważyli, bo atmosfera zrobiła się napięta, a kilka dłoni powędrowało w stronę kabur.

– Jestem w trakcie oficjalnych działań policyjnych, proszę pana. Z drogi – rozkazał Fagles, ale bynajmniej nie zbił tym Hala z pantafelów.

– Jeśli działania te dotyczyć mają księgarni Trzecie Oko lub jej właściciela, to jestem nie bezpośrednio zaangażowany – wyjaśnił. – Jestem prawnikiem pana Atticusa O'Sullivanana.

– Jest pan jego prawnikiem? To kim był ten facet w jego domu?

– Moim współpracownikiem. Dzwonił już do mnie z informacją, że przeszukanie domu pana O'Sullivanana nie odbyło się w pełni zgodnie z prawem, i zapewniam pana, że złożymy zażalenie, a być może nawet wytoczymy wam sprawę.

Tym zwrócił ich uwagę. Wszyscy wbili wzrok w Hala, a Fagles wycedził przez zęby:

– Mamy nakaz podpisany przez sędziego z sądu w Tempe. – Zamachał nim przed nosem Halowi. – Przeszukanie domu pana O'Sullivanana było w pełni legalne.

– Z tego, co mi wiadomo, posiadany przez panów nakaz dotyczy poszukiwania wilczarza irlandzkiego lub innego podobnego psa i niczego poza tym. Czy mam rację, panie detektywie?

Fagles nie chciał odpowiedzieć zwykłym „tak”, więc starając się nadać swemu głosowi wyzywający ton, oświadczył:

– To właśnie jest treścią naszego nakazu.

– Wilczarze irlandzkie to bardzo duże psy, proszę pana. Widziałem psa, którego panowie szukają, zanim jeszcze uciekł, i mogę pana zapewnić, że ważył mniej więcej tyle co pan. Z czego wynika, że zwierzę tych rozmiarów nie może z pewnością schować się w szufladzie, komodzie, kredensie czy pod doniczką z bazylią. A jednak przeszukaliście panowie wszystkie wymienione przeze mnie miejsca, co jest oczywistym pogwałceniem praw cywilnych mego klienta.

To mi wystarczyło. Teraz miałem już pewność, że szukają czegoś więcej niż mojego psa. Aenghus Óg nasłał na mnie gliniarzy, żeby znaleźli Fragaracha. A oni przy okazji zniszczyli moją bazylię w kuchni, a przynajmniej miałem nadzieję, że tylko to. Jeśli bowiem dobrali się do całego mojego ogródka ziołowego, który przecież zakamuflowałem, to Oberon będzie musiał zaraz ratować się ucieczką.

– Nic takiego nie zrobiliśmy – wyparł się Fagles.

– Mój współnik zaświadczy, że owszem, zrobiliście.

– My zaświadczymy, że do niczego podobnego nie doszło.

– Nagrał wasze procedury przeszukiwania na kamerce, którą ma w komórce.

Fagles ugryzł się w język.

– Panie... – zaczął w końcu.
– Jestem Hal Hauk.
– Wszystko mi jedno, jak pan się nazywa. Mamy sądowy nakaz przeszukania tego sklepu, więc proszę się odsunąć, bo pana aresztujemy.

– Odsunę się, detektywie Fagles, ale radzę panu nie stosować tu metod, na które pozwolili sobie panowie w domu mego klienta. Szukacie panowie dużego psa i niczego poza tym. Będę nagrywał postępowanie panów. Jeśli będziecie panowie zaglądać do miejsc, w których w żaden sposób nie zmieściłby się duży pies, proces, który wam wytoczymy, będzie o wiele, wiele dla panów gorszy.

– Dobra.

– Dobra, ja to wezmę – powiedział Hal.

Wyrwał Faglesowi nakaz z ponaddzwiękową szybkością i dopiero wtedy przesunął się na bok. Fagles był wściekły. Chciał pewnie walnąć go tym nakazem w pierś albo coś w tym stylu, żeby pokazać, kto tu rządzi, Hal jednak nie tylko pozbawił go tej możliwości, ale na dodatek sprawił, że Fagles wyszedł na głupca i niezdarę (bo też w porównaniu z Halem nim był). Trzeba Faglesowi przyznać, że nie miał biedaczek pojęcia, iż próbuje walczyć o dominację nie ze zwykłym facetem, lecz z wilkołakiem.

Zamiast pogłębiać jeszcze swoje upokorzenie jakimiś niepotrzebnymi słowami, Fagles ruszył naprzód, a za nim Jimenez i pozostali. Przed drzwiami zatrzymał się i przyjrzał się badawczo rozbitej szybie i szkła rozrzuconemu po podłodze. Spojrzał na mnie przez dziurę, nim przekroczył próg. Stałem po jego lewej stronie, za ladą, która była dobrze widoczna od strony wejścia.

– Co się tu stało, O'Sullivan? – spytał.

– Klient wyraził sprzeciw wobec moich procedur składania reklamacji.

– Jasne – mruknął Fagles, wchodząc do środka. Gdy tylko to zrobił, moje zaklęcia zabezpieczające wykazały, że ma na sobie jakieś magiczne sploty. Przyglądałem się jego aurze, gdy machał na innych, żeby wchodzili i zaczęli szukać, a po chwili uruchomiłem szkło faeryczne. Wokół czaszki Faglesa wiła się obręcz z zielonych splotów niby rzymski wieniec laurowy. To była główna metoda sprawowania nad nim kontroli, ale z tymi splotami powiązane były jeszcze bardzo cienkie niebieskie i czerwone nici. Nie byłbym w stanie przerwać zielonych splotów bez zerwania nici, a nie miałem pojęcia, czemu one służą, choć założyłem, że nie mają na celu nic dobrego. Mogły to być zabezpieczenia awaryjne albo rodzaj magicznej bomby pułapki, albo coś zupełnie niegroźnego zainstalowanego tam tylko po to, żebym stracił na to trochę czasu.

Wystarczył jeden rzut oka, by stwierdzić, że pozostali policjanci mieli wokół siebie jedynie zwykłe, ludzkie aury – wszystkie one aż drżały od wysokiego poziomu stresu i agresji, ale czego można się spodziewać po policjantach pouczanych przed chwilą przez złośliwego prawnika. Hal deptał im po piętach i obserwował czujnie, gdy rozeszli się po sklepie, co oznaczało, że mogę się spokojnie skoncentrować na Faglesie. Stał nadal przy drzwiach, utkwivszy wzrok w czymś, co zobaczył na półkach lady.

– Co to? – spytał, wytykając palec mniej więcej w moim kierunku.

– Co takiego?

– To – powiedział, zdejmując okulary przeciwsłoneczne i wskazując na coś uparcie – to mi wygląda na pochwę od miecza. Trzyma pan miecz pod ladą? – Wsunąwszy je do kieszeni koszuli, spojrział na mnie wyczekująco.

– Nie.

– Nie kłam pan, przecież widzę!

Dobra. To mi rozjaśniło wiele spraw. Skoro widział miecz pod ladą, ale nie widział Oberona, który siedział na samym widoku, to Aenghus dał mu bardzo wybiórczą zdolność. Fagles nie był w stanie przejrzeć kamuflażu, co z miejsca ukazałoby mu cel jego poszukiwań; zamiast tego Aenghus dał mu zdolność widzenia Fragaracha, który przecież miał być chroniony magiczną osłoną. Świetnie działała ona na Bresa, więc powinna i na Faglesa – tylko że on akurat wydawał się świetnie do niej dostrojony. Jak dostroić kogoś do przedmiotu chronionego osłoną? Nie jest to możliwe bez pomocy osoby, która rzuciła zaklęcie osłaniające. A zatem Radomily, przywódczyni Sióstr Trzech Zórz. Fagles był żywym dowodem na to, że wiemy sprzymierzyły się z Aenghusem Ógiem przeciwko mnie.

– Czy to pies, panie detektywie? – spytał Hal, w okamgnieniu porzucając nadzorowanie Jimeneza, by stanąć przed Faglesem. Zatrzymał się o kilka kroków przed nim, ale na tyle daleko, że nie był w stanie dojrzeć, na co Fagles w ogóle patrzy. – Bo jeśli nie jest to pies, to nie pana sprawa, co tam leży.

Detektyw po prostu go zignorował i zwrócił się bezpośrednio do mnie:

– Ukrywa pan bardzo niebezpieczną broń, a trzeba mieć zezwolenie na noszenie broni ukrytej CCW. Jest pan w posiadaniu takiego zezwolenia?

– Nic nie mów – warknął Hal i wskazał Faglesowi swoją komórkę. – Nagrywam to, panie detektywie. Zgodnie z ustawą Arizona Revised Statute 13-3102, podpunkt G, zezwolenia nie wymaga się w wypadku broni noszonej w kaburze, widocznej w pełni lub częściowo, lub noszonej w pochwie albo futerale na broń, widocznych w pełni lub częściowo.

Ha! I właśnie dlatego płacę mu 350 dolarów za godzinę. Tak po prostu zacytować cały paragraf z ustawy, nie pomijając nic z jej zabójczej dla duszy składni zdania? Po prostu druidzko.

– Nie jest to broń ukryta – ciągnął Hal – ani nie jest to pies, na którego szukanie mają panowie zezwolenie.

Wyłączyłem się kompletnie z tej rozmowy, pozwalając im się kłócić o to, czy pochwa sprawia, że broń na mojej półce jest ukryta czy nie, i skoncentrowałem się całkowicie na splotach otaczających nienagannie ufryzowaną czaszkę Faglesa. Coś mi mówiło, że to te niebieskie węzły odpowiadają za widzenie poprzez osłonę, a ona z kolei pozwalała mu przejrzeć kamuflaż, gdybym więc tylko rozplótł odpowiedni węzeł, problem miecza po prostu by zniknął, w dosłownym tego słowa znaczeniu. Sęk w tym, że ruszenie niebieskich splotów prawie na pewno prowadziło do zerwania przy okazji tych czerwonych, a choć doceniałem mistrzostwo, z jakim były splecione, wciąż nie byłem w stanie określić, co dokładnie Aenghus w nie wetknął. Być może Morrigan czy Brighid mogłyby powiedzieć od razu, czym są te węzły i jak sobie z nimi bezpiecznie poradzić, ale ja umiałem tylko stwierdzić na pewno jedno: była to jakaś cholernie złośliwa magia. Jeśli jej tknę, stracę mnóstwo czasu, a ona i tak może „wybuchnąć” pod wpływem moich manipulacji. Przecież i tak będę jeszcze musiał rozwiązać ten niebieski węzeł, bo nie ulegało wątpliwości, że Fagles się nie podda, póki nie spróbuje mi odebrać miecza. Aenghus po prostu by mu na to nie pozwolił. A te zielone plecionki?

Każdy mój, nawet najmniejszy, ruch równałby się otwartej bitwie magicznej z Aenghusem Ógiem o kontrolę nad Faglesem, a podczas takiej walki Aenghus mógłby się dowiedzieć o wiele za dużo na temat moich umiejętności, a ja naprawdę wolałem nie odsłaniać tylu kart, przynajmniej nie teraz.

Nie pozostawało mi zatem nic innego, jak przeprowadzić próbę ognia dla moich zabezpieczeń i splotów w sklepie. Postanowiłem uruchomić wszystkie tłumiki magii, jakie tylko miałem na miejscu, po czym rzucić się na te niebieskie węzły, a czerwonym pozwolić robić, co im się żywnie podoba i niech się dzieje wola nieba. Była to jedna z tych decyzji, które podejmuje się tylko wtedy, gdy we krwi bulgocze o wiele za dużo testosteronu lub gdy zostało się

wychowanym w kulturze przedkładającej brawurę nad rozsądek, takiej jak epoka żelaza na przykład.

Niebieskie sploty okazały się absurdalnie delikatne – pękły natychmiast, gdy tylko lekko je mentalnie pociągnąłem. Razem z nimi trzasnęły od razu te czerwone – a więc pułapka, i to być może śmiertelna. Poczułem mocne pchnięcie w twarz, jakby ktoś trzepnął mnie z całych sił poduszką, i zobaczyłem, że głowa Hala leci nagle do tyłu. Przewrócił się i aż warknął z zaskoczenia. Fagles wrzasnął i chwycił się za głowę, a gdy Hal dochodził do siebie (czerwony na gębie, oczy zachodzące żółtą mgłą, a jego wilk tuż pod powierzchnią), Fagles wpadł w amok i natarł na mnie z pistoletem.

– Ręce do góry! – ryknął, co oczywiście sprawiło, że wszyscy pozostali gliniarze rzucili się w naszą stronę. Na czele biegł Jimenez i też już wyciągał broń. Podniosłem ręce, zachodząc głowę, co by się stało, gdybym nie uruchomił najpierw sklepowych tłumików magii. Hal mógłby chyba stracić głowę. I tak nieźle oberwał. Mnie uderzyło ze znacznie mniejszą mocą, czyli mój naszyjnik nieźle się sprawował. Fagles najwyraźniej reagował natomiast na jakieś magiczne sygnały, a pozostali gliniarze nic nie poczuli i teraz chyba tylko starali się jakoś wesprzeć Faglesa, choć nie mieli pojęcia, co się działo.

<Co jest grane?> spytał Oberon.

Spokojnie. Nie ruszaj się – rozkazałem mu tylko.

– Halo, panie detektywie, takie zachowanie jest zupełnie niepotrzebne. Celuje pan w bezbronno człowieka, który w żaden sposób nie utrudnia panu śledztwa! – wykrzyknął Hal, sapiąc lekko.

– Gówna prawda! Rzucił się na mnie! – syknął Fagles.

– Co takiego? To jakaś wierutna bzdura, panie władzo. Przez cały ten czas stał spokojnie ponad pięć stóp od pana!

– Właśnie uderzył mnie w głowę!

<Moim zdaniem facet sobie na to w pełni zasłużył, Atticusie>.

Cicho. Wcale go nie uderzyłem.

– Z całą pewnością mój klient pana nie uderzył, a jeśli pan chce dowodu, mamy zawsze nagranie z kamery! – ryknął Hal i wskazał na moją kamerkę przemysłową. Wszystkie oczy zwróciły się tam, gdzie wskazywał jego palec, i ujrzały, że rzeczywiście kamera z pewnością udowodni nam naocznie, czy uderzyłem detektywa. Fagles wyczuł w głosie Hala pewność, ujrzał zwątpienie na twarzach kolegów i niemal zaczął tupać ze złości, krzycząc:

– Ale przecież coś mnie uderzyło w głowę! Przecież, do diabła, sam się nie uderzyłem, nie?!

– Mnie także coś uderzyło, panie detektywie, ale nie był to mój klient, więc nie ma powodu celować w niego tym pistoletem. Proszę się uspokoić.

– Chcę wiedzieć, co mnie, do cholery, uderzyło! – upierał się Fagles. – Co jest?! Gdzie się podział miecz? Nie ma go, u licha!

Owszem, był nadal w tym samym miejscu, ale on nie widział go już, bo przerwałem niebieskie sploty. Kamuflaż wreszcie zaczął na niego działać.

– Jaki miecz? – spytałem, zgrywając głupka.

– Miecz, o którym mówiliśmy! – dał się Fagles. – Ten, który leżał na półce! – Bezsilnie wskazywał na miejsce, gdzie nadal leżał sobie mój miecz, teraz bezpiecznie ukryty przed jego wzrokiem.

<Ale wesoło> stwierdził Oberon. <Ale go szlag trafił. Gdybym miał jakąś kielbaskę, tobym ci ją dał w nagrodę>.

– Widział go pan przecież! – zarzucił detektyw Halowi, popatrując na pozostałych

gliniarzy, którzy wbili w niego wzrok pełen narastającej niepewności.

– Jakże miałbym go zobaczyć, panie detektywie? Stoję przecież po drugiej stronie lady – słusznie zwrócił mu uwagę Hal, uosobienie rozsądku i życzliwości.

– Ale przecież klócił się pan ze mną o ten miecz!

– Tak, płacą mi za klócenie się o takie rzeczy. Ale nigdy nie widziałem miecza, o którym pan mówił. Protestowałem jedynie przed odbieraniem memu klientowi czegokolwiek, co nie zostało opisane w nakazie. A skoro już o nakazie mowa, czy znaleźli panowie psa?

Detektyw Jimenez westchnął i odłożył pistolet, a pozostali gliniarze odetchnęli z ulgą – prócz Faglesa. Odniosłem wrażenie, że wszyscy oni są już nieco zawstydzeni jego zachowaniem.

– Wciąż nie wiem, kto mnie uderzył, i żądam natychmiastowej odpowiedzi! – awanturował się, zادیornie wysuwając brodę.

– Wydaje mi się, że był to po prostu jakiś taki dziwny powiew wiatru – rzekł Hal. – Wszystko przez tę zbitą szybę w drzwiach. Też to czułem.

W tym momencie detektyw Jimenez uznał, że sprawy zaszły za daleko.

– Nie ma tu tego psa, Fagles – powiedział. – Chodźmy już, odłóż broń.

Fagles zazgrzytał zębami z frustracji, a zielony wieniec wokół jego głowy rozbłysł złowieszczo. I wtedy właśnie detektyw strzelił.

Rozdział 16

Znacie ten motyw, że tuż przed śmiercią przelatuje człowiekowi całe życie przed oczami? No więc, jeśli się żyło, dajmy na to, ponad dwa tysiące lat, to trochę to zajmuje, nim nieświadomość ma czas złożyć z tych wspomnień jakąś przyzwoitą retrospektywę. Pewnie porządnie się przywiesi, jak ma w zwyczaju mój mac, gdy każę mu zrobić za dużo rzeczy naraz. Lecz nie była to pierwsza moja myśl, gdy padłem na ziemię z dziurą w klatce piersiowej; była to myśl druga.

Pierwsza moja myśl brzmiała: „O! Nie! Postrzelili mnie!”, bo wróciły do mnie nieśmiertelne słowa złotego droida protokolarnego, które padły, gdy został on spektakularnie postrzelony laserem w Mieście w Chmurach.

Gdy tak czekałem, aż najważniejsze fragmenty mego żywota pojawią mi się przed oczyma niczym na rozdaniu Oscarów, w moim sklepie kilka osób wpadło w spore zdenerwowanie.

Wszyscy gliniarze, z Jimenezem na czele, z powrotem wyciągnęli spluwy i wymierzili je w Faglesa, wrzeszcząc na niego, że ma rzucić broń. A na dodatek Oberon chciał mu skoczyć do gardła.

<ATTICUS!>.

Wszystko w porządku, chłopie. Tylko się nie ruszaj. Nic mi nie będzie.

Biedny Fagles. Gdy tak patrzyłem na niego z podłogi, na moich oczach rozplynęły się w powietrzu zielone sploty wokół jego głowy. Odzyskał nagle pełną przytomność umysłu i dotarło do niego, że stoi nade mną z dymiącym jeszcze pistoletem w dłoni, a pięciu gliniarzy mierzy w niego spluwami.

Cienkim i drżącym głosem wybąkał tylko:

- To nie ja.
- Rzuć broń, Fagles! – rozkazał mu Jimenez, ale Fagles jakby go nie słyszał.
- Słyszałem w głowie jakiś głos. To on kazał mi to zrobić. Chodziło mu o miecz.
- Nie ma tu żadnego miecza! – odezwał się Hal. – Jest tylko mój bezbronny klient, który wykrwawia się właśnie na podłodze!

To mi przypomniało o moim stanie i o tym, jak cholernie mnie wszystko boli. No, dzięki, Hal. Krwawiłem całkiem imponująco i miałem dziurę w lewym płucu, które dość szybko zapełniało się krwią. Sięgnąłem po moc, żeby zacząć się jakoś uzdrawiać... i okazało się, że nie mam nic. Zużyłem wszystko, co przechowywałem w moim niedźwiedzim uroku, na kamuflaż i te sploty Aenghusa. Musiałem za wszelką cenę wydostać się stąd jakoś i dotknąć ziemi, ale Fagles nadal tkwił nade mną, a gliniarze nadal przekonywali go, żeby rzucił broń. Nikt nie pomyślał o karetkę, bo wszyscy zajęci byli uzbrojonym gliniarzem, któremu trochę odbiło. No świetnie.

- Ale to nie ja strzeliłem. To nie ja – łkał Fagles. – Nic nie rozumiecie.
- Mamy nagranie z kamery i sześciu świadków, którzy widzieli, jak nacisnąłeś spust, mierząc w bezbronnego człowieka w żaden sposób nie utrudniającego nam śledztwa – powiedział Jimenez. – Sam wiesz, co to oznacza. Rzuć broń, Fagles.

Po policzkach Faglesa zaczęły płynąć łzy, a broda trzęsła mu się niemiłosiernie.

– Nie mam pojęcia, jak to się stało – wybąkał. – Nigdy nie zrobiłbym przecież czegoś takiego.

– Wszyscy widzieliśmy, że owszem, zrobiłeś – zwrócił mu uwagę Jimenez. – Ostatnie ostrzeżenie, Fagles. Rzuć broń, bo będziemy zmuszeni cię zastrzelić.

Ta otwarta groźba wyrwała Faglesa z nastroju na użalanie się nad sobą.

– A więc chcecie mnie zastrzelić, tak? – syknął z szyderczym uśmiechem i wtedy już zupełnie mu odbiło. – Lepsze to niż więzienie! A jeszcze lepiej, jeśli zabiorę was ze sobą!

– Fagles! Nie...

I zrobił się nagle straszny hałas. Zwierzęcy niemal ryk Faglesa w proteście przeciwko niesprawiedliwości, której nikt nie rozumiał; jego nagła próba podniesienia broni; potem pięć strzałów z pięciu pistoletów. Rażony ich siłą Fagles wyleciał za drzwi, a wszyscy gliniarze zakłęli na czym świat stoi. Aż za dobrze wiedzieli, że czekają ich teraz długie dni siedzenia na dupie i czekania na dochodzenie w śliskiej sprawie zabitego policjanta.

– Niech ktoś zawoła jakąś karetkę i kilka radiowozów, żeby zablokowały ulicę – zakomenderował Jimenez. – Aha, i będziemy potrzebowali tego nagrania z kamery.

Hal podbiegł wreszcie do mnie i przykucnął, żeby sprawdzić, jak się czuję.

– Muszę się stąd wydostać i pobrać trochę mocy – szepnąłem. – Mam krew w płucach – Wykaszałem mu jej trochę dla podkreślenia moich słów.

– Co z nim? – spytał Jimenez, zaglądając Halowi przez ramię.

– Proszę pomóc mi go wynieść na świeże powietrze – powiedział Hal, ale detektyw cofnął się jak oparzony.

– Co pan? Trzeba poczekać na karetkę. Nic nie wolno nam robić.

– Dobra, jak pan sobie chce. Sam go wyniosę – oświadczył Hal. Włożył mi jedną rękę pod plecy, a drugą pod kolana i podniósł mnie bez wysiłku, jakbym ważył nie więcej niż przeciętna włoska modelka. Wypchaj się, głupi gliniarzu. Na co mi twoja pomoc, jeśli mam wilkołaka do dyspozycji.

– Panie, jeśli on umrze, to będzie pana wina!

– Jeśli umrze, może mnie pozwać – powiedział Hal. – Z drogi.

Przeszedł przez wybitą szybę w drzwiach, zrobił krok ponad ciałem detektywa Faglesa i położył mnie na znanym mi już aż za dobrze kawałku trawy przed sklepem. Odetchnąłem z ulgą i natychmiast zacząłem pobierać moc ziemi. Powoli zamykałem ranę po ranie. Między jednym a drugim kasznięciem pełnym krwi zacząłem szeptać tak cicho, że tylko Hal był w stanie mnie usłyszeć.

– Muszę mieć przy sobie ten miecz. Jest niewidzialny, ale możesz go wyczuć na półce. Przynieś mi go. I upewnij się, że ktoś posprząta tu po mnie całą tę krew. Trzeba dokładnie wszystko wymyć i zdezynfekować, żeby nie została ani kropla. Twoje ciuchy też.

Hal spojrział w dół i dopiero teraz zauważył, że cały jest powalany krwią.

– Ten garnitur kosztował trzy tysiące dolarów.

– Dopisz mi do rachunku. I trzeba jeszcze naprawić drzwi i zająć się Oberonem.

– A, tak mi się właśnie zdawało, że czuć psem – przyznał Hal.

Kiwnąłem głową.

– Jest w sklepie. Zakamuflowany tak jak miecz. Powiem mu, żeby wskoczył do twojej gabloty.

– Dobra, zaraz otworzę drzwiczki i tak je zostawię. Ale powiedz mu z łaski swojej, żeby uważał na skórzane siedzenia.

– Sybaryta – syknąłem.

– Asceta – odciął się i wstał, żeby otworzyć drzwiczki do samochodu.

Usłyszawszy syreny niczym miejskie imitacje bean sidhe, pobrałem całą moc, jaką zdołałem, by przyspieszyć samouzdrawianie. W tym czasie myślami odnalazłem Oberona.

Dobra, przyjacielu, leczę się tu i wszystko jest w porządku, ale weźmą mnie na chwilę do szpitala, więc musisz pojechać dziś z Halem. Powinienem wrócić już jutro.

<Ale po co w ogóle tam jedziesz?>.

Mam trochę płynu w płucach i nie dam rady się tego sam pozbyć. Hal otworzył ci drzwiczki do swojego samochodu. Postaraj się wyjść ze sklepu jak najciszej i uważaj, żeby nie wdepnąć w krew na podłodze, bo będziesz zostawiał czerwone ślady. Tuż za drzwiami, na prawo, leży trup, więc bądź ostrożny.

<Przy drzwiach kręci się masa ludzi>.

Będzie ich więcej i to zaraz. Im dłużej będziesz zwlekał, tym trudniej będzie ci się wymknąć. Jestem na zewnątrz, na ziemi, na prawo.

<Czekaj!>.

Co się stało?

<Czy my mówimy o tym małym samochodziku-zabawce Hala?>.

Tak, ale to niezwykle droga zabawka. Masz bardzo uważać na skórzane siedzenia.

<Czyli mam zrobić jakiś dziki slalom ninja między glinami, przefrunąć nad potrzaskanym szkłem (pamiętasz, że tu jest mnóstwo szkła, tak?), wyminąć jakoś całe kałuże krwi i bezszelestnie wskoczyć do tego rachitycznego samochodziku bez zbędnego witania się z tapicerką?>.

Świetnie to podsumowałeś. No już, streszczaj się.

<Nie tak szybko. Obiecuj, że mnie umówisz na randkę z jakąś francuską pudlicą>.

Nie mówisz poważnie. Szantażujesz mnie w takiej chwili? Postrzelili mnie, pluję krwią, a ty domagasz się jakiejś laski?

<No, dobra, dobra. Ale wiesz dobrze, że sobie na nią zasłużyłem. Byłem bardzo dobrym pieskiem>.

I wtedy właśnie przed sklepem pojawił się Perry, który ponad godzinę temu umknął przed czerwonym wzrokiem Morrigan.

– Ja pierdolę, szefie! – zawołał. – Jeden pieprzony ptaszek zdołał narobić takiego bajzlu?

Rozdział 17

Przywołałem Perry'ego do siebie.

– Wszystko ci potem wytłumaczę – powiedziałem, gdy przykucnął przy mnie na trawie. – Ptak to był tylko początek. Ale słuchaj... – Urwałem, żeby odkaslnąć trochę krwi.

– Ja, cholera, wiedziałem, że ten ptak to zły znak. Sorry, chłopie, powinienem być zostać i ci z nim pomóc.

– W ogóle sobie tym nie zaprzątaj głowy. Ale możesz mi teraz pomóc. Zajmuj się sklepem, dopóki nie przyjedzie facet od drzwi. Kiedy już je naprawi, idź do domu, ale otwórz jutro z samego rana i zaparz Ziołową Porażkę... saszetki są już gotowe... wiesz, o której herbatce mówię? O tej, o którą zawsze proszą te laski z college'u, jak chcą się pozbyć jakiegoś faceta.

Perry pokiwał głową, że wie, i uśmiechnął się ponuro.

– To dobrze. Podaj ją niejakej Emily. Nic jej nie mów, co tu się dzisiaj stało ani gdzie jestem, ani nic w ogóle, jasne? Choćby nawet cię tylko spytała o pogodę za oknem, to masz odpowiedzieć, że nie wiesz, i wzruszyć ramionami, tak?

– Kumam, szefie, kumam.

– I tak samo z każdym, kto cię o cokolwiek spyta. Mówisz tylko, że wrócę za kilka dni. Jeśli nie będziesz pewien, jak zrobić komuś jakąś herbatę, to jej po prostu nie rób. Tylko przeproś grzecznie i powiedz, że wrócę wkrótce.

– A to prawda?

Usiłowałem się roześmiać, ale zamiast tego zaniosłem się kaszlem.

– Co prawda? Że wrócę? No, mam taką nadzieję.

– A nie zatrzymają cię w szpitalu na całe tygodnie? Bo ja tam się nie znam, ale to w koszuli to wygląda jak dziura po kuli.

– Jak powiedział kiedyś Czarny Rycerz, „to powierzchowna rana”.

– „Czarny Rycerz zawsze zwycięża!” – Perry od razu się rozchmurzył.

Monty Python działa bezbłędnie na takich nerdów jak Perry. Jak już raz zaczną go cytować, to fizycznie nie są zdolni do odczuwania przygnębienia.

– Sam widzisz. Ale byłbym znacznie spokojniejszy, gdybyś zajął się tym wszystkim, Perry. Aha, jeśli facet o imieniu Hal każe ci coś zrobić, rób to tak, jakbym to był ja sam, rozumiesz? To mój prawnik. O wilku mowa, a wilk tuż. Oto i on.

Hal wrócił ze sklepu z niewidzialnym Fragarachem w lewej dłoni. Uklęknął po mojej drugiej stronie, niby to podpierając się lewą ręką, a tak naprawdę kładąc miecz na trawie przy moim boku, po czym bardzo szybko wyciągnął do Perry'ego prawą dłoń, żeby odwrócić jego uwagę.

– Hal Hauk. Miło mi – powiedział.

– Perry Thomas – odpowiedział Perry, ściskając mu dłoń. – Pracuję dla Atticusa.

– Świetnie. No to chodźmy do środka. Pomogę ci jakoś wyminąć wszystkich tych policjantów. Zaraz wracam – zwrócił się do mnie.

Wstali i zostawili mnie samego, a ja wykorzystałem tę chwilę, żeby sprawdzić, co z Oberonem.

Gdzie jesteś?

<A jak myślisz? Jestem najlepszym ninją wśród wszystkich wilczarzy świata. Ale ta gablota to jest kompletna porażka. Od tego cytrusowego odświeżacza powietrza rzygać się chce. Czy ty wiesz, kiedy on ma urodziny? Może kupmy mu jakiś taki, co by pachniał stekiem albo

kielbaskami, co?>.

Nie wiem, czy w ogóle produkują odświeżacze o takich zapachach, Oberon.

<Dlaczego mieliby nie produkować? Moim zdaniem sprzedawałyby się jak ciasteczka z wątróbką, szczególnie kupowałyby je wilkołaki, które próbują sobie coś kompensować modnymi sportowymi samochodami>.

Oj, przestań. Nie rozśmieszaj mnie, bo boli!

Podrapawszy Oberona mentalnie po głowie, znów skupiłem się na Fragarachu. Zdjąłem z niego kamuflaż, nim przyjechała karetka, bo nie chciałem, żeby ktoś się na niego niechcący nadział i wpadł w panikę. Potem nałożyłem na pochwę splot uniemożliwiający zabranie go ode mnie dalej niż pięć stóp. Zamierzałem zrobić to jeszcze w sklepie, na wypadek gdyby Faglesowi udało się go jednak dorwać, ale rzucenie splotu zajmuje znacznie więcej czasu niż wyczarowanie prostego kamuflażu, a na dodatek potrzeba do tego więcej energii, ja zaś nie miałem jej wtedy zbyt wiele.

Jimenez wyszedł na spotkanie paramedycy i wskazał im, gdzie leżę. Hał też wyszedł i polecił im mnie zawieźć do Scottsdale Memorial Hospital, gdzie będzie mnie operował mój osobisty lekarz.

Tak naprawdę nie miałem żadnego osobistego lekarza, ale Wataha miała. Dr Snorri Jodursson sam należał do stada, toteż był dosłownie rozchwytywany przez paranormalną społeczność w okolicy. Nie dziwiło go na przykład ekspresowe zdrowienie, a w mieście mówiło się o nim jako o niezwykle szybkim chirurgu i sprawnym kręgarzu. Chętnie załatwiał też wszystko pod ladą i miał do dyspozycji cały zespół medyczny, który za nieprzyzwoite ilości gotówki był gotów pracować na boku. Spotkałem go kilka razy, gdy biegałem sobie z Watahą (był chyba szósty czy siódmy w hierarchii), ale nigdy dotąd nie miałem powodu, by spotykać się z nim jako lekarzem.

Żeby wyjaśnić, dlaczego ludzie tacy jak ja potrzebują ludzi takich jak Snorri, przytoczę tu dialog, jaki się wywiązał, gdy podeszli do mnie paramedycy:

– Wydawało mi się, że został pan postrzelony – powiedział jeden z nich.

– Bo byłem. Mam płyn w płucach – wycharczałem. – Mój stan jest stabilny, ale musi zobaczyć mnie mój lekarz.

– Ale gdzie się podziała dziura po kuli?

Cholera. Tak się spieszyłem, żeby zapobiec infekcji, że chyba trochę za szybko pozwoliłem zarosnąć skórze na piersi. Wciąż na pewno była w tym miejscu wściekle czerwona, ale chyba rzeczywiście nie widać już tam było żadnej otwartej rany. Cały wysiłek włożyłem w zamknięcie rany w skórze i płucach, więc tkanka mięśniowa wciąż była dość pokiereszowana i potrzebowała trochę czasu, żeby się zaleczyć. Zresztą skóra i płuca także potrzebowały jeszcze czasu, żeby się wzmocnić.

– Yyy, to była gumowa kula. Uderzyła mnie tutaj i spowodowała wewnętrzny krwotok – powiedziałem.

– Detektywi nie używają gumowych kul. A nawet gdyby używali, to od wewnętrznego krwotoku nie miałby pan zalanych płuc.

– Słuchaj, koleś. Zapakuj mnie na nosze i zawieź do lekarza. Już on będzie wiedział co i jak. – Miałem tego dość. Zrobiłem tu, co miałem zrobić, nawet zdążyłem zatankować mój charms w kształcie niedźwiedzia. Teraz potrzebowałem już tylko chirurga i trochę czasu.

– Chce mi pan wmówić, że pańska rana po kuli tak szybko się zagoiła?

– Chcę ci powiedzieć, chłopie, żebyś mi założył tę swoją maskę tlenową i zabrał stąd w cholere. A, i ten miecz jedzie ze mną. – Poklepałem Fragaracha. – Nie rozstaję się z nim.

– Co takiego? Nie możemy przewozić w ambulansie żadnej broni.

– Jest w pochwie, a ma dla mnie niezwykłą wartość. Spójrz na mój sklep. – Wskazałem mu pobitą szybę. – Przecież tu go nie mogę zostawić.

Hal, który dotąd stał z boku i w milczeniu przyglądał się rozwojowi wypadków, teraz wyrósł nagle za tym męczącym facetem.

– Czy odmawia pan przewiezienia mego klienta do szpitala? Przypomnę, że mamy do czynienia z nagłym wypadkiem.

– Nie – odrzekł paramedyk, mrużąc oczy, żeby się mu lepiej przyjrzeć. – Odmawiam przewiezienia jego broni.

– Ma pan na myśli to bezcenne dzieło sztuki celtyckiej? To nie broń, proszę pana. To rodzinna pamiątka o niezwykłej wartości sentymentalnej. Trauma wywołana rozłąką z nią byłaby gorsza w skutkach niż fizyczny ból, który odczuwa mój klient w tej chwili. Swoją drogą, jak widzę, nic pan z tym bólem nie zrobił, choć stoi pan już nad nim dobrą chwilę.

Paramedyk zacisnął szczękę i zrobił wściekły wydech przez nos, a gdy odwracał się do mnie, mruknął pod nosem:

– Prawnicy, kurna.

Pewnie mu się zdawało, że Hal nie usłyszy. Szkopuł w tym, że wilkołaki zwykle takie właśnie rzeczy słyszą najlepiej.

– Ma pan całkowitą rację. Jestem, kurna, prawnikiem i wytoczę panu sprawę, jeśli nie zawiezie pan mojego klienta do Scottsdale Memorial i to, kurna, w tej chwili!

– Dobra, dobra! – burknął paramedyk, który najwyraźniej słabo znosił prawników i ich pogróżki. Razem z partnerem przełożył mnie na nosze i już po chwili zapakowali mnie wraz z Fragarachem do karetki.

Jimenez i pozostali gliniarze tak byli zajęci panikowaniem na temat tego, co robi prasa, gdy odkryje, że detektyw z Phoenix został zastrzelony przez detektywa z Tempe, że zupełnie nie zauważyli, iż miecz, o który tak się awanturował Fagles, naprawdę istnieje.

– Wpadnę do ciebie do szpitala – obiecał Hal i pomachał mi na pożegnanie. – Snorri świetnie się tobą zajmie. Już go uprzedziłem. Aha, i nie przejmuj się tymi typkami – dodał, wskazując ruchem głowy na paramedyków. – Leif wpadnie do nich dziś w nocy, więc nic nie będą pamiętać.

Ponieważ paramedycy założyli mi w końcu maskę tlenową, nie byłem w stanie nic na to odpowiedzieć, ograniczając się jedynie do słabego kiwnięcia głową.

<Wracaj szybko, Atticusie. Bez ciebie będę się tak strasznie nudził. Te wilkołaki w ogóle nie umieją ze mną gadać. I kamuflaż mnie tak okropnie swędzi.>

Myszę, że zobaczymy się jeszcze przed jutrzejszym lunchem – pocieszyłem Oberona.

<A będą kielbaski?>.

Tylko jeśli będziesz u Hala bardzo grzeczny.

<Trzymam cię za słowo> rzekł na pożegnanie Oberon, a jego mentalny głos zanikał powoli, bo karetka była coraz dalej.

Dobra, tylko bądź dobrym pieskiem – zawołałem mentalnie, mając nadzieję, że jeszcze mnie usłyszy.

Zawodząc rażno, pędziliśmy po Mill Avenue i niewątpliwie wywołaliśmy chwilową paranoję u kilku ćpunów wałęsających się przed Trippie Hippie. Ludzie, jak im dają w kość te syreny, to głowa mała.

Jazda karetką jest nudna i zarazem stresująca. Potrzebowałem jakiejś odmiany od obu tych przykrych stanów. Paramedyk postanowił się już do mnie nie odzywać, więc stwierdziłem, że mogę sobie na nim poużywać, skoro i tak Leif zrobi mu potem tę sztuczkę z pamięcią. Czy jako starożytny druid jestem ponad jakieś tam głupie żarty? Nie. One odejmują mi lat.

Posługując się mocą, którą dopiero co zgromadziłem w moim niedźwiedzim uroku, splotłem kilka naturalnych nici w elastycznej gumce z jego gaci z kilkoma włoskami na jego plecach, troszkę wyżej. Ale miał śmieszny minę. Takie dowcipy zawsze są fajne, ale najfajniejsze wtedy, kiedy się je robi takim zarozumiałcom jak on, co to wszystko zawsze wiedzą lepiej.

Tym razem jednak nie powinienem był tego robić, bo jego reakcja – dziewczęcy pisk, potem wysokooktanowe: „Aaa! Co jest, kurdesz?!“ i wreszcie nagła próba wstania, tak że obił sobie głowę o sufit karetki – rozśmieszyła mnie tak bardzo, że znów zacząłem kasłać i pluć krwią, aż zwijałem się z bólu.

Pewnie mi się należało. Zabrudziłem krwią maskę, więc musiałem poluzować te sploty na jego tyłku, żeby mógł ją zdjąć i udzielić mi pomocy.

Oczywiście nie wiedział, że to od śmiechu, więc biedaczek był przekonany, iż to jego błazeństwa doprowadziły do pogorszenia się mojego stanu, i bardzo się tym zamartwiał, gdy tylko odzyskał trochę miejsca w majtkach i był w stanie skupić się na czymkolwiek. W życiu się tak nie ubawiłem w ambulansie.

Gdy dotarliśmy wreszcie do szpitala, a jego partner podszedł do nas, żeby pomóc mu przenieść mnie na noszach, od razu zauważył, że mój dzielny paramedyk jest coś nadmiernie czerwony na gębie.

– Co się stało? – spytał.

– Trochę mu się pogorszyło podczas jazdy, ale jego stan jest już stabilny – odparł wymijająco mój opiekun i wystawił na ziemię nosze na kółkach. Po chwili już pchał mnie w stronę sterylnych drzwi oddziału nagłych wypadków.

– Ale co z tobą, stary? Wyglądasz jakoś nie najlepiej – dociekał jego partner.

– Nic mi nie jest – burknął mój dzielny paramedyk. – Nic się nie stało. Ja... aaa, Jezus Maria!

No, jak mogłem się powstrzymać, jeśli on kłamał jak z nut, nie? Poza tym ktoś powiedział chyba kiedyś, że śmiech jest najlepszym lekarstwem. Choć ktokolwiek to wymyślił, nie miał pewnie krwi w płucach.

Doktor Snorri Jodursson ujrzał mnie, gdy byłem w środku kolejnego ataku kaszlu. Miał wygląd czterdziestoparolatka, choć oczywiście był znacznie starszy, jak wszyscy członkowie Watahy z Tempe. Miał na sobie niebieski fartuch, podkreślający lodowaty błękit jego oczu, nad którymi marszczyły się jasne brwi. Wyrazisty nos i ostro zarysowana szczęka sprawiały, że wyglądał jak bóg piorunów, choć biorąc pod uwagę antypatię jego stada do Thora, pewnie nie byłby to najlepszy komplement. Trzy razy bym się zastanowił, nimbym mu to powiedział na głos. Jasne włosy miał przyczesane po bokach, ale na czubku głowy mierzwiły mu się i sterczały we wszystkie strony, co upodabniało go do tych dupków ze studenckich bractw (ale tego też bym mu raczej nie powiedział).

– Witaj, Atticusie, coś marnie dziś wyglądasz – powiedział, dotrzymując mi kroku, gdy moje nosze wjeżdżały właśnie w towarzystwie kilku pielęgniarek na salę przedoperacyjną. – Opowiadaj, co możesz, jeśli masz siłę.

– Czy mogę mówić wprost? – spytałem, wskazując wzrokiem pielęgniarki pchające moje nosze.

– O, tak, te panie należą do mojego zespołu – wyjaśnił Jodursson. – Zapewniają ci pełną dyskrecję, to jest, jeśli odpowiednio im zapłacisz.

– Aha. Mam krew w lewym płucu. Muszę się jej pozbyć – powiedziałem. – I w grę wchodzi tylko znieczulenie miejscowe. Nie mogę sobie pozwolić na utratę przytomności.

– Jeśli to wszystko, czego ci trzeba, to w ogóle nie musimy cię otwierać. Wepchniemy ci tylko rurkę przez gardło, wypompujemy płyny i magnezami wyciągniemy rurkę. Robimy to

ciągle pacjentom z zapaleniem płuc. I tak będzie trzeba cię znieczulić miejscowo, bo to boli jak diabli, ale będziesz cały czas przytomny. Może być?

– Wspaniale. Tylko wszystko to zapisz jako pomoc ambulatoryjną, bo musisz mnie zaraz potem wypuścić. Rachunek wystaw na Magnusson & Hauk, nie mam żadnego ubezpieczenia. W karcie pacjenta dopisz wszystkie te badania i co tam jeszcze byś zrobił normalnemu pacjentowi. Sam zresztą wiesz najlepiej. I pamiętaj wspomnieć o ranie postrzałowej i jak ją pięknie zaszyleś, bo tego przede wszystkim będą szukać gliny. Bez tego ani rusz.

– A usuwam tę kulę czy nie?

– Nie. Przeleciała przeze mnie na wylot i pewnie teraz jej szukają w moim sklepie.

– Ale jesteś pewien, że przeleciała między żebrami, tak? Nie muszę się martwić żadnymi zagubionymi w ciele odłamkami kości?

– Tak, na sto procent. Tylko zaraz utopię się we własnej krwi.

Wjechaliśmy do windy i zaczekaliśmy, aż zamkną się za nami drzwi.

– Co byś powiedział na szybki rentgen klatki piersiowej, tak na wszelki wypadek?

Gliniarze i tak będą chcieli go zobaczyć. To jakby standardowa procedura.

– Tylko że ja już załatałem dziury w płucu i rany z przodu i z tyłu, więc trochę to głupio będzie wyglądało.

Jodursson zrobił zagniewaną minę. Po raz pierwszy, odkąd go zobaczyłem zresztą, bo przedtem gawędził ze mną z uśmiechem na twarzy.

– Powiedziałbym, że zgrzeszyłeś pewną nadgorliwością.

– Weź pod uwagę, że skasujesz mnie na grube pieniądze za bandaże, z których nigdy nie skorzystam, więc w sumie jesteśmy kwita. Będziecie tylko musieli z całym zespołem nakłamać trochę, gdy już was wezwą na świadków.

Zadzwieczał dzwonek w windzie i drzwi otworzyły się, a pielęgniarki wypchnęły mnie na zatłoczony korytarz prowadzący na sale operacyjne.

– To zamierzasz pozwać tych gliniarzy? – spytał Jodursson.

– Jasne, dlaczego by nie? Ktoś przecież musi za to wszystko zapłacić i to na pewno nie będę ja.

– Masz jakieś dobre dowody?

– Tak dobre, jak tylko potrafi mieć Hal. Pięciu gliniarzy widziało, jak inny gliniarz we mnie strzelił, gdy stałem zupełnie spokojnie z rękoma do góry i niczemu się nie sprzeciwiałem. Mam to też nagrane na kamerce ze sklepu. Jeśli tylko napiszesz do tego dobrą bajeczkę o medycznym cudzie, to mam kasę jak w banku.

– Świetnie. To podbiję trochę ten twój rachunek.

– To właśnie przez takich jak ty system zdrowia wymaga natychmiastowych reform i dobrze o tym wiesz.

Jodurssonowi wrócił na twarz ten jego uśmieszek.

– No i jeszcze jest kwestia pieniędzy dla mojego zespołu za jego dyskrecję.

– Jasne, nie ma problemu. Szczególnie że ta sprawa dostanie się na pewno na pierwsze strony. Pismaki sobie nie odpuszczą. Po prostu daj znać Halowi ile, a już ja dopilnuję, żeby ci zapłacił.

– Czy musimy się bardzo spieszyć?

– Im szybciej mamy to z głowy, tym lepiej. Policja i prasa będzie tu raczej szybciej niż później, a ja chciałbym zniknąć, nim tu dotrą.

I tak Snorri Jodursson pozbył się mnie ze szpitala jeszcze przed zmierzchem, wypychając mnie na wózku bocznymi drzwiami i skutecznie omijając w ten sposób wszystkich tych, którzy czekali na mnie przed salą pooperacyjną.

Niestety nie udało nam się jednak ominąć tego, kto czekał na nas przed bocznymi drzwiami. Był to detektyw Carlos Jimenez. Wykazywał niepokojące objawy przytomności umysłu.

– Wygląda pan całkiem nieźle jak na kogoś, kogo postrzelili w klatkę – powiedział na powitanie.

– Dobry wieczór, panie detektywie. – Skinąłem mu głową. – W czym mogę panu pomóc?

– Potrzebuję pańskiego oświadczenia.

– Postrzelono mnie w Tempe. Pan jest z Phoenix. Oto moje oświadczenie.

– Tak, wiem, panie O'Sullivan, ale potrzebuję jeszcze pana wersji wydarzeń, żeby umieścić ją w moim raporcie. Zawsze jest bardzo dużo szczegółowych kontroli, gdy jakiś gliniarz zostaje postrzelony, a robi się już naprawdę koszmarnie, kiedy zostaje zastrzelony przez innych gliniarzy. Więc bądź pan tak dobry i złoż pan porządne oświadczenie.

– Dobra. Detektyw Fagles strzelił do mnie bez żadnego powodu, gdy ja trzymałem rękę do góry i nie wykonywałem żadnych niebezpiecznych ruchów ani nie wypowiadałem żadnych gróźb. Odważna akcja dzielnego detektywa Carlosa Jimeneza uratowała mnie przed odniesieniem większych obrażeń i prawdopodobnie ocaliła mi życie. Zamierzam pozwać policję w Tempe o milionowe odszkodowanie. Lepiej?

– Tak, tak. Dziękuję. A tak w ogóle to dokąd się pan tak spieszy?

– Może do nocnego klubu? Nic panu do tego. Doktorze, chodźmy. – Snorri zaczął pchać mnie dalej, a wtedy Jimenez zauważył coś, co było cały czas przewieszane przez oparcie mojego wózka.

– Czy to pochwa? A raczej, czy to miecz?

– Hola! Bo mam déjà vu – powiedziałem, machając na Snorriego, żeby nie przestawał pchać. – To naprawdę zabrzmiało dziwnie znajomo. Czy detektyw Fagles nie powiedział tego samego, gdy miał dziś szukać tego psa, co go nie mam?

– Jeżeli to jest ten miecz, o którym mówił detektyw Fagles, to usunął pan go z miejsca zbrodni – upierał się Jimenez, idąc szybko krok czy dwa za nami.

– Jeżeli to ten sam miecz, detektywie, że zwrócę panu uwagę na słowo „jeżeli”, bo przecież nikt nie widział tego wymyślanego miecza poza Faglesem, to i tak mam prawo go posiadać zarówno tu, jak i w sklepie. Dobrej nocy, panie władzo.

– Chwileczkę! – zawołał Jimenez. – Gdzie pana znajdę, gdybym potrzebował dodatkowych informacji?

– Już pan przecież wie, gdzie mieszkam i gdzie pracuję – powiedziałem.

– A zatem uda się pan teraz do domu?

Co za uparty gnojek.

– Coś panu powiem. Gdyby nie zastał mnie pan w domu ani w pracy, to zawsze może się pan ze mną skontaktować przez pana Hala Hauka, mego prawnika.

Zamierzałem wstać już w tym momencie z wózka i dalej pójść sobie piechotą na północ, w stronę Civic Center, ale Jimenez właśnie krzyżował mi zamiary. Zorientował się, że coś jest nie tak, gdy wyjechaliliśmy z parkingu i dotarliśmy do ulicy, a Snorri przestał pchać wózek.

– O, nikt po pana nie przyjechał? – spytał Jimenez.

– Dobrej nocy, panie władzo – powtórzyłem cierpliwie, ale on mnie zignorował i zwrócił się do Snorriego.

– Czy to oznacza, że pan O'Sullivan został już wypisany ze szpitala?

– Tak, na moją odpowiedzialność.

– A pan jest...?

– Doktor Snorri Jodursson.

– Co może mi pan powiedzieć o stanie tego pacjenta, panie doktorze?

– Nic panu nie mogę powiedzieć i dobrze pan o tym wie. Ale gdy tylko otrzymam porządny wniosek o wydanie informacji medycznych na temat tego przypadku, będzie pan mógł oczywiście przeczytać kartę pacjenta i moje notatki. A im szybciej zostawi mnie pan w spokoju, tym szybciej będę mógł się zająć papierkową robotą.

– Dobraliście się, szkoda słów – mruknął Jimenez, krzyżując ręce na piersi i prostując kolana. Nic już więcej nie powiedział, tylko stał tak i gapił się na nas. Utkwiłem wzrok w Scottsdale Stadium po drugiej stronie ulicy, ale wydaje mi się, że Snorri postanowił wytrzymać jego wzrok. Idę o zakład, że Jimenez przegrałby ten pojedynek – sami wiecie, jakie są wilkołaki – ale Snorri uznał widać, że to zwykła strata czasu, i zamiast tego odwołał się do metod prawniczych.

– Pan wybaczy, panie detektywie, ale muszę porozmawiać z moim pacjentem na osobności – oświadczył i dosłownie poczułem, jak zaczyna wysyłać te typowe dla wilkołaków złe fluidy, które niemal krzyczą: „Idź pan do diabła!”

Nie minęły dwie sekundy, a Jimenez spuścił wzrok i wybąkał:

– Oczywiście, panie doktorze. Dobrej nocy, panie doktorze. Dobrej nocy, panie O'Sullivan. Będę w kontakcie. – Nic nie odpowiedzieliśmy, a on ruszył chodnikiem na południe i przeszedł tak może ze dwadzieścia pięć metrów. Wtedy dopiero zatrzymał się, wyciągnął z marynarki paczkę papierosów i zaczął uderzać nią o dłoń. Potem obejrzał się w naszą stronę, gdy wkładał sobie jednego do ust i zapalał. Widać było, że postanowił jednak poczekać i zobaczyć, kto po mnie przyjedzie. Wkurzające.

– Snorri, popchnij mnie jeszcze trochę na północ, w kierunku parku w Civic Center – szepnąłem, wiedząc, że na pewno mnie usłyszysz, a on od razu posłuchał. – Teraz, gdy zakryłeś mnie przed nim, rzucę na siebie i na miecz kamuflaż – powiedziałem. – Potem wstanę, gdy jeszcze będziesz mnie pchał, i pójdę trochę z tobą. Nie sądzę, żeby zauważył coś tak po ciemku. Jak dotrzemy do rogu z Drugą, znikniemy mu na chwilę z oczu. Zaraz potem wrócisz, a jakby pytał, to za rogiem już czekał na mnie samochód.

– Dobra – szepnął. – Idzie za nami. I właśnie wyciągnął komórkę.

– Jesteś w stanie podsłuchać, z kim rozmawia?

– Czekaj. – Przez chwilę nie słyszałem nic poza stukotem kół wózka po chodniku. Potem Snorri powiedział cicho: – Poprosił policję ze Scottsdale, żeby wysłała samochód, który ma cię śledzić.

– Ha! Coś mi mówi, że chłopaki nie dotrą tu na czas. – Rzuciłem kamuflaż na siebie i na Fragaracha i poczułem, że moje zapasy energii spadają do poziomów Doliny Śmierci. Płaciłem teraz wysoką cenę za głupie żarty z paramedykami. Potem stanąłem zwinnie na podnóżku wózka i zeskoczyłem na chodnik tak, że Snorri mógł cały czas pchać wózek, jak gdyby nigdy nic. Spróbowałem też wziąć pierwszy głębszy oddech, odkąd mnie postrzelono, i odkryłem, że nie był to najlepszy pomysł.

– Nie oddychaj zbyt głęboko, póki wszystko się w pełni nie wyleczy – poradził mi Snorri, gdy jęknąłem cicho i złapałem się za szyję. – Znieczulenie powoli przestaje działać, a tkanki w gardle masz zupełnie przetarte i suche na wiór.

– Dzięki, że mnie uprzedziłeś – mruknąłem, przełykając coś w rodzaju roztopionego żwiru.

– Za coś w końcu mi płacisz te grube dolce – odparł lekko.

– À propos docłców – zaświszczałem – dobrze by było, żebyś podsunął ten swój raport Halowi pod nos, zanim go przekażesz gliniarzom. Tak tylko, żeby mieć pewność, że ma się to jako tako do tego, co się naprawdę stało.

– Tak zrobię.

Obejrzałem się przez ramię na wciąż śledzącego nas Jimeneza. Przyśpieszył kroku, gdy zobaczył, że zbliżamy się do zakrętu ulicy. Sięgnąłem po Fragaracha, zdjąłem go z oparcia wózka i zarzuciłem sobie na plecy.

– To ja sobie teraz pobiegnę do parku. Przekaż Halowi, że spotkam się z nim na lunchu w Rúli Búli jutro w południe i żeby wziął ze sobą Oberona.

– Dobra. Zdrowiej i staraj się niczym nie martwić. Już my się wszystkim zajmujemy.

– Dzięki, Snorri. Jesteś naprawdę wart każdego mojego miedziaka. – Skręciłem na prawo, przeszedłem przez opuszczoną zupełnie ulicę i dotarłem do szerokiego pasa zieleni zarośniętego starymi drzewkami oliwnymi, które nadawały Civic Center ten specyficzny charakter. Pobrawszy trochę energii z drzewa, tak by móc oddychać nieco swobodniej, choć nadal nie bez bólu, zostawiłem Snorriego i Jimeneza samym sobie, by mogli w spokoju grać w zajmującą grę *Gdzie jest druid?*, i podbiegłem ćwierć mili do Civic Center Plaza, sporego, porośniętego trawą terenu usianego starymi dębami i kilkoma posągami z brązu. Park ten był jak na mój gust może nieco nadmiernie dopieszczony, ale mimo wszystko stanowił wystarczająco duże źródło naturalnych mocy, by zaspokoić moje lecznicze potrzeby.

Wszedłem w trawę i zanurzyłem ręce w ziemi, by lepiej poznać tę tak starannie wypielęgnowaną ostoję spokoju współczesnych ludzi. Po pięciu minutach medytacji wiedziałem już, że w pobliżu jednego z dębów znajdę miejsce, po którym rzadko kto chodzi, więc udałem się tam, rozebrałem, złożyłem ubrania starannie i schowałem je wśród gałęzi, odczytałem wszystkie smsy (w tym dwa od Hala i jeden od Perry'ego, dzięki czemu wiedziałem już, że jak na razie wszystko jest pod kontrolą), a następnie wyłączyłem komórkę, żeby odciąć się od świata. Nagi i zakamuflowany ułożyłem się na prawym boku tak, żeby tatuaże miały jak największy kontakt z ziemią, a Fragaracha położyłem przed sobą, tuż przy brzuchu. Zarzuciłem na siebie kilka zaklęć i splotów zabezpieczających, a potem kazałem ciału skupić się na uzdrawianiu i odtruwaniu, sam zaś zapadłem w sen, nie przestając jednak pobierać mocy z obfitych (choć może nieco doprawionych chemikaliami) zapasów życiowej energii parku Civic Center.

Udało mi się przeżyć machinację Aenghusa Óga, ale kosztem życia Faglesa. Jeśli tak dalej pójdzie, Aengus zorientuje się, jakie mam zabezpieczenia, i (wybijając przy tym pewnie kilku kolejnych niewinnych ludzi) w końcu znajdzie jakiś sposób, żeby je pokonać, szczególnie skoro wspiera go cały sabat potężnych czarownic. Nadszedł więc czas, by zmienić trochę taktykę. Wybór był prosty: uciekać do wszystkich diabłów albo walczyć, choćby z diabłem.

Miałem już dość uciekania. Robiłem to nieprzerwanie od dwóch tysiącleci, a poza tym w sumie przysiągłem Brigid, że będę dla niej walczył z Aenghusem, więc właściwie wybór był pozorny. Poza tym pozostawała jeszcze sprawa zdrady Sióstr Trzech Zórz. Moje ego wzдрыgało się na myśl o tym, że banda polskich wiedźm, gówniar młodszych o całe wieki, może tak bezkarnie sobie ze mnie drwić.

Toteż nie pozostawało mi nic innego jak walczyć, choćby z diabłem. Jak dotąd udawało mi się pod względem rozterek przebić samego Hamleta. W głowie wciąż miałem echo słów słynnego Duńczyka: „Doprawdy, nie mogę tego pojąć, że aż dotąd mówię do siebie: trzeba to uczynić, i kończę na tym, kiedy mi do czynu nie brak powodów, woli, sił i środków”. Hamlet obiecał sobie zaraz potem, że podejmie walkę, ale tak sobie myślę, że być może, gdy mówił: „Bądź odtąd zażartą, o wolo moja, albo wzgardy wartą!”, to ograniczenia wiersza białego mogły wpłynąć na pewne osłabienie jego determinacji. Gdyby mógł mówić, co mu w duszy gra, zamiast niewolniczo wykonywać zalecenia Szekspirowskiego pióra, być może zupełnie by zrezygnował z wiersza i tak jak ja zadowolił się prostym: „No już, sukinsyny, na co czekacie?!”

Rozdział 18

Rano obudziłem się niezwykle odświeżony, ale i z silnym parciem na pęcherz. Gdy już ulżyłem sobie w zaciszu dębu (skryty przed nielicznymi porannymi spacerowiczami), wziąłem głęboki oddech i poczułem się wspaniale. Zamachałem rękami ostrożnie. Nic mnie nie zabolalo. Uśmiechnąłem się radośnie. Ziemia była dla mnie taka dobra, taka hojna i opiekuńcza.

Wyciągnąłem komórkę i włączyłem ją, żeby sprawdzić, która godzina. Dopiero dziesiąta, mnóstwo czasu, żeby dotrzeć na lunch do Rúli Búli.

Ściągnąłem ciuchy z drzewa, ubrałem się, zarzuciłem Fragaracha na plecy i zdjąłem kamuflaż, znów otwarcie wkraczając w świat. Niedźwiedzi urok miałem całkowicie naładowany i czułem, że w pełni powróciłem do sił, jeśli nie liczyć sakramenckiego pragnienia i lekkiego głodu.

Na sekretarkę kilka razy nagrał mi się Oddział Policji w Tempe, z początku prosząc, potem żądając, bym się z nimi natychmiast skontaktowałem. Poza tym miałem też wiadomości od Hala, Snorriego i Perry'ego.

Hal chciał mi tylko powiedzieć, że Oberon to żarłoczny kawał skurczybyka i że, choć mój pies był na tyle uprzejmy, by zachować ostrożność na tapicerce, i Hal to docenia, to ten „cholerny kundel” z niepojętych przyczyn zupełnie zniszczył mu jego cytrusowy odświeżacz do powietrza, rozdzierając go na kawałeczki, które teraz są dosłownie wszędzie. Co do spraw zawodowych to opowie mi wszystko w Rúli Búli.

Snorri zameldował, że Hal zatwierdził jego raport medyczny, i z góry podziękował mi uprzejmie za uregulowanie nieprzyzwoicie wysokiego rachunku.

W wiadomości z dziewiętej trzydzięci Perry informował mnie, że udało się wstawić nowe drzwi, a co ważniejsze, przysłała do sklepu „bombowa blondyna” zwana Maliną i oświadczyła, że niejaka Emily nie będzie już potrzebowała moich usług zielarskich; umowę zaś uznają za zakończoną zgodnie z ich oczekiwaniami. Ja cię kręcę. Czyżby to oznaczało, że zakochana para Aenghus i Emily zerwała tak prędko? Czy też chodziło tu o coś zupełnie innego? Powiedział też, że Malina pytała o jakiś list od swojej przyjaciółki. Bardzo jej na nim zależało, ale Perry niestety go nie znalazł, choć naprawdę zrobił wszystko, co w jego mocy.

Aha, więc Malina próbowała odzyskać krew Radomily. Założę się, że omotała Perry'ego zupełnie i że przewrócił cały sklep do góry nogami w poszukiwaniu tego świstka. Zacząłem się znów zastanawiać, czy Fagles i jego paczka przeszukali też moje książki, gdy byli u mnie w domu. Jeśli tak, być może znaleźli ten list od Radomily... a ten cały współpracownik Hala mógł to przeoczyć albo po prostu uznać to za mało istotny szczegół.

Najlepiej zostawić takie pytania na potem – dla Hala w Rúli Búli, pomyślałem. Założyłem, że zarówno mój dom, jak i sklep będą obserwowane, wziąłem więc taksówkę i kazałem się wieźć prosto pod dom wdowy MacDonagh.

– O! Atticusie, mój chłopcze drogi! – Wdowa posłała mi radosny uśmiech i w geście powitania uniosła swoją poranną whisky. – Co się stało z twoim rowerem, złoteńki, że tak zajeżdżasz pod mój dom taksówką?

– Och, pani MacDonagh, miałem wczoraj tak koszmarny dzień, że szkoda gadać – powiedziałem, siadając przy niej na bujanym fotelu i wzdychając z zadowolenia. Zawsze tak robię przy wdowie. Ona jest naprawdę przekonana, że jej weranda jest najgościnniejszym i najspokojniejszym zakątkiem w całym mieście. Zresztą może ma rację.

– Naprawdę, słoneczko? To opowiedz mi wszystko po kolei. – Zagrzechotała lodem w szklaneczce i przyjrzała się krytycznie poziomowi zawartej w niej cieczy. – Ale najpierw skoczę

po małą doleweczkę, jeśli nie masz nic przeciwko temu, drogie dziecko. – Odsunęła fotel z lekkim skrzygnięciem i dodała: – A ty, serdeńko? Napijesz się też czegoś? Dziś nie niedziela, więc nie mam pojęcia, dlaczego miałbyś mi odmówić i nie napić się kapki Tullamore Dew, złoty chłopcze.

– Ma pani zupełną rację, pani MacDonagh, nie ma powodu, bym odmawiał, i bynajmniej nie chcę odmawiać. Chętnie się z panią napiję.

Wdowa rozpromieniła się, a w jej oczach zabłyśły łzy, gdy spojrzała na mnie z wdzięcznością i potargawszy mi włosy, ruszyła do drzwi.

– Oj, dobry z ciebie chłopak, Atticusie, że tak pijesz whisky ze starą wdową przy poniedziałku.

– To sama przyjemność, pani MacDonagh, zapewniam panią. – Naprawdę lubiłem jej towarzystwo. Zresztą aż za dobrze wiedziałem, jak to jest, gdy tęsknota łapie człowieka za serce, a wszyscy bliscy już dawno odeszli. Jeśli przez lata ma się w domu osobę, która zawsze wesprze i pocieszy, a potem nagle się jej już nie ma, wtedy każdy dzień zdaje się coraz bardziej ponury, a nocami, w samotnym łóżku, serce się ściska niby w imadle. Jeśli nie uda się człowiekowi znaleźć kogoś, z kim mógłby spędzić trochę czasu (czasu, który jest niczym słoneczne promienie, złote minuty, podczas których można na chwilę zapomnieć o samotności), to bezlitosne imadło może w końcu całkiem złamać człowiekowi serce. Umowa z Morrigan to jedno, ale tak naprawdę to inni ludzie trzymają mnie tak długo przy życiu (i mówiąc „ludzie”, mam tu też na myśli Oberona). Ci wszyscy ludzie, którzy są teraz w moim życiu, sprawiają, że mogę choć na chwilę zapomnieć o tych, których dawno już straciłem lub pogrzebałem. Oto prawdziwa magia.

Wdowa wróciła z dwiema szklaneczkami whisky z lodem, nucąc starą irlandzką melodię i kręcąc kostkami dla zabawy. Była szczęśliwa.

– No, to opowiadaj, serdeńko, opowiadaj – zażądała, opadłszy z powrotem na fotel. – Czemuż to niedziela była dla ciebie taka ciężka?

Pociągnąłem łyk whisky i poczułem, jak alkohol miło mnie pali w gardle, a lód chłodzi orzeźwiająco.

– Są takie chwile, pani MacDonagh, że myślę sobie, że może jednak powinienem przyjąć pani ofertę i dać się ochrzcić. Czy msza wczoraj była dostatecznie spokojna?

– Tak spokojna, że prawdę powiedziawszy, nie bardzo pamiętam, co ten ojciec tam gadał. – Wdowa zachichotała. – Przynudzał, jak zwykle. A ty, chłopcze drogi, miałeś, mówisz, dzień pełen wrażeń, tak?

– O tak. Postrzelili mnie.

– Postrzelili?

– Tylko powierzchownie.

– No, pięknie. A któż taki cię postrzelił, serdeńko?

– Detektyw z komisariatu w Tempe.

– Boże drogi, widziałam coś o tym w gazecie dziś rano! Detektyw zastrzelony przez policję, taki był nagłówek, a pod tym pisało: detektyw postrzelił niewinną osobę. Ale nie doczytała, o co właściwie chodziło.

– No, to właśnie o mnie chodziło.

– A niech mnie! I czemu ten głupek do ciebie strzelał, mój drogi? Nie przez tamtego angielskiego drania, którego zabiłeś, mam nadzieję?

– Nie – odparłem, a potem spędziłem miło okrągłą godzinkę na opowiadaniu wdowie wydarzeń poprzedniego dnia, to jest tyle, ile mogłem jej powiedzieć, żeby nie skłamać, a zarazem dostarczyć jej rozrywki, ale i nie zdradzić niczego, co by zagrażało jej bezpieczeństwu. W końcu pożegnałem się z nią, obiecałem przyciąć wreszcie to jej grejpfrutowe drzewko i

poszedłem na Mill Avenue, a stamtąd na północ, aż do Rúli Búli. Niektórzy patrzyli dziwnie na rękojeść miecza wystającą mi zza ramienia, inni omijali mnie z jego powodu szerokim łukiem, ale poza tym dotarłem na miejsce bez większych przeszkód.

Byłem tam kilka minut przed czasem i Hal jeszcze nie dojechał, więc siadłem przy barze i uśmiechnąłem się przymilnie do Granuaile. Bogowie niejedyni, ta kobieta była naprawdę zjawiskowa! Jej rude włosy były jeszcze lekko wilgotne od prysznic, który widać wzięła tuż przed pracą. Błysnęła do mnie zębami w uśmiechu i podeszła nieśpiesznie z uroczym uśmiechem na twarzy.

– Wiedziałam, że niepotrzebnie się zamartwiam – rzekła. – Kiedy zobaczyłam ten artykuł w gazecie, bałam się, że nie zobaczę cię całe tygodnie. A tu proszę, już jesteś, moja ty niby-ofiaro strzelaniny, i w dodatku wyraźnie masz ochotę na piwo.

– Nie jestem niby-ofiarą. Jestem zupełnie prawdziwą ofiarą strzelaniny – zapewniłem ją.
– Tylko że szybko zdrowieję.

Wyraz twarzy Granuaile zmienił się nagle. Zmrużyła oczy, przechyliła głowę, położyła przede mną serwetkę, a gdy przemówiła, jej głos brzmiał zupełnie inaczej, obco, gardłowo.

– Jak to zwykle druidzi – szepnęła z dziwnym akcentem.

Z tych czterech słów wiele się nie dało wydedukować, ale miałem wrażenie, że to akcent gdzieś z Indii. Nie zdążyłem tego jednak przemyśleć, bo już oto przemawiała do mnie znowu zwykła Granuaile, zaczepna i olśniewająca barmanka: – To co będzie? Smithwick's?

– Co takiego? Jak możesz tak szybko zmieniać biegi? Co to było? Co ty powiedziałaś?

– Spytałam, czy masz ochotę na piwo – odpowiedziała speszona.

– Ale przedtem?

– Że moim zdaniem wyglądasz, jakbyś miał.

– Nie, nie, ale co powiedziałaś między jednym a drugim?

– Yyyy... – Patrzyła na mnie mocno zdezorientowana, po czym nagle ją olśniło. – A, wiem, co się stało. To pewnie ona do ciebie przemówiła. Zresztą najwyższy czas. Już od tygodni się zbiera, żeby do ciebie zagadać.

– Co takiego? Kto? Jaka „ona”? Nie możesz tak beztrąsko rzucać zaimkami, jeśli chcesz, żeby ludzie rozumieli, o czym do nich mówisz.

Uśmiechnęła się i uniosła dłonie w obronnym geście.

– Słuchaj, Atticusie, chyba będziesz potrzebował czegoś do picia i trochę czasu, bo to jest naprawdę dłuższa historia.

– Dobra, to poproszę o Smithwicka, ale nie mam za dużo czasu. Za chwilę będzie tu mój prawnik.

– Czyli że ich pozwiesz, tak? – Uśmiechnęła się i nalała mi piwa z beczki.

– Tak, uważam, że zasłużyli sobie na ładny proces.

– W takim razie może mógłbyś zostać na chwilę po naradzie z prawnikiem, to pozwolę jej wtedy porozmawiać z tobą w spokoju. – Postawiła ciemne piwo na mojej serwetce i posłała mi znów jeden z tych swoich zabójczych uśmiechów. Poczułem, że miękną mi kolana, i zacząłem się zastanawiać, czy tak działa na mnie sama Granuaile, czy też raczej ten ktoś, kogo najwyraźniej hoduje w swoim mózgu.

– Pozwolisz jej? Na moje oko, kimkolwiek jest ta osoba, sama decyduje o tym, kiedy chce dojsć do głosu, i nie masz tu wiele do powiedzenia.

– Rzadko jej się to zdarza – zapewniła mnie Granuaile, machając ręką, jakby opętanie było czymś równie irytującym jak komary. – Zwykle jest bardzo grzeczna i nie sprawia mi kłopotów.

– Ona? Ona? Podaj mi choć imię! Kim ona jest?

Nim miała czas odpowiedzieć, do restauracji wkroczył Hal z Oberonem, a każdy z nich witał się ze mną dość głośno, choć pozostali klienci słyszeli i widzieli tylko mojego prawnika. Oberon nadal był zakamuflowany, ale aż za dobrze widać było przebłyski jego kolorów. Pewnie machał ogonem jak szalony. Jeśli zaraz nie przestanie, ktoś w końcu coś zauważy; w porze lunchu Rúla Búla raczej nie świeciła pustkami.

<Atticusie! Tak się cieszę, że cię widzę! Wilkołaki nie mają za grosz poczucia humoru!>.

– Cześć, Hal – zamachałem i pospiesznie przeszedłem na mentalne komunikaty z Oberonem.

I ja się cieszę, że cię tak jakby widzę, przyjacielu. Leć schować się szybko pod stół, nim ktoś zobaczy ten twój ogon i wpadnie w panikę, że za dużo wypił. Zaraz przyjdę cię pogłaskać i przyniosę kilka kielbasek. Uważaj tylko, żeby na kogoś nie wpaść.

<Dobra! Ale kurczę, jak ja za tobą tęskniłem!>.

Powiedziałem Granuaile, że jeśli o mnie chodzi, jesteście umówieni na potem, a ona skinęła mi głową i pomachała, gdy poszedłem za Halem do stolika, pod którym już czekał Oberon, waląc ogonem o kanapę. Ludzie rozglądali się wokół, zachodząc w głowę, co to za dziwne stukanie.

– Na brodę Odyna, zrób coś, żeby ten pies się wreszcie uspokoił – warknął Hal.

– Zaraz, zaraz – obiecałem i usiedliśmy.

Znalazłem głowę Oberona i zacząłem go drapać za uszami.

Dobrze, już dobrze, przyjacielu, musisz się trochę uspokoić, bo wyda cię twój własny ogon.

<Ale ja się tak strasznie cieszę, że cię widzę! Pojęcia nie masz, jakie z tych wilkołaków sukinsyny!>.

Owszem mam pojęcie, wierz mi. I doceniam, że byłeś takim grzecznym pieskiem przez cały ten czas. Dlatego właśnie zamierzam zamówić ci dwie kielbaski z purée, ale musisz wyluzować, bo naprawdę zaczynamy zwracać na siebie za dużo uwagi.

<Oj! Dobra! Spróbuję! Ale NAPRAWDĘ, NAPRAWDĘ trudno mi wyluzować! Chcę się pobawić!>.

Wiem, wiem, ale w tej chwili to po prostu niemożliwe. Zaklinuj ogon między sobą a ścianą. O, tak lepiej. A teraz powiedz mi, czy aby nic nie narozrabiałeś, kiedy byłeś u Hala?

<Nic a nic. Nawet nie drasnąłem mu tapicerki i nie zbiłem ani jednej rzeczy w jego domu>.

Czy przypadkiem czegoś przede mną nie ukrywasz? Hal wspomniał mi coś o rozgryzionym odświeżaczu do powietrza...

<To dla jego dobra! Żaden szanujący się samiec z rodziny psowatych nie powinien wachać cytrusów!>

Hm. Może coś tu i jest na rzeczy. Uwaga. Idzie kelnerka.

Zamówiliśmy dwie porcje fish'n'chipsów i dwie porcje kielbasek z purée dla Oberona. Biedny psiak był na granicy szaleństwa. Naprawdę muszę mu pozwolić się jakoś wybiegać, nim zupełnie zwariuje.

– Dziękuję za cierpliwość, Hal – powiedziałem, gdy kelnerka odeszła od naszego stolika.
– On się po prostu cieszy, że żyje i w ogóle.

– Czyli że Snorri połatał cię jak trzeba?

– Tak, a poza tym noc w parku działała istne cuda. Czuję się świetnie.

– Bądź tak dobry i postaraj się choć trochę symulować, gdy już się spotkasz z policją.

Masz na klatce jakiś bandaż, mam nadzieję?

– Nie, ale zawsze mogę sobie założyć, jeśli jest taka potrzeba.

Hal pokiwał głową.

– Myślę, że to by nie było głupie. Trochę trudno byłoby mi formułować nasze zarzuty, gdyby już następnego dnia po strzelaninie zniknęły z ciebie wszystkie dowody.

Hal zrelacjonował mi, co ukazała kamera z mojego sklepu – w skrócie: mieliśmy przed sobą miażdżący policję proces za strzelanie do niewinnego obywatela bez żadnego zupełnie powodu. Przez dłuższą chwilę głowiliśmy się nad tym, jak odpowiadać na pytania policji, jak sformułować zarzuty i ile kasy zażądać.

– Słuchaj, lepiej od razu dam ci wszystkie instrukcje co do kasy – powiedziałem. – Gdy już pieniądze wpłyną na twoje konto, weź, co ci się należy, odłóż tyle, ile trzeba, zapłacić Snorriemu, a potem resztę przelej na konto rodziny Faglesa jako anonimową dotację, dobra? Nie zamierzam wzbogacać się na tym, że Aenghus Óg rzucił zabójczy czar na niewinnego człowieka.

Hal patrzył na mnie przez chwilę bez słowa i tylko żuł z namysłem soczysty kawałek fileta z dorsza. W końcu głosem pełnym ironii stwierdził:

– Cóż za szlachetny gest.

Mało się nie zakrzusilem frytką.

– Szlachetny? – wycharczałem.

<Mówiłem ci, że wilkołaki to skończone sukinsyny> mruknął Oberon, napawając się wonią kielbaski. Zignorowałem go i skoncentrowałem się na drwinie Hala.

– Szlachetność nie ma tu nic do rzeczy. I nie mówię tego, żebyś miał się z czego pośmiać. Chcę tylko powiedzieć, że nie będę czerpał zysków z tej tragedii, ale też nie zamierzam tu robić jakichś pokazów miłosierdzia.

Hal wyraźnie miał na ten temat odmienne zdanie, ale postanowił się nim ze mną nie dzielić i powiedział tylko:

– Uhm – a potem wytarł palce w serwetkę.

– Ale słuchaj, mam nowe informacje o tej tajemniczej barmance. Chciałem zmienić temat, a przy okazji zatuszować głośne mlaskanie Oberona.

– Tej rudej, co pachnie jak dwie osoby?

Zamrugalem zbity z tropu.

– Czemu nigdy mi nie powiedziałeś? – spytałem.

– O ile dobrze sobie przypominam tamtą rozmowę, chciałeś tylko wiedzieć, czy pachnie jak bogini – zaczął wyliczać moje pytania na palcach – demon, wilkołak czy może inny rodzaj zwierzoc człowieka. – Uśmiechnął się. – Poza tym jednak tak straciłeś dla niej głowę, że w ogóle nie spytałeś, jak ona pachnie.

Oberonie? Czy ten wilkołak mówi prawdę?

<A bo ja wiem. Nigdy jakoś nie zwracałem na nią zbytnej uwagi. Zresztą on może mieć lepszy węch niż ja. Jeśli pozwolisz mi podejść do niej bliżej i porządnie obwąchać jej tyłek, to może...>

Mniejsza z tym.

– No dobra, Hal. To kim jeszcze ona pachnie?

– Powiedziałem ci już wszystko, co wiem na ten temat, Atticusie. Zawsze możesz przecież zmienić się w psa i sam ją obwąchać, jeśli masz ochotę. – Położył dłonie płasko na stole i zaczął bębnić palcami o blat, jakby chciał mnie tym sprowokować.

– Nie, dzięki. Dowiem się wszystkiego tradycyjnie. Sama mi powie, o co tu chodzi, gdy już sobie pójdziesz.

– Czy chcesz mi przez to zasugerować, żebym już się zbierał?

– Coś tak jakby. To może mi chwilę zająć, więc chciałbym cię prosić, żebyś zabrał ze sobą Oberona i zaprowadził go do domu wdowy MacDonagh.

Hal wzdrygnął się, a Oberon zaskomlał.

<Muszę?>

– Czy muszę?

– Tak – odpowiedziałem im obu.

Wyszli niezbyt zadowoleni, ale przynajmniej we względnej ciszy, a ja wreszcie mogłem zająć się moją kelnerką. Spojrzała na talerze po kielbasach, które były nieco nazbyt starannie wylizane, a potem na te po rybie, na których zostało trochę resztek jedzenia, jak to bywa, gdy je normalny człowiek, a potem posłała mi niepewne spojrzenie. Wiedziała, że coś tu nie gra, ale nie była w stanie znaleźć satysfakcjonującego dla tej sytuacji wyjaśnienia.

Zawsze mnie cieszą takie chwile. Przyszło mi do głowy, że równie zabawnie będzie zdjąć teraz nagle kamuflaż z Oberona, żeby ktoś nagle ujrzał na Mill Avenue wielgachnego psa, który pojawia się dosłownie znikąd. Jeśli tym kimś będzie Hal, tym lepiej.

W słynnej knajpie Rula Bula było już wolnych kilka stołków, jako że lekko podchmielony tłum lunchowych klientów wrócił potulnie do pracy. Granauaile nie pozostało właściwie nic do roboty, więc skupiła się na polerowaniu szklanek, a ja siadłem przed nią przy barze. Przechyliła lekko głową i utkwiała we mnie spojrzenie swych zielonych oczu, uwodzicielsko oblizując górną wargę. W kącikach jej ust błąkał się kpiący uśmiešek. Nie lubię, gdy ktoś sobie ze mnie kpi w żywe oczy, więc wbiłem wzrok w półki nad nią, pełne whisky i różnych bibelotów, jakby zajmowała się właśnie omawianiem prognozy na jutro lub czymś równie prozaicznym. Roześmiała się figlarnie.

– Czego sobie życzysz, Atticusie? – spytała, kładąc przede mną serwetkę.

– Imienia. Wydaje mi się, że na tym skończyliśmy.

– Ale lepiej, żebyś najpierw sobie coś wypił.

– To poproszę Tullamore Dew z lodem.

– Już zaraz. Lecz musisz się uzbroić w cierpliwość, bo zamierzam ci to opowiedzieć po swojemu.

– Po swojemu? A nie po cudzemu? Niby że nikt nie siedzi w twojej głowie?

– Tak. Po mojemu – powtórzyła, nalewając mi hojną porcję whisky do szklanki z lodem.

Postawiła ją równiutko przede mną, potem skrzyżowała ręce pod piersiami i pochyliła się w moją stronę. Idealna cera, lekko zadarty nos, truskawkowy błyszczek na ustach. Trudno było mi myśleć o czymkolwiek poza przemożną chęcią pocałowania jej, szczególnie gdy wydeła wargi. Ale właśnie wtedy powiedziała:

– Zatem jesteś druidem.

– Skoro tak mówisz. A ty kim jesteś?

– Jestem naczyniem – odparła, ale potem jej oczy rozszerzyły się znacząco. – Lecz może powinnam podkreślić, że pisze się to wielką literą. Jestem Naczyniem. To by robiło większe wrażenie, nie? Byłoby bardziej tajemnicze, bardziej jak ze Scooby-Doo, nie?

– Może być. Ale naczyniem na co lub na kogo?

– Na bardzo miłą panią z południowych Indii. Nazywa się Laksha Kulasekaran. I nie powinieneś w ogóle się niepokoić tym, że jest wiedźmą.

Rozdział 19

Bogowie niejedyni, jak ja nie cierpię wiem.

Ale jako że właśnie jedna z nich słuchała mnie pewnie poprzez uszy Granuaile, uznałem za stosowne nie mówić tego na głos. Choć nie wypadało wyrażać pogardy, uznałem, że mogę chyba sobie pozwolić na zdradzenie się z pewnymi wątpliwościami. Zdobyłem się więc na mój najlepszy cyniczny półśmieszek w stylu Harrisona Forda (notabene, wykorzystywany przez niego w każdej postaci od Deckarda przez Hana Solo aż po Indiana Jonesa) i uniosłem szklankę.

– Miła pani, tak?

– Bardzo miła. – Granuaile pokiwała głową, ignorując moje pełne niedowierzania spojrzenie.

Pociągnąłem zdrowy łyk ze szklanki i czekałem na dalszy ciąg opowieści, ale wyglądało na to, że teraz moja kolej. Jeśli opowiadanie „po Granuaile'owemu” oznaczało, że muszę zadawać więcej pytań, niech i tak będzie.

– I od jak dawna ta miła pani zamieszkuje w twojej mózgowicy?

– Od chwili, gdy wróciłeś z wycieczki do Mendocino.

– Co? – Mimo że ledwo co wzięłem łyk ognistej wody, zrobiło mi się zimno.

– Pamiętasz? Zmieniłeś się w wydrę morską i wyjąłeś ten śliczny złoty naszyjnik z rubinami z dłoni tego kościotrupa, który leżał może z jakieś... ile to było? z pięćdziesiąt stóp pod poziomem morza i jeszcze kilka pod poziomem piasku?

Zatrzęsło mną.

– A ty skąd o tym wiesz?

– A jak myślisz? Laksha mi powiedziała.

– Dobra, ale skąd ona o tym wie?

– Bo to ona była kiedyś właścicielką tych kości, ale ta konkretna powłoka śmiertelna zawiodła ją w 1850 roku. Od tego czasu do niedawna przebywała w największym z rubinów w tym właśnie naszyjniku.

Postanowiłem, że szczegółowe pytania o to, jak się chowa duszę do rubinu, zostawię sobie na później.

– I co potem?

– Tego to chyba sam się już jesteś w stanie domyślić, prawda? Jak znalazłeś naszyjnik, to co z nim zrobiłeś?

– Dałem go wiedźmie Radomili...

– Która bynajmniej nie jest tak miła, jak udaje, a mieszka akurat tuż nade mną w bardzo zresztą eleganckim apartamencie...

– I ona pospiesznie wyegzorcymowała Lakshę z naszyjnika...

– I tak właśnie zyskałam w czaszce lokatorkę!

Granuaile odsunęła się od baru i zaczęła klaskać jak szalona, jakbym właśnie zakończył odgrywanie *Błękitnej rapsodii* na szkolnym pokazie talentów.

– No dobra, teraz rozumiem, ale nadal wydaje mi się, że pominęliśmy kilka ważnych szczegółów. – Wypiłem resztę whisky jednym haustem i odstawiłem szklankę, a Granuaile już miała w dłoni butelkę, gotowa mi dolewać.

– Przyda ci się podwójna – oświadczyła, nalewając mi ilość przekraczającą wszelkie normy. – Zajmij się nią w spokoju, a ja trochę popracuję. – Zniknęła mi z oczu i poszła obsłużyć nielicznych już klientów. W głowie kłębiło mi się tyle myśli, że zająłem się raczej nimi niż popijaniem. Z tego, co mi się obilo o uszy, indyjskie wiedźmy mają talent do naprawdę

mrocznych czarów, a zresztą każda wiedźma, która jest w stanie wyskoczyć z ciała, schować się w klejnocie, a potem wyskoczyć z niego do kolejnego ciała po stu sześćdziesięciu latach z okładem musi mieć niepokojąco silny mięsień magiczny. Pytanie zatem brzmiało: jak wyrzucić ją z głowy Granuaile, tak żeby zachować jako takie względy bezpieczeństwa? Oraz: kto jeszcze musi ucierpieć, by to się udało?

Ani chybi wiedźma do czegoś mnie potrzebowała i mogłem się tylko domyślać, że chodzi jej pewnie o nowe ciało. Ja jednak nie miałem akurat żadnego na stanie, a ciała należą do tych niewielu towarów, których jakoś (jak na razie) nie da się kupić na Amazonie.

Czegokolwiek by ta indyjska wiedźma ode mnie chciała, wiedziałem dobrze, że oznacza to będzie same kłopoty, a przecież już i tak winien byłem całe kopy tego towaru Radomile. Konfrontacja z nią – czyli z całym jej sabatem – stawała się coraz bardziej nieunikniona. Gdy właśnie doszedłem do tego przykrego wniosku, wróciła Granuaile.

– Pewnie zastanawiasz się właśnie, czego chce Laksha – rzuciła lekko.

– Owszem, przemknęło mi to przez myśl.

– A tymczasem powinieneś raczej się zastanawiać nad tym, czego chce twoja ulubiona barmanka.

– Doprawdy? – Uśmiechnąłem się.

Pokiwała głową.

– Tak. Widzisz, mnie się całkiem podoba trzymanie Lakshy w głowie. Uczy mnie różnych rzeczy i wiele mi wytłumaczyła.

– Co takiego na przykład?

– Że wszystkie te potwory naprawdę istnieją: wampiry, ghule i nawet chupakabra.

– Serio? A Wielka Stopa?

– Tego nie wie, bo to istota zbyt dla niej współczesna. Ale wyjaśniła mi, że wszyscy bogowie są zupełnie naprawdę i że z jakiegoś powodu wszyscy, którzy znają Thora, uważają go za ostatniego gnojka. Ale najciekawsze z tych wszystkich rzeczy, które mi opowiedziała, jest to, że nadal chodzi po tej ziemi pewien nadludzko uczciwy druid, choć wszyscy inni już dawno wymarli. Oraz że temu właśnie druidowi podałam w swojej skromnej karierze barmanki hektolitry ciemnego piwa oraz setki butelek whisky, a od czasu do czasu flirtowałam z nim bezwstydnie.

– Hmm, jak już flirtować, to zawsze bezwstydnie.

– Naprawdę jesteś starszy niż chrześcijaństwo?

Nie było co kłamać. Ten głos w jej głowie i tak już jej wszystko powiedział. Poza tym whisky wchodziła mi lekko i w razie czego mogę przecież wszystko zrzucić na zamroczenie alkoholowe.

– No – mruknąłem.

– Ale jak ci się to udało? Przecież nie jesteś bogiem.

– Airmid – powiedziałem po prostu, zakładając, że Granuaile i tak nie będzie miała pojęcia, o czym mówię.

Zmrużyła oczy.

– Czy ty mówisz o Airmid, córce Diana Cechta, siostrze Miacha, który został zabity przez własnego ojca? – spytała.

Od razu wytrzeźwiałem.

– Cholera. Z takim mózgiem wygrałabyś masę kasy, gdybyś tylko zgłosiła się do odpowiedniego teleturnieju. Na tym uniwerku uczą teraz mitologii celtyckiej czy jak?

Nie dając się zbić z pantafelku, Granuaile postanowiła mnie cisnąć dalej:

– Czy chcesz mi powiedzieć, że znasz sekret ziół Airmid? Wszystkie te trzysta

sześdziesiąt pięć ziół, które wyrosły na grobie Miacha?

– Tak, wszystkie.

– A niby dlaczego tobie akurat Airmid przekazała tak bezcenną wiedzę?

To była opowieść na inny dzień.

– Nie mogę ci powiedzieć. – Pokręciłem głową z udawanym żalem. – Za młoda jesteś. Granuaile prychnęła tylko.

– Wszystko mi jedno. A zatem to zioła Airmid stanowią sekret twojej wiecznej młodości? Pokiwałem głową.

– Nazywam tę herbatkę „Młodości Czar”, bo lubię takie gry słowne. Piję ją mniej więcej co tydzień i dzięki temu jestem zawsze rzeński i niezepsuty.

– A więc ta twoja przystojna fasada to nie żadna ściema? To naprawdę ty?

– Tak. Biologicznie mam dwadzieścia jeden lat.

– Ale za-rą-bi-ście. Jaaa! – Pochyliła się znów na barze i była teraz jeszcze bliżej niż przedtem. – Dobra, to słuchaj. Oto czego ja chcę, Atticusie. – Czułem truskawkowy zapach jej błyszczyku, miętę w jej oddechu i tę dziwną mieszankę zapachów, które, jak już teraz wiedziałem, tylko w połowie należały do niej: czerwonego wina, szafranu i maku. – Chcę, żebyś mnie uczył.

– Naprawdę? Tego chcesz? – Uniosłem brwi.

– Tak. Chcę zostać druidką.

Nie słyszałem tego zdania od dobrych stu lat. Ostatnią osobę, która chciała, żebym uczył ją druidyzmu, spotkałem jeszcze w wiktoriańskiej Anglii, gdzie panowało wówczas jakieś durne przekonanie, że druidzi noszą białe szaty i zapuszczają sobie brody niczym cumulonimbusy.

– Rozumiem. A co ja z tego będę miał?

– Pomoc Lakshy. Jej wdzięczność. I moją.

– Hmm. Może jakoś konkretniej, skoro już się targujemy.

– Laksha wie o twoich problemach z Radomilą...

– Hola – syknąłem, unosząc dłoń, żeby powstrzymać potok jej słów. – A niby skąd ona o tym wie?

– Dwie wiedźmy z sabatu Radomili zaszły tu wczoraj na mojej zmianie, więc Laksha, a raczej ja... no, w każdym razie podsłuchałyśmy urywki ich rozmowy. Kiedy usłyszałam twoje imię, zaczęłam się bardziej wsłuchiwać. Mówiły o zabranii ci czegoś, choć nie wiem czego, bo nie padła żadna nazwa.

Wykrzywiłem się.

– Wiem, czego chcą. Czy mówiły, jak zamierzają mi to odebrać?

– Nie, mówiły tylko o tym, jak zostaną za to wynagrodzone.

– Ciekawe. Co konkretnie mówiły?

– Padły słowa Mag Mell.

– Żartujesz. Mag Mell? Ma dać im wstęp na Mag Mell?

– To oraz zezwolenie na pobyt stały z prawem własności.

– Niesamowite. – Nozdrza mi zaczęły chodzić, a palce same się zacisnęły na szklance. –

Czy ty masz pojęcie, co to jest Mag Mell?

– Musiałam to sprawdzić, ale teraz już wiem. Jeden ze światów faerycznych. Wypasiony.

– I niezwykle piękny. A teraz ma zostać ot, tak sprzedany bandzie polskich wiedźm.

Ciekawe, czy Manannan Mac Lir w ogóle o tym wie. – Teoretycznie to Manannan był władcą Mag Mell. Jeśli wiedział o obietnicy Aenghusa i nic nie zrobił, to należał do spisku przeciwko Brigid. Ale jeszcze bardziej prawdopodobne, że Aenghus Óg po prostu knuł to za plecami Manannana i przeciw niemu.

– Tego nie wiem – odparła Granuaile – ale jedna z nich powiedziała, że muszą już iść, bo czeka na nich Radomila. To oczywiście zwróciło uwagę Lakshy i w ten sposób się dowiedziała, że wasze interesy się pokrywają. Chce, żebyś pozwolił jej dorwać się do Radomili, żeby mogła wreszcie odzyskać naszyjnik.

– Skoro mieszkasz pod Radomilą, czemu Laksha nie może się do niej dorwać, kiedy jej się żywnie podoba?

– Apartament Radomili jest ściśle chroniony, tak zresztą jak i twój z pewnością. Laksha potrzebuje ciebie, żebyś wyciągnął Radomilę z tej swoistej strefy bezpieczeństwa i zajął ją czymś przez jakieś pięć minut.

– Tylko tyle?

– No, może jeszcze jakbyś zdobył coś, co do niej należy.

– Ach tak. Jak na przykład kroplę jej krwi?

– Może być – przytaknęła Granuaile.

– Czy Laksha ma świadomość, że poza tymi dwiema, które tu widziałyście, Radomila ma jeszcze z tuzin podobnych wiedźm w swoim sabacie, a wszystkie świetnie wykształcone w magii? Laksha zadziera z całkiem dużą bandą.

– Laksha może skutecznie zająć się nimi wszystkimi, jeśli tylko odzyska naszyjnik.

– Ach tak. – Jeśli nie były to czcze przechwałki, to ta Laksha mogła się okazać dość przerażająca. Dla porównania ja byłbym w stanie zająć te wiedźmy może na tyle długo, żeby dać drapaka, i to wszystko. Podejmować się walki z nimi wszystkimi? Co to, to na pewno nie. – Czemu ten naszyjnik jest aż taki ważny?

– Zaraz pozwolę jej wszystko ci wytłumaczyć. – Granuaile po prostu machnęła ręką na moje pytanie. – Ale wracając do rzeczy, Laksha mówi, że już i tak jest ci wdzięczna za to, że wyciągnęła ją z tego morza, lecz jeśli pomożesz jej odzyskać prawdziwą wolność, jest gotowa dać ci wszystko, co tylko będzie w stanie.

– A niby jak mam jej pomóc odzyskać wolność?

– Zająć czymś Radomilę na jakiś czas, żeby Laksha miała możliwość odebrać jej naszyjnik.

– To nie takie proste. Trzeba rozważyć wiele innych kwestii. Na przykład, dokąd ona sobie potem pójdzie? Pod czachę Radomili czy może z powrotem do naszyjnika? Nie zamierza przecież zostać u ciebie, nie?

– Nie. – Granuaile pokręciła głową. – Jest wspaniałym gościem, ale obie dojrzałyśmy już do tego, by pozostać sam na sam ze swoimi myślami. Ona ci to zaraz lepiej wytłumaczy. Poza tym zaskarbisz sobie moją wdzięczność. Nie jestem w stanie wyświadczać ci żadnych magicznych usług, ale biorąc pod uwagę to, że uczniowie druidów zawsze mieli dużo do roboty, jestem pewna, że odpracuję uczciwie swój dług wobec ciebie.

– Ale jeśli ja po prostu nie chcę mieć ucznia? – spytałem. – Radzę sobie doskonale sam.

– Ach, tak. Więc na czym polega to twoje radzenie sobie? Na tym, że dałeś się właśnie postrzelić?

– Może zrobimy tak, że ja ci pomogę z Lakszą, żebyś miała ją już z głowy, i na tym poprzestaniemy?

– Nie ma mowy. Laksha nie pójdzie sobie, póki się nie zgodzisz wziąć mnie do terminu.

– Co? – Zmarszczyłem brwi. Tym mnie zaskoczyły. Zwykle istota, która umie opętać inną, nie dba zupełnie o interesy opętanego. – A co jej tak zależy?

– Dobrze wie, że nie zamierzam do końca życia nalewać piwa w jakiejś mrocznej spelunie. Chcę robić coś fantastycznego. Mam tylko dwadzieścia dwa lata – oznajmiła. – Chcę się uczyć.

– To się dobrze składa, bo życie ucznia druida to nauka, nauka i jeszcze raz nauka. A jeśli się nie zgodzę? Laksha już na zawsze zostanie w twojej głowie?

Granuaile wzdrygnęła ramionami.

– Nie. W końcu znajdziemy jakieś rozwiązanie. Spróbujemy też jakoś odzyskać naszyjnik bez twojej pomocy. Może ktoś inny w mieście chciałby zaskarbić sobie wdzięczność czarownicy.

– Ale co ty zrobisz w takim wypadku? Zostaniesz kimś innym?

Granuaile kiwnęła głową i wytrzymała moje spojrzenie. W jej szmaragdowych oczach widziałem ten błysk. Coś w niej przypominało mi o domu.

– Jeśli nie pozostawisz mi wyboru, zostanę wiedźmą tak jak Laksha. Ale wolałabym nie.

– O? A dlaczegoż by nie? – spytałem ją lekko, ale było to śmiertelnie poważne pytanie; być może najważniejsze ze wszystkich. Jeśli odpowie na nie żartem albo flirtem, albo każe mi się pocałować w tyłek, będę już wiedział, że muszę jej z miejsca odmówić. Ale ona milczała. Może radziła się Lakshy, co powiedzieć?

– Powodów jest tak naprawdę kilka – zaczęła cicho. – Laksha ma dużą wiedzę magiczną, ponieważ para się tym już od dłuższego czasu. Ale ma świadomość, że ty jesteś od niej starszy. Wie, że jesteś znacznie starszy od wszelkich istot, jakie kiedykolwiek spotkała, nie licząc bogów. A z tego wynikałoby, że twoja wiedza jest znacznie obszerniejsza, że na własne oczy widziałeś rzeczy, o których normalni ludzie mogą sobie tylko poczytać. I dlatego chcę, żebyś to ty mnie uczył. Chcę wiedzieć, co się naprawdę wydarzyło w historii, i to od kogoś, kto to przeżył na własnej skórze. Chcę wiedzieć o wszystkich tych rzeczach, o których ty wiesz, w szczególności o tych, o których ludzkość dawno już zapomniała albo o których nigdy w ogóle nie wiedziała. To prosta, podstawowa dla mnie zasada: zawsze lepiej wiedzieć, niż nie wiedzieć. Wiedza to potęga i tak dalej.

Słyszałem już gorsze odpowiedzi. Podeszła bardzo blisko przepaści zwanej podlizywaniem się, ale w ostatniej chwili odskoczyła od krawędzi.

– Po drugie – ciągnęła – uważam, że magia Lakshy jest trochę straszna, choć mam nadzieję, że nie urazi jej ta moja opinia. – Przewróciła oczyma, najwyraźniej prowadząc jakiś wewnętrzny dialog. Potem znów na mnie spojrzała. – Niepokoi mnie magia wynikająca z prawdziwej mocy, o której ona mi opowiada i o której czytałam. Wydaje mi się, że za dużo tu układania się z postaciami rodem z opowieści H. P. Lovecrafta. No i jest jeszcze problem rytuałów, z którymi miałabym poważne moralne dylematy. Że nie wspomnę o tym, że są obrzydliwe. Paznokcie z czyichś nóg, krew... fuuu! – Wzdrygnęła się. – Ale twoja moc, moc druidzka, pochodzi z ziemi, prawda?

– Tak.

Wskazała palcem na moje prawe ramię.

– Laksha mówi, że te tatuaże nie są tylko dla szpanu.

– I ma rację.

– Wygląda mi na to, że o wiele bardziej nadają się do tego typu magii.

– Jesteś pewna? Wiąże się z nią wiele ograniczeń. Druid nie jest w stanie zrobić wielu rzeczy, które wiedźma robi bez trudu. Jeśli chodzi ci o moc, to wiedźmy mają dostęp do o wiele większych jej zasobów i docierają do nich znacznie szybciej niż jakikolwiek druid.

– Są różne rodzaje mocy – rzuciła Granuaile. – Wiedźmy mają moc kontrolowania i niszczenia. Ty masz moc bronięcia i budowania.

– E, nie. – Pokręciłem głową. – Obawiam się, że idealizujesz druidyzm. Nasze moce pozwalają nam także kontrolować i niszczyć. – Nie ulegało wątpliwości, że Aenghus Óg kontrolował Faglesa, a Bres chciał mnie zniszczyć, i to podstępem.

– Niech ci będzie – przyznała. – Ale wszystko można wykorzystać wbrew pierwotnym

intencjom. A ja tu właśnie mówię o intencjach, Atticusie. Laksha zna takie rytuały i zaklęcia, których w żaden sposób nie da się uznać za dobroczynne. Różnica polega na tym, że wprawdzie twoją magię można wykorzystać w złych celach, ale część magii Lakshy nie da się w żaden sposób obrócić w dobro. Dla mnie to ważne rozróżnienie.

– A kim twoim zdaniem są druidzi? – spytałem. Jeśli powie coś o białych szatach i brodach w stylu ZZ Topów, zacznę wyć.

– To uzdrowiciele i mędracy – odrzekła. – Bardowie, strażnicy kultury, według niektórych źródeł mają także zdolność zmieniania postaci i pewien wpływ na pogodę.

– Hmm, nieźle – pochwaliłem ją. – A umieją sprać komuś tyłek? – Rzuciłem to jak gdyby nigdy nic, ale od razu wiedziała, że ją sprawdzam.

– Zdarza im się sprać komuś tyłek w bitwie. – Zmarszczyła czoło. – Przynajmniej według niektórych legend. Ale używają do tego mieczy i toporów, a nie magii. Swoją drogą, to masz bardzo ładny miecz – dodała, zaglądając mi za ramię. – Zamierzasz sprać komuś tyłek?

Puściłem to pytanie mimo uszu i zadałem jej następne.

– Co jeszcze robili druidzi z tych twoich legend?

– W większości zajmowali się doradzaniem królom i przepowiadaniem przyszłości... a, zapomniałabym. Wróżby to także jakby domena druidów. Czy rozcinasz zwierzęta i gapisz im się we wnętrzości?

Zmarszczyła nos i wstrzymała oddech.

– Nie – zapewniłem ją, kręcąc głową, i to ją wyraźnie uspokoiło. – Wolę rzucanie różdżkami.

– Sam widzisz! – Poklepała mnie żartobliwie po ramieniu. – Niczego i nikogo nie niszczysz.

– Czy ty naprawdę chcesz zostać druidzką nowicjuską? Nim odpowiesz, pozwól, że ci wytłumaczę, na czym to polega, bo Laksha z pewnością nie ma o tym pojęcia, a ty w dodatku naczytałaś się jakichś New Age'owych bzdur i ci się pewnie zdaje, że wystarczy, jak sobie zasadzisz kwiatek, i będziesz się modlić do Brighid albo Morrigan. A to nie na tym polega. Najpierw czeka cię dwanaście lat zapamiętywania różnych rzeczy. I to nie zaklęć, w ogóle niczego, co by było choć odrobinę związane z mocą, nic fajowego. Tylko kucie i kucie przez całe dwanaście lat. Być może uda ci się przyspieszyć to o jakiś rok, bo zaczynasz później niż większość nowicjuszy i twój mózg jest już w pełni rozwinięty, ale mimo wszystko to jest cholernie długi okres. Musisz naprawdę lubić książki, naukę i języki, bo będziesz się musiała kilku nauczyć. I de facto nie będziesz robić nic poza tym. Nauka na pełen etat, aż będziesz grubo po trzydziestce.

– O – powiedział cichutko. – A co z płaceniem rachunków i takie tam?

– Musiałabyś rzucić tę pracę i zacząć pracować dla mnie w księgarni. Żeby ci ulżyć przy czytaniu książek, pozwoliłbym ci od czasu do czasu posprzedawać je innym ludziom. I może jeszcze nauczyłbym cię parzyć jakieś specjalne herbatki.

– Wow. Super.

– Gdy już przejdziesz wszystkie testy, będziemy mogli rozpocząć naukę magii. Żeby to robić, musisz być w stanie pobierać moc, a to oznacza, że trzeba cię będzie rytualnie wytatuować barwnikami o roślinnym pochodzeniu. To zajmuje pięć miesięcy.

– Pięć miesięcy? – Granuaile wbiła we mnie zdumiony wzrok.

– Ledwo co opowiedziałem ci o dwunastu latach nauki i nawet ci powieka nie drgnęła, a teraz martwi cię pięć miesięcy tatuowania?

– No, ale mówimy tu o pięciu miesiącach nakłuwania igłą, nie?

– Kolcami, jeśli już chodzi o ścisłość. To bardzo stara szkoła tatuauzu. Nie ma chyba

starszej.

– No właśnie, to nie do końca to samo co zwiniecie się w kąciku z książką i kubkiem gorącej czekolady.

– Ale to konieczne, jeśli chcesz odprawiać druidzkie czary. To rytuał, który wiąże cię z ziemią i pozwala sięgać do zasobów jej mocy. Gdy już będziesz z nią związana, nie będziesz w stanie zrobić nigdy nic, co mogłoby jej zaszkodzić. Aenghus Óg może knuje coś tam z demonami, o ile Brighid się nie myli, ale nawet on nie poważylby się krzywdzić ziemi. – Dopiero gdy już powiedziałem to na głos, nagle doszło do mnie, że przecież facet, który wchodzi w spisek z demonami, mógł przekroczyć wszelkie, nawet najświętsze granice. – Przynajmniej taką mam nadzieję – dodałem półgłosem.

– Rozmawiałeś z Brighid? I kim jest ten Aenghus Óg? Nie masz chyba na myśli irlandzkiego boga miłości?

– Owszem, jęgo – mruknąłem, nieco zaskoczony. Byłem naprawdę pod wrażeniem, że rozpoznała to imię, ale właściwie może powinienem się tego spodziewać, skoro wiedziała przecież, kim jest Airmid. – Mniejsza o niego. Sę w tym, Granuaile, że na to, żeby poczuć cokolwiek choć w najmniejszym stopniu magicznego, musiałabyś czekać z górą dekadę. Jeśli masz ochotę z miejsca zacząć posługiwać się czarami, Laksha z pewnością zna rytuał, który pozwoli ci na to jeszcze dziś w nocy. Czy należysz do cierpliwych osób?

– Tak – odpowiedziała. – Do bardzo cierpliwych. – Wyciągnęła dłoń i położyła ją na mojej, ściskając lekko. – Naprawdę tego chcę.

– Mówisz, że masz dwadzieścia dwa lata. Czy to nie oznacza przypadkiem, że powinnaś już skończyć college?

Przewróciła oczami.

– No. W maju skończyłam licencjat z filozofii. A teraz pracuję przy barze, bo co innego miałabym niby robić po filozofii, hę?

– Dobrze więc – powiedziałem, przyglądając jej się uważnie. – Rozważę twoją propozycję. Ale nim podejmę decyzję, muszę porozmawiać z Lakshą.

– Tęgo akurat się domyśliłam. – Wykrzywiła usta w grymasie żalu, a ręka opadła jej do boku. – Ale nim pozwolę jej przejąć kontrolę, muszę trochę popracować. Ona naprawdę nie ma zielonego pojęcia o pracy w barze. Zaczekaj tu.

Obrzuciła uważnym spojrzeniem ociągających się klientów, tu komuś coś dołała, tam podała rachunek, z równym wdziękiem rozdając wszystkim uśmiechy i podziękowania, jak kufle z piwem.

Tullamore Dew spływało mi powoli do gardła, gdy rozważałem jej kandydaturę na uczennicę, przypominając sobie przy okazji, czemu od ponad tysiąca lat nikt u mnie nie terminował. Przede wszystkim dlatego pewnie, że wszystkim się zdawało, iż druidzi dawno już wyginęli, i nikt nie miał pojęcia, że istnieje jeszcze ktoś, kogo można by poprosić o naukę. Byłem trochę jak Yoda ukrywający się na planecie Dagobah. A nawet gdy ktoś mnie już odnalazł, co się przecież czasem jednak zdarzało, a najlepszym przykładem była tu Granuaile, szkolenie po prostu nie wchodziło w grę, bo musiałbym z tego powodu pozostać w jednym miejscu na bardzo długo, a na to zwyczajnie nie mogłem sobie pozwolić. Poza tym większość czasu zajmowała mi praca nad amuletem, a nie da się koncentrować na tak poważnym projekcie, jeśli ktoś cię stale zamęcza pytaniami i jeszcze musisz mu planować naukę.

Mój ostatni uczeń opuścił ten świat pod sam koniec dziesiątego wieku. Był to bystry, sumienny chłopak o imieniu Cibrán, któremu przez lata udawało się odgrywać przed wszystkimi rolę niepiśmiennego katolika, gdy tymczasem potajemnie uczył się ode mnie sekretów ziemi. W tamtych czasach ukrywałem się pod spódnicami Świętego Cesarstwa Rzymskiego, konkretnie

pod troszkę daleko zarzuconą spódnicą (czy może raczej trenem?) pod Compostelą w królestwie Galicii. Miałem skromne gospodarstwo kilka mil od miasta i wszyscy mnie lubili, bo oddawałem lwią część zbiorów na Jezusa i spółkę, płacąc klerowi hojną dziesięcinę. Ojciec Cibrána był kowalem w mieście i posyłał do mnie syna kilka razy w tygodniu po świeże warzywa i jajka, jako że hodowałem też kury. W zamian płacił mi pracą Cibrána w gospodarstwie, dzięki czemu mieliśmy sporo czasu na naukę. Już niemal ją zakończył i szykował się do wycieczki do lasu, by poddać się rytuałowi tatuowania, gdy w 997 roku Galicię najechała armia Almanzora i zrównała miasto z ziemią, przy okazji zabijając mojego ucznia i jego ojca, nim miałem czas ich ochronić. Wtedy uznałem, że czas zrezygnować z pracy nauczyciela. Ani ja, ani Półwysep Iberyjski nie byliśmy w dość stabilnym stanie, by nauka mogła przynieść jakiegokolwiek owoce. Spakowałem dobytek i ruszyłem w stronę Azji, by wrócić do Europy dopiero z hordami Czyngis-chana.

Odtąd co jakiś czas nachodziła mnie myśl o tym, jak miło byłoby założyć gdzieś jakiś mały druidzki zagajnik, ale wisząca nade mną groźba Aenghusa Óga z jednej strony, a prześladowania monoteistów z drugiej sprawiały, że marzenie to wydawało się kompletnie nierealne. Teraz jednak być może nie było to aż tak niemożliwe do zrealizowania, znaczy się, jeśli przeżyję wróżbę Morrigan. Moja umowa z nią nie gwarantowała mi uniwersalnej przepustki na każde śmiertelne zagrożenie. Ograniczała się jedynie do Morrigan, której należało się pierwszeństwo w tej sprawie, więc to było i tak już bardzo dużo. Problem w tym, że nie ma na tym (ani żadnym innym) świecie panteonu bez boga śmierci, a jeśli Aenghus Óg naprawdę zawarł przymierze z piekłem, to śmierć przyjedzie po mnie na płowym koniu i tyle (patrz: Apokalipsa św. Jana 6, 8).

Tak naprawdę najbardziej niepokoiła mnie ta różdżka z wrzosem, która sugerowała, że wojownik, nim obróci się w pył, zostanie jeszcze czymś zaskoczony. Byłem prawie pewien, że Aenghus nie jest już mnie w stanie właściwie niczym zaskoczyć, ale cały sabat wiedźm mógł to z pewnością uczynić. Zresztą już kilka razy im się to udało, najpierw tym całym zamieszanym z robieniem z Aenghusa impotentem, potem kłamaniami mi w żywe oczy, że wcale się z nim nie sprzymierzyły. I nawet samo to, że tak po prostu dały mi krew swojej przywódczyni, jakby były zupełnie pewne, że bez trudu mi ją wykradną albo że nigdy nie zdołam użyć jej przeciwko nim. A wszystko to są osiągnięcia ledwie trzech z ich sabatu – strach pomyśleć, jak bardzo będą mogły mnie zaskoczyć, jeśli skupi się na mnie cała ich banda!

Na dodatek teraz oto, w Rúli Búli, w głowie Granuaile siedziała sobie jeszcze jedna wiedźma, która twierdziła, że jest w stanie poradzić sobie z całym sabatem paskudnych Polek, o ile tylko będzie miała ten swój naszyjnik z rubinów, który musiał widocznie stanowić niezwykle potężny przedmiot magiczny, bo przecież w innym razie żadna porządna wiedźma nie chciałaby zabijać się za niego w walce z innymi czarownicami. Pytanie brzmiało: czy ja w ogóle chcę spuszczać coś tak potężnego ze smyczy?

Granuaile zatrzymała się znów przede mną i pochyliła, by zwrócić moją uwagę, nim miałem czas przemyśleć odpowiedź na to pytanie.

– Dobra, Atticusie, teraz pozwolę przemówić Lakshy, więc bądź grzeczny. – Posłała mi szelmowski uśmiech i nagle jej głowa przegięła się na bok, gdy rzekła się kontroli nad ciałem. Kiedy podniosła się z powrotem, jej oczy wbiły we mnie nieprzeniknione spojrzenie, a kąciki ust i oczu zdradzały nagle sędziwy wiek. Jej powitalne słowa miały silny akcent, spółgłoski i samogłoski wydawały się krótsze, a intonacja zyskała charakterystyczną dla Tamilów melodyjną śpiewność:

– Cieszę się, że wreszcie mamy okazję porozmawiać, druidzie – rzekła. – Nazywam się Laksha Kulasekaran i pozdrawiam cię w pokoju.

Przemiana z młodej, pogodnej amerykańskiej Irlandki w wiekową indyjską wiedźmę była

tak przerażająca, że nie mogły tu nic pomóc żadne słowa o pokoju czy pozdrawianiu, choćby nawet wypływały z ust Granuaile. Jak mawiał Mark Twain, po prostu ciarki mnie obleciały.

Rozdział 20

I ja mam nadzieję, że nic nie zmaćci pokoju między nami – rzekłem do wiedźmy zamieszkującej w głowie Granuaile. – Może opowiesz mi, jak to się stało, że rozmawiasz teraz ze mną.

– Urodziłam się w 1277 roku w Maduraju za panowania króla Marawarambana Kulasekarana z dynastii Pandzów, którego imię przyjąłem sobie za swoje ku jego czci – odparła Laksha. – Kiedy miałam szesnaście lat, spotkałam Marco Polo i dzięki niemu uświadomiłam sobie, że świat musi być znacznie większy, niż przypuszczałam, skoro mieszkają na nim także ludzie tacy jak on. Wyszłam za bramina i przez jakiś czas odgrywałam rolę potulnej żony. Kiedy go nie było, zabawiałam się z królestwem demonów. Nie widziałam żadnej innej drogi wyzwolenia dla kobiety żyjącej w systemie kastowym. Rzeczy, których się wtedy nauczyłam, są w większości okropne... rakszasy nie są w posiadaniu żadnej przyjemnej wiedzy. Sztuki przenoszenia ducha z miejsca na miejsce nauczyłam się od wetali. Słyszałeś może o nich?

– Tak – odpowiedziałem. – To demony wedyjskie. Odpowiedzialne za opętania.

– Właśnie. Wykorzystuję ich metodę, by przenieść mojego ducha do klejnotu czy w nową osobę.

– Możesz przenieść ją w dowolny przedmiot?

Laksha wyglądała na zaskoczoną tym pytaniem.

– Tak. Tak mi się wydaje. Duch zmieści się niemal wszędzie. Lecz po co miałabym umieszczać go w czymś, co może ulec zniszczeniu lub ma małą wartość? O klejnoty zwykle się dba, mają większą szansę na przetrwanie.

– Też racja. To powiedz mi, jak to się stało, że wylądowałaś w tym rubinie na dnie oceanu.

Laksha wzruszyła ramionami Granuaile.

– Chciałam zacząć nowe życie... w nowym świecie. Postanowiłam opuścić Indie. W 1850 roku opłaciłam przejazd na kliperze, którzy przewoził opium do Chin. Właściciele statku zamierzali dorobić się fortuny na gorączce złota w Kalifornii, więc gdy już dotarliśmy do Chin, załadowali statek drogimi jedwabiami, dywanami i innymi luksusowymi towarami, które chcieli sprzedać w San Francisco, i porządnie to wszystko ubezpieczyli. Uznałam, że to okazja, której nie mogę przegapić. Ameryka była wtedy krajem znacznie bardziej postępowym niż Chiny, miejscem, gdzie nawet kobieta mogła mieć własny biznes, jeśli tylko chciała, toteż znów opłaciłam kolejny przejazd statkiem, tym razem obiecując kapitanowi wspaniałe usługi erotyczne, jeśli moje imię nie pojawi się na liście pasażerów. Zupełnie nie miał wyobraźni w łóżku, a na dodatek bardzo brzydko pachniał. Być może wyczuł moją niechęć, bo gdy statek wpłynął na skały tuż przy wybrzeżach zwanych dziś Mendocino, a kadłub zaczął nabierać wody, nie wziął mnie ze sobą do szalupy. Łodzi starczyło wprawdzie dla wszystkich, ale ja wylądowałam w takiej z chińską załogą, która nie miała żadnych powodów, by być dla mnie miłą, a w dodatku nie władała żadnym ze znanych mi języków. Na wodzie, bez odpowiedniego miejsca i czasu do odprawienia rytuału, nie jestem zbyt potężna. Zbliżaliśmy się już do brzegu. Czterech ludzi siedziało przy wiosłach. I nagle zorientowałam się, że patrzą na mój naszyjnik i rozmawiają o mnie. Pewnie myśleli sobie, że gdybym zniknęła, wszyscy uznaliby, iż po prostu utonąłam, i któż mógłby im cokolwiek udowodnić. Może chcieli sprzedać naszyjnik w San Francisco i podzielić się zyskiem. Cokolwiek tam sobie zaplanowali, jeden z nich nagle wyciągnął nóż i dźgnął mnie nim w plecy, a inny usiłował zerwać mi naszyjnik. Mimo straszliwego bólu próbowałam odsunąć się od tego z nożem, wstałam więc raptownie i rzuciłam

się za burtę, ciągnąc za sobą nieszczęsnego złodzieja, który wciąż walczył o naszyjnik. Czułam, że umieram. Zresztą i tak nie potrafiłam pływać. Na szczęście mój napastnik też nie potrafił. Udało mu się zerwać mi naszyjnik z szyi, ale wciąż trzymałam go w dłoniach, wkrótce więc poddał się spanikowany i zostawił mnie, by za wszelką cenę dotrzeć na powierzchnię, gdzie z pewnością uratowali go pozostali marynarze. Widziałam już wszystko jak przez mgłę, a bałam się, że pod wodą metody wetali mogą się okazać niezbyt skuteczne, toteż musiałam wybierać między opuszczeniem tego świata lub przesłaniem ducha do kamienia poprzez bezpośredni dotyk. Oczywiście wybrałam tę drugą opcję i tak oto stoję tu przed tobą.

Nie zakończyła swej opowieści uśmiechem. Po prostu umilkła i czekała na moją reakcję.

– No dobrze, a jakie są teraz twoje cele?

– Odzyskać naszyjnik i zdobyć nowe ciało.

– Dobrze, wszystko po kolei. Dlaczego odzyskanie naszyjnika jest aż takie ważne?

Możemy z miejsca iść do jubilera i sprawić ci nowy rubin, jeśli jest ci on tak konieczny potrzebny do szczęścia.

– Nie. Ten konkretny naszyjnik ma w sobie potężną moc magiczną. Jest rękodziełem demona. Zwiększa moją moc. Czy twój naszyjnik nie działa podobnie? – Wskazała na niego palcem i przechyliła głowę pytająco.

– Nie zrobił go żaden demon, ale tak, w zasadzie ma podobną funkcję – odparłam, starając się wypaść nonszalancko.

Tymczasem mój wiedźmopanikometr wędrował w niebezpieczne rejony czerwieni. Sformułowanie „rękodzieło demona” posłało go niemal maksymalnie na prawo, tak że strzałka znajdowała się już ledwie o stopień czy dwa ponad osiã x. Lecz pomyślałem sobie: jest już tak źle, że co mi szkodzi? Równie dobrze mogę jej zadać to naprawdę przerażające pytanie.

– Opowiedz mi o tym nowym ciecie. W jaki sposób zamierzasz je zdobyć?

– W przeszłości po prostu je sobie brałam, ale teraz przestrzegam wyższych norm moralnych.

– Brałeś je sobie? Wybacz, że pytam, ale masz na myśli ciała żywe czy martwe?

– Cokolwiek było akurat do dyspozycji i wydawało się dość atrakcyjne.

– Czy to znaczy, że to ciało z dna morza... ono w ogóle nie było ciałem, w którym się urodziłaś?

– Oczywiście, że nie! Jak niby miałabym sprawić, by jakieś marne ciało wytrzymało setki lat?

– No tak, oczywiście. – Uśmiechnąłem się i pokręciłem głową. – Głupie pytanie.

Przepraszam. – Mój wiedźmopanikometr sięgnął tym samym maksimum. Jeśli przyznam jej się, że odkryłem sposób na utrzymanie ciała przy życiu przez tysiące lat za pomocą zwykłej ziołowej herbatki, czy zje mi mózg na miejscu? Czy słyszała, jak mówiłem Granuaile o mojej znajomości ziół Airmid? – Wybacz moją ignorancję w tej kwestii, ale kiedy już bierzesz sobie takie żywe ciało, to co się dzieje z duszą, która akurat w nim przebywa?

– To pytanie od wieków pozostaje wielką tajemnicą ludzkości.

– Chcesz przez to powiedzieć, że ją zabijasz?

– Pozwalam jej powędrować dalej w cyklu życia i śmierci.

Ze wszystkich sił starałem się ukryć obrzydzenie jej niecznymi praktykami i bezduszną filozofią. Chyba nie do końca mi się udało. Jej czoło zaczęło się niepokojąco marszczyć, gdy zobaczyła, jak to przyjmuję.

– Skąd wiesz, że wędrują dalej? – spytałem. – Jeśli wyrzucasz dusze z ciał, zamiast pozwolić im normalnie umrzeć, być może nadal wałęsają się po ziemi zagubione duchy.

– Być może. Wierz mi, że teraz mam świadomość, jak źle postępowałam. Miałam masę

czasu, żeby rozmyślać nad swoimi uczynkami przez te wszystkie lata i zrozumiałam, że wykorzystywałam niewinnych ludzi tak samo, jak tamci żeglarze próbowali mnie wykorzystać. Wróciła do mnie karma, lecz mam świadomość, że był to ledwie ułamek pokuty, jaką muszę odprawić przez najbliższe stulecia.

– Jak sądzisz, czy czas spędzony w rubinie stanowił z kolei większy ułamek tej pokuty czy raczej większość jeszcze przed tobą?

Zaskoczona Laksha uniosła brew Granuaile, a potem zaraz ją zmarszczyła.

– Odnoszę wrażenie, że wątpisz w czystość moich intencji – wycedziła.

– Biorąc pod uwagę tę krótką historię, którą mi przedstawiłaś, i tak nieźle to znoszę.

Podsumowując, osiągnęłaś rodzaj nieśmiertelności dzięki jakiemuś makabrycznemu zdobywaniu coraz to nowych ciał, a w dodatku żyjesz w harmonii z demonami.

– W harmonii! – Laksha wyglądała na oburzoną tym zarzutem.

Najwyraźniej nie miała jednak nic przeciwko sformułowaniu „makabryczne zdobywanie coraz to nowych ciał”. Po chwili jednak przypomniałem sobie, jak Flidais zarzuciła mi, że żyję w harmonii z wampirami i że zareagowałem na to podobnie jak Laksha. Tego właśnie nie cierpię w całej tej wedyjskiej koncepcji karmy: gdy tylko ktoś zacznie o niej mówić, zaraz zaczynasz ją zauważać.

– Dobra, dobra, odszczekuję to – powiedziałem, wymachując rękami z frustracji. Nie chciałem zresztą drażnić tego tematu. – To słowo rzeczywiście niesie za duży bagaż i nie powinienem był go użyć, bo i ja go nie cierpię. Ale chodzi mi o to, że twoje znajomości w świecie demonów i złej magii sprawiają, że trudno mi będzie ci zaufać i mam pewne opory przed pomaganiem ci. Wybacz szczerą, ale wolę mówić wprost.

Laksha posłała mi nieco wymuszony uśmiech i kiwnęła głową.

– Doceniam to. I ja wolę mówić wprost. Pozwól więc, że uświadomię ci coś: mogłam zająć ciało Granuaile siłą, tak jak robiłam to w przeszłości. To by było znacznie łatwiejsze. Gdybym tylko chciała, mogłabym zostawić ją w każdej chwili i wskoczyć do byle ciała spotkanego na ulicy czy choćby nawet siedzącego przy barze. Ale nie chcę już dłużej tak postępować i dlatego właśnie poprosiłam ją o pozwolenie na przebywanie przez jakiś czas w jej ciele, a ona się zgodziła. Dlatego też staram się odzyskać naszyjnik poprzez współpracę i wzajemne świadczenie usług, a nie korzystając ze zwykłych sposobów opartych na egoistycznej agresji. Teraz robię wszystko, by obdarzać świat swoimi darami, zamiast siać chaos i zniszczenie.

– Doprawdy? A co się stanie z Radomiłą, gdy już ci pomogę?

– Karma. W końcu czeka ona każdego.

Postanowiłem puścić to mimo uszu.

– Jak znajdziesz następne ciało?

– Granuaile wpadła na pomysł, żeby odwiedzić szpital, gdzie leżą ludzie pogrążeni w śpiączce lub w stanie wegetatywnym. Ciała, które jeszcze żyją, ale zostały już opuszczone przez dusze. Być może uda mi się użyć takiego, przywrócić jakiś umysł do stanu funkcjonalności. Przez lata wiele się nauczyłam o mózgzach.

Bipnęła mi komórka, więc ją wyciszyłem.

– A jeśli te ciała nadal mają dusze, choćby bardzo słabo już z nimi związane?

– Spytałem je, czy chcą, żebym pomogła im wrócić do przytomności. Pewnie wiele dusz będzie chciało. Tym pomogę, jeśli będę w stanie, a potem wrócę do Granuaile i spróbuję jeszcze raz. W końcu znajdę ciało bez ducha lub z duchem, który będzie chciał umrzeć. Wtedy będę mogła je zająć, nie kalając już dodatkowo mojej duszy.

– Czyli twoje plany na najbliższą przyszłość wyglądają następująco, popraw mnie, jeśli się mylę: ja zgadzam się, by Granuaile zaczęła u mnie terminować, i zarazem pomagam ci

sprowadzić karmę na Radomilę. Wtedy z naszyjnikiem w dłoni idziesz do szpitala i znajdujesz nowe ciało na mieszkaniu. Czy tak?

– Tak.

– Hmm. Na moje oko ja niewiele na tym wszystkim zyskuję.

– Załatwiam dla ciebie problem Radomili. Czyż ona nie jest ci solą w oku?

– Ale jest także solą w twoim oku. Liczenie czegoś, co i tak chcesz zrobić ze względu na swój własny interes, jako przysługę dla mnie, to sztuczka godna księgowego.

– No, dobra. – Posłała mi uśmiech. – Może i racja. To czego chcesz?

– Widzisz ten miecz na moich plecach? To bardzo potężny przedmiot magiczny.

– Doprawdy? Nie zauważyłam. Mogę spojrzeć?

Ostrożnie zdjąłem pochwę przez głowę i położyłem Fragaracha na barze. Wysunąłem rękojeść tylko odrobinę, żeby było widać kawałek stali. Laksha przyglądała mu się uważnie przez chwilę, marszcząc brwi Granuaile, po czym posłała mi pytające spojrzenie.

– Jest na nim zaklęcie, które uniemożliwia odebranie ci go, ale poza tym wygląda mi na najzwyczajniejszy w świecie miecz.

Imponujące. Była w stanie nie tylko wyczuć moje sploty, ale też określić ich funkcję.

– Tak. Dzieje się tak, ponieważ Radomila założyła na niego magiczną osłonę. Chciałbym, żebyś ją zdjęła, jeśli umiesz. – Mogłem niby w każdej chwili zdjąć ją za pomocą własnych łez. A przynajmniej tak utrzymywała Radomila, ale naprawdę nie wierzyłem już w ani jedno jej słowo. Chciałem też się przekonać, co potrafi Laksha. Moje ostatnie słowa gwarantowały mi, że zrobi, co w jej mocy, bo wyraźnie za żadne skarby by nie przyznała, że Radomila w czymkolwiek ją przewyższa.

– Ach, teraz rozumiem już, czego ci trzeba. Chwileczkę. – Pochyliła się znów nad mieczem, przyglądając mu się uważnie. Wyciągnęła dłoń w kierunku rękojeści, ale zatrzymała się i spojrzała na mnie. – Mogę?

Kiwnąłem głową, a ona kontynuowała oględziny. Uniosła rękojeść i przyglądała jej się z bliska. To widać nie wystarczyło jednak, bo zamknęła oczy i przyłożyła ją sobie do czoła. Pottrzymała ją tak z pięć sekund, po czym z jej twarzy zniknęło skupienie, uśmiechnęła się i odłożyła rękojeść z powrotem na bar.

– Magiczne osłony zawsze muszą być jakoś umocowane na przedmiocie, zupełnie tak jak zwykle. Typowym miejscem dla zainstalowania osłony na mieczu jest głowica rękojeści, i tak też jest w tym wypadku. Radomila odwaliła kawał dobrej roboty. Osłona jest tak ściśle założona, że niemal nie pozostawia żadnych przecieków. Co musiałeś zrobić, żeby jej zapłacić za taką usługę?

– Skoczyć do Mendocino po pewien naszyjnik.

Laksha odrzuciła głowę Granuaile w tył i wybuchnęła śmiechem. Nie był to zbyt przyjemny dźwięk.

– Dałeś jej mój naszyjnik za tę osłonę?! Ale cię wykiwała!

– Cóż, i tak wkrótce spotka ją karma, nie?

Laksha pokiwała głową.

– O, tak.

– Czy możesz zdjąć tę osłonę?

– Tak. Potrzebowałabym na to z dziesięć minut.

– Świetnie. Jest jeszcze jeden drobiazg, o który chciałbym cię prosić, bym mógł czuć się w pełni usatysfakcjonowany w tej naszej wymianie usług.

Rozbawienie zniknęło natychmiast z twarzy Granuaile i zastąpiło je uważne spojrzenie prawdziwej bizneswomanki.

– Jeszcze jeden? Co konkretnie?

– Gdy wszystko to już się skończy, gdy odzyskasz swój naszyjnik i zdobędziesz nowe ciało, opuścisz Tempe i zamieszkasz na wschód od Missisipi, a za każdym razem, gdy będziesz chciała przyjechać do Arizony, poinformujesz mnie o tym.

Zmrużyła oczy Granuaile.

– Mogę spytać dlaczego?

– Jasne – powiedziałem. – Podziwiam twoje zdolności, Laksho Kulasekaran. Doceniam twoje postanowienie, by żyć odtąd cnotliwie i spełniać same dobre uczynki. Jestem ci szczególnie wdzięczny za to, jak zachowałeś się w stosunku do Granuaile i do mnie. Ale na wypadek, gdybyś jednak przypadkiem znów zaczęła... układać się... z demonami, wolałbym, żeby tym problemem zajął się kto inny, najlepiej ktoś daleko, daleko stąd.

Utkwiła we mnie baczne spojrzenie i już zdążyłem sobie pomyśleć, że będzie to Prawdziwy Pojedynek między Staruchami, gdy spuściła wzrok i kiwnęła głową, nim można by to było uznać za rzucenie wyzwania.

– Dobrze – powiedziała. – Skontaktuj się z Granuaile, kiedy będziesz chciała zdjąć tę osłonę. Będę musiała się trochę do tego przygotować. Wymaga to zresztą odrobiny prywatności. Daj jej też znać, gdy nadejdzie czas na dorwanie Radomili.

– Tak zrobię. Dziękuję.

Głowa Granuaile znów się przechyliła, jakby ta biedna dziewczyna cierpiała na chroniczną narkolepsję, a po chwili wróciła do pionu. Do głosu znów doszła osobowość rodzimej właścicielki ciała.

– Cześć, Atticusie! – powitała mnie radośnie. – Przydałaby ci się jeszcze jedna whisky, co?

Spojrzałem na szklanekę, wciąż w połowie pełną, i opróżniłem ją jednym haustem.

– No – przytaknąłem, odstawiając szklaneczkę nieco może niezdarnie. – Miło, że wróciłaś. Tęskniłem za tobą.

Wzięłem głęboki wdech i wydech, a whisky tymczasem wypaliła całe napięcie. Granuaile znów mi dołała i powiedziała, że zaraz wróci, ale musi wpierw obejść pozostałych gości.

Nie wypilem jednak tej ostatniej szklaneczki whisky, bo w tej właśnie chwili do Ruli Buli wpadł Gunnar Magnusson, samiec alfa Watahy z Tempe. Za nim pędziła większość jego wilkołaków, nie wyłączając doktora Snorriego Jodurssona.

– Gdzie Hal? – warknął Gunnar.

– Wyszedł ponad godzinę temu – odpowiedziałem.

– Coś się stało – grzmiał. – Sprawdzaleś komórkę?

– Nie – przyznałem i dopiero wtedy przypomniałem sobie, że rzeczywiście bipała gdzieś w środku rozmowy z Lakshą. Wyciągnąłem ją więc z kieszeni i spojrzałem na wyświetlacz. Emily, najmłodsza z Sióstr Trzech Zórz. Sms brzmiał: „Mam twojego prawnika i twojego pieska też! Przynieś miecz albo zginą obaj. Emily”.

Wiele czasu minęło, odkąd ostatni raz odczuwałem przemożną chęć zadania komuś bólu. Mam zwyczaj spoglądać na irytujących mnie ludzi z dużym dystansem. W sumie i tak ich wszystkich przeżywam, więc problem sam się rozwiązuje. Po cichu zmieniłem sobie hasło króla Salomona z: „To także minie” na „Ty także umrzesz” i to pomagało mi jak dotąd unikać rozmaitych konfliktów. Ale z ręką na sercu: takiej wściekłości nie czułem chyba od drugiej wojny światowej. Jeden sms sprawił, że aż mną zatrzęsło.

Ta laska śmie porywać mojego psa, żądać okupu i w ogóle stroić sobie ze mnie żarty w stylu Krainy Oz?

Bogowie niejedyni, jak ja nie cierpię wiedźm.

Rozdział 21

Pokazałem Magnussonowi sms, bo nie czułem się zdolny do wyartykułowania żadnej spójnej wypowiedzi. Warknął dziko i oddał mi komórkę. Pozostałe wilkołaki najeżyły się groźnie, gdy przekazał im tę wiadomość poprzez wewnętrzne łącze mentalne Watahy.

– Zrób to dla mnie i zadzwoń do niej – poprosił Magnusson, z trudem się opanowując. – Dowiedz się, proszę, gdzie przetrzymują Hala. Przez jakiś czas był nieprzytomny, a teraz wprawdzie doszedł do siebie, ale ma czymś zasłonięte oczy, więc nie jest w stanie powiedzieć nam, gdzie go wywieźli.

– Jasne – zgodziłem się natychmiast. – Tylko bądźcie, proszę, cicho podczas mojej rozmowy, tak żeby się nie zorientowała, że słuchacie.

Wilkołaki oczywiście bez problemu będą mogły usłyszeć każde jej słowo.

Magnusson ograniczył się do krótkiego kiwnięcia głową, a ja wybrałem numer nadawcy smsa.

– Trochę ci to zajęło – zamruczała Emily, odebrawszy po pierwszym sygnale. – Czyżby twój piesek nie był ci aż tak drogi, jak nam się zdawało?

– Udowodnij mi, że on jeszcze żyje – wycedziłem. – Bez tego w ogóle nie będę z tobą rozmawiał.

– Poproszę twojego prawnika, by cię o tym zapewnił – odparowała. – Momencik.

Nastąpiła cisza, potem jakieś szelesty i warknięcia, aż wreszcie usłyszałem, jak Emily każe powiedzieć Halowi, że nic im nie jest.

– Atticusie – wysapał z napięciem w głosie. – Widzę tu z pół sabatu. Jesteśmy w jakimś lesie. – Huk. Warknięcie. Emily, jakby z oddali, zaczęła krzyczeć, żeby nic mi nie mówił poza tym, że pies jest cały i zdrowy. – Przywiązały nas do drzew. Srebrnymi łańcuchami. Oberonowi nic nie zrobiły. Na razie przynajmniej.

– Wystarczy! – wrzasnęła Emily. Telefon wrócił do niej, ale usłyszałem jeszcze skomlenie Oberona. Żył. – We wschodniej części Superstition Mountains wejdź na szlak Haunted Canyon i idź do Tony Cabin – powiedziała. – Na niektórych mapach tę chatę nazywają też Tony Ranch, ale chodzi o to samo miejsce. Bądź po zmroku. Sam. Z mieczem. Przekażemy ci i psa, i wilka.

– Jeśli któremukolwiek z nich coś się stanie, ten miecz wejdzie w bezpośredni kontakt z twoją szyją i chrzanię ewentualne konsekwencje – wycharczał mój głos. – Rozumiesz to, więdźmo? Jesteś ze mną spleciona swoją własną krwią. Jeśli ich zabijesz, możesz mieć pewność, że cię dorwę. A ze mną Wataha Hala. Nie masz pojęcia, co cię czeka.

– Nie mam? Może powinnam więc spytać mego przyjaciela Aenghusa Óga. Z pewnością powie mi, jaka z ciebie gnida.

– Lepiej sama zadaj sobie następujące pytanie, więdźmo: jeśli jestem dla niego tylko gnidą, to niby dlaczego nie udało mu się zniszczyć mnie przez te dwa długie tysiąclecia? Jeśli tak łatwo się mnie pozbyć, to dlaczego odczuwa potrzebę wchodzenia w jakieś alianse z waszym sabatem?

– Dwa tysiąclecia? – wybąkała Emily.

– Dwa tysiąclecia? – wymsknęło się Magnussonowi.

Oż, cholera! Właśnie dlatego nie znoszę wpadać we wściekłość. Natychmiast zdradzam się wtedy ze wszystkimi sekretami. Nie mogłem przecież jednak pozwolić, by się domyśliła, że zdobyła jakiś punkcik, wyciągnąwszy ze mnie ściśle tajną informację o moim wieku, postanowiłem więc ograć to potknięcie.

– Dobrze słyszysz, laska. Czyli że masz kompletnie przejebane. Jedyne, co możesz zrobić, żeby przeżyć tę noc, to zadbać, by moim przyjaciołom nie spadł włos z głowy ani z reszty ciała. – Rozłączyłem się, nim miała czas odpowiedzieć.

– Nie pójdziesz tam sam – powiedział od razu Magnusson. Oczywiście słyszał każde jej słowo.

– Przyznam, że liczyłem na jakiś wspólny wypad – odparłem.

– Znów założyły mu worek na głowę – zrelacjonował mi Magnusson – ale przedtem zdążyliśmy zobaczyć przez łącze sześć wiem. I twojego psa. Hal czuje tam jeszcze czyjś zapach, ale nie widział tej osoby.

– Jak pachniała?

Magnusson przewrócił oczyma, gdy próbował sobie przypomnieć ten zapach i jakoś go ująć w słowa.

– Dębem, sierścią niedźwiedzia i... mokrymi piórami. Jakby jakiś ptak.

– Pewnie łabędź – mruknąłem. – To jedna ze zwierzęcych postaci Aenghusa Óga.

– Kto to taki?

– To długa historia. W skrócie: bóg. I będzie miał pewnie ze sobą parę demonów. Nie licząc wiem. Opowiem wam więcej po drodze. Ogólnie rzecz ujmując, czeka nas bójka z istotami z piekła rodem. Ale być może uda nam się zabrać ze sobą kogoś, kogo się zupełnie nie spodziewają.

– Kogo?

Odwróciłem się. Ruda syrena nalewała właśnie pintę guinnessa jakiemuś starszemu jegomościowi przy barze.

– Granuaile! – zawołałem, wyciągając portfel, żeby zapłacić rachunek. – Przyjmę cię do terminu, jeśli chcesz mnie mieć za mistrza. Czy nadal pragniesz zostać moją uczennicą?

– Oczywiście! – Pokiwała głową i uśmiechnęła się do mnie, stawiając kufel przed klientem.

– To powiedz swojemu szefowi, że rzucasz tę pracę. W trybie natychmiastowym – oznajmiłem. – Od teraz to ja jestem twoim pracodawcą. Tylko się pośpiesz, bo musimy wyjść w tej chwili.

Jej oczy pobiegły w stronę stojących wokół mnie wilkołaków, które tłoczyły się w pubie.

– Coś się stało, prawda?

– Tak. Stało się. Będę potrzebował pomocy twojej przyjaciółki – wyjaśniłem, pukając się znacząco w głowę, żeby wiedziała, że mówię o Lakshy. – To zarówno szansa dla niej, jak i dla ciebie, ale musimy już iść.

– OK! – krzyknęła i z uśmiechem podbiegła do drzwi do kuchni, otworzyła je na oścież i zawołała: – Hej, Liam! Odchodzę! – Potem wskoczyła na bar, przerzuciła nogi na drugą stronę i zeskoczyła między dwa stołki.

– Bravo! – skomentował starszy jegomość i uniósł swój kufel na znak szacunku.

Opuściliśmy lokal, nim Liam, kimkolwiek był, pojął, że właśnie stracił cholernie utalentowaną barmankę.

Wpakowaliśmy się wszyscy w rozmaite wypasione gabloty wilkołaków, które stały naprzeciwko stacji kolejki miejskiej, i ruszyliśmy na południe Mill Avenue aż do University Drive, gdzie skręciliśmy w prawo i zaraz potem w lewo, w Roosevelta, i zahamowaliśmy z piskiem opon przed domem wdowy.

Pospiesznie posłałem ich wszystkich (z wyjątkiem Granuaile i Gunnara) do przycinania drzewka grejpsfrutowego i pielienia rabatek, bo uznałem, że skoro policja wciąż obserwuje mój dom, a ja mam na głowie całą watahę wilków na skraju owłosienia, to najlepszym wyjściem

będzie zapędzić ich do jakiejś roboty. Dzięki temu nie tylko spełniałem obietnicę daną wdowie, ale i utrzymywałem Watahę na dwóch nogach.

Gdy wdowa cieszyła oko widokiem nieprzyzwoicie atletycznych mężczyzn i kobiet zajętych pracą w jej ogródku, ja zabrałem Gunnara i Granuaile na podwórko na tyłach.

– Poproś, proszę, Lakshę, żeby jak najszybciej zdjęła tę osłonę – powiedziałem do Granuaile i wcisnąłem jej w dłonie Fragaracha, pospiesznie zdjawszy z niego splot, który nie pozwalał mi go odebrać. – A ty – zwróciłem się do Gunnara – miej ją na oku, żeby nie dała drapaka z moim mieczem.

Granuaile posłała mi pełne oburzenia spojrzenie.

– Nie myślisz chyba, że Laksha zrobiłaby coś takiego?!

– Nie – zapewniłem ją. – Ale nieraz się już myliłem w ocenie ludzi, mam więc na tym punkcie lekką paranoję, jasne?

– A ty dokąd się wybierasz? – warknął na mnie samiec alfa.

– Muszę polecieć po coś do domu – rzuciłem. – Powiniennem być z powrotem za niecałe dziesięć minut. Jeśli nie, to wyślijcie mi kogoś na pomoc.

Magnusson skinął głową, a ja zacząłem się rozbierać.

– Co robisz? – bąknęła niepewnie Granuaile.

– Jedną z tych rzeczy, które będziesz w stanie zrobić już za jakieś dwadzieścia lat – mruknąłem, wyciągając klucze z kieszeni i ostrożnie kładąc je na kupce z ubraniami.

– Masz na myśli rozbieranie się? Już raczej umiem. Ojej – prychnęła – przydałoby ci się trochę słońca.

– Odczep się. Jestem Irlandczykiem, tak? – Pobrałem moc z ziemi poprzez tatuaże i poczułem się mile polechtany, gdy Granuaile aż jęknęła z wrażenia, widząc, jak zmieniam się w sowę gatunku puchacz wirginijski. Chwyciwszy klucze w dziób, uniosłem się bezszelestnie w powietrze.

– Ale się popisujesz! – krzyknął jeszcze za mną Gunnar.

Zwyczajnie mi zazdrościł. Ludzie nie jęczą z wrażenia, gdy on przemienia się w ich obecności. Po prostu wrzeszczą.

Z domu wdowy do mojego była ledwie minuta, przynajmniej jeśli się leciało jako sowa. Policjanci siedzący w samochodzie przed moim domem wyglądali na straszliwie wynudzonych. Zatoczyłem kilka kółek i wylądowałem na podwórku za domem. Rozejrzałem się uważnie, nim uznałem, że mogę bezpiecznie znów przyjąć ludzką postać. Wszystkie magiczne zabezpieczenia wciąż działały bez zarzutu i nikt mnie z tej strony nie obserwował, więc urosłem sobie przeciwstawne kciuki i wszedłem do domu kuchennymi drzwiami. Świstek z krwią Radomili wciąż leżał w książce za szkłem tam, gdzie go zostawiłem. Zrobiłem małą dziurkę w rogu i doczepiwszy go do kółka z kluczami, wróciłem na podwórko. Tam znów zmieniłem się w sowę, chwyciłem klucze dziobem i poleciałem spokojnie z powrotem do domu wdowy.

Granuaile siedziała w pozycji kwiatu lotosu pośrodku kręgu, który wyrysowała sobie na ziemi. Fragarach leżał jej na kolanach. Dłońmi trzymała go z każdego końca i nuciła coś sobie po tamilsku, nie miałem więc wątpliwości, że aktualnie kontrolę nad ciałem ma Laksha.

Gunnar Magnusson wciąż trwał jeszcze w ludzkiej skórze, ale widać było, że włos zaczyna mu się jeżyć na głowie. Gdy mnie ujrzał, wyraźnie mu ulżyło.

– Jak długo ona się tak już z tym męczy? – spytałem cicho, gdy odzyskałem struny głosowe. Ubrania leżały tam, gdzie je zostawiłem, ale nie miałem zbytnej ochoty tak od razu ich wkładać. Takie szybkie zmiany z jednej postaci w drugą zawsze trochę podrażniały mi skórę i wzдрыgałem się na samą myśl o wszelkim tarciu. Zresztą na razie nie było potrzeby ubierać się. Wdowa w ogóle rzadko zaglądała na podwórko za domem, a już z pewnością nie będzie tu

wędrować, jeśli paradują przed nią właśnie takie ciacha.

– Ledwie kilka minut – wycedził Magnusson niemal szeptem. – Ale zdaje mi się, że minęły całe wieki. Ciarki mnie przechodzą, jak na nią patrzę. Czy ty jej ufasz?

– Nie, z zasady nie ufam wiedźmom – odpowiedziałem. – Ale wierzę, że tę akurat robotę wykona uczciwie. W grę wchodzi jej ego, a może raczej powinienem powiedzieć: duma zawodowa. Jeśli uda jej się zdjąć osłonę założoną przez Radomilę, to udowodni, że rzeczywiście jest od niej lepsza w tym fachu.

– Czy to ty potrzebujesz tego dowodu czy raczej ona?

– Ja – odparłem. – To Radomila, a nie Emily, stoi tak naprawdę za porwaniem Hala i Oberona. Jeśli mamy się zmierzyć z całym sabatem, potrzebujemy po swojej stronie wiedźmy dużego kalibru. Musi co najmniej dorównywać Radomile.

– I to wszystko? Taki jest cel jej wysiłków? I czy ty przypadkiem nie chciałeś, żeby ten miecz był osłonięty?

Pokręciłem głową.

– Chciałem, ale już nie chcę. Wczoraj okazało się, że Radomila wciąż ma połączenie z mieczem i że jest w stanie użyć go przeciwko mnie. Pokazała Aenghusowi Ógowi, jakimi splotami omotać detektywa Faglesa, by wyczuwał osłonę i widział miecz, i to nawet mimo że rzuciłem na pochwę dodatkowe zaklęcie kamuflujące. A jeśli Radomila może przez to połączenie działać jeszcze więcej? Nie wiem, obrócić go przeciwko mnie w walce czy coś. Nie mogę ryzykować.

– Rzeczywiście nie możesz – przyznał mi rację Magnusson.

– Poza tym osłona miała przede wszystkim ukryć miecz przed Aenghusem Ógiem i jego ferajną. Skoro on i tak już wie, gdzie jestem, a w dodatku Brighid mówi, że chciałaby, żebym to ja zatrzymał tę broń, to już naprawdę nie ma sensu się dalej ukrywać. Myślę, że lepiej będzie mieć tę całą magię Fragaracha zupełnie luzem, Gunnar. Bo wtedy Aenghus Óg i sabat skupią się na mnie i na mieczu. Nawet nie zauważą ciebie i Watahy...

Magnusson pozwolił sobie na dziki uśmiech.

– ...ale z pewnością się was spodziewają – dokończyłem. – Byliby głupi, gdyby się jakoś na to nie przygotowali. Więc i wy się musicie przygotować. Będą mieli srebro, Gunnar. Jak dwa plus dwa jest cztery.

Uśmiech samca alfy zniknął w jednej chwili. Gunnar warknął złowieszczo. Skóra zaczęła mu się fałdować, oczy zabłysły żółtym blaskiem.

– Hej! Hej! Uspokój się! Jeszcze nie czas, przyjacielu. – Położyłem mu dłoń na ramieniu i uspokajałem tak długo, aż jego twarz przestała rozpylać się niczym woskowa figurka, a błysk w oku zniknął i zobaczyłem znów jego normalne, piwne oczy. Z trawnika przed domem doszły mnie jednak niepokojące skowyty i szczekania. Nie wszyscy członkowie Watahy umieli tak dobrze nad sobą zapanować jak Gunnar, a nawet on, potężny alfa, był już na granicy.

– Przepraszam – wyszeptał, zasapany i zlany potem. – Ale już dłużej nie jesteśmy w stanie tego znosić.

– Wiem, wiem. Ale powiedz chociaż tym, którzy już się przemieniali, żeby przybiegli tutaj i zostawili wdowę w spokoju.

– Zrobione – powiedział.

Zaraz potem trzy podekscytowane wilki krążyły wokół nas nerwowo, ale przynajmniej miały potulnie spuszczone łby.

Ostrożnie podeszedłem do kupki z ubraniami i zacząłem je wkładać, wyjaśniając mu przy tym, co zamierzam:

– Wdowa musi teraz zobaczyć jakąś znajomą twarz, bo o ile się nie mylę, właśnie na jej

oczach trzech członków twojego stada zmieniło się w wilki.

– Tak było – potwierdził Magnusson. – Czy można jej ufać?

– O, tak – zapewniłem go. – Dwa dni temu widziała, jak kogoś zabiłem, i natychmiast zaoferowała mi, żebym zakopał ciało w jej ogródku.

– Naprawdę? – Magnusson uniósł brwi zaskoczony. – Co za dzielna kobieta.

– Bardzo dzielna. – Uśmiechnąłem się, zapiąłem spodnie i wrzuciłem klucze ze świstkiem Radomili do kieszeni. – Ale teraz pewnie się trochę przestraszyła. Jak już wiedźma skończy swoją robotę – kiwnąłem głową w stronę Lakshy-Granuaile, nadal nucącej coś w swoim transie – poproś ją w moim imieniu, żeby odsunęła się od miecza i pozwoliła ci go przejąć. Jeśli odmówi, natychmiast poślij po mnie jednego z wilków, ale w żadnym razie jej nie atakuj. Tylko postaraj się, żeby nie uciekła.

– Wyobrazasz sobie, że wyślę do ciebie wilka jak jakąś Lassie? – Magnusson wyglądał na świeście oburzonego.

– Nie to nie. To sam po mnie przybiegnij. – Przewróciłem oczami, wkładając koszulę. – Mam zresztą nadzieję, że wrócę na tyle szybko, że sam się tym zajmę.

Pobiegłem pędem na przód domu. Na werandzie stała wdowa i darła się na pozostałe wilkołaki (nie wyłączając doktora Snorriego Jodurssona), żeby natychmiast zabierały się z jej trawnika i nie szczyrzyły tak niegrzecznie zębów. A kysz!

– Pani MacDonagh, wszystko w porządku. Nic pani nie grozi...

– A! To ty, Atticusie, chłopcze złoty. Nie jesteś przypadkiem jednym z nich, co? – Asekuracyjnie zasłoniła szyję ręką.

– Nie – zapewniłem ją. – Oczywiście, że nie.

– Kilkoro twoich znajomych zmieniło się właśnie w jakieś cholernie duże psy, mój drogi!

– Wzięła kilka głębokich wdechów i chwyciła się barierki werandy.

– Tak, wiem. Ale nic pani nie zrobią.

– No już! – nastroszyła się. – Tylko spróbuj mi wmówić, że to był pijacki wid!

– Nie, proszę pani. To było naprawdę. Ale nic pani nie grozi.

– Jak to? To co? Oni są z Irlandii?

– Nie, z Islandii. W większości w każdym razie. Ci młodszy są Amerykanami.

– Ale Islandia była brytyjską kolonią!

– Nie, nie, była kolonią nordycką. Bardzo, bardzo panią przepraszam, pani MacDonagh, ale mam takich trochę dziwnych znajomych. Zapewniam panią jednak, że żaden z nich nie jest Anglikiem i nic pani nie zrobią.

– Wydaje mi się, że jesteś mi winien jakieś wyjaśnienie, mój drogi.

Z zasady nie mówię nikomu prawdy o świecie, bo stracone złudzenia powodują zwykle masę bałaganu. Ale uznałem, że jeśli wdowa ma nerw wyganiać wilkołaki ze swego trawnika morowym „a kysz!”, to jest szansa, że podoła i temu. Usiedliśmy sobie na jej bujanych fotelach. Pozostałości Watahy pospiesznie sprzątały po przycinaniu grejpfruta i zniknęły jeden po drugim za domem, a ja tymczasem przedstawiłem jej bardzo skróconą wersję sytuacji: są na tym świecie rzeczy, o którym nie śniło się filozofom, w tym tacy druidzi jak ja i wilkołaki takie jak te z Watahy z Tempe.

– Jesteś prawdziwym druidem? Nie powinieneś przypadkiem już dawno nie żyć?

– Wiele ludzi uważa, że powinienem.

– I wszystko to jest naprawdę? Nic z tego nie jest zmyślane?

– Oczywiście wkradło się wiele przekłamań i zmyśleń, ale głównie w zakresie szczegółów. Na przykład ten mój znajomy wampir bardzo lubi czosnek. A wilkołaki, które właśnie pani widziała, mogą zmieniać się o każdej porze dnia i nocy, choć starają się ograniczyć

do pełni księżyca, bo sama transformacja jest dość bolesna.

– I Bóg też jest naprawdę?

– Tak, wszyscy oni istnieją, a przynajmniej istnieli jakiś czas temu.

– Ale mam na myśli Jezusa, Maryję i resztę.

– Oczywiście. Oni istnieli naprawdę. Znaczą nadal istnieją. Mili ludzie.

– A Lucyfer?

– Nie poznałem go osobiście, ale nie wątpię, że i on gdzieś tam jest. Allah zajmuje się swoimi sprawami, tak jak i Budda, Sziwa, Morrigan i tak dalej. Rzecz w tym, pani MacDonagh, że kosmos jest takich rozmiarów, jakie jest w stanie objąć pani umysł. Toteż niektórzy ludzie żyją w niezwykle małych światach, a niektórzy w świecie niekończących się możliwości. Właśnie przeżyła pani pewne naoczne doznania, które sugerowałyby, że jest on znacznie większy, niż się pani dotąd zdawało. Co zamierza pani zrobić z tą informacją? Wyprzeć ją czy też zaakceptować?

– Jakżebym mogła nie zaakceptować czegoś, co ty mówisz, serdeńko ty moje? –

Uśmiechnęła się do mnie z czułością. – Skoro jeszcze mnie nie zabiłeś za to, że widziałam znacznie więcej, niż powinnam, to musi chyba oznaczać, że mnie lubisz i że nie opowiadałbyś starej kobiecie jakichś banialuk. A poza tym przecież na własne oczy widziałam te cholerne wilkołaki.

Uśmiechnąłem się i poklepałem ją po małej, pomarszczonej dłoni usianej plamkami starości.

– Lubię panią, pani MacDonagh, naprawdę panią lubię. Ufam pani i wiem, że należy pani do tych prawdziwych przyjaciół, którzy zawsze pomogą zakopać ciało, jak by to powiedział pani Sean. Wiem, że ma pani pewnie masę pytań, ale w tej chwili muszę niestety zająć się czym innym. Porwano Oberona i jeszcze jednego takiego wilkołaka i dlatego właśnie wszyscy jesteśmy tacy zaniepokojeni. Porozmawiamy jutro i obiecuję, że odpowiem wtedy na wszystkie pani pytania. To jest, jeśli uda mi się przeżyć dzisiejszą noc – dodałem.

Wdowa uniosła brwi ze zdumienia.

– Masz ze sobą te wszystkie psiska, a i tak możesz umrzeć, słoneczko?

– Będę walczył z jednym bogiem, kilkoma demonami i całym sabatem wiedźm. Wszyscy oni marzą tylko o tym, żeby mnie zabić – wyjaśniłem – toteż tak, istnieje niestety takie prawdopodobieństwo.

– Ale ty zamierzasz ich wszystkich pozabijać, prawda, mój złoty chłopcze?

– Tak bym chciał.

– Tak trzymać! – Wdowa aż zachichotała z radości. – Do roboty, serdeńko. Nie ma na co czekać. Wybij ich co do jednego, a potem wpadnij do mnie z samego rana.

– Świetny pomysł – zauważył Gunnar Magnusson, wyłaniając się zza rogu. Wkroczył na werandę z Fragarachem w dłoni. Za nim podążała jego Wataha, częściowo w ludzkiej, a częściowo już w wilczej formie, a na końcu Granuaile. Po samym sposobie chodzenia poznałem od razu, że ciałem nadal zarządza Laksha.

Nie ulegało wątpliwości, że po osłonie Radomili nie pozostało ani śladu. Fragarach aż szumiał od starożytnej irlandzkiej magii, a gdy ująłem jego rękojeść, w ramieniu poczułem pulsowanie potężnej mocy. Od razu przypomniałem sobie, w jakim celu został on wykuty oraz w jakim celu ja muszę się nim teraz posłużyć.

– Dobra – powiedziałem, wyciągając go z pochwy i podziwiając głównię. – Zbyt długo już z tym zwlekałem. Jeśli Aenghus Óg chce tego miecza, to niech go ma, ale tylko na taką chwilę, jakiej mi będzie trzeba, by wypatroszyć tego boga od siedmiu boleści.

Rozdział 22

Szlak Haunted Canyon, czyli dosłownie: Szlak Nawiedzonego Kanionu, o którym mówiła Emily, wiedzie przez góry o uroczej nazwie Superstition Mountains (tj. Góry Przesądu) – dziki teren, na którym dobra setka głupców zginęła w poszukiwaniu złota. Ta pełna zdradzieckich pułapek kraina to skalisty, ciernisty koszmar, z rzadka poprzetykany przyjemnymi łąkami z chaparralu.

Pojechaliśmy na wschód autostradą US 60, minęliśmy Superior i skręciliśmy w lewo, w PintoValley Road, która doprowadziła nas prosto do kopalni miedzi. Wiodła tamtędy ogólnie dostępna droga prowadząca aż do początku szlaku. Był to wschodni skrawek Superstition Mountains, rzadko uczęszczany nawet przez turystów. Większość ludzi wybierała tę część szlaku, która zaczynała się w Peralcie, bo tam nieco łatwiej było wędrować, a krajobrazy bardziej odpowiadały ich wyobrażeniom na temat Arizony. Były tu i majestatyczne karnegie olbrzymie, i tajemnicze krzaki ocotillo, i rogate ropuchy, i wreszcie – imponująca jaszczurka zwana helodermą arizońską.

Wschodnia część gór mniej przypominała pustynię ozdobioną roslinami kaktusami, porośnięta była niekończącym się chaparralem, a małe kaktusy chowały się pod opuncją figową i kilkoma odmianami agawy. Nie brakowało tu także ostrych, niskich przeszkód: w chaparralu rosły karłowate dęby, mącznice, akacje, krzaki aronii i głogu. Ponad nimi górowały topole i platany, które były w stanie przetrwać na sezonowych deszczach i strumieniach powodziowych pędzących tu z kanionu.

Nasza karawana zaparkowała przed samym początkiem szlaku i okazało się, że Gunnar zapowiedział swojemu stadu, że mogą uwolnić wilki, gdy tylko dotrzemy na miejsce. Ze sportowych gablot wyskoczyły wściekle wilkołaki i zerwały z siebie ubrania, żeby jak najszybciej dać ujście swej dzikiej naturze. Gunnar Magnusson także się już przemienił. Na szczęście wszystkie plany zdążyliśmy omówić podczas jazdy. Tylko my z Granuaile staliśmy więc na dwóch nogach, ale nad ciałem panowała Laksha i nie wykazywała żadnego zainteresowania rozgrywającym się przed nią spektaklem przemiany w wilka dwudziestu wilkołaków naraz. Skinąłem na nią.

– Bądź tak dobra i pozwól Granuaile to zobaczyć – poprosiłem. – Zresztą i tak muszę z nią porozmawiać, zanim ruszymy.

– Proszę bardzo – powiedziała Laksha, a jej głowa opadła na stronę, gdy poszła budzić Granuaile. Czaszka wróciła do pionu i dziewczyna uśmiechnęła się do mnie promiennie, lecz po jakiejś nanosekundzie zauważyła wokół siebie powykręcane, wyjące zwierzęta.

– Co jest, u diabła?

– Ciii – uciszyłem ją. – Nic ci nie grozi, ale chciałem, żebyś to zobaczyła. To Wataha z Tempe. Pewnie nieraz obsługiwałaś wielu z nich w Rúli Búli.

– Gdzie my jesteśmy i co tu robimy?

Dość skrótowo wyjaśniłem jej sytuację, a ona ucieszyła się na wieść o tym, że Laksha będzie miała w końcu szansę dorwać Radomilę.

– Zanim wyruszymy, chciałbym założyć na ciebie kilka splotów – powiedziałem. – Będziemy biec przez góry i bynajmniej nie będzie to lekki poranny jogging. Znam ten szlak. Trzeba się wspinać o ponad tysiąc stóp przez kilka pierwszych mil. Dlatego splotę cię z sobą tak, żebyś mogła pobierać moją moc, którą ja czerpię z ziemi. Oznacza to generalnie, że będziesz mogła biec całą noc, w ogóle się nie męcząc. To pierwsza rzecz, jaką będziesz w stanie robić, gdy już będziesz miała własne tatuaże. Poza tym dam ci widzenie po ciemku, bo słońce już

zachodzi. Będziemy biegli za wilkami, bo lepiej nie pchać się przed nie, gdy są tak rozjuszone. Po kilku milach przywołam Lakshę, żeby mogła załatwić swoje porachunki, ale na razie chcę, żebyś uczestniczyła w tym biegu.

Granuaile wyglądała na nieco oszołomioną i ograniczyła się do kiwnięcia głową i potulnego „OK”.

W tej właśnie chwili zadzwoniła mi komórka.

– O, masz tu zasięg? – zdziwiła się.

– Jesteśmy ledwie sześć mil od autostrady. – Nie rozpoznawałem numeru, ale nie mogłem sobie pozwolić na to, żeby go zignorować.

– Panie O'Sullivan – usłyszałem znajomy głos z polskim akcentem. – Mam dla pana bardzo ważne informacje.

– Z pewnością znów jakieś kłamstwa, pani Malino – syknąłem – bo wszystko, co mi pani jak dotąd nagadała, to stek kłamstw.

– Nigdy pana świadomie nie okłamywałam – rzekła Malina. – Wierzyłam we wszystko, co panu powiedziałam. Dopiero dziś po południu odkryłam, że Radomila i Emilia zrobiły ze mnie mimowolną oszustkę. One rzeczywiście spiskują z Aenghusem Ógiem i rozmyślnie zwodziły mnie oraz pozostałe wiedźmy. Zostałam okłamana i zmanipulowana zupełnie tak jak pan. Dziś to odkryłam i próbowałam przemówić im do rozsądku, lecz one nie chcą zejść z raz już obranej drogi, choć jest ona bardzo nierozsądna. I dlatego właśnie w naszym sabacie doszło do rozłamów.

– Rozłamów?

– W Superstition Mountains czeka na pana sześć z nas. Z pewnością już się z panem kontaktowały.

Udałem, że nie słyszę tego ostatniego zdania.

– To gdzie się podziewa pozostałe siedem?

– Jesteśmy w domu i pozostaniemy tu, póki nie zadecydujemy, co robić. Zakładamy nowy sabat i musimy wiele przedyskutować.

– Które sześć jest w górach?

– Ta niewdzięczna pannica Emilia, oczywiście Radomila oraz Jadwiga, Ludmila, Mirosława i Zdzisława.

– A które pozostały z panią?

– Bogumila, Berta, Kazimiera, Klaudia, Roksana i Waclawa.

Żadne z tych imion nic mi nie mówiło, ale nie ulegało wątpliwości, że lepiej je znać.

– Skąd mam wiedzieć, czy mówi pani prawdę?

Malina syknęła ze złości.

– Obawiam się, że nic nie jestem panu w stanie udowodnić przez telefon. Kiedy jednak zmierzy się pan dziś z moimi byłymi siostrami, z pewnością zauważy pan, że mnie wśród nich nie ma.

– Zakładam, że nie dzwoniłaby pani teraz do mnie, gdyby oczekiwała pani mojej śmierci jeszcze dziś w nocy. Próbuje pani udobruchać mnie, żebym nie dopadł pani jutro.

– Wręcz przeciwnie. Jestem pewna, że pan dziś zginie.

– Ach tak. To miłe z pani strony.

– Po prostu nie chciałam, żeby myślał pan, że pana zdradziłam. W przeciwieństwie do moich byłych sióstr mam poczucie honoru.

– Jeszcze zobaczymy – mruknąłem i rozłączyłem się. Muszę pamiętać zadzwonić do niej jutro. Zrzuciłem buty, bo wilkołaki już zakończyły swoje transformacje i kręciły się wokół, niecierpliwie czekając na znak, że ruszamy. – Cierpliwości, błagam – prosiłem je. – Muszę

jeszcze rzucić kilka splotów.

Założyłem na Granuaile sploty, które jej obiecałem, i powiedziałem wilkom, że jesteśmy gotowi. Ja musiałem pozostać w ludzkiej postaci, żeby móc nieść miecz i komunikować się z Granuaile.

– Będziemy biec sprintem – zapowiedziałem jej. – Biegnij najszybciej, jak potrafisz. Nie bój się zadyszki, bo ci nie grozi. Tylko uważaj, żebyś nie skręciła kostki.

I ruszyliśmy przy wtórze kilku podekscytowanych, acz cichych skowytów Watahy. Gunnar wydał kategoryczny zakaz wycia i szczekania, bo miał nadzieję, że uda nam się zmylić wiedźmy i Aenghusa Oga co do naszej liczby i odległości od nich. Nie stanowiło to problemu, bo wilki mogły przecież porozumiewać się poprzez swoje mentalne łącza. Nasi wrogowie być może słyszeli coś z tych bolesnych okrzyków Watahy przy przemianie, ale być może nie. Teren Tony Cabin znajdował się w odległości co najmniej sześciu mil, a oddzielała nas od niego góra, która przy odrobinie szczęścia mogła wyciszyć wszystkie dźwięki.

Najbardziej martwiło mnie to, czy będę w stanie osłonić mój umysł przed Oberonem, gdy już będziemy bliżej. Nigdy przedtem w ogóle się nie zastanawiałem nad tą możliwością, bo nie było takiej potrzeby, ale teraz, jeśli tylko wyczuje moją obecność, zacznie wymachiwać ogonem niczym księżniczka na paradzie, a to niepotrzebnie ostrzeże naszych wrogów, że się zbliżamy. Naprawdę wolałbym im nie dawać tej wskazówki.

Gdy przebiegliśmy sprintem około pół mili pod górę – po skałach, zdradzieckim terenie i pod bezkłęskowym niebem – do mych uszu doszedł cichy chichot Granuaile.

– Niesamowite! – piała z zachwytem. – Co za wycieczka! I biegnę sobie z całą watahą prawdziwych wilkołaków!

– Postaraj się pamiętać o tym, gdy będziesz ślęczeć nad książkami i zastanawiać się, czy warto się tak męczyć. Bo to tylko przedsmak tego, co będziesz w stanie robić potem.

– A będę też mogła zmieniać się w sowę?

– Niewykluczone. Możesz przybierać postać czterech różnych zwierząt, ale to, jakie to będą zwierzęta, zależy od rytuału, a nie od byle kaprysu. Każdy otrzymuje nieco inne postacie.

– A ty jakie masz?

– Mogę być sową, ogarem, wydrą lub jeleniem. Nie są to postacie, które ja sam wybrałem, to raczej one mnie wybrały podczas rytuału.

– Ojej – szepnęła zachwycona. – Ale ultrazarąbiście!

Roześmiałem się i przyznałem jej rację. Wspięliśmy się na górę i – zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami z Gunnarem – zatrzymaliśmy u wejścia do kanionu. Wszystkie plany omówiłem z nim dość szczegółowo jeszcze w samochodzie, bo trudno mi się z nim skutecznie porozumiewać, kiedy jest już wilkiem. Rozmawianie z Oberonem to zakres mojej magii, ale komunikowanie się wewnątrz Watahy to już ich magia. Nie należałem do stada, bez względu na to, jak bardzo się przyjaźniliśmy. A wilkołaki są z zasady bardzo odporne na wszelką inną magię niż własną, nawet na rzeczy tak niewinne jak sploty, które pozwalałyby mi rozmawiać z nimi mentalnie, gdy są już wilkami.

– Tutaj niestety musimy się rozstać na jakiś czas – powiedziałem Granuaile. – Odtąd musi być tu ze mną Laksha.

– O, dobra... mistrzu czy sensei czy co tam. Jak właściwie powinnam się do ciebie zwracać?

Roześmiałem się.

– Gdyby tak dbać o poprawność, to arcydruidzie, ale obawiam się, że to nie przychodziłoby ci zbyt naturalnie, nie? Poza tym mogłoby zwrócić czyjąś uwagę, a tego chcemy zdecydowanie uniknąć. Poprzestańmy na sensei.

– Dobra. To spierz im tyłki, sensei. – Złożyła dłonie niczym rozmodlona modliszka i pokłoniła mi się, a gdy się wyprostowała, już Laksha przejęła kontrolę.

– Dlaczego ona ci się kłaniała? – spytała z tamilskim akcentem.

– Bo teraz jestem jej sensei.

– Nie znam tego słowa.

– Taki sobie ustaliliśmy tytuł. Mniejsza z tym. Słuchaj, jesteśmy cztery mile, tak pi razy oko, od Tony Cabin. Jak bardzo musisz się zbliżyć do Radomili?

– Żeby odebrać jej naszyjnik, będę musiała być tuż przy niej.

– Miałem raczej na myśli, jak blisko musisz być, żeby, no wiesz, spotkała ją karma?

Musisz mieć ją na widoku czy coś?

– Muszę tylko mieć tę kroplę krwi, o której tyle słyszałam.

Wyciągnąłem z kieszeni świstek od Radomili i podałem go Lakshy, a ona przyglądała mu się dłuższą chwilę jak normalny człowiek. Potem jednak zaczęła znów wyczyniać te swoje przerażające sztuczki. Oczy Granuaile przekręciły się jakoś nieprzyjemnie tak, że widziałem tylko jej białka. Domyślałem się, że jest to coś podobnego do mojego szkła faerycznego, jakiegoś wedyjskie trzecie oko czy coś, ale i tak wyglądało to paskudnie. Gdy już zobaczyła, co chciała zobaczyć, oczy zawirowały jej jak owoce w jednorękim bandycie i w końcu pojawiły się, ku mojej uldze, dwie źrenice, w każdym oku po jednej.

Spojrzały na mnie uważnie, a Laksha powiedziała:

– Z tym mogę ją zabić z odległości mili. Ale nie będę w stanie zabić pozostałych bez naszyjnika. Chyba że także jesteś w posiadaniu ich krwi?

– Nie jestem.

– Tak przypuszczałam. Będziesz więc musiał mi pomóc odzyskać naszyjnik, jeśli mam się nimi zająć.

– Tylko że wtedy będę już pewnie trochę zajęty – stwierdziłem z przekąsem, myśląc o Aenghusie Ógu. Nagle poczułem pod nogami szarpnięcie, delikatny znak, że ktoś w okolicy pobiera moc ziemi. Jedynymi istotami, które umiały to robić, były driady ze Starego Świata, Pan oraz Tuatha Dé Danann. Paranoja kazała mi od razu uznać, że to Aenghus Óg, jako że małe było prawdopodobieństwo, iż Pan ugania się za jakimiś driadami w środku Arizony.

– Ktoś tu idzie – szepnąłem i obnażyłem miecz. Wilkołaki najeżyły się i ustawiły przede mną, łbami zwrócone w kierunku, w którym patrzyłem, z nastawionymi uszami i wężącymi nosami. Miłe pieski.

Nie wiedziałem, czy magia Tuatha Dé Danann działa na wilkołaki. Moja nie działała za bardzo, a przecież był to ten sam typ czarów, choć znacznie słabszy. Kątem oka zauważyłem, że Laksha zwinęła ciało Granuaile w jakąś obronną pozycję, pewnie rodzaj warmakalaj, indyjskiej sztuki walki opartej głównie na atakowaniu odpowiednich punktów uciskowych. A zatem w sprawach obrony i walki nie polegała jedynie na magii, jak zwykła czynić to większość wiedźm. Dobrze wiedzieć. Na wypadek gdybyśmy pewnego dnia, sami wiecie, znaleźli się w przeciwnych drużynach.

Szarpanie pod moimi stopami było coraz mocniejsze. Ktokolwiek to był, zbliżał się do nas. Spojrzałem w dół kanionu, ale nie widać było żadnego ruchu. Głównie pewnie z powodu przerośniętej plataniny karłowatych dębów i mącznic. Ktoś, kto chciałby pozostać w ukryciu, mógł zrobić to bez trudu, i zakraść się pod same nasze nosy i pyski. Zresztą jeśli był to któryś z Tuatha Dé Danann, a wszystko na to wskazywało, to i tak przecież z pewnością się zakamufluje.

Na lewo ode mnie dwa wilki parsknęły wściekle i rzuciły się na kogoś. Odwróciłem się, żeby zobaczyć, kto się pojawi pod ich łapami. Wilkołaki jednak wykonały jakieś dziwne manewry, jakby chcąc nagle zatrzymać się w pół skoku, choć wyraźnie było już za późno, i

zderżyły się z czymś, co cisnęło nimi o ziemię, wywołując ich rozpaczliwe skomlenia.

Sęk w tym, że z mojego całkiem sporego doświadczenia wynika, że wilkołaki nigdy tak naprawdę nie skomlą. To stworzenia zaatakowane przez wilkołaki zajmują się rozpaczliwym skomleniem, ale i to krótko, bo nie jest łatwo skomleć, gdy się ma żyłę szyjną w strzępach.

Oczekiwałem więc, że Magnussona szlag trafi i że z miejsca da nauczkę temu niewidzialnemu czemuś albo przynajmniej wymierzy swoim skomlącym podwładnym jakiegoś mentalnego kuksańca.

Ale on i wszyscy członkowie Watahy padli na ziemię, przewrócili się na plecy i pokazali niewidzialnemu swoje wilcze gardła.

Wilkołaki nigdy tak nie robią. Pogratiulowałem sobie w duchu, że nie przybrałem postaci wilczarza, i nagle olśniło mnie. Z nicości wyłoniła się Flidais, bogini polowań, zrzucając z siebie niewidzialność i zwracając się wprost do mnie. Stado wilków leżało posłusznie u jej stóp.

– Atticusie, musimy porozmawiać, nim staniesz twarzą w twarz z Aenghusem Ógiem – rzekła. – Jeśli napadniecie na niego tak, jak stoicie, ta piękna wataha pójdzie na stracenie.

Rozdział 23

Znów obiecałem sobie w duchu, że nigdy, przenigdy nie przybiorę postaci zwierzęcej w obecności Flidais. Już przedtem doświadczyłem, jak bardzo jest to niebezpieczne, ale ta lekcja wilczego posłuszeństwa wstrząsnęła mną. Flidais miała nad zwierzętami władzę absolutną. W życiu bym nie pomyślał, że można podporządkować sobie całą Watahę wilkołaków za pomocą magii, a ona zrobiła to bez żadnego wysiłku. To rzucało nowe światło na nasze poprzednie spotkanie. Mój amulet tak naprawdę ochronił mnie wtedy przed dużą częścią jej mocy, a mnie durnemu się zdawało, że nie zadziałał! Oberon natomiast nie miał żadnych szans, by się jej przeciwstawić, tak jak ziemia nie ma szans pozostać sucha, gdy spadnie deszcz.

– Witaj, Flidais. – Skinąłem jej głową uprzejmie i opuściłem miecz, ale wciąż trzymałem go mocno. Gdyby zaszła taka potrzeba, będę mógł unieść go jednym ruchem ręki. – Jakie przynosisz wieści?

– Wiedzmy i Aenghus Óg robią wszystko, by zniszczyć Watahę. Chcą mieć pewność, że zostaniesz sam. Wokół chaty rozmieścili wiele pułapek, uruchamianych magicznie i zawierających srebro.

– Fizycznych pułapek wyposażonych w magiczne czujniki? – spytałem.

– Tak. Ale nawet gdyby Watasze udało się je minąć, wiedzmy mają przy sobie srebrne sztylety.

– Czy to znaczy, że zdecydowałaś się już, po której stajesz stronie? – spytałem.

Rudowłosa bogini enigmatycznie wzruszyła ramionami.

– Nie będę walczyć ani dla ciebie, ani z tobą. Nie pójdę też ścieżką, którą kroczysz.

– Nigdy bowiem nie staniesz przeciwko żadnemu Tuatha Dé Danann.

Jeden z kącików jej ust drgnął, układając usta w złośliwym uśmiešku. Nie, Flidais nigdy nie stanie po żadnej ze stron, ale to nie znaczy, że nie może od czasu do czasu podrzucić jednej z nich jakichś zupełnie zabójczych informacji. Nagle przypomniało mi się, że poprzysięgła sobie przecież zemstę na Aenghusie za to, że zakłócił jej polowanie w parku Papago. Dobrze, że nigdy się z nią nie pokłóciłem, bo z pewnością już dawno miałbym strzałę w pysku. Zauważyłem, że ma przy sobie łuk i kołczan. Chroniące jej lewą rękę rzemienie były zupełnie nowe.

– Może mogłabyś poradzić nam, jak mielibyśmy ominąć te pułapki? – spytałem.

Laksha zrobiła krok w tył, kryjąc się dyskretnie za mną. Jeśli łudziła się, że Flidais jej nie zauważyła, to była w błędzie. Bogini łowów już dawno się jej przyjrzała i po prostu uznała, że ta obca osoba nie stanowi zagrożenia.

– Nie da się ich wyminąć – powiedziała. – Będziecie musieli jedną uruchomić. Ale rozstawione są równomiernie wokół chaty, bo wiedzmy założyły, że Wataha nadejdzie ze wszystkich stron naraz.

– Tak byśmy pewnie zrobili.

– To zrozumiałe. Lecz jeśli zaatakujecie w jednym miejscu, poświęćcie jedno zwierzę, a reszta przebiegnie bezpiecznie. Potem będziecie już musieli tylko poradzić sobie ze sztyletami i tą odrobiną magii, którą wiedzmy zdołają przywołać z wilkołakami na gardłach.

– A ja będę musiał sobie poradzić z Aenghusem Ógiem.

– Tak, już tam jest. Wyczynia jakieś cuda w ognisku, pobierając przy tym ogromne ilości mocy.

No świetnie.

– A co z moim psem i moim prawnikiem?

– Nic im nie jest. Są nadal przywiązani do drzewa, ale poza tym nikt ich nie skrzywdził.

– To dobre wieści. Dziękuję ci za pomoc. Ale co z tą Watahą? – spytałem, wskazując na wilki leżące biernie na ziemi. – Co im zrobiłaś?

– Podporządkowałam je sobie oczywiście. Były tak podekscytowane, że dwa z nich aż na mnie skoczyły. Jak sobie niby wyobrażasz rozmowę w takich warunkach? A jako że wyglądało mi na to, że nie zamierzasz nic z tym zrobić, wzięłam to na siebie.

– Nie mam mocy podporządkowywania sobie wilkołaków – powiedziałem. – Ale nawet gdybym ją miał, na pewno bym jej nie użył.

– O? – Uniosła brwi. – A zatem czeka cię bardzo ciekawa sytuacja, gdy już sobie pójdę, druidzie.

– To prawda – przyznałem. – Jeśli przedtem były podekscytowane, to teraz po prostu wpadną w szal, gdy tylko je wypuścisz. Rzucą się na mnie choćby tylko po to, by dać upust żółci.

– Dać upust żółci? Czy ty znów cytujesz mistrza Szekspira? – Uśmiechnęła się do mnie, a ja zacząłem szybko robić listę rzeczy, których naprawdę nie powinienem robić przed bitwą. – Bo widzisz, wydaje mi się, że nikt już w tym stuleciu nie mówi o upuszczaniu żółci.

– Masz rację – wybąkałem. – Czasami myli mi się słownictwo. Oczywiście dziś wypadaloby raczej powiedzieć, że się wkurwią na maksa. Co więc mi radzisz?

– Porozmawiaj z nimi. Wytłumacz im, co zrobiłam i dlaczego, a potem każ się skupić na wykonaniu zadania. Cierpią na nadmiar żółci... znaczy... są wkurwieni, to niech to odreagowują na tych wiedźmach, a nie na tobie.

– Nie jestem w stanie tego zrobić – powiedziałem. – Jeśli chodzi o komunikację z wilkołakami, nie dorastam ci do pięt, Flidais.

Zmarszczyła brwi, ale milczała. Znów spojrzała na leżące u jej stóp wilki i poczułem, jak pobiera jeszcze trochę mocy z ziemi, by porozumieć się z nimi poprzez wewnętrzne łącza Watahy. Nie minęło pół minuty, a wilkołaki zerwały się jak jeden mąż i warknęły w jej stronę. Po chwili ich warknięcie przeszło w długie, straszliwe wycie. Gdyby we mnie wbiło się naraz tyle wściekłych spojrzeń żółtych ślepiów, z pewnością kiszki skręciłyby mi się na miejscu w węzeł gordyjski. Lecz na Flidais nie robiło to żadnego wrażenia. Powiedziała tylko:

– Biegnijcie uwolnić swego beta. Jeśli ten, którego poświęcicie, przeżyje pułapkę wiedźm, pomogę mu, jak tylko będę mogła, w usunięciu srebra. Jesteście silną watahą. Walczcie dzielnie, ucztujcie do woli i znów bądźcie razem.

Gunnar Magnusson warknął jeszcze groźniej, po czym odwrócił się i popędził ścieżką w dół kanionu. Stado pobiegło za nim w milczeniu, nie dając mi czasu na nic poza dość cichym:

– To na razie – i już biegłem za nimi, a tuż obok mnie spieszyła Laksha.

Wilkołaki nie przejmowały się teraz dwojgiem powolnych dwunożnych i gnały naprzód, nie oglądając się za siebie. Szybko zgubiły nas zupełnie, więc biegliśmy z Lakshą samotnie. Część z nich, być może wiele z nich, odniesie dziś poważne rany, być może nawet zginie w walce o uwolnienie samca beta. Lecz zarówno Gunnarowi, jak i pozostałym nie chodziło tylko o uratowanie członka Watahy, ale przede wszystkim o honor. Nikt nie ma prawa bezkarnie kpić sobie z Watahy – no może z wyjątkiem Flidais.

Pocieszałem się, że nie wszyscy Tuatha Dé Danann obdarzeni są takimi talentami jak ona. W każdym razie Aenghus Óg na pewno ich nie miał, skoro musiał sobie załatwić cały sabat czarownic, żeby broniły go przed Watahą. Ale miał za to inne talenty i pozostawało mi tylko mieć nadzieję, że mu w nich dorównuję.

Biegliśmy w ciszy, ale po jakimś czasie Laksha zwróciła mi uwagę, że interwencja Flidais może nam koniec końców wyjść na dobre.

– W życiu nie widziałam tak rozwścieczonych wilkołaków – powiedziała. – A to czyni je mocniejszymi. Może nawet przeżyją to srebro.

– Miejmy nadzieję.

Przemierzaliśmy niegościnne góry na tyle szybko, że po około dwudziestu minutach zbliżaliśmy się już do Tony Cabin. Usłyszeliśmy, że wilkołaki przed nami znów się na kogoś wkurwiły i wtedy Laksha zatrzymała się i powiedziała, że stąd jest już w stanie zaatakować Radomiłę. Gałki znów jej się wykręciły w oczodołach i zacząłem się nawet martwić, czy od tego machania oczami Granuaile nie dostanie przypadkiem migreny.

– Już jesteśmy nawet bliżej, niż potrzeba, a wilkołakom przyda się moja pomoc. To zajmie ledwie kilka minut.

Nie do końca rozumiałem, skąd przyszło jej do głowy, że Gunnar potrzebuje jej pomocy. Słysząc było, że są porządnie rozjuszeni, ale to przecież nie oznaczało jeszcze, że trzeba im biec na ratunek.

– Dobra – powiedziałem jednak, żeby nie tracić czasu. – Zobaczymy się na miejscu.

Laksha już zajęta była wykreślaniem jakiegoś kręgu na ziemi.

– Na to liczę – mruknęła.

Dalej biegłem już sam.

Tony Cabin nie jest usytuowane w dolinie ani na wzgórzu, tylko pośrodku łączki, wśród trawy i zielska. Rosnące wokół platany, karłowate dęby, jadaloszyń i drzewa palo verde pozwalają zakraść się dość blisko. Przy samej chacie rośnie jeszcze kilka drzew, w tym dwa platany, i to do nich właśnie przykuci byli jeńcy. Oberon jeszcze nie zarejestrował mojej obecności, za co byłem mu niezmiernie wdzięczny i nadal starałem się osłonić przed nim moje myśli o tyle, o ile byłem w stanie.

Wilkołaki uruchomiły już zasadzkę wiedźm. Trudno było tego raczej nie zauważyć – jeden z nich wył rozpaczliwie na ziemi, a srebrne igły wystawały z niego, jakby uczestniczył właśnie w jakiejś akupunkturze typu sado-macho. Trudno było mi powiedzieć na pewno, ale miałem wrażenie, że to wilk doktora Snorriego Jodurssona. Być może więc to on wyciągnął pechowy los. W hierarchii stada nie był wcale na samym dole, znajdował się raczej u jej szczytu, a jako ich etatowy lekarz był dla nich, moim zdaniem, dość cenny, ale kto zrozumie wewnętrzną politykę watah.

Przed chatą paliło się wielkie ognisko, które dawało sporo światła, ale nie było to bynajmniej światło płonących polan. Pomarańczowo-białe wiło się wokół ogniska, tworząc coś w rodzaju upiornego Solero. Całkiem nieźle oświetlało całą łączkę, przystanąłem więc w ciemności może ze dwadzieścia metrów na północ od Snorriego i rozejrzałem się bacznie.

Wilkołaki zdążyły już pokonać trzy wiedźmy, a gdy tak patrzyłem, powaliły właśnie czwartą, ale nie obyło się bez strat i po ich stronie. Trzy wilki krwawiły obficie, leżąc tuż przy ciałach czarownic. Trudno mi było nawet powiedzieć, czy jeszcze żyją. Wiedźmy świetnie się niestety posługiwały tymi swoimi sztyletami, z szybkością przywodzącą na myśl zakłęcie dodające prędkości, które proponowała mi niedawno Malina. Pozostały już tylko dwie czarownice – Emily i Radomila (Maliny i pozostałych nigdzie nie widziałem, co przypuszczalnie można było uznać za znak, że jednak nie kłamała mi przez telefon). Radomila rzeczywiście stanowiła dla wilkołaków nie lada wyzwanie. Wyśpiewywała jakieś zakłęcie ze środka klatki znajdującej się po przeciwnej stronie chaty niż więźniowie. Nie wątpiłem ani przez chwilę, że kraty klatki zrobione są ze srebra lub przynajmniej obficie posrebrzane. Wilkołaki po prostu nie zdołają jej dotknąć.

Emily natomiast nie miała takiej osłony i zobaczyłem, że jej i tak duże oczy lalki Barbie zwiększają się jeszcze bardziej, gdy dociera do niej, że zaraz stanie się wilczym gryzaczkiem. Stała na drugim końcu łąki, ledwie widoczna między platanami przy chacie, i wyglądało na to, że nie zamierza wcale zostawać na polu walki i umierać z bronią w rękę jak jej siostry. Ledwie

zdążyłem to pomyśleć, a ona już biegła w las. To tylko jeszcze bardziej rozwścieczyło wilki, które rzuciły się za nią w pogoń.

Lecz po chwili uświadomiłem sobie, że nie była aż taka głupia, na jaką wyglądała. Jej ucieczka z pewnością zaprowadzi wilki w kolejne pułapki, które wciąż były aktywne, a zatem wilkołaki znów je uruchomią. Gunnar, którego wilcza postać biegła na czele pościgu, widocznie też to sobie uświadomił i to w ostatniej chwili. Zatrzymał się natychmiast i nakazał Watasze zaprzestać pogoni. Stali tam i warczeli w ciemności, w której zniknęła Emily, wściekli, że nie udało im się jej dorwać. Z drugiej strony jednak nie chcieli przecież na pewno opuszczać łąki, skoro byli o krok od uratowania swego brata.

Nadszedł czas na mnie. Oni nie byli w stanie zrobić już wiele więcej. Wątpiłem, by mogli zmierzyć się Aenghusem Ógiem i wytrwać choć chwilę. Wątpiłem też, by mi się to udało, ale miałem przynajmniej odrobinę nadziei.

Aenghus Óg stał otoczony pomarańczową poświatą tego piekielnego ogniska, które wywołał, twarzą zwrócony na zachód i od stóp do głów zakuty w srebrną zbroję, która nie była z pewnością na mój użytek. Dobrze wiedział, że jeśli tylko się do niego dostanę, Fragarach przetnie ją jak papierową chusteczkę. Było to zabezpieczenie przeciwko wilkołakom, na wypadek gdyby jednak przebiły się przez wiedźmy, a praktycznie właśnie im się to udało, jeśli nie liczyć Emily, która uciekła w las, i Radomili, która nadal nuciła coś, co jakoś nie dawało żadnych widocznych rezultatów.

Miał na głowie hełm koryncki, czyli taki z jednego kawałka, bez żadnej dodatkowej klapy. Dawało mu to niezgorszą widoczność i możliwość oddychania, ale co najważniejsze, maksymalnie utrudniało ewentualne wgryzanie się w gardło, bo niezmiernie trudno by się było jakimkolwiek wilkołakowi wbić pod długie ochraniacze policzkowe. Zresztą nawet gdyby mu się udało, na szyi Aenghus miał jeszcze srebrny obojczyk, a pod nim srebrną kolczugę, która zresztą ciągnęła się mu aż za kolana. Raczej nie było mowy o ukradkowym kąsaniu ścięgien podkolanowych. Trudno zwykle ochronić kostki przed atakiem od tyłu, ale on wiedział dobrze, że skoro będzie miał do czynienia z wilkołakami, z pewnością będą próbowały się dorwać do jego ścięgien Achillesa, toteż w jakimś surrealistycznym kolażu średniowiecznej zbroi z amerykańskim spaghetti westernem obuł się w kozaki ze srebrnymi ostrogami, tak że z jego łydek wystawały upiorne kolce.

Było zatem jasne, że nie oczekiwał, iż stawię się sam. Wiedźmy też zresztą nie miały takich złudzeń. Więcej – on musiał sobie chyba jakoś zaplanować tę walkę z Watahą, bo tak przedziwna zbroja musiała być przecież wykonana na zamówienie specjalnie na tę okazję. Wilkołaki nigdy nie stanowiły żadnego zagrożenia w Tír na nÓg, a srebrnej zbroi nie można kupić ot, tak po prostu w byle butiku. Świadczyło to o tym, że naprawdę poważnie przemyślał ten atak. Zmroziło mnie na tę myśl aż do szpiku kości. Nie tylko dowiedział się, gdzie się ukrywam, ale nawet domyślił się, że skoro mam takich a nie innych prawników, po mojej stronie stanie cała Wataha. Zadrzałem skryty za topolą. Nagle miałem wrażenie, że jesteśmy niczym gracze w szachy, ale to on przemyślał sobie wiele, wiele ruchów naprzód. Od początku pokonał mnie w kwestii wiedźm, miał na swoje usługi dwa różne komisariaty policji i wiedział, ba! być może nawet liczył na to, że pojawię się na polu walki wraz z całym stadem wilkołaków. Co jeszcze przewidział? Co wyczyniał w tym ognisku i co kombinowała Radomila? Co się stanie, gdy wyjdę i mu się pokażę?

Niby w odpowiedzi na moje pytanie z płomieni zaczęło się nagle coś wyłaniać i niespiesznie przybrało kształt gdzieś po prawicy Aenghusa. Było jakby nie w pełni skryształizowane, wciąż wystarczająco przejrzyste, bym widział przez to zarysy chaty z tyłu, ale mimo to nie dało się zaprzeczyć – to coś było już fizycznie obecne. Wysoka postać w kapturze na

płowym koniu. Na imię było jej Śmierć.

Jeśli polegnę dziś w nocy, Śmierć weźmie mnie bez ociągania. Jakimś cudem Aenghus Óg dowiedział się widać o mojej umowie z Morrigan. Najprostsza odpowiedź była taka, że sama mu o tym powiedziała. Nigdy nie złamałaby danej mi przysięgi – nie wzięłaby mnie z tego świata – ale nigdy też nie żądałem przecież od niej, by trzymała naszą umowę w sekrecie. Naiwnie założyłem, że jej samej będzie zależało na tym, żeby nigdy nie dowiedziała się Brighid, ale teraz pomyślałem, że nie jest całkiem wykluczone, iż Morrigan sprzymierzyła się z Aenghusem Ógiem, żeby zrobić na złość Brighid, która przecież celowo nie poprosiła jej o pomoc w tym konflikcie. W takim wypadku mogłaby za jednym zamachem pozbyć się swej największej rywalki wśród Tuatha Dé Danann oraz irytującego druida, który mocno przekroczył już swoją datę ważności.

Niepokoilo mnie jeszcze coś. Flidais nie żartowała, gdy mówiła, że Aenghus pobrał wielkie ilości mocy. Były one naprawdę niebezpiecznie wysokie – igrał z możliwością kompletnego wyniszczenia całych mil ziemi. Jeśli się nie opamięta, przywrócenie do życia tego terenu zajmie długie lata pielęgnacji i troski ze strony całego zagajnika druidów.

To ostatecznie wypchnęło mnie z wiru wątpliwości, w którym tonąłem dotąd, a zarazem kazało wyjść z ukrycia. Póki nie miałem świadomości, jak wielkie zagrożenie stanowi Aenghus dla ziemi, mogłem zawsze obrócić się na pięcie i uciec. Mógłbym na przykład pojechać na Grenlandię, gdzie wbrew nazwie nic jakoś nie jest zielone, i przeczekać tam stulecie czy dwa. Teraz jednak nie mogło być o tym mowy. Aenghus Óg mógł sobie knuć przeciwko mnie, ile mu się żywnie podobało, mógł porwać, a nawet zabić mojego ukochanego psa, mógł wyciąć w pień całą Watahę z Tempe, zrzucić Brighid z tronu i przejąć panowanie nad faeriami, a ja byłbym nadal w stanie wszystko to przełknąć jakoś i uznać, że czasem trzeba zapłacić pewną cenę za kolejny dzień życia. Ale zabijanie ziemi, z którą związany był tatuażami tak samo jak ja, oznaczało zło, którego nie byłem w stanie znieść. Czyn ten był dowodem na to, że jego priorytety nie miały już nic wspólnego z naszą wiarą i że sprzymierzył się z ciemnością. Ta myśl kazała mi wyjść z ukrycia, obnażyć Fragaracha i rzucić się w krąg piekielnej światłości (po wcześniejszym przeskoczeniu ponad skomlącym doktorem Jodurssonem). Jeśli zginę dziś w nocy, będzie to śmierć, której nie powstydziliby się żaden druid – nie w walce wywołanej jakąś urażoną dumą kolejnego irlandzkiego króla, nie z powodu czyjejś zachcianki, by włączyć całą tę maleńką wysepkę na jakże wielkim świecie, ale w walce o ziemię, z której pochodzi nasza moc i która wszystkich nas tak hojnie obdarowuje.

Gdy nacierałem, nie traciłem oddechu na okrzyki wojenne. Wydaje się takowe, by zastraszyć przeciwnika, a ja nie miałem szans zastraszyć Aenghusa Óga. Liczyłem jedynie, że może go zaskoczę. Ale wszystko wskazywało na to, że tylko czekali na moment, gdy wyciągnę Fragaracha z pochwy, bo Radomila natychmiast otworzyła oczy i ryknęła ze swej srebrnej klatki:

– Już jest!

Gdybym mógł pozwolić sobie na przystąpienie, być może przemyślałbym taką rzecz: jak to się stało, że Radomila od razu wiedziała, że się zbliżam, gdy tylko wyciągnąłem Fragaracha z pochwy? Przystawanie nie wchodziło już jednak w grę.

Oberon zauważył mnie od razu, gdy wybiegłem w stronę światła, i zawył z ulgi i niepokoju.

<ATTICUS!> usłyszałem w głowie.

Już jestem, przyjacielu. Kocham cię. Ale siedź teraz cicho i daj mi się skupić. Kochany pies zamilkł posłusznie i od tej chwili słowa już od niego nie usłyszałem. Przez jakiś czas w każdym razie.

Za to doszedł do mych uszu potworny pisk, gdy Aenghus Óg machnął w stronę ogniska i

sprawił, że wybuchnęło ono demonami.

Rozdział 24

Ludzie w tej części świata wyobrażają sobie demony jako czerwone istotki z rogami wyrastającymi z czoła, z bródką i ogonem. Gdy już naprawdę puszcza wodze fantazji, dodają kozie nogi i zawsze się upierają, żeby ci jeszcze przypomnieć o racicach, na wypadek gdybyś nie wiedział, że koza ma racice. Nie wiem, kto to wymyślił. Pewnie jakiś rozgorączkowany, spragniony seksu mnich podczas krucjat (a przyznam, że zrobiłem wszystko, co mogłem, żeby być wtedy nieobecny w Europie, i spędzałem upojny czas w Azji), ale w każdym razie obraz ten przetrwał wiele pokoleń. Teraz z ognia wyskoczyło całkiem sporo takich właśnie diabełków, jako że przez te wszystkie lata stało się już tradycją, by choć część z nich ukazała się w takiej właśnie formie. Większość jednak przypominała raczej koszmary z obrazów Hieronima Boscha albo może Pietera Bruegla Starszego. Niektóre wyleciały w pustynne powietrze na szorstkich skrzydłach, ze szponami niczym palce rozczapierzone, by wbić się w coś lub kogoś. Inne wypełzły na ziemię nierównym krokiem, ponieważ miały nierówną liczbę nierównych kończyn. Część galopowała na tych niesławnych racicach. Ale wszystkie, bez wyjątku, miały mnóstwo ostrych części i śmierdziały jak diabli.

Aenghus Óg nie tracił czasu na zbędne prezentacje ani nawet na diaboliczny śmiech. Nie naigrawał się ze mnie, nie poinformował mnie, że zaraz umrę, tylko wskazał im moją osobę i wymamrotał irlandzki odpowiednik: „Brać go, chłopcy!”

Sporo z nich wykonało jego polecenie, ale kilka większych nie. Kątem oka zarejestrowałem, że jeden z tych z racicami pobiegł w góry, a największe, skrzydlate coś po prostu sobie odfrunęło i znikło.

Aenghus miał czelność okazać zdumienie takim brakiem subordynacji. Nawet zaczął za nimi krzyżeć, żeby wracały. Pewnie liczył na to, że te dwie większe bestie wykończą mnie po tym, jak mniejsze mnie trochę podręcą. Z ulgą stwierdziłem, że Wataha pędzi ochraniać Hala i Oberona, którzy nadal przykuci do drzew nie byli w stanie się bronić ani tym bardziej uciekać.

– A czego żeś się spodziewał, Aenghus? – zadrwiłem z niego, odcinając głowy pierwszym potworom. – To tylko pieprzone demony.

Potem już nie miałem czasu się wypowiedzieć na żaden temat, bo rzuciły się na mnie wszystkie naraz i musiałem się skupić na zabijaniu ich oraz na utrzymywaniu zawartości żołądka.

Po trzech sekundach uzmysłowiłem sobie, że zostanę pokonany albo z powodu niesamowitej liczby przeciwników, albo przez własną nieprzepartą chęć zwymiotowania. Z tego jednego małego ogniska już wylazło naprawdę masę drani, a co gorsza, końca nie było widać. Na szczęście wciąż byli przede mną, nie mieli jeszcze czasu mnie otoczyć, więc mogłem pobrać resztki cennej mocy z ziemi, pokazać na nich palcem wskazującym i krzyknąć „Dóigh!” tak, jak kazała mi Brighid, z nadzieją, że zaklęcie zadziała na kilka potworów naraz, i przygotować się na słabość, przed którą mnie ostrzegała.

Ale okazuje się, że na tego rodzaju słabość nie da się przygotować.

Z lewej nadciągało coś o nogach bociana i gębie pełnej kłów, z prawej jakieś upiorne skrzyżowanie California girl ze smokiem z Komodo, a od frontu pędziła na mnie kropka w kropkę maskotka Iron Maiden. Każde z nich nie tylko mnie dopadło, ale wręcz potknęło się o moje ciało, gdy raptownie opadłem na ziemię jak mała żyrafka. Moje mięśnie po prostu odmówiły posłuszeństwa.

Aenghus Óg zawył zwycięsko i krzyknął do Radomili:

– Zamykam bramę! Rzucił miecz! Teraz!

A, racja. Miecz. Ten, którego moje palce nie były już w stanie utrzymać. Ten, który

sprawiał, że nie stałem się jeszcze karmą dla demonów. Potrzebowałem mocy i próbowałem pobrać jej trochę, ale gdy sięgnąłem w stronę ziemi, okazało się, że pode mną jest martwo. Aenghus Óg wyczerpał ją całą, by sprowadzić piekło na ziemię. Trudno powiedzieć, jak głęboko musiałbym sięgnąć, żeby pobrać tyle mocy, by móc się podnieść, ale prawda była taka, że nie byłem w stanie się ruszyć. Moja zdolność widzenia w nocy zanikła i widziałem już tylko pomarańczowe światło wokół ognia. Bezskórny demon typu Iron Maiden pospiesznie wdrapał się z powrotem na mnie i wykorzystał chwilę mojej nieuwagi, by odgryźć sobie moje ucho. Ból był niewyobrażalny, gorszy nawet od tego, co musiałbym przecierpieć, żeby przeczytać dzieła zebrane Edith Wharton, ale nie byłem mu się w stanie wyrwać ani nawet jęknąć. Tak samo bezradny byłem, gdy pancerny komar wielkości sznaucera wylądował mi na piersi i wbił mi swoją trąbkę w ramię. Chciałem go pacnąć, ale nie miałem sił. Coś pokrytego niebieską łuską i z widocznym na pierwszy rzut oka uzależnieniem od sterydów chwyciło mnie za nogę i wyrzuciło wysoko w powietrze. Ujrzałem tylko gigantyczną paszczę pełną lśniących zębów i uznałem, że wkrótce w niej wyląduję. Komarzy sznaucer o krwio pijących skłonnościach uczynił widać podobne założenie, bo wyciągnął mi z ciała swoją trąbkę z mokrym plaśnięciem i odleciał. Lecz nagle runąłem bezceremonialnie na ziemię, łamiąc sobie lewy nadgarstek. Upadłem tak, że miałem świetny widok na ognisko, hordę demonów oraz Aenghusa Óga łającego właśnie Śmierć.

– No? Przecież chyba jasne, że on już nie żyje! Na co czekasz?!

Jeszcze nie, Aenghus. Jeszcze żyję, choć może nie potrwa to już długo. Być może zaraz skończę tak, jak ta martwa ziemia pode mną, ale może nie. Horda demonów zawyla i obnażyła zęby, jakby odczuła nagle kolosalne (choć jakby zimne) pieczenie w żołądku. Piekielne potwory skupiły się na wiciu w męczarniach, zupełnie o mnie zapominając, w większości w każdym razie. Tych latających nie dosięgło zaklęcie Zimnego Ognia, więc gigantyczny komar znów spokojnie sobie na mnie wylądował z wyraźnym zamiarem wyssania mnie na amen. W przeciwieństwie do zwykłych komarów nie wstrzykiwał miejscowego znieczulenia, żeby zmniejszyć ból przy ukłuciu. Miałem jednak przeczucie, że najgorszy ślad zostanie mi po jego ślinie, to jest o ile w ogóle pożyję na tyle długo, by się martwić takimi rzeczami.

Zimny Ogień pchnął demony w stronę nicości na bardzo różne sposoby: niektóre roztopiły się, tworząc kałużę paskudnej brei, niektóre wybuchły, jeszcze inne spłonęły szybkim ogniem, pozostawiając po sobie tylko popiół. Tak skończył na przykład ten, który zjadł mi ucho. Nigdy go już więcej nie widziałem, ale miałem złe przeczucie, że odtąd muzyka Iron Maiden będzie mi się źle kojarzyć.

– Co się stało? – zadał retoryczne pytanie Aenghus, a potem sam sobie na nie odpowiedział jak jakiś nieznośny dupek. – A, rozumiem. Zimny Ogień. Ale to oznacza przecież, że on jest teraz słaby jak kociak. Gdzie miecz, Radomilo?

Pod stertą demońskiej brei kilka metrów ode mnie. Ale czemu ona miałaby cokolwiek o tym wiedzieć? I co to było to coś, co kazał jej zrobić wcześniej? I, hej, tak, Aenghusie, czy ty w ogóle zamierzasz zrobić cokolwiek z całą tą resztą demonów, których nie rozwalił Zimny Ogień? Na przykład z tym latającym, który wciąż siedzi mi na piersi, i z całą masą tych, które wyleciały z ognia, nim je zamknąłeś, a już po tym, jak rzuciłem zaklęcie? Pewnie pozwoli im po prostu iść sobie, gdzie chcą, licząc na to, że stopniowo się wtopią w populację Apache Junction.

Wilkołaki tymczasem rozszarpywały wszystko, co podeszło zbyt blisko Hala i Oberona. I dobrze. Ale będą potrzebowali mojej pomocy z tymi srebrnymi łańcuchami, a tymczasem nie byłem w stanie pomóc nawet samemu sobie.

Głos Radomili zabrzmiał jakoś żałośnie:

– Nie mogę go znaleźć. Wiem, że gdzieś tu jest, ale nie jestem w stanie go namierzyć!

– To mi powiedz, na co ty mi tu w ogóle! – ryknął na nią Aenghus. – Jedyne, co mi byłaś

w stanie zagwarantować, to że będziesz umiała zawsze odnaleźć miecz i oddać mi go, choćby nawet zdjął z niego tę całą twoją osłonę. A teraz mi mówisz, że jednak nie?

Ha! To nie ja zdjąłem osłonę, tylko Laksha. A zdejmując ją, usunęła widocznie wszelkie jej ślady, których teraz szukała Radomila. Laksha nie próbowała jednak ukrywać naturalnej sygnatury magicznej Fragaracha i dlatego właśnie Radomila wiedziała, że go obnażyłem. Mimo to nie była w stanie określić jego lokalizacji. A skoro o Lakshy mowa, czy nie powinna już dawno rozwiązać pewnej sprawy?

Radomila miała właśnie odciąć się jakoś Aenghusowi, gdy jej oczy wybałuszyły się i spojrzały gdzieś w dal. A, więc jednak. Taki wzrok mógł świadczyć tylko o jednym. Radomila wyczuła, że ktoś ma jej tyłek na celowniku. Tym razem jednak nie będzie tak łatwo pozbyć się tego natręta. W końcu Laksha miała przecież jej krew.

– Odpowiedz mi, wiedźmo! – Jak na boga miłości, Aenghus wykazywał wyjątkową ślepotę na komunikaty pozawerbalne.

Radomila miała już w nosie jego i wszelkie obietnice, jakie mu kiedykolwiek złożyła. W panice główkowała, jak się ratować przed czymś, co wyraźnie ją atakowało. Za późno. Na jej czasce pojawiły się cztery wgłębienia, jakby jednocześnie czterech robotników kolejowych zamachnęło się na nią młotami z czterech różnych stron. Mózg i krew trysnęły na klatkę, a nawet obryzgały nieskazitelnie dotąd czystą zbroję Aenghusa Óga.

Oto dlaczego mam tę paranoję na temat wiedźm i krwi. (Dziennik druida, 11 października: Nigdy nie wkurzać Lakshy).

Gigantyczna przyssawka raptownie wyciągnęła ze mnie swoją trąbkę i odleciała. Bynajmniej nie dlatego, że się już najadła, więc wyglądało na to, że zbliża się do mnie coś znacznie większego i gorszego.

Nie było większe, ale na pewno było gorsze. Gdy w moją pierś wbiły się znajome szpony, od razu rozpoznałem wronę bitewną, Morrigan, Szafarkę Śmierci. Jej ślepiea błyszczały czerwonym blaskiem. Zły znak.

Aenghus Óg też ją rozpoznał i wreszcie dojrzał mnie pośród niedobitków swej armii demonów, gdy się obejrzał, by pojąć, jak to się stało, że jego ulubiona wiedźma miała niekontrolowany wybuch. Spojrzał niepewnie na Śmierć, który wciąż siedział sobie spokojnie i obserwował całe zajście, lecz zakapturzona postać pokręciła głową i wskazała gdzieś w moim kierunku. Oczywiście wskazywał mu Lakshę w lesie za mną, a nie mnie, ale Aenghus miał za mało danych i z tych, które miał, wyprowadził dość logiczny, choć niepoprawny wniosek.

– Aaa! Tyś to zrobił, druidzie? Nie doceniałem cię. Cóż, i tak ci to nie pomoże. Bitewna wrona już cię dorwała, zupełnie jak starego Cúchulainna, i zaraz wykole ci oczy. Głowę daję, że nie jesteś w stanie się ruszyć.

Nie wykluczałem możliwości, że się nie myli i że Morrigan rzeczywiście mnie w końcu zdradziła, ale ślepiea wrony błysnęły jeszcze głębszą czerwienią i pojąłem, że to Aenghus popełnił śmiertelny błąd. Morrigan nie lubi, gdy się traktuje ją tak, jakby miała obowiązek coś dla kogoś zrobić. Wydaje mi się, że i on sobie to poniewczasie uświadomił, bo choć zrobił już krok w moją stronę, zawahał się, gdy zobaczył błysk w jej oczach. Usłyszałem w głowie jej głos:

Zabił całą tę ziemię tylko po to, by ziszczyć jego sny o potędze. Ubzdurał sobie, że twój miecz pozwoli mu przeprowadzić w Tír na nÓg zamach stanu, i tylko po to zdradził to, co najświętsze. Nikczemny! Przeszłowała z nogi na nogę, boleśnie rozdzierając mi ciało na piersi, lecz pogrążona w rozmyślnościach zupełnie o to nie dbała. Nie mogę ci otwarcie pomóc, ale wesprę cię, jeśli obiecasz zachować wszystko w tajemnicy. Zgoda?

Nie musiałem się jakoś bardzo długo zastanawiać. Przystąpiłem na jej propozycję.

Użyczam ci mojej własnej mocy, żebyś był w stanie z nim walczyć. Od razu odzyskałem

czucie w mięśniach. *Jeśli przeżyjesz, oddasz mi ją. Jeśli zginiesz, tak czy siak do mnie wróci. Zgoda?*

Znów się na wszystko zgodziłem i z miejsca się znacznie lepiej poczułem. Nadgarstek natychmiast się wyleczył, zniknęła słabość, a rana po uchu zasklepiła się, choć samo ucho jakoś nie odrosło.

Czy mógłbym cię prosić o dorwanie tego komarowego demona i starcie go z powierzchni ziemi, podczas gdy ja zajmę się Aenghusem? Ma całe litry mojej krwi – poprosiłem mentalnie.

Wrona zakrakała z irytacji i załopotała skrzydłami. Aenghus Óg zrobił ostrożny krok naprzód, ale jej oczy natychmiast znów rozblęły ostrzegawczo, więc się zatrzymał.

– Morrigan? Co się dzieje? – spytał. Gdy zakrakała na niego groźnie, uniósł ręce i mruknął: – Dobra, dobra. Nie spiesz się.

Zatem do dzieła – powiedziała do mnie. A tak na marginesie, wiesz, że on ma przy sobie Moralltacha, tak?

Nie, ale dzięki, że mi mówisz.

Moralltach to tak jak Fragarach miecz magiczny; jego imię oznacza: Potężny Gniew. Ma bardzo ciekawą właściwość: zadany przezeń pierwszy cios jest zawsze ciosem ostatecznym zarazem. Czyli jedno zamachnięcie i po tobie. Małymi magicznymi literkami dopisane było do niego, że musi to być jednak porządny cios, a nie jakiś tam częściowo chybiony czy draśnięcie albo zwykłe uderzenie o tarczę czy miecz przeciwnika.

Masz zatem świadomość jego mocy i wiesz, jak powinieneś atakować?

Pełną świadomość, dziękuję.

Strategia była prosta: trzymać Aenghusa cały czas w defensywie, tak żeby ten jeden jedyny cios nigdy nie został zadany, szczególnie skoro nie miałem na sobie nic poza stuprocentową bawełną. On zresztą też będzie musiał robić wszystko, by nie pozwolić mi zadać ani jednego ciosu, bo przy moim mieczu jego zbroja była mniej więcej tyle warta co moje dżinsy i T-shirt.

Fragarach – zwany Prawdomównym – miał także pewne dodatkowe właściwości: dawał mi kontrolę nad wiatrem, choć nie przydawało mi się to dotąd jakoś szalenie tu, na pustyni. Poza tym, gdybym przyłożył go jakiejś osobie do gardła i zadał jej pytanie, musiałaby mi powiedzieć całą prawdę, stąd właśnie jego nazwa. Może jeśli będę miał szansę, spytam Aenghusa, dlaczego tak bardzo zależało mu na moim mieczu, skoro i tak ma tego swojego wypasionego Moralltacha? Zapowiadało się na ciekawy pojedynek.

Czas na ciebie – rzekła na odlotnym wrona. – Fragarach leży za tobą, na prawo, pod stopionym cielskiem tamtego, co miał kształt jaszczurki.

Morrigan zabrała ze mnie swoje szpony i odfrunęła w stronę Aenghusa Óga. Coś takiego może wytrącić z równowagi każdego, więc i on wbił wzrok w zbliżające się ptaszysko. Gdy jego uwaga całkowicie skupiona była na kwestiach ornitologicznych, zerwałem się na równe nogi, mile zaskoczony wyśmienitym samopoczuciem, i wyciągnąłem obślizgłego Fragaracha spod rozpuszczonego biustu smoka z Komodo vel California girl. Znów rzuciłem na siebie zakłęcie nocnego widzenia i odwróciłem głowę akurat wtedy, gdy Morrigan odlatywała, pozostawiając na twarzy Aenghusa Óga coś, co można by ładnie nazwać białym kwieciem. Zaklął dziko i chwycił się za twarz, a Morrigan zaniosła się głośnym krakaniem.

Z trudem zachowałem milczenie. Uśmiechając się do siebie pod nosem, zdjąłem szybko koszulę, żeby wytrzeć głownię i rękojeść. Po chwili dopiero uświadomiłem sobie, że rozbawienie nie jest może właściwą postawą w tej chwili. Czterdzieści metrów ode mnie stał ktoś, kto wyrządził mi – i ziemi – więcej krzywdy niż ktokolwiek inny.

Otarł wreszcie ptasie gówno z oczu i obejrzał się, żeby się upewnić, że jeńcy są nadal

tam, gdzie powinni, a wilkołaki nigdzie sobie nie poszły. Broniły Hala i Oberona przed pojedynczymi zbłąkanymi demonami, ale poza tym nie wykazywały żadnych oznak przechodzenia do ofensywy. Obrócił się w stronę Śmierci, który nadal siedział na swym bladym koniu i ani drgnął. Zadowolony z wyniku tych oględzin Aenghus odwrócił się, ale tym razem zobaczył, że stoję z Fragarachem w dłoni.

– Siodhachanie Ó Suileabháinie! – ryknął, dobywszy Moralltacha. – Długo na ciebie polowałem i gdyby jeszcze żyli na tym świecie bardowie, z pewnością ułożyliby o tobie jakąś balladę. Taką porządną, zakończoną tragiczną śmiercią głównego bohatera i morałem: nigdy nie wkurwiał Aenghusa Óga! – Zapluł się cały i zrobił czerwony na gębie ze wściekłości. Nic mu na to nie odpowiedziałem, tylko stałem tak i patrzyłem, dając mu chwilę, by uświadomił sobie, że stracił panowanie nad sobą. Zazgrzytał zębami, wziął głęboki oddech i wreszcie się pozbierał. – Ten oto miecz – rzekł, wskazując na mój – stanowi prawowitą własność Tuatha Dé Danann. Nie uciekniesz mi teraz. Jedyne, co ci pozostało, to błagać o litość. Rzuć miecz i padnij na kolana.

<Ten typ to jakiś homerycki dupek. Spierz mu ten jego lśniący tyłek, Atticusie> powiedział na to Oberon.

Odłożyłem ten komentarz na potem. Nacieszę się nim, jak już to przeżyję. Spojrzałem na niedoszłego uzurpatora i głosem tak zdecydowanym, na jaki tylko było mnie stać, oświadczyłem:

– Aenghusie Ógu, złamałeś prawo druidzkie, zabijając ziemię wokół nas i otwierając wrota piekieł, by wypuścić na ten świat demony. Niniejszym uznaję cię za winnego zbrodni przeciw ziemi i skazuję na śmierć.

<Amen, Atticusie! Do dzieła!>.

Aenghus prychnął tylko.

– Prawo druidzkie tu nie obowiązuje.

– Prawo druidzkie obowiązuje wszędzie tam, gdzie postąpiła moja noga, i doskonale o tym wiesz.

– Nie masz nade mną żadnej władzy. Nie podlegam twoim prawom.

– Moja władza opiera się na tym. – Zamachałem Fragarachem i posłałem na Aenghusa podmuch wiatru. Plan był taki, że tylko go tym przestraszę, ale chyba coś się za bardzo z tej złości zamachnąłem, bo pchnęło go z taką siłą, że aż wylądował na swej posrebrzanej sepierni.

<Hej! Szanuj mój autorytet> powiedział Oberon, całkiem nieźle naśladując Erica Cartmana.

Znów przypomniałem mu, że muszę się przecież skoncentrować. Czasami psy zapominają o takich rzeczach, jak się zbytnio podekscytują.

Zauważyłem, że straciłem trochę energii po tej małej sztuczce. Moc władania wiatrem pochodziła może od Fragaracha, ale mimo to wymagała mojej woli i siły, a jako że nie byłem w stanie pobierać nowej mocy z ziemi, musiałem oddać Fragarachowi część z tego, co pożyczyła mi Morrigan. To zmieniało postać rzeczy – jeśli się zmęczę, nie będę w stanie z nim walczyć. On jednak był w tej samej sytuacji, więc zamiast rzucić się na niego, nie ruszyłem się z miejsca i tylko zarechotałem. No, już, Aenghusie, rozłość się trochę. Ciśnij we mnie magią, zmęcz się i zobaczymy, co będzie.

Lewą dłoń uniosłem do naszyjnika, żeby się upewnić, że wciąż tam jest i że nic mu się nie stało. Aenghus tymczasem usiłował wstać. Utrudniały mu to nieco kolce na łydkach i ostrogi, które wbiły się w ziemię, więc roześmiałem się jeszcze głośniejsze. Zawtórowały mi wilkołaki. Większość pomniejszych demonów już uciekła lub poległa, więc wilki mogły sobie spokojnie patrzeć na wypadki człowieka ze srebra.

Spurpurowiał na gębie, posłał mi jedno z tych spojrzeń, które mówią: „Zapłacisz mi za

to!", i zamachnął się lewą ręką tak, jakby rzucał w moją stronę frisbee. W powietrzu nie zawirował jednak miły plastikowy krążek, ale jasnopomarańczowa kula piekielnego ognia. Takiego czegoś nie ciska nikt, kto nie zawarł umowy z kimś, z kim naprawdę nie powinien był podpisywać żadnego paktu.

Nie będę udawał, że mi się nie zacisnął zwieracz – mój instynkt przetrwania jest zbyt dobrze rozwinięty – ale poza tym nie dałem po sobie poznać, że ten diabelski ogień zaniepokoił mnie choć w najmniejszym stopniu. Nadeszła chwila, by się przekonać, jak dobry jest mój amulet.

Znacie to uczucie, jak odgrzejecie sobie żarełko w mikrofalce i nieopatrznie dotkniecie go, nim zdąży trochę wystygnąć?

No, to tak właśnie zadziałał na mnie piekielny ogień – nagłe ukłucie gorąca, które zniknęło w okamgnieniu i pozostawiło niewielki ślad, ale za to sprawiło, że całe moje ciało oblało się potem.

Aenghus nie wierzył własnym oczom. Był pewien, że ujrzy zwęglone zwłoki ze lśniącem mieczem zaciśniętym w dłoni, a zamiast tego widział rozszardzonego, ale jak najbardziej żywego druida, gapiącego się na niego ze lśniącem mieczem zaciśniętym w dłoni. Przynajmniej z tym mu się zgadzało.

– Jak to możliwe? – wybuchnął. – Druidzi nie mają osłon przeciwpiekielnych! Powinieneś już nie żyć!

Nic mu na to nie odpowiedziałem, tylko zacząłem się przesuwac wokół niego w prawo, starając się stanąć jakoś tak, żeby chociaż nie mieć pod nogami oślizgłych resztek po demonach.

Właśnie w tej chwili postać na płowym koniu zaczęła się śmiać. Wszystko na łące zamarło, wsłuchane w zachrypy chichot zakapturzonego Śmierci. Każdy chyba zachodził w głowę, co w tym śmiesznego.

Wykorzystując tę chwilę przerwy, zdeorientowanie Aenghusa Óga i suchą ziemię pod stopami, rzuciłem się do ataku. Co tu więcej powiedzieć? Skazałem go już na śmierć. Nic nie wskazywało na to, że posłusznie podda się mojemu wyrokowi, więc nie pozostawało mi nic innego, jak załatwić to raz na zawsze.

Marzyło mi się coś w stylu tych świetnych kawałków z anime, kiedy bohater wtyka czarnemu charakterowi miecz w bebechy, wszystko zaczyna drgać, nawet krople potu, a ten zły pluje krwią i cieniutkim głosikiem mówi: „To naprawdę był miecz Hanzo Hattori”, po czym umiera. Jednakże nie było mi to dane.

Aenghus swego czasu naprawdę nieźle posługiwał się mieczem, nawet raz czy dwa wyratował z opresji Fianna, bo (w przeciwieństwie do Bresa) znał się na tym fachu. Moją pierwszą serię ciosów sparował zwinnie, klnąc przy tym nieustannie i poprzysięgając okaleczyć me ciało, a następnie wykopać kości wszystkich moich potomków i zmienić je w klej bla bla bla. Jednocześnie próbował się wycofać i uwolnić ode mnie na chwilę, żeby móc przejść do kontrataku. A na to właśnie nie mogłem mu pozwolić. Nacieralem więc z coraz większym uporem i po chwili dotarło do mnie, że obaj walczymy według starych irlandzkich wzorów, bo też i on pewnie nie znał żadnych innych. Ja natomiast i owszem, znałem. Nie po to siedziałem całe stulecia w Azji, nie po to od dziesięciu lat fechtowałem się z wampirem, żeby teraz znów wrócić do korzeni. Przerzuciłem się natychmiast na chińskie serie ciosów, opartych na fałszywych ruchach nadgarstka, i to od razu przyniosło mi pewne osiągnięcie: zasłonił się mieczem, oczekując ciosu z góry, by się przekonać, że tak naprawdę nadciągał on z boku. Ostrze wbiło się głęboko w jego lewe ramię, tuż nad łokciem. Wyrwałem je z ciała, gdy poczułem, że uderzam o kość. Ryknął z bólu i chyba próbował coś powiedzieć, ale przy tym tak pluł się ze złości, że nie udało mi się wyłapać żadnych słów z bezładnego potoku nieokreślonych dźwięków.

Lewą rękę miał już zupełnie niesprawną. Wisiała mu niczym gałąź jadłoszynu złamana przez monsun i znacząco zaburzała mu równowagę. Mogłem już zacząć nawet obstawiać, kto wygra. Rzadko się to zdarza komuś z zaburzeniami równowagi.

Wycofałem się i pozwoliłem mu sobie spokojnie krwawić, licząc na to, że to go z każdą sekundą czyni słabszym. Użył mocy, by zatrzymać krwawienie, ale to mi nie przeszkadzało. I tak będzie słabł, a zresztą nie miał szans odtworzyć tkanki mięśniowej w tak krótkim czasie. Teraz była jego kolej. Wiedziałem dobrze, że zaatakuje. W tej chwili nienawidziliśmy się już tak, jak tylko potrafi dwóch wściekłych Irlandczyków, czyli całkiem całkiem.

– Prześladowałeś mnie przez wieki – warknąłem. – Być może prześladowałbyś mnie i przez następne stulecia, ale zniszczyła cię głupia zazdrość o Brighid.

– To raczej ciebie zniszczyła! – ryknął Aenghus, którego szlag trafił, gdy usłyszał, że sprowadzam całe te jego złożone plany polityczno-militarne do typowej dla rodzeństwa rywalizacji.

Zamachnął się na mnie z ukosa, wkładając w to całą siłę. Ale ja znałem już jego metody walki – te prastare triki. Przewidziałem ten atak i wiedziałem, że jestem szybszy i mocniejszy. Odparłem jego natarcie ciosem po łuku w prawo, tak że jego miecz znalazł się pod moim, a dzierżąca go ręka zasłoniła ciało. Zrobiłem szybki krok do przodu i pchnąłem Fragarachem w szyję, nim miał czas odzyskać równowagę i próbować jakiegoś bekhendu. Głowa spadła mu z korpusu, oczy rozdziawiły się w zdumieniu, posoka trysnęła na plecy, a ciało osunęło się na ziemię.

– Jednak raczej ciebie – stwierdziłem.

Śmierć zaśmiał się znowu i popędził konia w naszą stronę. Odsunąłem się, gdy jeździec schylił się i chwycił z ziemi okrytą hełmem głowę Aenghusa Óga, po czym skierował konia z powrotem ku ognisku, zanosząc się cały czas maniackalnym śmiechem.

Usta boga miłości się nie poruszyły, ale i tak słyszałem, jak protestuje: *Nie! To Morrigan ma mnie zabrać, a nie ty! Nie ty! Morrigan! Zabierz mnie do Tír na nÓg! Morriganaaaaan!*

Płowy rumak Śmierci wskoczył wraz ze swym jeźdźcem i jego łupem z powrotem do ogniska, a stamtąd wprost do piekła. I tak oto pozbyłem się wreszcie Aenghusa Óga.

Rozdział 25

Dobra. To tego tam mamy już z głowy. To weź mnie teraz wypuść i kup mi steka, dobrze? – powiedział Oberon.

Masz to jak w banku, przyjacielu. Tylko muszę najpierw uwolnić wilkołaka, żeby Wataha nie pomyślała, że ich obrażam. Rozumiesz tu potrzebę pewnej dyplomacji, prawda?

<Ta, ale no już naprawdę. Oni mają takie wrażliwe te ega. Nigdy by człowiek nie przypuszczał, że takie z nich delikatesy>.

Wilkołaki wydały pomruki wyrażające pełną aprobatę, gdy podszedłem do Hala i zdjąłem mu worek z głowy. Oczy miał już zupełnie żółte, a jego wilk dosłownie wyrwał się na wolność, ale srebrne łańcuchy uniemożliwiały transformację. Oddychał ciężko, z trudem posługiwał się językiem.

– Dzięki... Atticusie – wycharczał. – Widziałem przez łącze Watahy... znasz tę rudą... tę, co ostrzegła o pułapkach...

– No, znam. To Flidais. – Zmarszczyłem czoło, gdy pochyliłem się, by spojrzeć na łańcuchy. Były zamknięte na kłódkę, a ja przecież nie jestem ślusarzem, u licha. Stopienie łańcuchów za pomocą magii zajęłoby z kolei za dużo czasu. Ktoś przecież musiał mieć klucz. – A czemu pytasz?

– To ona... to ona nas porwała!

– Co takiego?! Byłem pewien, że to Emily.

– Nie. – Pokręcił głową. – Nie. Emily tylko siedziała za kierownicą. To Flidais namówiła nas, żebyśmy wsiedli... do samochodu.

Spojrzałem na Oberona.

– Czemu nic nie mówiłeś? – spytałem głośno, żeby wszyscy słyszeli.

<Zamierzałem ci powiedzieć, ale ty mnie w ogóle nie słuchasz, tak? Tylko cały czas, cicho, Oberon, nie teraz, Oberon, nie mam czasu, Oberon...>

– Dobra – mruknąłem. – Hal, potrzebuję klucza. Masz jakiś pomysł, kto go może mieć?

Wskazał brodą w kierunku zwłok Radomili.

– Ta martwa wiedźma.

– Błee. To będzie dość obrzydliwe.

Poszedłem na drugą stronę chaty, gdzie stała srebrna klatka, i wzdygnąłem się mimowolnie na widok dzieła Lakshy. Radomila miała na sobie elegancką skórzaną kurteczkę, a gdy przyciągnąłem jej ciało do brzegu klatki, żeby móc zajrzeć w kieszenie, znalazłem w prawej kilka kluczy. W klatce widniał zamek, więc najpierw otworzyłem go, żeby wejść do środka i odzyskać naszyjnik dla Lakshy. To, co zastałem w środku, przywiodło mi na myśl określenie: „skrzepły zarazem od stęgłej na nim posoki”, choć oczywiście powinno być w tym wypadku „skrzepla”, a poza tym, skoro sama do tego wszystkiego doprowadziła, nie miała chyba prawa zgłaszać żadnych zażaleń.

Potem znów wróciłem do Hala, który sapał coraz ciężiej.

– Gdy tylko otworzę kłódkę, zmienisz się w wilka, tak?

Kiwnął mi głową, zbyt już nakręcony, żeby odpowiedzieć.

– Dobra. To przekaz Watasze coś ode mnie. Jeśli natkniecie się na Flidais, zostawcie ją w spokoju. Obiecała mi, że wróci tu i pomoże uleczyć waszych rannych. Natomiast koniecznie musicie dorwać Emily i przynieść mi jej głowę.

To wyrwało go z myśli o byciu wilkiem.

– Jej... głowę?

– Tak. Jest mi potrzebna. Co zrobicie z resztą, to wasza sprawa. Ale nie rzucajcie się za nią, póki nie rozbroimy tych pułapek ze srebra. Myślę, że Flidais będzie wiedziała, jak to zrobić, a jak nie, to spytamy Lakszę, gdy już tu dotrze.

– Nie ma takiej potrzeby, druidzie – oświadczyła Morrigan, która właśnie przyfrunęła i przeistoczyła się tuż przy mnie w kobietę. Znow naga. Pewnie widok odciętej głowy odwiecznego wroga wprowadził ją w miły stan podniecenia. – Pułapki przestały działać, gdy tylko zabiliście tamtą wiedźmę – wyjaśniła, wskazując na kawałki Radomili. – Nie były to trwałe zaklęcia.

– Dzięki, Morrigan. – Odwróciłem się do Hala i zacząłem otwierać zamek w kłódce. – Proszę bardzo. Miłego polowania. Poczekam tu i zajmę się waszymi rannymi najlepiej, jak potrafię.

Łańcuch zadymił, gdy dotknął ciała Hala, zdzierając mu kawał skóry. Hal syknął i zmienił się w wilka, gdy tylko spadły z niego łańcuchy, przy czym rozerwał w strzepy bardzo ładny garnitur za trzy tysiące dolców, który, w co nie wątpię, z pewnością dopisze mi do rachunku. Wataha otoczyła go, powitała radośnie, a on natychmiast zajął należne mu miejsce przy Gunnarze i popędzili razem w tę część łąki, gdzie ostatnio stała Emily. Polowanie czas zacząć.

– Udało ci się może odnaleźć tamtego krwiożerczego demona, Morrigan? – spytałem, wypuszczając Oberona na wolność. Wylizal mnie z radości, a ja przytuliłem go czule.

– Znaleziony, zniszczony – odparła. – Czy zwróciłeś może uwagę na to, że moja przepowiednia sprawdziła się co do joty?

– Jasne – przyznałem z uśmiechem. – Tylko że dotyczyła Aenghusa Óga, nie mnie, co mnie zresztą bardzo cieszy. Mogę zadać ci jedno pytanie?

– Nie krępuj się.

– Powiedziałas mi o naszej umowie? O tym, że nigdy mnie nie weźmiesz?

Przysunęła się na tyle blisko, że moje libido kompletnie zwariowało. Był to rodzaj czaru, z którym mój amulet niewiele był w stanie zrobić, poza lekkim zmniejszeniem jego mocy. Przejechała mi paznokciem po klatce piersiowej, a ja dopiero po chwili się zorientowałem, że zapomniałem o oddychaniu.

– Ależ wezmę cię, druidzie – zamruczała – i to wiele razy, ale dopiero gdy odzyskasz już siły.

Jej język wślizgnął się w moje jedyne ucho.

<No, nie! Znowu?> Oberon mentalnie przewrócił oczami.

– Nie to miałem na myśli – zdołałem wydukać, odsuwając się odrobinę. Z determinacją skupiłem się na baseballu. Miota Randy Johnson. Świetny gracz, ale zupełnie nieseksowny. Po prostu zerowy wskaźnik seksowności. Skup się, Atticus, skup. – Czy powiedziałas mi, że nigdy po mnie nie przyjdiesz?

Roześmiała się gardłowym śmiechem i przyłgnęła do mojego lewego boku. Jej oddech gilgotał mnie w szyję. Zaczerwieniłem się.

– Znaczący, czy powiedziałas mi, że nigdy nie odbierzesz mi życia?

– Tak – szepnęła mi do ucha i musiałem zamknąć oczy.

Dwa odbicia poza boisko. Wszystkie bazy obsadzone. Zero seksu.

– Dlaczego?

Wbiła mi paznokcie w piersi i aż jęknąłem cicho, bo przypomniałem sobie od razu, że jeszcze przed chwilą były to, jak by nie patrzeć, szpony.

– Chciałam, żeby przywołał Śmierć – powiedziała. – Założyłam, że dzięki temu, gdy go zabijesz, już nigdy więcej nie będę go musiała oglądać. Wiedziałam przecież, że przywoła

Śmierć, jeśli mu wspomnę o naszej umowie, i tak właśnie zrobił. I tak oto zemściłam się na nim całą wiecznością za milenia tych drobnych przykrości. Już jest w piekle i nie ma prawa wstępu do Tír na nÓg. Czyż nie jestem przerażającym wrogiem?

– O tak.

Westchnęła wyraźnie zadowolona i przycisnęła mi miednicę do nogi. Cóż mogę rzec? Niektóre kobiety lubią, jak im się mówi, że są przerażające. Taka mała perwersja.

– Ale czemu tak strasznie zależało mu na Fragarachu? – spytałem. – Bo nigdy jakoś nie miałem okazji go o to zapytać?

– Wśród faerii są takie, i jest ich całkiem sporo, które uważają, że nie powinieneś być w jego posiadaniu, jako że nie jesteś ani faerią, ani Tuatha Dé Danann. Zarzucają Brighid, że pozwoliła zaniknąć zbyt wielu starym tradycjom, a to, że nie odbiera ci Fragaracha, zawsze wymieniają jako koronny argument.

– Czyli wychodzi na to, że w Tír na nÓg jestem polityczną piłką do baseballa.

– Nie wiem, co to baseball – zamruczała mi prosto w ucho. – Ale wiem na pewno, że ci stanął. – Jej lewa dłoń zaczęła pieścić mój brzuch i zsuwać się na południe, w stronę dżinsów. – Tego na pewno przede mną nie ukryjesz. – Nagle odwróciła głowę na północny wschód i było po zabawie. – Idzie Flidais. Porozmawiamy później. Pamiętaj, że będziesz mi musiał oddać trochę mocy. Radziłabym ci spędzić noc na intensywnej regeneracji, bo przyjdę do ciebie z samego rana.

Zmieniła się we wronę i odleciała ku południowemu zachodowi.

Na przeciwległy koniec łąki wkroczyła Flidais. Bogini polowań machnęła do mnie zdawkowo i od razu podbiegła do doktora Snorriego Jodurssona, który wyglądał jak bardzo poturbowana poduszeczka na srebrne igiełki. Z trzech pozostałych wilków, które padły, dwa już wróciły do ludzkiej postaci. Oznaczało to, że są martwe. Nic dziwnego, że Hal i Wataha tak się palili do pogoni za Emily.

<Sam już nie wiem, co mam myśleć o tej rudowłosej pani> pożalił mi się Oberon, gdy biegłem pomóc temu drugiemu wilkołakowi, który jeszcze zipał. Oberon sadył susy tuż przy mnie, szczęśliwy, że wreszcie może rozprostować łapy. <Najpierw wydawała się taka miła, ale potem kazała mi zabić tamtego faceta i na dodatek pomogła nas porwać. A teraz próbuje uleczyć tego biednego wilka. Jak myślisz? Może ona cierpi na rozdwojenie jaźni?>.

W pewnym sensie tak. W końcu służy dwóm panom, a raczej paniom.

<Serio? Komu?>

Sobie samej i Brighid.

<A, to w takim razie ta jej miła część to musi być wtedy, kiedy służy Brighid! Lubię Brighid. Powiedziała, że jestem pięknym wilczarzem, czyli zna się na psach. A poza tym umie dobrze głaskać po brzuchu. Gdybyś znów ją spotkał, pamiętaj, że lubi herbatę z mlekiem i miodem>.

Uśmiechnąłem się. *Tęskniłem za tobą, Oberonie. A teraz zobaczmy, co się da zrobić dla tego wilkołaka.*

Była to samica, której nie rozpoznawałem. Warczała na nas groźnie, gdy się do niej zbliżyliśmy, ale gdy już nas rozpoznała i przypomniała sobie, że jesteśmy przyjaciółmi Watahy, natychmiast potulnie poddała się moim oględzinom. Sztylet dźgnął ją pod lewą przednią łapą, a na prawej miała zerwane ścięgna. Rany nie wyglądały na śmiertelne, ale nie była w stanie chodzić, a ciało nie zagoi jej się samo, póki są w nim ślady srebra.

Moja magia nie na wiele się tu mogła zdać (patrz: odporność wilkołaków na magię), ale mogłem po prostu obmyć jej rany, a wtedy wilczyca sama się wyleczy. Łatwo powiedzieć.

– Oberonie, wyczuwasz tu gdzieś wodę w okolicy?

Uniósł pysk i zaczął węszyć z takim przejęciem, że aż kichnął kilka razy, ale w końcu powiedział przepraszącym tonem:

<Nie jestem w stanie nic wyczuć poza tym smrodem krwi i demonów. Czemu po prostu nie wypchniesz sobie trochę wody z ziemi? Przecież już nieraz widziałem, jak to robiłeś>.

– Aenghus Óg zabił tę ziemię. Ona mnie już teraz nie posłucha.

– Nie martw się tym, druidzie – powiedziała Flidais, która już biegła w naszą stronę. – Jestem w stanie oczyścić tę ranę bez wody. Zaraz pozwolimy temu ciału zacząć się leczyć.

– Tak? A Snorri? Już z nim skończyłaś? – Spojrzałem na doktora, który wciąż leżał na ziemi tak jak przedtem, tyle że nie wystawały mu już z ciała te wszystkie igły.

– Tak. Już zdrowieje. A ta też zaraz zacznie – dodała, klękając, by przyłożyć rękę z tatuażami do rozciętej nogi rannej wilczycy. – Ma na imię Greta.

– Dlaczego to robisz?

– Przecież powiedziałam ci, że wrócę, żeby leczyć Watahę.

– Ale przecież sama porwałaś Hala i Oberona, przez co naraziłaś ich na to wszystko. Flidais syknęła zniecierpliwiona.

– Zrobiłam to tylko dlatego, że Brighid mi kazała.

Poczułem, jak krew odpływa mi z twarzy.

– Co?

– Nie udawaj, że nie nadążasz – burknęła. – Znasz nas na wylot, druidzie, a my ciebie jeszcze lepiej. Spójrz prawdzie w oczy. Gdyby nie to, że wzięto twoich przyjaciół jako zakładników, najprawdopodobniej znów umknąłbyś, migając się przed konfrontacją. A tego Brighid sobie tym razem nie życzyła, więc dałam Aengusowi coś, co gwarantowało, że się stawisz na polu walki. Rozumiesz, taki rodzaj haka na ciebie. Dzięki temu Brighid dostała to, czego chciała, to znaczy usunął jej rywala, a Aenghus dostał to, na co sobie zasłużył.

Tak się zdenerwowałem tą rozmową, że przeoczyłem, co takiego zrobiła Flidais, żeby usunąć srebro. Zależało mi na tym, żeby nauczyć się tego triku, bo mógł się kiedyś przydać, ale kiedy spojrzałem w dół, rany wilkołaczy już się zaczynały zamykać, a naprawdę nie miałem ochoty zaciągać żadnych długów u Flidais. Wyglądało na to, że będę musiał znaleźć na nią jakiegoś haka.

Zaniemówiłem na samą myśl o tym, jakim złożonym i przemyślanym manipulacjom zostałem poddany w ostatnich tygodniach. I to nie przez jednego, ale przez kilku członków Tuatha Dé Danann. Byłem pionkiem w rękach Brighid, Flidais i Morrigan – i to pionkiem, który pokonał dwóch niewygodnych bogów. Lecz przyniosło to także pewne błogosławieństwa, za które powinienem być wdzięczny: wciąż żyłem, a mój najgorszy wróg znajdował się już w piekle, zamiast zostać, jak pragnął, Pierwszym pośród Fae. Nie przychodziło mi do głowy nic, co mógłbym powiedzieć Flidais i nie wpakować się zarazem w jakieś kłopoty, uciekłem się więc do dobrych manier.

– Dziękuję ci za wyleczenie rannych Watahy, Flidais.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparła, wstając. – A teraz czeka mnie jeszcze większa przyjemność. Czy zauważyłeś, że uciekł jeden z tych wielkich demońskich baranów?

– Tak, zauważyłem. Duża sztuka.

– Upoluję go. – Uśmiechnęła się od ucha do ucha. – Wyruszył już jakiś czas temu, więc to nie będzie takie łatwe. Zanosi się na piękny pościg i jeszcze piękniejszą walkę, a trofeum z niego będzie się wyśmienicie prezentowało na ścianie w mojej chacie.

– Miłego polowania.

– Żegnaj, druidzie – rzekła i ruszyła pędem w stronę kanionu, lichy wie skąd czerpiąc energię na tej wyniszczonej ziemi. Miałem oto kolejne naoczne dowody na to, że Tuatha Dé

Danann mają dostęp do jakichś źródeł mocy, o których ja kompletnie nic nie wiedziałem. Było dla mnie teraz jasne, że przez całe tysiąclecia starannie utrzymywali mit, według którego mieli jakoby równie ograniczoną moc jak druidzi. Teraz pewnie nie miało to już żadnego znaczenia, że odkryłem tę ich tajemnicę. Komu miałbym cokolwiek powiedzieć?

<Wiesz, co ona mi przypomina, Atticusie?>

Co takiego, przyjacielu?

<Kawał steka, w który wbijasz zęby, i nagle się okazuje, że nie możesz ich z niego wydostać. Sam wiesz, że uwielbiam steki, ale czasem są takie denerwujące, że na dłuższy czas zupełnie mi się ich odechciewa>.

Masz absolutną rację, Oberonie.

Odwrócił łeb w stronę Snorriego i nastawił uszu.

<Hej, na moje oko to zbliża się ta twoja ślicznotka z baru>.

Teraz jest moją uczennicą. No, jej połowa w każdym razie.

<Ja cię, serio? A co w takim razie robi druga połowa?>

Tego jeszcze nie jestem pewien. Chodźmy do niej. Pomachałem na pożegnanie Grecie, której nie groziło już niebezpieczeństwo, a Oberon zaszczekał do niej na do widzenia. Staraliśmy się wyminąć uzdrawiającego się intensywnie doktora Jodurssona (wyglądał, jakby potrzebował spokojnego snu, co bez wątpienia i tak było trudne z tym całym łańcem Watahy, przez które z pewnością zalewała go nieustannie żądza mordy).

– Dzięki za poświęcenie, Snorri – szepnąłem, a Oberon zawtórował mi cichym szczeknięciem.

Snorri warknął półgłosem, żeby dać nam znać, że usłyszał, ale poza tym ani drgnął.

Laksha podeszła do niego z tyłu i zakryła sobie nos.

– Śmierdzi demonami – jęknęła.

– Świetna robota, jeśli chodzi o Radomilę – pochwaliłem ją.

– Miała przy sobie naszyjnik?

– Tak. – Uniosłem go tak, żeby mogła zobaczyć swój ociekający krwią skarb. – Reszta sabatu właściwie już nie istnieje, więc nie będziesz musiała korzystać z niego w tym zakresie. Proszę bardzo, przekazuję ci go tak, jak obiecałem.

Wzięła ode mnie naszyjnik i uśmiechnęła się.

– Dziękuję. To wspaniałe móc pracować z kimś, kto dotrzymuje słowa.

– Więcej, zamierzam i tobie pomóc w dotrzymaniu twojej części umowy – odparłem.

– Tak? – Zmrużyła oczy. – W jaki sposób?

– Daję Granuaile trzydzieści tysięcy dolarów, żeby poleciała gdzieś na wschód i znalazła ci odpowiedni dom. Gdy już obudzisz się w nowym ciele, da ci resztę, żebyś się jakoś urządziła, to znaczy po odjęciu od tego kwoty potrzebnej jej na powrotny bilet.

– Masz zwyczaj tak po prostu rozdawać takie sumy?

Wzruszyłem ramionami.

– Dziesięć patyków dostałem od wiedźm. Ja zresztą żyję sobie prosto i skromnie i zabójczo zarabiam na długoterminowych inwestycjach. Jak już się urządzisz, wyślij mi jakąś widokówkę i daj znać, jak ci idzie ten twój karmiczny rehab.

Laksha zachichotała i wcisnęła sobie zakrwawiony naszyjnik do kieszeni Granuaile.

– Jak na razie idzie bez problemów. Ale dziękuję za troskę.

– A ja dziękuję za opiekę nad Granuaile.

– To słodkie dziecko. I bardzo bystre. Będzie z niej świetna druidka.

– I ja tak sądzę. Mogę z nią teraz porozmawiać?

– Oczywiście. Żegnaj. – Głowa Granuaile opadła, a gdy się uniosła z powrotem,

dziewczyna zatoczyła się do tyłu i zakryła twarz dłońmi.

– Fuu! Co to za smród? Ja cię pierdolę! Nie mogę... nie mogę... – Nie dokończyła zdania, bo była zbyt zajęta wymiotowaniem.

– A rzeczywiście. Zupełnie o tym zapomniałem – przyznałem. – Przepraszam. Z czasem człowiek się do tego przyzwyczaja. – W odpowiedzi Granuaile znów dostała torsji, a mnie przyszło na myśl, że jeśli szybko jej nie odpowiem na to pytanie, może dojść do błędnych wniosków. – Ale to nie ja – zapewniłem ją więc pospiesznie. – Powaga, to nie ja. To demony.

– Wszystko mi jedno – wysapała. – Czy musimy tu długo jeszcze zostać? Bo boję się, że ja... – I znów zaczęła się krztusić, ale udało jej się tym razem powstrzymać. W pewnym sensie było to bardzo ciekawe. W końcu Laksha używała przecież nosa Granuaile, a obie wystawione były na te same bodźce. Bogini jednak nie okazywała żadnej potrzeby wymiotowania. Można by z tego wysnuć wniosek, że reakcja fizyczna jest w znacznie większym stopniu oparta na elementach psychologicznych, niż się dotąd sądziło.

– Ja muszę zostać i poczekać na Watahę, ale ty możesz przejść się trochę po szlaku, aż będziesz w stanie tu wrócić. Nie ma tu nic miłego do oglądania.

– To po co mnie tu ściągnąłeś?

– Właśnie dlatego, że nie ma tu nic miłego. Chciałem dać ci ostatnią szansę na wycofanie się z naszej umowy. Chcesz wkroczyć w świat magii, a on jest czasami brutalny, okrutny i cuchnie jak sto diabłów. Oddychaj ustami i rozejrzyj się.

– Przecież jest zupełnie ciemno.

O, kurczę. Moje wiązania przerwały się, gdy straciłem całą energię, a Aenghus Óg wykończył ziemię pod nami. Laksha najwyraźniej miała jakieś swoje własne metody widzenia w ciemności. Znów więc sięgnąłem do zapasów od Morrigan i dałem Granuaile widzenie nocne, a ona rozejrzała się po łące usianej trupami.

– Boże drogi – wybąkała. – Ty to wszystko zrobiłeś?

– Z wyjątkiem wiem i tych dwóch wilkołaków. Ale nie przeżyłbym tej nocy, gdyby nie pomoc wielu osób. W zasadzie powinienem już nie żyć. Musisz też wiedzieć, że osoby posługujące się magią rzadko umierają sobie spokojnie we śnie. Dlatego chcę, żebyś zastanowiła się nad tym, co tu widzisz i czujesz, gdy pojedziesz z Lakshą na wschód. Nie chcę, żebyś zabierała się do nauki z jakimiś romantycznymi wizjami w głowie. A jeśli wrócisz i powiesz mi, że jednak nie chcesz u mnie terminować, zrozumieję, nie będę miał ci tego za złe i postaram się, żebyś znalazła jakąś dobrą robotę w zamian za tę, którą dziś musiałas rzucić.

– Ale co tu się w ogóle stało? Jak ci się udało narobić takiego bałaganu?

– Czekaj, porozmawiamy potem – powiedziałem, usłyszawszy ujadanie w przeciwległym rogu łąki i zobaczywszy, że Snorri unosi głowę z ziemi. – Wraca Wataha. Być może uda nam się zniknąć stąd szybciej, niż myślałem.

Pojawienie się wilkołaków doskonale zobrazowało to, co próbowałem jej wytłumaczyć. Granuaile chwyciła mnie za ramię, gdy ujrzała głowę Emily zwisającą Gunnarowi z pyska, a gdy rzucił mi ją pod nogi twarzą do góry, po prostu schowała się za mnie.

– Nie, Granuaile. Przed czym się chowasz? Musisz to zobaczyć. To też należy do świata magii. Ta kobieta wyglądała na dwadzieścia lat, gdy umarła, a teraz widać, że tak naprawdę zbliżała się do dziewięćdziesiątki. W okolicy jest jeszcze siedem innym wiem, które są od niej starsze i którym się zdaje, że są mądrzejsze, toteż mogą próbować odnieść sukces tam, gdzie tej się nie powiodło. Być może gdy zobaczą swoją najmłodszą siostrę, zrozumieją, że nie warto ze mną zadzierać. Jeśli nie jesteś w stanie przekonać ludzi do czegoś po dobroci, lepiej ich zastraszyć. Jeśli to nie zadziała, albo uciekasz, albo ich zabijasz. Albo nasyłasz na nich swoich prawników.

– To o to ci chodzi? Chcesz mnie przestraszyć?
– Potraktuj to jak ujawnienie szczegółowych ustaleń umowy.
– Dobra. Dzięki. Przemyszę to. – Odwróciła się i ruszyła szlakiem. – Pójdę sobie gdzieś, gdzie da się normalnie oddychać.

Gunnar i Hal zrzucili futra i znów przebrali się w ludzką skórę, żeby być w stanie wynieść swoich dwóch poległych towarzyszy z tego pustkowia. Milczeli uparcie, więc uznałem, że pewnie rachują sobie w milczeniu, czy opłaca im się mieć tak kosztownego klienta jak ja. Snorri włókł się powoli, a Greta kuśtykała na trzech łapach, ale oboje byli w stanie iść sami, bez żadnej pomocy, nie mając już srebra w ranach.

Nim ruszyłem za nimi, wziąłem jeszcze miecz Aenghusa Óga, Moralltach, który należał mi się zgodnie z pradawnym prawem zwycięzcy. Droga z powrotem zajęła nam znacznie więcej czasu. Szliśmy zmęczeni i milczący, ale w końcu dowlekliśmy się do samochodów przed świtem. Około dwóch mil za początkiem szlaku znów poczułem pod stopami żywą ziemię i zapłakałem.

Podrzuciliśmy z Halem Granuaile do jej mieszkania, a ja powiedziałem jej, żeby spakowała się jeszcze dziś w nocy, bo jutro ruszają z Lakshą na wschód. Nie wiedziałem, czy jeszcze kiedykolwiek ją ujrzę.

Wieczorem zadzwoniliśmy do Leifa, który przespał całą zabawę, i poprosiliśmy, żeby zadzwonił do tych swoich zaprzyjaźnionych ghuli, żeby posprząтали cały ten bałagan.

Hal zabrał mnie do całodobowego Walmarta. Tam nabyliśmy gazę i bandażę, żeby założyć mi opatrunek na piersi w miejscu, gdzie powinna być dziura po kuli Faglesa. Ułożyliśmy też zgrabną historyjkę, którą miałem opowiedzieć policji, gdy już wrócę do domu: atak ze strony policjanta był dla mnie tak wielką traumą, że aby jakoś dojść do siebie, spędziłem te kilka dni u dziewczyny, którą na potrzeby policji miała odgrywać Granuaile.

Hal powiedział, że wszystko to już z nią ustalił, a potem zawiózł mnie pod dom i przekazał w ręce policjantów z Tempe, którzy wciąż tam tkwili, czekając cierpliwie na moje oświadczenie. Hal obiecał też przechować Oberona (i głowę Emily), póki gliny sobie nie pójdą.

Kiedy w końcu policjanci zadowolili się moją barwną opowieścią o załamaniu nerwowym, zadzwoniłem do Hala, żeby podrzucił mi Oberona (i głowę Emily), a potem marzyłem już tylko o tym, żeby uwalić się na podwórku i rozpocząć porządne leczenie po całym tym Zimnym Ogniu.

Z realizacją mych marzeń musiałem jednak poczekać. Za dużo było jeszcze różnych spraw do załatwienia.

Musiałem koniecznie zadzwonić do Maliny Sokolowski, żeby poinformować ją o tym, że mnie udało się dożyć wschodu słońca, ale Radomile nie.

– Wiem, że oczekiwała pani mojej śmierci, Malino, ale może teraz warto byłoby przyznać, iż nie doceniała mnie pani?

– Może – zgodziła się. – Tak mało jest dostępnej literatury na temat mocy druidów, że trudno mi to było ocenić. Mam jednak nadzieję, że zwrócił pan uwagę na to, iż i pan mnie nie docenił, panie O'Sullivan.

– W jakim sensie? – Poczułem, że opada mnie obezwładniająca panika. Czyżby mimo wszystko udało jej się zdobyć coś mojego? Czy zaraz zostanę magicznie wybuchnięty?

– Miał mnie pan za kłamczuchę i założył pan, że biorę udział we wstrętnym spisku, uwzględniającym pakty z piekłem i Tuatha Dé Danann. Rozumiem poniekąd, skąd się to u pana wzięło. Członkinie sabatów zwykle traktuje się tak, jakby mówiły jednym głosem, zresztą nierzadko słusznie. Lecz teraz, z perspektywy czasu widzi pan z pewnością, że miałam wobec pana jak najlepsze intencje, prawda?

– Powiedziała mi pani prawdę, gdy mówiła pani, że jest tylko sześć wiedźm przy Tony

Cabin, i za to jestem pani wdzięczny – przyznałem. – Lecz kiedy przedtem spytałem panią, ile z was knuje przeciwko mnie i chce odebrać mi miecz, nie odpowiedziała mi pani.

– Nie, ponieważ wówczas nie znałam jeszcze odpowiedzi. Miałam wtedy tylko niejasne podejrzenia, żadnych dowodów, a przecież nie mogłam podzielić się nimi z panem i nastawić pana negatywnie do niektórych członkiń mego własnego sabatu, skoro nie byłam niczego pewna. Sam pan rozumie.

Miało to ręce i nogi i złapałem się na tym, że chodzi mi po głowie myśl, iż być może mam tu do czynienia z naprawdę uczciwą wiedźmą (a jest to zjawisko tak rzadkie jak uczciwy polityk, jeśli nie rzadsze). Moje uprzedzenia sprawiały, że nadal jej nie ufałem, ale być może nie powinienem ostatecznie posyłać jej głowy Emily w paczce, tak jak sobie to już zaplanowałem. Wbrew temu, co naopowiadałem Granuaile, straszenie ludzi przesuwają tylko w czasie datę nieuchronnego starcia. Współpraca natomiast sprawia, że walka staje się niepotrzebna, a zatem, jak to powiedział Abraham Lincoln: „Niszczę moich wrogów, czyniąc sobie z nich przyjaciół”.

– Jakie są plany waszego sabatu na najbliższą przyszłość? – spytałem. – Dorwać druida, który zabił wasze siostry?

– Oczywiście, że nie – oburzyła się Malina. – Nie ulega przecież wątpliwości, że dały panu one słuszny powód do złości i dostały to, na co sobie zasłużyły. Ostrzegałam je, że może się to wszystko źle skończyć.

– A zatem jakie macie plany?

Malina westchnęła.

– To do pewnego stopnia zależy od pana, panie O'Sullivan. Jeśli ma pan w planach kampanię przeciw polskim wiedźmom, to pewnie wołałybyśmy raczej zniknąć stąd, niż stawać do walki. Lecz jeśli uda mi się przekonać pana, że nie mamy wobec pana żadnych złych zamiarów, to oczywiście wołałybyśmy pozostać w Tempe na zasadzie wzajemnego układu o nieagresji.

– Ta opcja, że opuszczacie miasto, brzmi jak dla mnie bardzo atrakcyjnie. Nie widzę tu żadnych minusów.

– Pan wybaczy, lecz pozwolę sobie wskazać co najmniej kilka. Nasz sabat od lat pilnuje, by do Wschodniej Doliny nie sprowadziły się jakieś niepożądane elementy. Wygnałyśmy stąd hordę *brujas* oraz kapłanów wudu, którzy dosłownie zalali kraj po tym, jak Nowy Orlean nawiedziła Katrina. W zeszłym roku dyskretnie zajęłyśmy się kultem bogini śmierci Kali. Wiem także o pewnej grupie bachantek zamieszkujących w Vegas, które wprost marzą o tym, by rozszerzyć swe wpływy na Phoenix, lecz jak dotąd skutecznie odpierałyśmy wszelkie ich próby wkroczenia na nasze terytorium. Jeśli jednak woli pan sam zająć się tymi wszystkimi problemami, niech i tak będzie.

– Nie, nie miałem świadomości, że są panie tak zaangażowane społecznie i mają taki silny instynkt terytorialny.

– To miła okolica. Dobrze się tu mieszka. Chciałybyśmy, żeby tak pozostało.

– I mnie się tu podoba – przyznałem. – Dobrze więc. Niech mnie pani zatem przekona, że nie macie wobec mnie złych zamiarów.

– A czy i pan gotów jest dać nam podobne zapewnienie?

– To pewnie będzie zależało od tego, o jakiego rodzaju zapewnienie pani chodzi.

– Niech pana prawnik spisze odpowiedni pakt. Gotowe jesteśmy spędzić tyle czasu nad odpowiednimi sformułowaniami, ile będzie pan sobie życzył. Gdy już obie strony będą zadowolone, podpiszemy go własną krwią, a pana prawnik weźmie go na przechowanie.

Pakt o nieagresji podpisany krwią? Coś w tym sformułowaniu dziwnie przypominało mi oksymoron.

– Dobrze, rozpocznę rokowania z paniami w dobrej wierze – zapewniłem ją – i zobaczymy, dokąd nas to zaprowadzi. Chcę jednak, by zrozumiała pani, bo wyraźnie nie rozumiały tego Emily i Radomila, że choć unikam konfliktu jak mogę, to jednak nie należy brać tego za moją słabość. Jakiś czas temu wyraziła pani zdziwienie na myśl o tym, iż jakiś członek Tuatha Dé Danann miałby się mnie obawiać. Lecz zeszłej nocy zabiłem go, a wraz z nim zginęła horda demonów i kilka pani byłych sióstr. – Nie wspominałem o pomocy, którą otrzymałem w tych działaniach. W zasadzie nie zabiłem ani jednej członkini jej sabatu, ale uznałem, że tego akurat nie musi wiedzieć. – Chciałbym, by jedno było dla pani jasne: Wikipedia nie ma pojęcia o tym, co może prawdziwy druid.

– Jest to dla mnie jasne jak słońce, panie O'Sullivan.

– Cieszę się. Mój prawnik skontaktuje się z panią w ciągu tygodnia.

To oznaczało, że musiałem pozbyć się jakoś mocno pomarszczonej głowy wiedźmy, ale cieszyłem się tak naprawdę, że nie muszę jej jednak użyć. Wiedziałem zresztą, co z nią zrobić. Rzuciłem na nią i na siebie kamuflaż, a potem przeszedłem przez ulicę do domu pana Semerdjiana. Wystarczyło trochę cierpliwych namów i ziemia pod jego drzewkiem eukaliptusowym się otworzyła, a ja wrzuciłem głowę do dziury pod korzeniami. Potem zasypałem ją z powrotem ziemią i zdjąłem kamuflaż z głowy. Następnie posłałem kuriera do mieszkania Granuaile, żeby zaniósł jej czek, który obiecałem, i pożyczył jej w moim imieniu szerokiej drogi.

Zadzwoiłem też do Perry'ego, prosząc go, żeby pozajmował się jeszcze chwilę sklepem, a w zamian dam mu za tydzień kilka dni płatnego urlopu. Potem zatelefonowałem do wdowy MacDonagh, żeby zapewnić ją, że jej ulubiony Irlandczyk żyje, ma się dobrze i zamierza wkrótce wpaść do niej na dłuższą pogawędkę. Wtedy wreszcie mogłem udać się na spoczynek.

Zrzuciłem ubrania i położyłem się na prawym boku, żeby moje tatuaże miały jak najlepszy kontakt z ziemią. Odetchnąłem z ulgą, gdy poczułem, jak pierwsza fala energii zalewa komórki mojego ciała. Musiałem zasnąć chyba w ciągu zaledwie dziesięciu sekund tylko po to, by już następne dziesięć sekund później zostać brutalnie wyrwanym ze snu. Na podwórko wleciała Morrigan, kracząc głośno, i przybrała ludzką postać.

– Teraz, skoro już jesteś w stanie odzyskać swoją moc, druidzie, oddawaj energię, którą ci pożyczyłam.

Ta. Dzień dobry, Morrigan. Mam się dobrze. A ty?

– Raz jeszcze bardzo ci za nią dziękuję – odparłem dyplomatycznie i podałem jej lewą dłoń. – Proszę, weź ją sobie z powrotem.

Ujęła ją i gdy skończyła pobierać, co jej, moje ramię opadło zupełnie bezwładnie. Nie byłem w stanie się poruszyć.

– Zdecydowanie przesadziłeś z tym Zimnym Ogniem – zauważyła. – Na twoim miejscu zaplanowałabym sobie kilka dni bez ruchu. Mam nadzieję, że jesteś w posiadaniu tej dziwnej substancji, którą tak uwielbiają się smarować śmiertelni. Wolałabym, żebyś nie umarł mi tu na raka skóry.

Zaniósła się szyderczym śmiechem, który przeszedł w charkoczące krakanie, gdy zmieniła się we wronę, i odleciała. I ona się zastanawia, dlaczego nie ma żadnych przyjaciół.

Epilog

Góry Chiricahua na południowym wschodzie Arizony są naprawdę piękne. To, co zachwyca mnie na pustyni chyba najbardziej, to wytrwałość roślin i zwierząt, które ją zamieszkują. Deszcze tu są zupełnie nieprzewidywalne, a arizońskie słońce bezlitosne, lecz mimo to w górach Chiricahua kwitnie życie, choć może bez przechwalania się bujnością, charakterystyczną dla bardziej mokrych stref.

Góry Chiricahua są niesamowite także pod tym względem, że znajduje się tu kilka „podniebnych wysp” – starych wulkanicznych wzniesień, wysokich na 9000 stóp ponad pustynnymi trawami i kryjących zupełnie inne ekosystemy.

Upolowaliśmy tam z Oberonem mulaka i pekari i przestraszyliśmy kilka ostronosów, na co nam śmiesznie odpyskowały. Nie znaleźliśmy żadnej owcy kanadyjskiej, ale postanowiliśmy sobie twardo, że taki drobiazg nie zepsuje nam tego idyllicznego wypadu za miasto.

<To miejsce jest takie wspaniałe, Atticusie> powiedział Oberon, gdy odpoczywaliśmy przy strumieniu płynącym kanionem i cieszyliśmy ucho szumem wody, pędzącej po skałach i wirującej wokół łądyg pałek. <Jak długo możemy tu zostać?>.

Chciałem móc mu powiedzieć, że możemy tam zostać, póki mu się będzie żywnie podobało. W końcu o to przecież walczyłem prawie całe życie – o świat bez Aenghusa Óga. W całym Tír na nÓg nie było piękniejszego miejsca niż ten zakątek nad strumieniem i naprawdę trudno mi było przypomnieć sobie taki moment w ciągu ostatnich stuleci, kiedy czułbym się równie spokojny jak wtedy właśnie, z moim przyjacielem nad tą bystrą wodą. Oberon władał swoją szczególną magią – jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki był w stanie skupić moją całą uwagę na wspaniałości życia. Chwile, kiedy się to czuje, są tak ulotne, że bez jego pomocy pewnie większość z nich bym po prostu przeoczył, z całych sił prac dokąds, a dotarłszy tam, nie pamiętając już, po co tam dążyłem.

Jeszcze dwa dni – powiedziałem. – *Potem muszę wrócić do sklepu i dać Perry'emu obiecany urlop.* Był też jeszcze problem martwej ziemi wokół Tony Cabin, którą musiałem jakoś uzdrowić. Oraz kwestia braku ucha. Jakoś będę sobie musiał sprawić nowe. Jak na razie udało mi się jedynie wyhodować w tym miejscu bezkształtną chrząstkę, ale nie wzbudziła ona jak dotąd niczyich zachwytów. Być może jedyna moja nadzieja w chirurgii plastycznej.

<A, szkoda. To w takim razie postaram się nacieszyć nim na zapas>.

Jak wrócimy do domu, będzie na ciebie czekała mała niespodzianka.

<Kupiłeś mi ten film o Czyngis-chanie?>.

Mam go już na komputerze, ale zorganizowałem dla ciebie jeszcze inną niespodziankę. Spodoba ci się. Po prostu nie chcę, żebyś się martwił na myśl o powrocie do domu.

<E, nie będę się martwił. Ale fajowo by było mieć w ogródku taki strumyk, nie? Mógłbyś zrobić coś takiego?>.

Yyy... *nie.*

<Tak myślałem. Ale warto było spytać, tak na wszelki wypadek>.

Gdy już wróciliśmy do Tempe, Oberon był naprawdę bardzo zaskoczony moją niespodzianką. Hal wszystko dla mnie załatwił, a gdy tylko wysiedliśmy z autobusu, którym podjechaliśmy z wypożyczalni samochodów, Oberon zastrzygł uszami.

<Hej! Czuję, że ktoś wkroczył na moje terytorium> warknął.

Wiesz przecież, że nikt nie może tu wejść bez mojego pozwolenia.

<Flidais weszła>.

Tak. Ale ten zapach to przecież nie Flidais.

Otworzyłem drzwi frontowe, a Oberon natychmiast podbiegł do kuchennego okna i wyrzał na podwórze. Zaszczekał radośnie, gdy ujrzał swoją niespodziankę.

<Francuskie pudlice! Wszystkie czarniutkie, z loczkami i tymi małymi puszystymi ogonkami!>.

I wszystkie co do jednej mają akurat cieczkę.

<Ja cię kręcę! Dzięki, Atticusie! Już się nie mogę doczekać, kiedy im obwącham tyłki!>
Rzucił się w stronę drzwi i zaczął w nie drapać niecierpliwie, bo jego klapka była zablokowana, żeby pudlice nie wlażyły mi do kuchni.

Zasłużyłeś sobie, chłopie. Ale czekaj, no zejdź z tych drzwi, bo nie dam rady ci ich otworzyć. I uważaj, żebyś której nie zdeptał.

Otworzyłem drzwi pewien, że wypadnie na dwór jak strzała, żeby jak najszybciej dołączyć do swego osobistego, psiego haremu, ale zatrzymał się raptownie i spojrzał na mnie żałośnie. Uszy mu oklapły, a z pyska wyrwał się cichy jęk.

<Tylko pięć?>.

Podziękowania

Wdzięczność moja nie zna granic przyzwoitości.

Choć tylko moje imię pojawia się na okładce, powieści rzadko powstają bez współpracy z innymi. Moi rodzice zawsze wspierali mnie w twórczych wysiłkach – od malowania po pisanie – i gdyby nie przekonali mnie swego czasu, że owszem, mogę tworzyć, co mi się żywnie podoba, pewnie nigdy bym nawet nie zaczął tego projektu. Moja wspaniała żona Kimberly patrzyła prawie dwadzieścia lat, jak pisałem to czy owo, a jej głębokie przekonanie, że w końcu kiedyś uda mi się napisać coś sensownego, sprawiło, że nigdy się nie poddałem, choć czasem miałem już ochotę.

Kilka osób podzieliło się ze mną swoimi uwagami jeszcze na wstępnych etapach tej powieści. Doktor Kim Hensley Owens, profesor retoryki na University of Rhode Island, zażądała większej spójności w stylizacji językowej wypowiedzi wdowy MacDonagh, zasugerowała też, bym był bardziej oszczędny w słowach, za co jestem jej niezmiernie wdzięczny. Alan O'Bryan wyjaśnił mi pewne proste zasady walki mieczem (na przykład to, że nie trwają one zbyt długo) oraz zapoznał mnie z Society for Creative Anachronism. Andrea Taylor miała wiele do powiedzenia na temat wiedźm; więcej nie zdradzę, bo pozostają pod jej urokiem.

Jestem święcie przekonany, że mój agent, Evan Goldfried, jest Istotą Magiczną. Gdy inni mówili „nie”, on powiedział „tak”, a następnie sprzedał tę serię tak szybko, że wciąż jeszcze nie doszedłem po tym do siebie. Dzięki, Magiczny E.

Tricia Pasternak, moja wspaniała redaktorka w Del Rey, zasługuje na mój najwyższy szacunek, i to właśnie jej entuzjazm dla Atticusa i Oberona sprawił, że trzymacie dziś w dłoniach tę książkę. Jej asystent Mike Braff tolerował moje infantylne błazenady z wielkim poczuciem humoru, a ponadto okazał się niesamowitym źródłem wiedzy na tematy skandynawskie.

Choć postacie i wydarzenia opisane w *Na psa urok* są zupełnie fikcyjne, można, jeśli się ma akurat takie widzimisię, odwiedzić w Arizonie scenierię większości wydarzeń. Księgarnia „Trzecie Oko” znajduje się w miejscu, w którym mój kuzyn Drew Sullivan naprawdę ma sklep z komiksami – na Ash Avenue w Tempe; Tony Cabin wciąż jest tam, gdzie powinna, w górach Superstition, ale na szczęście ziemia wokół nie jest martwa; Rúla Búla przy Mill Avenue jest w rzeczy samej jednym z najlepszych irlandzkich pubów na świecie i nie trafił mi się jeszcze nigdy talerz fish'n'chipsów równy ich specjałowi.

Miłośnicy lingwistyki zauważyli być może, że choć Siostry Trzech Zórz są Polkami, to posługują się czasem rosyjską nazwą „Zoria”, gdy mówią o bogini, od której pochodzi ich moc. Zorze znane są w całym słowiańskim świecie, a słowo to ma różne warianty zależnie od języka (np. Zoria, Zora, Zarnica itd.), ale jako że większość wiedźm z tego sabatu urodziła się w dziewiętnastym wieku, kiedy wschodnia część Polski okupowana była przez Rosję, miało sens (przynajmniej na moje oko), żeby używały rosyjskiej nazwy. Nikt nie musi się ze mną w tej sprawie zgadzać; chciałem wyjaśnić to tylko po to, by sprawiać wrażenie, że jestem niezwykłym erudyta.